

WOŁOSZAŃSKI

Bogusław
Wołoszański

**TWIERDZA
SZYFRÓW**

Bogusław Wołoszański

Twierdza szyfrów

Spis treści

Strona tytułowa

OD AUTORA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

EPILOG

OD AUTORA

Nie można poznać istoty najważniejszych wydarzeń, sięgając tylko do faktów opisanych i sprawdzonych. Jest ich zbyt mało, aby na ich podstawie zrozumieć niezwykle skomplikowaną historię drugiej połowy dwudziestego wieku. Co gorsza, w tej historii fakty bardzo często przeplatają się z kłamstwami, tworzonymi przez służby specjalne po to, aby ukryć prawdziwy charakter wydarzeń, lub powstającymi mimowolnie, na skutek ułomności ludzkiej pamięci.

Przez wiele lat szukałem prawdy o dramatycznych wydarzeniach, które rozegrały się w Stanach Zjednoczonych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, gdy Federalne Biuro Śledcze nagle, z niezwykłą energią i przebiegłością, zaczęło chwytać jednego po drugim radzieckich szpiegów, którzy tuzinami przeniknęli do najtajniejszych amerykańskich programów zbrojeniowych, w tym do programu nuklearnego. Dość powszechne było mniemanie, że to Meredith Gardner, genialny amerykański kryptolog, po latach pracy złamał szyfr, jakim utajniano depesze wysyłane z ambasady radzieckiej w Waszyngtonie do Moskwy. Do tego czasu, przechwytywane przez nasłuch radiowy, leżały w archiwum amerykańskich tajnych służb, aż pojawiła się możliwość do ich poznania. Jak z rogu obfitości zaczęły się sypać dane, na których podstawie od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku FBI mogła aresztować i stawiać przed sądem małżeństwo Rosenbergow, Klause Fuchsa, Harry'ego Golda i dziesiątki innych, którzy zdradzili ojczyznę. Wszystko wydaje się proste i logiczne, jednakże nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak Gardnerowi udało się złamać szyfr, który był i jest nie do złamania! Rosjanie używali tak zwanego szyfru jednorazowego, który nie daje kryptologowi żadnej możliwości rozpracowania go. Zawodzą wszelkie znane metody i techniki kryptoanalizy. Szyfrów tych nie stosowano powszechnie tylko dlatego, że system dostarczania niezbędnych dokumentów był zbyt skomplikowany i czasochłonny, aby mogły wykorzystywać je oddziały wojska rozrzucone na wielkim obszarze. Te problemy nie występowały w przypadku przedstawicielstw dyplomatycznych i tam najczęściej używano prostego, lecz genialnego szyfru jednorazowego.

Skąd więc amerykański kontrwywiad dowiedział się o radzieckich szpiegach i wyłapał ich tak sprawnie i szybko, poczynając od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego?

Początkiem odpowiedzi na to pytanie stała się informacja, jaką znalazłem we wspomnieniach komandora Howarda Compaigne'a, szefa jednej z grup amerykańskiego wywiadu (Target Intelligence Committee), poszukującej w Niemczech w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku najważniejszych ekspertów i najcenniejszych

dokumentów. Wspomniał on, że w kwietniu tego roku w Rosenheim znaleźli maszynę nazwaną ryba-miecz, za pomocą której można było odczytywać radzieckie szyfry jednorazowe. Urządzenie to, w istocie komputer, zostało skonstruowane prawdopodobnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, dzięki temu, że niemiecki nasłuch radiowy przechwycił około trzydziestu tysięcy radzieckich szyfrogramów, w których wielokrotnie stosowano ten sam szyfr jednorazowy. W ogromnym chaosie pierwszych miesięcy agresji niemieckiej na Związek Radziecki szyfranci z Armii Czerwonej nie przestrzegali zasad oszyfrowania, łamali podstawowe reguły, nie zważając, że tym samym zostaje zagrożone bezpieczeństwo łączności. W efekcie niemieccy kryptolodzy, otrzymując ze stacji nasłuchowych tysiące szyfrogramów, uzyskali szansę, której nie miał Gardner, i szansę tę wykorzystali, konstruując „rybę-miecz”.

To są fakty, a moja opowieść o fascynującej grze wywiadów i kontrwywiadów, szaleńczym wyścigu specjalnych grup radzieckiego NKWD, polskiego II Oddziału i amerykańskiego OSS na nich została oparta.

Niektóre nazwiska w powieści zostały wymyślone i ich podobieństwo do nazwisk żyjących ludzi jest całkowicie przypadkowe.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lodowaty wiatr wciskał się przez szpary w plandecę volkswagena, osadzając smużki szronu, który nie topniał w zimnej kabinie. Hugo Jorg po raz kolejny poprawił poły płaszcza, otulając się ciasno i podniósł kołnierz. Jechali już trzy godziny z Hirschbergu* i choć myśleli, że trasę czterdziestu kilometrów pokonają szybko, cel wciąż wydawał się odległy. Samochód wiele razy grzązł w zaspach na szosie, w miejscach gdzie biegła wśród pól i drzewa nie osłaniały jej od podmuchów wiatru niosącego sypki śnieg. Wiele czasu spędzili, stojąc w kolumnie wojskowych ciężarówek, których koła ślizgały się, nie mogąc wyciągnąć pojazdów wypełnionych żołnierzami lub skrzyniami z zaopatrzeniem. Ostatni odcinek podróży dawał się najbardziej we znaki, gdyż z nadejściem nocy temperatura gwałtownie spadała, co dotkliwie odczuli, zwłaszcza że strumień ciepła, płynący z silnika był nikły.

– Przynajmniej nie musimy się bać rosyjskich samolotów – powiedział kierowca, jakby odgadując myśli Jorga. Kilkakrotnie widzieli przelatujące nisko nad drzewami samoloty, a raz musieli porzucić samochód i uciekać do rowu, gdyż pilot myśliwskiego jaka dostrzegł ich i, krążąc nisko nad koronami drzew, otworzył ogień. Na szczęście niecelny i krótki, gdyż kończyło mu się paliwo lub amunicja.

– Zatrzymamy się na chwilę, muszę dolać benzyny. A pan kapitan to pewnie na bok w lasy, tylko nie na długo, bo w takim mrozie odpadnie.

Zaśmiał się, zadowolony ze swojego dowcipu, ale widząc, że nie rozbawił pasażera, wysiadł szybko i zaczął odpinać kanister przywiązany skórzanymi paskami do burty samochodu. Jorg też wysiadł i odszedł parę kroków od samochodu, aby zapalić papierosa.

Styczniowa noc tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku była mroźna, o niezwykłym uroku zimowej pory, gdy na rozgwieżdżonym niebie jasno świecił księżyc; to ułatwiało im odnajdywanie drogi. Było cicho, tylko z daleka dobiegał warkot kolumny ciężarówek, którą udało im się wyprzedzić, zanim samochody utknęły przed stromym podjazdem.

Pokrywka kanistra odskoczyła z sykiem i kierowca przechylił lejek, kierując strumień benzyny do baku samochodu. Jorg dopiero teraz zobaczył, że u lewej dłoni brakuje mu dwóch palców.

– Skąd ta... pamiątka? – wskazał na okaleczoną dłoń.

– Wschód, odmrożenie – mruknął kierowca. – Niby mogłem odejść z wojska, ale nie wypadało. Tam, na wschodzie, zostawiłem najlepszych chłopaków z mojej kamienicy. W siedmiu poszliśmy do wojska, ale tylko ja przeżyłem. No, nie w całości...

Podniósł kanister, opróżniając go z resztek paliwa. Jorg wcisnął niedopałek w śnieg i z niechęcią wrócił do ciasnej kabiny, pocieszając się myślą, że do celu pozostało już tylko kilka kilometrów.

Nie miał pojęcia, dlaczego nagle został odesłany do zamku Tzschocha**, o którym do tego czasu nic nie słyszał.

Gdy dwunastego stycznia tego roku znad Wisły ruszyła rosyjska ofensywa, w ośrodku kryptologicznym w Hirschbergu zapanował niepokój. Kilkudziesięciu pracowników tajnej organizacji „Pers Z” wyczuwało, że lada dzień przyjdzie im spakować rzeczy i wyruszyć w podróż, tym razem na zachód. Pierwszy raz wyprowadzono ich z wygodnej kwatery w centrum Berlina w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, gdy naloty alianckich samolotów nasiliły się tak bardzo, że dalsza praca nad szyframi stała się niepodobieństwem. Zainstalowali się w podmiejskiej dzielnicy Dahlem, która przez kilka miesięcy wydawała się zaciszna i bezpieczna, ale zagrożenie dotarło i tam. Każdej nocy, gdy wyły syreny zapowiadające nalot, musieli pakować tajne dokumenty do kufrów i znosić je do piwnic zamienionych na schrony, aby rano wynosić ciężkie skrzynie i rozkładać ich zawartość na biurkach, a potem długo porządkować dokumenty, zazwyczaj składane w pośpiechu. Dlatego latem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku cały zespół wywieziono do Hirschbergu, dwieście kilometrów na południowy wschód od Berlina, gdzie było cicho i spokojnie. Kryptologom nie groziły angielskie i amerykańskie samoloty, mówiło się, że gdzieś w mieście powstają nowe kwatery, dające schronienie przed nalotami, ale niebezpieczeństwo nadeszło z innej strony. Ze wschodu.

Któregoś styczniowego południa Jorga wezwał Rudolf Schauffler, szef zespołu.

– Wyjedź pan dzisiaj do zamku Tzschocha. Zostaje pan tam oddelegowany bezterminowo. To tajny ośrodek Abwehry, to znaczy... byłej Abwehry – poprawił się, przypominając sobie, że kilka miesięcy wcześniej wywiad wojskowy został wchłonięty przez SS, a szef, admirał Wilhelm Canaris – aresztowany.

– Czy mogę zapytać o cel mojego wyjazdu? – Jorg był wyraźnie zaskoczony nagłą zmianą. Schauffler pokręcił głową.

– Tam też działa „Pers Z”, a być może domyśla się pan, że ta organizacja ma jądro tak tajne, iż nawet ja wszystkiego nie wiem. Cel oddelegowania pozna pan na miejscu. Zapewne nie od razu.

– Będą mnie sprawdzać? – Jorg wydawał się zaskoczony.

– Tak sądzę... – Wyciągnął rękę, i dodał: – Mam nadzieję, że spotkamy się za kilka tygodni. Część naszego zespołu zostanie wkrótce ewakuowana do zamku Zschepplin, w pobliżu Eilenburga. Pozostali pojedą do zamku Naumburg pod Weimarem. Nie sądzę, żeby w zamku Tzschocha zespół pozostał długo, skoro Rosjanie są tuż tuż.

Jorg lubił Schaufflera. Drobny, trochę nerwowo sprawiał wrażenie przepracowanego nauczyciela, którym w istocie był. Jako absolwent uniwersytetów w Tybindze i Monachium zaczął karierę od nauczania matematyki. Powołany do wojska w tysiąc

dziewięćset szesnastym roku został skierowany do zespołu kryptologów. Po wojnie podjął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie spotkał kapitana Kurta Selchowa organizującego placówkę szyfrów i namówiony przez niego do współpracy, na stałe związał się z kryptologią. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, w wyniku reorganizacji Ministerstwa, oddział zajmujący się łamaniem szyfrów i ochroną tajemnic państwowych nazwano „Pers Z”, jako że organizacyjnie podporządkowany był Wydziałowi Kadr i Administracji; pierwsza część nazwy była skrótem od Personal, litera „Z” nic nie znaczyła, a dodano ją tylko dlatego, że z nią nazwa wyglądała intrygująco, jak przystało na nazwę instytucji kryptologicznej.

Schauffler podszedł bliżej, jakby obawiając się, że ktoś może usłyszeć to, co zamierzał powiedzieć:

– Nie sądzę, aby pańskie zajęcie w zamku Tzschocha miało jakiegokolwiek znaczenie dla Niemiec w tej wojnie – mówiąc patrzył prosto w oczy Jorgowi. – Powiem więcej: zobaczy pan tam wielką zmarnowaną szansę, której nie wykorzystaliśmy, gdyż nie pasowała do idei szaleńca, wierzącego tylko we własne zwidy. Ale po wojnie... Wartość tego odkrycia jest niewiarygodnie wielka! Niewiarygodnie! Niech pan o tym pamięta, Jorg! Może stanie się pan strażnikiem tego...

Nie dokończył zdania. Pośpiesznie podał Jorgowi rękę i odszedł szybko.

Minęli łagodny zakręt i zza drzew wyłoniły się ciemne zabudowania zamku. Tworzyły ponury obraz średniowiecznej twierdzy ze spadzistymi dachami, nad którymi górowała okrągła wieża, doskonale widoczna na tle rozgwieżdżonego nieba. Przez całą jej wysokość zwieszała się hitlerowska flaga, zapewne w lepszych czasach dobrze oświetlona, lecz na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wygaszono lampy, ze względu na absolutny nakaz zaciemnienia.

Oślepiło ich jaskrawe światło reflektora i kierowca musiał zahamować gwałtownie przed żołnierzem w kozuchu, który wyłonił się z ciemności. Ten podszedł do ich samochodu i zastukał w szybę.

– Dokumenty!

Jorg wyjął książeczkę oficerską i rozkaz przyjazdu do zamku. Podał wartownikowi, który przyświecając sobie latarką zawieszoną na piersiach, szybko przejrzał dokumenty.

– Moment – rzucił i skierował się do drzwi wartowni, najwidoczniej, aby zadzwonić do przełożonego.

– Czego oni tak pilnują w tym zamku? – kierowca przyglądał się masywnemu szlabanowi, zasiekom na poboczach i obłożonym workami z piaskiem stanowiskom karabinów maszynowych, po obydwu stronach kamiennego łuku bramy. Jorg wzruszył ramionami.

– Oby tylko nie trzymali nas za długo na mrozie... Na schodkach wartowni pojawił się inny żołnierz.

– Podjedźcie pod główne wejście. W zamku zameldujcie się u SS-Obersturmbannführera Hansa Glöbckego. Zawiadomiłem go, czeka na pana.

Podał Jorgowi dokumenty i skinął, zezwalając na wjazd. Za garażami tworzącymi ciemną ścianę po lewej stronie brukowanej uliczki ledwo oświetlonej latarniami, których klosze były zasłonięte kawałkami desek, droga rozwidlała się. Lewa odnoga prowadziła na kamienny most, kończący się masywnymi wrotami, przed którymi Jorg dostrzegł kolejne stanowisko karabinu maszynowego ustawionego na trójnogu wysoko nad workami z piaskiem. Żołnierz, który wychylił się spoza wrót, latarką wskazał im prawą odnogę drogi, gdzie brukowana uliczka rozszerzała się, tworząc niewielki placyk. Tam ponownie podszedł do nich wartownik, który sprawdził dokumenty.

– Odstawię samochód do garażu, panie kapitanie – kierowca otworzył tylne drzwi, aby Jorg mógł zabrać swój bagaż. – Ode mnie nic nie będą chcieli. Rano wracam do Hirschbergu.

Jorg sięgnął po walizeczkę z rzeczami osobistymi i teczkę.

– Możesz wyświadczyć mi przysługę?

– Tak jest, panie kapitanie.

– To prywatna sprawa. Zostawiłem w Hirschbergu dziewczynę. Nawet nie zdążyłem się z nią pożegnać. Przekaż jej list. Parę słów na do widzenia...

– Tak jest.

Jorg wydobyl z kieszeni płaszcz notatnik i oparł go na kolanie. Szybko napisał parę słów pożegnania, które można by uznać za elegancki gest oficera kończącego wojenny romans. Jedynie ostatnie zdanie pozwalało domyślać się, że dwoje ludzi łączyło coś więcej.

„Tak znowu się chce odwrócić, choć na chwilę, zły cza...”

Ostatnie słowo urywało się, jakby niedokończone przez roztargnienie piszącego.

Jorg odwrócił kartkę i zapisał adres.

– Idź tam rano, ona będzie w pracy, więc nie będzie zadawać niepotrzebnych pytań. Wsuń kartkę pod drzwi.

– Tak jest, panie kapitanie! Zaniosę. – Kierowca schował list do kieszeni na rękawie płaszczu.

Jorg skinął głową i ruszył za wartownikiem długim kamiennym pomostem prowadzącym do zamku. Widok tej ponurej twierdzy zaczynał go coraz bardziej fascynować. Odczuwał nawet pewne podniecenie na myśl, że za kilka dni pozna tajemnicę, tak bardzo strzeżoną.

Oficer dyżurny, któremu zameldował się tuż po wejściu do holu poinstruował go, że ma iść za nim, i skierował się w stronę schodów. Na pierwszym piętrze przeszli galerijką wzdłuż Sali Rycerskiej, oświetlonej jedynie ogniem płonącym w wielkim kominku. Gdzieś z boku, zza drzwi, dobiegała muzyka. Ktoś z lekkością i wdziękiem grał Schuberta. Jorg rozpoznał sonatę B-dur.

– Koncert w zamku? – zwrócił się do prowadzącego go oficera.

– To prywatne apartamenty – burknął tamten, dając wyraźnie odczuć, że nie ma ochoty udzielać wyjaśnień.

Skręcili do korytarza, w połowie długości którego były masywne ciemnobrązowe drzwi. Oficer zastukał i słysząc „wejść”, nacisnął klamkę z kutego żelaza.

W pokoju o ścianach wyłożonych ciemną boazerią aż do sufitu, panował półmrok. Jorg sądził początkowo, że idą do biura, toteż był zaskoczony, widząc, że znalazł się w prywatnym apartamencie.

SS-Obersturmbannführer Glöbcke podniósł się z za stołu, przy którym jadł kolację, szybko przetarł usta serwetką, zapiał guzik pod szyją i podszedł do Jorga z przyjaźnie wyciągniętą ręką. Okrągła twarz, krótko przycięte siwiejące włosy, oczy z mimicznymi zmarszczkami świadczącymi o skłonności do śmiechu – wszystko to sprawiało, że można było poczuć sympatię do tego mężczyzny, który wyglądał bardziej na komendanta straży pożarnej niż na dowódcę załogi SS w najbardziej strzeżonym zamku Trzeciej Rzeszy. Wziął dokumenty, które podał mu oficer, i ruchem głowy nakazał mu wyjść z pokoju.

– Czekałem, aby pana powitać. Jestem Obersturmbannführer Hans Jacob Glöbcke. Odpowiadam za bezpieczeństwo zamku.

Wskazał na krzesło z wysokim oparciem ze skóry, zapraszając Jorga, aby usiadł, a sam podszedł do okna i złożył ręce na piersiach.

– Będziemy razem pracować. W pewnym sensie oczywiście, gdyż zakres naszych obowiązków różni się, panie kapitanie... – zawiesił głos i podszedł do szafy w rogu pokoju. – Napije się pan?

Jorg skinął głową.

– Chętnie. Nie zdążyłem odtajać po podróży z Hirschbergu.

– Chciałbym dowiedzieć się o panu czegoś więcej, niż wyczytałem w dalekopisie. Podobno pochodzi pan z Litwy... – Glöbcke podał mu szklanekę z wódką. – Prosił!

– Z Łotwy – poprawił go Jorg. – Moja rodzina miała tam majątek, pod Lipawą, skąd w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku uciekliśmy przed bolszewikami. Potem upaństwowiono nasze włości, więc nie było do czego wracać. Osiedliśmy w Danzigu...

– Dlaczego akurat tam? – Glöbcke podniósł głowę z wyraźnym zainteresowaniem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nigdy nie pytałem ojca, dlaczego postanowili wybrać to miasto. Może dostał tam dobrą pracę, a może dlatego, że było blisko naszej rodzinnej Lipawy...

Wszystko w tym życiorysie było prawdą i niemieckie służby wielokrotnie sprawdzały losy rodziny Jorgów.

– Proszę mówić dalej.

– Skończyłem fizykę na politechnice w Gdańsku. Potem przez trzy lata studiowałem matematykę w Cambridge w Anglii. Na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wróciłem do Niemiec i zostałem powołany do wojska, do Abwehry. Służyłem w placówce na wschodzie Polski. Badaliśmy dokumenty polskiego wywiadu zdobyte we wrześniu w zbombardowanym pociągu, jak pamiętam, w Brodach. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, prawdopodobnie ze względu na płynną znajomość francuskiego, angielskiego, polskiego i rosyjskiego oraz matematyczne wykształcenie

oddelegowano mnie ... – zawahał się – do innej służby.

– „Pers Z” – uzupełnił Glöbcke. – Przede mną nie musi pan tego ukrywać. Powinien pan wiedzieć, że będę znał każdy pana krok! Nie dlatego, że panu nie wierzę, po prostu moim obowiązkiem jest zapewnienie bezpieczeństwa tej placówce.

– Będę czuł się bezpieczny – Jorg odstawił szklanekę i podniósł się z krzesła.

– Proszę zgłosić się do kancelarii. Wyznaczyłem panu kwaterę, mam nadzieję, że będzie w niej panu wygodnie.

Glöbcke uprzejmie odprowadził go do drzwi i przez chwilę patrzył, jak odchodzi. Najwyraźniej czekał, aż kapitan oddali się, aby nie zauważył, dokąd on pójdzie. Gdy ucichły kroki, zamknął za sobą drzwi i skierował się w drugą stronę długiego korytarza. Minał wartownika, który zsalutował i nacisnął przycisk dzwonka umieszczony na ścianie, jakby informując kogoś, że nadchodzi gość. Kilka metrów dalej Glöbcke zatrzymał się przed drzwiami, na których napis na białej tablicy kategorycznie zakazywał wstępu osobom nieupoważnionym. Rozległ się szcęk zasuw i drzwi otworzyły się. Glöbcke zmrużył oczy, wchodząc do dużego pokoju jasno oświetlonego lampami, wiszącymi nisko nad dwoma długimi stołami, na których stało kilkanaście magnetofonów „Telefunken”. Przy każdym siedział żołnierz ze słuchawkami na uszach, choć nie wszystkie magnetofony pracowały, o czym świadczyły nieruchome szpule.

Glöbcke lubił tam przebywać, gdyż pokój w podziemiach dawał mu poczucie władzy nad mieszkańcami zamku.

Magnetofony rejestrowały dźwięki z kilkunastu pomieszczeń. Nawet w kasynie oficerskim pod stołami przyśrubowano mikrofony, aby Glöbcke mógł się dowiedzieć, o czym rozmawiają ludzie przychodzący tam na posiłki. To pozwalało mu orientować się w morale kadry. Co prawda nie zdarzyło się, aby wykrył w ten sposób jakichś podejrzanych, lecz mimo to rozważał możliwości rozbudowy sieci podsłuchu. Nie udało się to, gdyż w centrali Gestapo w Berlinie najwyraźniej lekceważono podania o przysyłanie większej ilości taśmy magnetofonowej, magnetofonów, kabli i mikrofonów. Niezrażony, zaczął domagać się przydzielenia kamer telewizyjnych „Tonne A”, które po raz pierwszy zobaczył w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku na poligonie pod Berlinem, gdzie demonstrowano użycie pocisku raketowego Hs 293D, wystrzeliwanego z samolotu. W głowicy, za szybą ogrzewaną elektrycznie, zamontowano kamerę, z której obraz przesyłany był drogą radiową do monitora w kabinie pilota. Jej czułość nie była duża i choć wystarczała do przekazania obrazu okrętu na morzu, to jej przydatność do podglądania ludzi w słabo oświetlonym pokoju była żadna. Glöbcke, podekscytowany nowymi możliwościami podglądania, nie zwracał również uwagi na to, że kamera z nadajnikiem radiowym ważyła prawie sto trzydzieści kilogramów. Jego zamówienie zostało odrzucone, gdyż absolutne pierwszeństwo przyznano potrzebom frontu.

– Jeszcze nie wszedł do pokoju – Untersturmführer Matheas Beer stanął na baczność. Był to chłopak z Westfalii, który przez wiele lat służby w Hitlerjugend marzył o

założeniu czarnego munduru, jakby odrzucając świadomość, że daleko mu do ideału esesmana. Był średniego wzrostu, o krępej sylwetce, co nie dyskwalifikowało go tak bardzo, jak rysy twarzy. Okrągła, o dość płaskim nosie, miała azjatycki wygląd, który uwydatniały fałdki skóry w kącikach oczu, charakterystyczne dla ludzi Dalekiego Wschodu. Nie widział w tym nic szczególnego, jako że jego przodkowie pochodzili ze wschodniej Polski i zapewne przed wiekami do ich krwi dostała się jakaś azjatycka domieszka. Był nazistą do szpiku kości, i to było dla niego najważniejsze. Chciał służyć narodowemu socjalizmowi całym sercem, a gorliwość ta została nagrodzona w końcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy ze względu na ogrom strat na froncie wschodnim SS godziło się na formowanie legionów z innych narodowości, a z otwartymi ramionami przyjmowało rodzimych ochotników, nie bacząc już, że nie są to wysocy blondyni o twardych rysach i niebieskich oczach. Matheas Beer, dążąc do doskonałości, której poskąpiła mu natura, zgłosił się do służby w oddziałach SS-Totenkopfverbände, pełniących służbę w obozach koncentracyjnych. Najpierw został oddelegowany do Gross-Rosen, a stamtąd trafił do podobozu w Furstenstein***, gdzie więźniowie budowali podziemne tunele i należało szczególnie baczyć, aby żadnemu nie udało się uciec lub przeżyć więcej niż trzy miesiące. Ta służba była wyrazem szczególnego zaufania, jakie zdobył u zwierzchników, gdyż kierowano tam dobranych oficerów. Mówiło się co prawda, że przyczyny awansu były inne, a mianowicie, że przełożeni Matheasa mieli powyżej uszu jego codziennych raportów z propozycjami reorganizacji służby i donosów na kolegów, którzy, jego zdaniem, tracili ducha walki i wiarę w zwycięstwo. Prawda jednak była inna, a znał ją tylko Glöbcke.

– Kiedy przyślą akta z Hirschbergu? – Glöbcke podszedł do stołu i otworzył zeszyt z raportami podsłuchu. Zaczął przeglądać kartki, ale nie znalazł czerwonych krzyżyków, które stawiał szef zmiany, zaznaczając ważne głosy zarejestrowane na taśmach.

– Zażądałem, żeby wysłano jak najszybciej. Powinny więc być tu jutro – Beer wciąż wierzył w siłę sprawczą swoich poleceń. – A dokumenty z Berlina dotrą za kilka dni.

Glöbcke odwrócił się i podszedł do drzwi. Nie nacisnął jednak klamki, lecz odczekał, aż zrobi to podwładny.

Pokój na drugim piętrze, który wskazano Jorgowi jako kwaterę w zamku, nie wyglądał na przytulny. Było to duże pomieszczenie ze ścianami wyłożonymi ciemnobrązową boazerią, z dwoma oknami, jasno oświetlone wielkim żyrandolem nad okrągłym stołem, zbyt dużym, jak na potrzeby samotnego oficera. Pod ścianą naprzeciw okien stało łóżko, obok szafka nocna z niewielką lampą ze szklanym kloszem z zielonego szkła. Trzecią ścianę zajmowała wielka szafa z rzeźbionymi drzwiami i narożnikami, wbudowana we wnękę, być może przed wiekami specjalnie przygotowaną w tym celu.

Rzucił walizeczkę na łóżko i wszedł do łazienki, niewielkiej, ale schludnej,

wyłożonej białymi kafłami z niebieskim szlaczkiem. Z zadowoleniem dostrzegł kran do ciepłej wody. Postanowił wziąć prysznic i rano zastanowić się, czy uda mu się wyprowadzić z tej kwatery, którą przygotował dla niego Glöbcke. Był pewien, że w wielu miejscach pokoju i łazienki są wbudowane mikrofony, a nie mógł wykluczyć, że w boazerii były szczeliny, przez które mógł być podpatrywany. Czuł się jednak zbyt zmęczony wielogodzinną podróżą, aby przeszukiwać pokój, postanowił więc odłożyć to zadanie na następny dzień.

* Obecnie Jelenia Góra.

** Obecnie Czocha.

*** Obecnie Książ.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pociąg metra zatrzymał się na stacji przy Pięćdziesiątej Drugiej ulicy w Nowym Jorku. Dziewiętnastolatek Theodore Alvin Hall siedzący w końcu wagonu nie ruszył się z miejsca, choć na tej stacji zamierzał wysiąść. Odczekał, aż drzwi otworzyły się z sykiem parowych siłowników, policzył do pięciu i wtedy poderwał się z drewnianego fotela. Zdołał zerknąć na bok, aby sprawdzić, czy w opustoszałym wagonie ktoś, równie niespodziewanie jak on, zdecydował się wysiąść, i wyskoczył na peron. Nie dostrzegł żadnego ruchu, co dawało mu pewność, że nikt nie podążał za nim. Jednakże natychmiast opadły go wątpliwości. A jeżeli agenci FBI jechali w drugim wagonie i stamtąd obserwowali go przez okno w drzwiach łączących wagony? Mogli przecież wyjść na peron kilkadziesiąt metrów dalej, a on, pochłonięty obserwacją najbliższego otoczenia, nie zauważył tego! Przestraszony nagłą myślą rozejrzał się lękliwie po peronie, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby powiększyć niepokój. Kilku podróżnych zmierzało w stronę ruchomych schodów, gdy paru innych, nie wyglądających na agentów kontrwywiadu, spokojnie oczekiwało przyjazdu pociągu. Postanowił jednak upewnić się i ruszył energicznie do ruchomych schodów. Gdy był w połowie wysokości niespodziewanie odwrócił się i zaczął zbiegać, pokonując po trzy stopnie. W ten sposób szybko znalazł się na dole, ponownie konstatuując, że nikt go nie śledzi, jedynie kobieta z dzieckiem przyglądała mu się, zainteresowana jego dziwnym zachowaniem. Poczul się trochę nieswojo, więc uchylił kapelusza i spokojnie skierował się do schodów. Nikt nie poinstruował go, jak sprawdzać, czy nie śledzą go ludzie z kontrwywiadu, a ta umiejętność była mu bardzo potrzebna w nowym zajęciu, jakiego podjął się przed kilkoma miesiącami. Był tak przejęty, że obejrzał wszystkie szpiegowskie filmy w okolicznych kinach, przeczytał kilkanaście powieści o szpiegach, a nawet kupił podręcznik dla prywatnych detektywów i starannie przestudiował rozdział wyjaśniający technikę inwigilacji. Wierzył, że wszystko to pomoże mu poznać metody wykrywania agentów kontrwywiadu. Oczywiście po przeczytaniu spalił wszystkie książki w piecu centralnego ogrzewania i dokładnie wymieszał popiół.

Wychodząc ze stacji, kupił w kiosku „Wali Street Journal”, zatrzymał się przy słupie ogłoszeniowym i bacznie rozejrzał się dookoła. Miał tu spotkać się z mężczyzną, którego nie znał, ale wiedział, że będzie on ubrany w szarą jesionkę i ciemnozielony kapelusz borsalino, zaś znakiem wyróżniającym miały być reniferowe rękawiczki trzymane w lewej dłoni.

Wielokrotnie nachodziły go wątpliwości, czy dobrze zrobił, decydując się na współpracę z radzieckim wywiadem. Miał przed sobą wspaniałą karierę. Studiował

fizykę na Uniwersytecie Harvarda, jednej z najstarszych uczelni amerykańskich o szczególnym prestiżu, i uważany był za genialnego studenta. Jego referaty zainteresowały samego Roberta Oppenheimera, który włączył go do zespołu zaangażowanego w rozwiązywanie najtrudniejszych problemów, nad jakimi pracowali uczeni w Los Alamos. Hall był tak bardzo wstrząśnięty możliwością stworzenia bomby o niezwykłej mocy niszczącej, że zwierzył się ze swoich rozterek Savillovi Savoyowi Saxowi, starszemu o rok przyjacielowi, z którym spotkał się na listopadowych Thanksgiving Day, gdy przyjechał do Cambridge. Miał tam parę spraw do załatwienia na uczelni i dlatego w Los Alamos dali mu krótki urlop.

– Wierzę, że zbudujemy bombę uranową o niezwykłej sile – mówił. – A wiesz, co to oznacza? Stany Zjednoczone zdominują świat! Podporządkują sobie każde państwo, a nasz system nie jest dobry dla ludzi.

Następnego dnia, gdy znów przedstawiał swoje zaniepokojenie losami świata, Sax, jakby znudzony, powiedział nagle:

– Ted, przestań biadolić i zrób coś, żeby tak się nie stało!

– A co ja mogę zrobić?! Jeśli nawet zrezygnuję z pracy w Los Alamos, to czy w ten sposób przeszkodzę w skonstruowaniu bomby atomowej?

– Przekaż Rosjanom swoją wiedzę, a wtedy oni też zbudują bombę i równowaga zostanie zachowana. Są tak wyniszczeni wojną, że bez takiej pomocy w ogóle nie skonstruują broni atomowej.

– Dobry pomysł – mruknął Hall, nie wiedząc, czy ma brać poważnie tę radę, czy też przyjaciel naigrawa się z niego. Jednakże Sax powrócił do tematu po kilku dniach, gdy byli już w Los Alamos.

– Wiesz, jaki mam pseudonim? – zapytał niespodziewanie, gdy siedzieli w barze, pustym o tej porze dnia. Ted spojrzał na niego zaskoczony.

– „Old” – powiedział Sax tak spokojnie, jakby wymieniał nazwę piwa, które pił.

– Czy ty...

– Ja nie gadam, ja robię to, co porządny człowiek powinien zrobić: staram się nie dopuścić do amerykańskiej dominacji w powojennym świecie.

Tego dnia nie rozmawiali już na ten temat, ale Ted czuł, że znalazł właściwą drogę. Z zachowania Saxa, mówiącego półgłosem, obserwującego otoczenie mógł wyciągnąć wniosek, że to nie był żart.

– Możesz mnie... zaprotegować? – zapytał, gdy ponownie spotkali się w tym samym barze.

– Już to zrobiłem. W odpowiednim czasie powiem ci, kiedy powinieneś pojechać do Nowego Jorku. Chcą cię poznać. Przekażesz materiały. Teraz spokojnie zbieraj informacje. Najbardziej interesuje ich implozyjny zapalnik.

Hall zdawał sobie sprawę, że jest to szczególnie ważny element bomby plutonowej, potrzebującej znacznie mniej materiału rozszczepialnego niż bomba uranowa, co było szczególnie ważne dla Związku Radzieckiego. Jej konstrukcja była jednak o wiele

bardziej skomplikowana, gdyż wywołanie reakcji łańcuchowej wymagało odpalenia trzydziestu dwóch zapalników z dokładnością do tysięcznych części sekundy. Było to wyzwanie, które wymagało od zespołu Oppenheimera wyjątkowo intensywnej pracy.

– Pozdrowienia z Harvardu – mężczyzna, który nagle wyłonił się zza słupa, uchylił ciemnozielone borsalino.

Hall zerknął na jego lewą rękę i dostrzegł jasne reniferowe rękawiczki.

– To wielka uczelnia – wydusił z siebie odzew na hasło.

– Jestem Michael Green – powiedział mężczyzna. – To oczywiście pseudonim, ale nie powinien pan znać mojego prawdziwego nazwiska.

Uśmiechnął się. Był szczupły, średniego wzrostu, o szerokiej twarzy i pełnych ustach skorych do śmiechu. Mówił płynnie po angielsku, z ledwo dostrzegalnym obcym akcentem.

– Nie stójmy tu – wziął Halla pod rękę, jak starego przyjaciela. – Na rogu jest niewielki bar. Tam możemy spokojnie porozmawiać. Często tam bywam – dodał.

Prawdziwe nazwisko Greena brzmiało Izaak Achmerow. Był on jednym z najbardziej doświadczonych i skutecznych agentów NKWD. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku kierował w Stanach Zjednoczonych siatką wywiadowczą.

– Jak mam się do ciebie zwracać? – zapytał Achmerow, wskazując stolik przy oknie.

Hall zastanawiał się przez moment, dlaczego Rosjanin wybrał właśnie to miejsce, trochę go to dziwiło. Pomyślał jednak, że gęsta firanka, zasłaniająca do połowy okno, dobrze maskowała ich przed spojrzeciami z zewnątrz, a jednocześnie pozwalała na śledzenie tego, co działo się na ulicy. W ten sposób Rosjanin mógł zorientować się, czy nikt się nimi zbytnio nie interesuje, a w przypadku zagrożenia szybko opuścić lokal tylnymi drzwiami.

– Może „Young” – Hall przypomniał sobie, jak Sax przyznał się, że jego pseudonim brzmi „Old”.

– Dobrze – uśmiechnął się Achmerow, który zapewne zorientował się, dlaczego nowy agent wybrał taki pseudonim. – Po naszymu może być „Mład”. Masz coś dla mnie?

– Tak – Hall rozejrzał się niespokojnie. – To znaczy zostawiłem w skrytce na dworcu, na Grand Central. Bałem się, że mnie śledzą. No wiesz, jestem nowy..., a nie chciałem w wieku dziewiętnastu lat wylądować w więzieniu federalnym. Tu jest...

Położył na stoliku kluczyk, który przykrył otwartą dłonią.

– Skrytka numer osiemnaście... Achmerow znowu się uśmiechnął.

– Sprytne.

– Proszę cię o szczerść – Hall przysunął się bliżej. – Czułbym się o wiele lepiej, gdybym miał pewność, że moje informacje i materiały przekazywane są w bezpieczny sposób. Wiem, na co się zdecydowałem, ale nie jestem samobójcą.

– Nie obawiaj się – Achmerow wyjął paczkę playersów, częstując Halla. Ten potrząsnął głową.

– Najważniejsze materiały pojedą do Moskwy w teczce dyplomatycznego kuriera.

Jest po prostu niemożliwe, aby amerykańskie władze zechciały go rewidować – Achmerow mówił to z pewnością i spokojem, co zrobiło na Hallu dobre wrażenie. – Nie za Roosevelta. To doprowadziłoby do skandalu i pogorszenia stosunków, na których prezydentowi tak bardzo zależy. Jednakże w wojennych czasach podróż kuriera trwa długo. Rozumiesz, z Waszyngtonu do Moskwy przez Teheran. Pozostałe informacje od ciebie będą wysyłane drogą radiową, oczywiście zaszyfrowane.

– A FBI nie może odczytać szyfrów? Achmerow pochylił się nad stolikiem.

– Jeżeli cokolwiek na tym świecie może być pewne, to nasze szyfry – przerwał i roześmiał się z dowcipu, ale zaraz dodał poważnie: – To czysta prawda, zaufaj mi „Mład”.

Spojrzał na zegarek, dając znać, że ich spotkanie nie powinno trwać zbyt długo.

– Wszystkie informacje przekazuj przez „Starego”. Jeżeli nie będziesz mógł skorzystać z jego pośrednictwa, pojedziesz do Santa Fe. Tam skrzynka kontaktowa jest u aptekarza. Tu jest jego adres... – wyjął z kieszeni pióro i zapisał na serwetce. Odczekał chwilę, aż Hall przeczyta nazwę i numer ulicy i podpalił serwetkę w popielniczce. – Zostawisz u niego przesyłkę i powiesz, że odbierze ją „Maks”. My będziemy się spotykać tylko w szczególnych wypadkach. Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie, nie – Hall zaprzeczył gwałtownie, nie chcąc być podejrzewany, że zdradza ojczyznę dla pieniędzy.

– Może być tak, że będziesz potrzebował. „Stary” ma fundusze. Wystarczy, że mu powiesz. No... – odsunął krzesło i założył kapelusz. – Posiedź tu jeszcze z dziesięć minut, żeby nas razem nie widzieli. – Pochylił się nad stolikiem. – Bywaj, „Mład”.

– Jeszcze jedno... – Hall zatrzymał go gestem. – Jak mam się zachowywać w drodze na spotkanie z tobą lub kimś od ciebie? Mogą mnie śledzić.

Achmerow usiadł ponownie.

– Jeśli cię namierzą, to sam sobie z tym nie poradzisz, bo to są fachowcy, którzy łapali lepszych od ciebie, przeszkolonych i doświadczonych. FBI ma nieograniczone fundusze i technikę. Zachowuj się normalnie – mówił, obserwując, jakie wrażenie na Hallu robią jego słowa. – Nie próbuj sprawdzać, czy ktoś cię śledzi, czy założyli ci podsłuch w pokoju, czy podstawili ci dziewczynę, abyś w łóżku jej wszystko wygadał. Pamiętaj, że oni są lepsi i dlatego zachowuj się normalnie. I ufaj mnie, a wszystko będzie dobrze, bo widzisz my, ja i moi koledzy, jesteśmy lepsi od FBI! Wierz mi...

Wstał. Podeszedł do baru, zapłacił za kawę i skierował się do wyjścia. Hall patrzył na niego przez gęstą firanekę, jak zatrzymuje taksówkę, która po chwili wtopiła się w nowojorski ruch.

Pewność, z jaką Achmerow mówił o bezpieczeństwie szpiegowskich przesyłek, przywróciła mu spokój. Trochę był zły na siebie za głupie zachowanie w metrze, ale pomyślał, że zwróciła na niego uwagę tylko kobieta z dzieckiem.

Dopił kawę i podniósł się z miejsca. Spojrzał w stronę baru, ale barman był tak zainteresowany myciem szklanek, że zdawał się nie dostrzegać, że ktokolwiek jest w

lokalu.

„Są lepsi od FBI, mają swoich wszędzie” – pomyślał z satysfakcją Hall.

Wyszedł z baru i stanął niezdecydowany na ulicy. Nie znał Nowego Jorku i odczuwał podświadomy lęk przed wielkim miastem. Postanowił, że nie będzie próbował się dowiadywać od przechodniów, jakim autobusem dojechać do dworca, i podniósł rękę na widok nadjeżdżającej taksówki. Nie mógł zauważyć innej taksówki, stojącej przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, z której obserwował go Achmerow.

Dewizą Achmerowa były słowa jego „profesorów” ze szkoły wywiadu pod Moskwą: „Nawet, jeżeli masz pełne zaufanie, to zawsze starannie sprawdzaj tego, do którego masz pełne zaufanie”. To byli dobrzy fachowcy, z których większość już nie żyła, rozstrzelana lub uwięziona na rozkaz Stalina tuż przed wybuchem wojny. Achmerow po wyjściu z baru nie wsiadł do przypadkowej taksówki, lecz do samochodu prowadzonego przez jego agenta, który czekał w umówionym miejscu, a widząc szefa natychmiast ruszył, aby zatrzymać się na jego znak, co wyglądało bardzo naturalnie. Skręcili w Trzecią Aleję, potem w Pięćdziesiątą Pierwszą ulicę, aż wrócili na skrzyżowanie, przy którym był bar, i zatrzymali się przy krawężniku, czekając na Halla, który posłusznie odliczał dziesięć minut, jakie miały oddzielać od siebie czas ich wyjścia z lokalu. Achmerow chciał mu się przyjrzeć. Instykt podpowiadał mu, że „Mład” przyda się w szpiegowskiej robocie. Nie dostrzegł nic podejrzanego ani nikogo, kto by śledził Halla, więc klepnął kierowcę w ramię.

– Sergo, zadzwoń do Leny. Jak najszybciej ma być obok skrytek w przechowalni bagażu na Grand Central Terminal. Z dzieckiem. Jak najszybciej! – powiedział, zapalając papierosa.

Kierowca wysiadł i podbiegł do budki telefonicznej. Wrócił po chwili.

– Będzie za czterdzieści minut. Z dzieckiem – poinformował.

– Dobrze, poczekamy tu trochę i jedziemy – Achmerow wyrzucił niedopałek przez okno i szybko podniósł szybę.

Jazda z Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy do Grand Central Terminal nie trwała długo. Zatrzymali się na podjeździe dworca i Achmerow zerknął na zegarek.

– Osiem minut – powiedział ni to do siebie, ni do kierowcy. – Lena powinna być za osiem minut...

– Już jest – Sergo wskazał na kobietę z wózkiem, wchodzącą do głównej hali dworca.

– Idę odebrać przesyłkę z osiemnastej skrytki. Pilnuj mnie. – Achmerow wysiadł z taksówki. Rozejrzał się szybko, jak człowiek, który ma przebiec przez ulicę, ale odczuwał lęk przed przejeżdżającymi samochodami. Niewinny z pozoru gest pozwalał sprawdzić, czy w pobliżu jest ktoś, kto mógłby wyglądać jak agent FBI. Przez jedenaście lat w Stanach nauczył się rozpoznawać tych ludzi, jak pies wyczuwający zająca. Nic jednak nie wzbudziło jego niepokoju.

W wielkiej hali dworca jak zwykle kłębił się tłum ludzi spieszących na perony i wychodzących stamtąd; cywile mieszały się tu z żołnierzami, których obecność

przypominała, że jest to czas wojny.

Achmerow szybko odnalazł ścianę podzieloną na równe prostokąty podręcznej przechowalni bagażu. Nie podszedł jednak bezpośrednio do drzwiczek z numerem osiemnastym, lecz zatoczył obszerny krąg. Sprawdził szybkim spojrzeniem, gdzie jest Sergo – stał oparty o kolumnę i przeglądał gazetę. Ich oczy spotkały się na moment, a nieznaczne skinienie głowy kierowcy upewniło go, że nie jest śledzony. Mimo to zwlekał z otwarciem skrytki. Poszedł do kiosku z kwiatami i kupił bukiet goździków. Zachowywał się jak mąż, który za chwilę miał powitać żonę wracającą z długiej podróży.

Potem wyszedł na środek głównej hali dworca, aby porównać wskazania swojego zegarka i dworcowego zegara nad punktem informacyjnym. Znowu rozejrzał się, szukając Serga. Ten przeszedł już na drugą stronę, z której miał lepszy widok na ścianę ze skrytkami i wciąż bacznie obserwował otoczenie Achmerowa. Ponownie lekkim skinieniem głowy potwierdził, że nie dostrzega agentów FBI.

Achmerow ruszył w stronę skrytek, starając się wyliczyć kroki. Około dziesięciu metrów w lewo był okrągły kiosk z gazetami.

Wsunął kluczyk do zamka w drzwiczkach skrytki i otworzył je szybko. Włożył tam bukiet kwiatów, maskując w ten sposób wyjmowanie koperty. Zatrzasnął drzwiczki i poszedł szybko w stronę kiosku. Te parę kroków, które musiał przemierzyć, aby znaleźć się za budką z gazetami, wydawało mu się najdłuższą w życiu drogą. Szedł energicznie, starając się dostrzec każdy gwałtowny ruch w pobliżu, który mógł być sygnałem zagrożenia. Z szarej masy nierozpoznawalnych ludzi wyłoniła się kobieta, pchająca wózek z dzieckiem. Minał ją szybkim krokiem i wiedząc, że kiosk zasłania go przed obserwacją kogokolwiek stojącego dalej, upuścił kopertę na nóżki dziecka. Dostrzegł, jak kobieta przykryła kopertę koczykiem w niebieską kratę. Kilka kroków dalej nad wózkiem pochyliła się babcia, aby radośnie przywitać się z wnukiem. Wystarczyły sekundy, aby brązowa koperta znalazła się w jej torbie, luźno zwisającej z ramienia. Prawdopodobieństwo, że ktoś obserwujący tych ludzi mógł dostrzec, w jaki sposób koperta ze skrytki trafiła do torby kobiety, było żadne.

Achmerow zatrzymał się już spokojnie i sięgnął po papierosy.

„Za dużo palę – pomyślał. – Ale mam nerwową pracę”. Rozejrzał się dookoła. Wciąż nie dostrzegał niczego niepokojącego, choć i tak nic już nie można byłoby mu udowodnić. Był czysty.

Wcisnął papierosa w popielniczkę wypełnioną piaskiem i ruszył do budki telefonicznej. Odsunął szklane drzwi, wrzucił monetę i wykrecił numer.

– Konsulat Związku Radzieckiego – usłyszał.

– Dzień dobry – powiedział po rosyjsku. – Nazywam się Wowa Barnikow. Wowa Barnikow – powtórzył, gdyż była to pierwsza część hasła identyfikująca go, a ponadto znak dla telefonistki, że następne informacje ma przekazać konsulowi Wasilijowi Zarubinowi, znanemu Achmerowowi pod pseudonimem „Maksym”. – Ukradli mi paszport i pobili – te słowa oznaczały, że ma pilną przesyłkę. – Powiedzcie, proszę, co

mam robić.

– Gdzie to się stało?

– Na rogu Trzydziestej Czwartej ulicy i Park Avenue – to była kolejna informacja wskazująca, że przesyłka będzie oczekiwać w punkcie kontaktowym nazywanym „Park”, choć z parkiem nic wspólnego nie miał.

– Proszę zaczekać i nie odkładać słuchawki.

Achmerow zdawał sobie sprawę, że telefonistka za pomocą wewnętrznego, zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu, połączyła się z Zarubinem, aby powtórzyć mu słowa, których znaczenia nie znała. Nie mogło to trwać zbyt długo, gdyż należało zakładać, że FBI, podsłuchując rozmowy z konsulatem, rozpoczęło ustalanie, skąd dzwoni człowiek, skarżący się, że ukradziono mu paszport.

– Musicie zgłosić się do konsulatu – usłyszał po chwili. Jeżeli przyjedziecie w ciągu godziny, to może załatwicie sprawę jeszcze dzisiaj.

– Niestety, nie zdążę. Mogę być za dwie – Achmerow wskazywał czas, w którym powinno dojść do spotkania z Zarubinem lub wysłanym przez niego człowiekiem.

– W takim razie przyjdźcie jutro.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia. Odwiesił słuchawkę.

Sergo był już w samochodzie. Na widok wsiadającego Achmerowa przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Lena oddała kopertę – ruchem głowy wskazał na gazetę przykrywającą kopertę na siedzeniu obok niego.

– Podwieź mnie do „Parku”.

Rzadko korzystał z tego sposobu przekazywania materiałów szpiegowskich. Zwykle zostawiał je w którejś z wcześniej umówionych skrytek i przekazywał do konsulatu sygnał, gdzie należy odebrać przesyłkę. Bez wątpienia był to najbezpieczniejszy sposób, ale te materiały uważał za szczególnie ważne, wołał oddać je osobiście.

Kryptonim „Park” oznaczał mieszkanie na drugim piętrze domu z czerwonej cegły w spokojnej nowojorskiej dzielnicy Queens.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jorga obudziło zimno. Leżał przez chwilę, jakby w nieokreślonej przestrzeni usiłował odgadnąć kierunki. Wąskie pasmo światła ze szpary pod drzwiami pozwoliło mu odtworzyć rozkład pokoju. Podniósł się i w ciemności, potykając się o krzesło zbyt odsunięte od stołu, podążył w stronę okien zasłoniętych grubymi roletami. Po omacku odnalazł sznurek i odsunął zasłonę, wpuszczając do pokoju światło księżyca. Dopiero wtedy rozpoznał zarysy sprzętów.

Kaloryfer już nie grzał, zapewne oszczędzano zapas węgla, i w pokoju zrobiło się nieprzyjemnie zimno. W tym chłdzie grube mury, niedostatecznie ogrzane w czasie ostatniej zimy, wydierały przykrą woń stęchlizny.

Podniósł zegarek tak, aby tarcza znalazła się w świetle księżyca. Dochodziła czwarta. Nie miał zamiaru wracać do łóżka, więc przysunął twarz do szyby, usiłując wypatrzeć krajobraz za oknem. Na dole, wśród skał, ledwo przysłonięta gałęziami drzew, lśniła srebrna tafla zamrożonego jeziora. Poczłł niepokój, gdyż nie zdawał sobie sprawy, że mieszka tak wysoko. Nie miał wątpliwości, że Glöbcke wybrał ten pokój umyślnie, bo jedyne wyjście prowadziło przez drzwi i zamkowe korytarze, pełne wartowników. Tak przynajmniej sądził, podziwiając piękny zimowy widok jeziora. Zaciągnął starannie zasłony i zapalił światło. Chłód stawał się coraz bardziej dokuczliwy, więc narzucił płaszcz na piżamę i zaczął przeglądać szafki w poszukiwaniu kawy lub herbaty. Dostrzegł metalowe zielone pudełko; potrząsnął nim i stwierdził z satysfakcją, że jest pełne. Nie miał wątpliwości, że to erzac, ale i tak cieszył się, że napije się czegoś gorącego. Tuż obok stało drugie pudełko, w którym znalazł pastylki sacharyny. Nastawił wodę w elektrycznym czajniku i przygotował kubek.

Już w nieco lepszym nastroju zgasił światło i ponownie podciągnął roletę. Nie chciał, aby ktoś dostrzegł światło w jego pokoju.

Usiadł przy stole i przesunął dłonią pod blatem. Nie wyczuł żadnej nierówności, która wskazywałaby, że umieszczono tam mikrofon. To zresztą było mało prawdopodobne, gdyż kabel biegnący od podłogi przez wydrążenie w nodze stołu byłby łatwy do wykrycia. Mogli zamontować podsłuch w żyrandolu, nisko zwieszającym się nad stołem – postanowił sprawdzić to w ciągu dnia, wypatrując kabli niepodłączonych do żarówek. Spojrzał na nocną szafkę przy łóżku. Ciężka, z rzeźbionym wieńcem blatu była przyśrubowana do boazerii; nie mógłby jej podnieść, aby sprawdzić, czy z jej wnętrza wyprowadzone są kable.

Wysunął szufladkę i włożył dłoń pod blat. Szybko wyczuł zarys otworu wyciętego od spodu i zimną powierzchnię bakelitu. Umieszczony tam mikrofon skierowany był do

góry i wychwytywał dźwięki przez cienki fornir. Usunięcie go wzbudziłoby podejrzenia Glöbckego. Wsunął szufladkę, lecz na szafce położył plik książek, które wyjął z biblioteczek w rogu pokoju; wystarczająco tłumiły dźwięki.

Czajnik zaczął syczeć, więc wrócił do stołu i nalał wrzątku do kubka z kawą. Już pierwszy łyk rozgrzał go; wydawało mu się, że cały ten nieprzytulny pokój wypełniło ciepło.

Ciągle nie rozumiał, po co oddelegowano go do zamku, w którym z pewnością ulokowano jakiś szczególnie tajny zespół. Takich grup kryptologicznych pracujących dla niemieckich władz państwowych, partyjnych i wojskowych było wiele. Właściwie każdy z najważniejszych urzędników tego państwa organizował własną służbę wywiadowczą i kryptologiczną, utajnającą jego korespondencję, a dającą mu wgląd do działalności partyjnych rywali i zagranicznych wrogów.

Urząd Badawczy – Forschungsamt – zorganizowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku na polecenie Hermanna Göringa, zatrudniający ponad sześć tysięcy pracowników, podsłuchiwał telefony dyplomatów, przechwytywał komunikację radiową i odczytywał szyfrogramy. „Pers Z” zajmował się łamaniem kodów i szyfrów dyplomatycznych i wojskowych. Badał je również oddział szyfrów Oberkommando der Wehrmacht, zaś dowództwa wojsk lądowych, powietrznych i marynarki wojennej miały własne oddziały wywiadowcze i kryptologiczne. Swoją agencję, liczącą czterdziestu siedmiu kryptologów, utworzył również Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Do której z tych instytucji należał zespół działający w zamku Tzschocha? Z tego, co mówił Schaufler, był częścią zespołu „Pers Z”, ale czy tak było naprawdę? W jakim celu z tajnej organizacji wydzielano by jeszcze bardziej tajną? Jeżeli, z nieznanymi dla Jorga powodów, tak się stało, to dlaczego w końcu wojny oddelegowano go do tej organizacji? Czy miało to związek z jego znajomością języka rosyjskiego, czy też z dotychczasową pracą nad szyframi radzieckimi? Dlaczego nikt nie chciał mu powiedzieć, co będzie robić w tym ponurym zamku?

Mnożył pytania, nie potrafiąc znaleźć żadnej odpowiedzi, a nawet przypuszczenia, które przybliżyłoby go do rozwiązania zagadki. Wiedział, że któregoś dnia i tak pozna choćby część prawdy, ale wolał być dobrze do tej chwili przygotowany.

Z rozmyślenia wytrąciły go odgłosy kroków dobiegające z korytarza i szmer rozmów. Zrozumiał, że w zamku zaczynała się praca. Pokój powoli wypełniał się ciepłem, a więc włączono już ogrzewanie. Postanowił wrócić do łóżka i wykorzystać jeszcze kilkadziesiąt minut snu. Był pewien, że nie zostanie wezwany skoro świt, gdyż kryptolodzy sami organizowali sobie dzień pracy, tak jak tego wymagał szczególnie rodzaj ich zajęć. Pomysłu nie wolno było skoszarować.

Glöbcke wszedł do swojego biura na pierwszym piętrze kilka minut po ósmej,

ciekawy, czy dokumenty, które tak go interesowały, już dostarczono. Tuż po nim do gabinetu wkroczył Beer, trzymając pod pachą cienką teczkę w tekturowych okładkach, na których widniał czarny napis „Geheim”.

– Dokumenty Jorga z Hirschbergu – powiedział krótko, kładąc na biurku teczkę. Glöbcke złamał pieczęć i rozwiązał tasiemki.

– Hugo Jorg, urodzony w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku w majątku Hasbald pod Lipawą na Łotwie – zaczął czytać. – Rodzice Kurt Oliver i Margareta, Niemcy krwi aryjskiej. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, uciekając przed bolszewikami, opuścili Łotwę, gdzie ich posiadłości następnie upaństwowiono. Od tego czasu zamieszkiwali w Danzig.

Przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu, które uważał za nieistotne. Wreszcie znalazł akapit „Wykształcenie”.

– Wydział Nauk Ogólnych, ukończony z wyróżnieniem w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego do tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku studiował matematykę w Cambridge w Anglii. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku powołany do służby wojskowej, zgodnie ze specjalnością oddelegowany do Abwehry. – Glöbcke podniósł głowę: – Chciałbym wiedzieć, czy znał Canarisa albo tego drugiego zdrajcę, Oстера.

Glöbcke mówił o szefie Abwehry admirale Wilhelmie Canarisie i generale Hansie Osterze, szefie sztabu Canarisa. Obydwaj zostali uwięzieni po zamachu na Hitlera, a ich związki ze spiskowcami były oczywiste.

– Jeśli nawet ich znał, to jeszcze nic nie znaczy – powiedział Beer, jakby starając się uchronić Jorga. Obawiał się, że podejrzliwość Glöbckego, która nasilała się wraz z pogarszaniem się sytuacji na froncie, może stać się zbyt uciążliwa dla ludzi pracujących w zamku. Domyślał się również, że Jorg został tutaj ściągnięty nie bez powodu, a Glöbcke starał się nie dopuścić go do pracy, w każdym razie opóźniał jej rozpoczęcie.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku przeszedł do „Pers Z” – Glöbcke czytał dalej, nie zwracając uwagi na podwładnego – gdzie zyskał najwyższą ocenę za wyniki pracy nad szyframi rosyjskimi.

Przejrzał jeszcze kilka kartek.

– Dowiedzieliśmy się niewiele nowego – rzucił teczkę na biurko. – Muszę dostać jego akta z RSHA.

– Obawiam się, że może to być trudne. O ile wiem, zostały ewakuowane ze stolicy.

– Chcę wiedzieć o nim i jego rodzinie wszystko! Z czego się utrzymują, jakie mają zapatrywania polityczne, czy nie skumali się z Żydami albo komunistami. Niech odnajdą ludzi, którzy znają Jorga z czasów służby w Abwehrze. Może zachowały się raporty SD i policji z czasów jego studiów. Muszę też wiedzieć, czy nie był podejrzany o nielegalną działalność polityczną, a także czy miał związki ze zdrajcami, którzy jesienią stanęli przed sądem, oskarżeni o próbę zabicia Führer. Rozumiesz: Beck, Trescow, Goerdeler, Popitz i cała ta hołota.

Podszedł do Beera, zapisującego polecenia w notesiku, który wyjął z kieszeni munduru.

– Wiem, że w obecnej sytuacji potrwa to dwa lub trzy tygodnie i nie będę mógł tak długo trzymać Jorga z dala od „Aparatu”. Nie szkodzi. Pewnego dnia uzyskam jednak pewność, że jest to dobry Niemiec albo dostanę dowody zdrady i zastrzelę go.

– Tak jest – Beer zasalutował i odwrócił się. Dawno już nie widział swojego szefa w takim nastroju. Wyglądał jak pies, który zwęszył trop i rzucił się w pogoń, aby rozszarpać umykające zwierzę.

Glöbcke ukończył prawo na Uniwersytecie Monachijskim i w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku rozpoczął pracę w tamtejszej policji. Rok później naziści z Hitlerem na czele próbowali przechwycić władzę w Monachium i to właśnie młody inspektor Glöbcke poszukiwał Hitlera, ukrywającego się po ucieczce z miasta. Miał szczęście, że go nie znalazł i że jego wysiłki nie zostały odnotowane w aktach, gdyż naziści po przejściu władzy krwawo mścili się na tych, którzy w minionych latach występowali przeciwko nim. A Glöbcke był wrogiem nazistów, gdyż naruszali porządek, grozili ustalonemu nurtowi spraw państwowych, który on, jako legalista, uważał za świętość. Na szczęście dla jego późniejszej kariery zajmował się sprawami kryminalnymi i odnosił tak duże sukcesy w zwalczaniu pospolitych przestępców, że nazywano go monachijskim Sherlockiem Holmesem. Polityka nie interesowała go w ogóle. Dla niego nie było ważne, jaka partia jest u władzy, jaki ustrój panuje, lecz jedynie czy ład społeczny nie został naruszony. Na początku lat trzydziestych zmienił swoje zapatrywania, gdyż uznał, że największym zagrożeniem dla społeczeństwa nie są naziści, lecz komuniści. Widział Niemcy jako arenę zmagania tych dwóch sił, z których nie akceptował żadnej, ale musiał wybrać tę, którą uważał za mniejsze zło. A tym, w jego ocenie, byli naziści, gdyż komunistów traktował jako forpoczta bolszewików, którzy podpałą Niemcy, gdy wielka Armia Czerwona ruszy na Zachód. Dlatego w szczytowym okresie walki wyborczej, w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, zdecydował się wstąpić do NSDAP, co znacząco wpłynęło na jego dalszą karierę. Reinhard Heydrich, organizując tajną policję, szybko zwrócił uwagę na trzydziestoparoletniego komisarza, mającego świetną opinię u przełożonych i wspaniałe wyniki w pracy kryminalnej. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku Glöbcke został przeniesiony do Berlina, gdzie rozpoczął pracę w centrali Gestapo na Prinz Albrecht Strasse. Był dziwnym gestapowcem, różniącym się od brutalnych i okrutnych kolegów, pewnych swojej nieograniczonej władzy nad nieszczęśnikami, którzy znaleźli się w kręgu ich zainteresowania. Zwalczając wrogów nazistowskiego państwa, starał się wykorzystywać policyjne metody śledcze, w których nie było miejsca na tortury. Uznawał bowiem, że jest to mało skuteczny środek, choć akceptował go, gdy nie dostrzegał innej metody szybkiego wydobycia informacji. Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku przyjechał do Tzchochy jako szef ochrony zamku. Wydawało się, że było to załamanie w jego karierze i nikt nie wiedział, dlaczego Glöbcke został nagle

odesłany z Berlina do zamku na kresach Niemiec. On sam nigdy na ten temat nie mówił.

Zebrał z biurka akta i podszedł do sejfu stojącego za kotarą w rogu pokoju. Położył dokumenty na teczkach w czarnych okładkach, z których każda miała na grzbiecie numer oznaczający coś, o czym wiedział tylko Glöbcke, i starannie zamknął drzwi.

Jorg wstał od stołu w kasynie, przy którym samotnie zjadł śniadanie złożone z jajecznicy ze sproszkowanych jajek i czarnego chleba z margaryną. Dochodziła dziesiąta, więc sala była pusta. Postanowił, że ten dzień spędzi na poznawaniu zamku, a właściwie strefy „A”, w której wolno było mu się poruszać. Otworzył duże przeszklone drzwi prowadzące na niewielki balkon, skąd, jak słusznie przypuszczał, miał najlepszy widok na jezioro. Nie miał zamiaru podziwiać zimowych uroków tego miejsca, lecz chciał przyjrzeć się bryle zamku, a zwłaszcza tej części, w której znajdowały się okna jego pokoju.

Uderzyło go, że na zamrzniętym jeziorze nie było ani wędkarzy siedzących nad przerębiami, ani dzieci ślizgających się po lodzie. Cała strefa jeziora musiała więc być zamknięta i dobrze strzeżona. Wychylił się za balustradę i spojrzał na dół. Mur zamku opierał się na skałach pionowo opadających do jeziora. Wdrapanie się na tę ścianę wymagało alpinistycznych umiejętności, a i tak wspinający się musiałby wbijać haki, co zaalarmowałyby straż. Od tej strony zamek był doskonale zabezpieczony przed intruzami.

– To skandal! – usłyszał nagle podniesiony kobiecy głos. Odwrócił się zaintrygowany.

– To skandal. Złożę skargę w Berlinie!

Przed nim stała dwudziestokilkuletnia dziewczyna, w kożusku, bryczesach i wysokich butach do konnej jazdy. Włosy miała upięte wysoko i schowane pod obszytą futrem czapkę, tylko jasny kosmyk wysunął się na czoło, dodając jej uroku. Wyraz gniewu tak bardzo kłócił się z jej klasyczną urodą, że Jorg uśmiechnął się. To rozzłościło ją jeszcze bardziej.

– Musi pan pamiętać, że ten zamek jest własnością mojej rodziny, a nie waszą! – uderzyła szpicrutą o cholewę buta, aby podkreślić znaczenie swoich słów. – Tymczasem ja muszę meldować się gdzieś tam i prosić kogoś tam o zgodę, żeby móc wyjechać na konną przejażdżkę! To skandal, panie pułkowniku!

Najwyraźniej nie rozpoznawała stopni wojskowych.

– Zgadza się z panią. Mnie też by to oburzyło – powiedział spokojnie. Zrozumiał, że dziewczyna myli go z kimś z wojskowej administracji zamku.

– Czy pan kpi ze mnie, panie pułkowniku? Nie mogę poruszać się po własnym zamku, a pana to bawi?!

– Broń Boże, doskonale panią rozumiem, mnie też nie pozwolono swobodnie

poruszać się po tym zamku. Jestem kapitan Hugo Jorg – powiedział, podkreślając słowo kapitan. – Przyjechałem tu wczoraj wieczorem i powiedziano mi, że mogę poruszać się tylko po strefie „A”. Nawet nie wiem, co to za strefa i boję się wejść gdzieś, gdzie mógłbym zostać aresztowany i uwięziony w lochu. Przy okazji, skoro to pani zamek, czy lochy są tu bardzo straszne?

Dziewczyna patrzyła na niego ze zdziwieniem, jakby zastanawiając się, czy to drwina, czy rzeczywiście mylnie rozpoznała stopień stojącego przed nią oficera. Zarumieniła się, chyba rozumiejąc swoją pomyłkę.

– Ach – roześmiała się, maskując zmieszanie – rzeczywiście nie rozróżniam stopni, a w tych mundurach jesteście panowie tacy do siebie podobni – zaczęła się tłumaczyć, przyjmując nagle kokieteryjny ton.

– Czyżbym przypominał pani pułkownika Krebbsa? – mówił o administracyjnym szefie zamku. – On ma pięćdziesiąt lat! Dziewczyna zmieszana się jeszcze bardziej.

– Och, nie ... przepraszam... nie to miałam na myśli – nagle odwróciła się, jakby obawiając się, że znowu powie coś niestosownego, i zaczęła iść w stronę drzwi.

– To pani grała wczoraj wieczorem sonatę Schuberta? Zatrzymała się i spojrzała na Jorga z wyraźnym zainteresowaniem. Zaskakiwał ją.

– Tak... – powiedziała, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza to pytanie. – B-dur...

– Grała pani pięknie. Dziękuję.

Spojrzała na niego uważnie, po czym nieoczekiwanie uderzyła szpicrutą o cholewę i pośpiesznie wyszła z sali. Chciała jak najprędzej uporządkować wrażenia, jakich dostarczyło jej to zaskakujące spotkanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Achmerow wszedł na drugie piętro domu w Queens. Przeszedł na koniec długiego korytarza i zatrzymał się przed drzwiami z numerem cztery. Obejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, a potem nacisnął obudowę włącznika światła. Odskoczyła, a on dostrzegł żaróweczkę, ledwo widoczną między przewodami. Nie świeciła, co znaczyło, że nikt nie wchodził do tego mieszkania. Achmerow zainstalował przemyślny sygnalizator w drzwiach, których otwarcie powodowało zapalenie się żaróweczki, a ich zamknięcie nie wyłączało jej. Gdyby pod jego nieobecność ktokolwiek wszedł do środka, światelko wśród kabli ostrzegłoby go.

Wyjął z kieszeni jesionki klucz i, nie dbając o zachowanie ciszy, wsunął do zamka. Przekręcił zasuwkę i wtedy, jak oczekiwał, uchyliły się drzwi obok. Przez szparę widać było twarz starej kobiety.

– Dzień dobry, pani Morrison – powiedział Achmerow.

– To pan Norman – sąsiadka odsunęła łańcuch i wyszła na korytarz. – Dawno pana nie było...

– Interesy, pani Morrison. Najpierw Wschodnie Wybrzeże, a za dwa dni – Zachodnie. Człowiek ciągle w podróży. Dzisiaj pieniądze ciężko się zarabia.

– Tak, panie Norman. Czasy są straszne, trzeba uważać na złodziei. Wie pan, wczoraj na przykład okradli sklep pana Thomasa, ten za rogiem...

– Dobrze, że do nas nikt się nie zakradał – zawsze tak prowadził rozmowę z sąsiadką, aby sprawdzić, czy nikt nie kręcił się w pobliżu jego mieszkania.

– To spokojny dom...

– Przepraszam, ale przypomniała mi pani, że muszę natychmiast zadzwonić do pana Thomasa – starał się jak najszybciej zakończyć rozmowę, aby uniknąć niekończących się pytań. Zamykając drzwi, słyszał jeszcze pytanie o podróżę.

Pani Morrison, której dzieci kupiły mieszkanie, uznając, że będzie to taniej niż oddanie jej do domu starców, nudziła się całymi dniami, więc reagowała na każdy szmer na korytarzu i przez uchylone drzwi, zabezpieczone łańcuszkiem, sprawdzała, kto odwiedzał sąsiadów. Bez wątplenia, poinformowałaby go, gdyby ktokolwiek usiłował dostać się do jego mieszkania. Miało to oczywiście złą stronę, gdyż pani Morrison z równą ochotą mogła zdradzić FBI, kto przychodził do Achmerowa, tyle że potem powiedziałaby mu, że ktoś wypytywał o jego kontakty.

Na wszelki wypadek rozejrzał się po mieszkaniu, które nosiło kryptonim „Park Avenue” i było jednym z kilkunastu wynajętych przez radzieckich szpiegów na terenie Nowego Jorku.

Niewielki salon umeblowany był skromnie. Pośrodku stał niski stolik, a wokół niego kanapa i dwa fotele obite tkaniną w duże kwiaty. Pod ścianą ustawiono szafkę z radiem, która pełniła również funkcję barku. Jedne drzwi prowadziły do małej sypialni, za którą znajdowała się łazienka, drugie do kuchni. Wszedł tam, aby sprawdzić okno, przez które można było wydostać się na schody pożarowe. Widok podwórza nie wzbudził jego podejrzeń, zaś nitka wystająca spod ramy wskazywała, że okno nie było otwierane. Wrócił do salonu, podniósł dolną część okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza do zateńłego pomieszczenia, i zdjął płaszcz, który rzucił na kanapę. Pomyślał, że właśnie w tej chwili pani Morrison przytknęła szklankę do ściany i przyłożywszy ucho do denka nasłuchiwała odgłosów z mieszkania sąsiada. Włączył radio, aby zagłuszało rozmowę, którą miał zamiar przeprowadzić.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Zarubin. To zdziwiło Achmerowa, gdyż był to szef tak zwanych legalnych, czyli szpiegów zatrudnionych w Stanach Zjednoczonych jako dyplomaci lub pracownicy radzieckich przedsiębiorstw handlowych, takich jak „Amtorg”. W wywiadzie pracował od pierwszych lat po rewolucji i choć wiele czasu spędził na placówkach w różnych częściach świata, zdołał przetrwać okres czystek w Związku Radzieckim, kiedy to likwidowano najbardziej doświadczonych szpiegów. Jeszcze ciekawszą osobą była jego żona Jelizawieta, kapitan NKWD, pracująca w wywiadzie od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Jej pierwszym mężem był Jaków Blumkin, odważny czekista, który po rewolucji wsławił się krwawym zamachem na niemieckiego ambasadora Mirbacha. Z nim pojechała szpiegować do Turcji. Tam niespodziewanie przekonała się, że jej ukochany wspiera Lwa Trockiego, wielkiego wroga Stalina. Poinformowała centralę w Moskwie, mając pełną świadomość, jakie będą tego konsekwencje. Blumkin został natychmiast odwołany i rozstrzelany. Ten fakt nie przeszkodził Zarubinowi zapalać wielką miłością do atrakcyjnej Jelizawiey.

Zwalisty, o nalanej, zaczerwienionej twarzy i wyblakłych oczach, nieomylnych oznakach nadużywania alkoholu, zdjął kapelusz i przeciągnął ręką po rzadkich włosach. Rozejrzał się uważnie po salonie, sprawdzając, czy nie dostrzeże jakiegoś niebezpieczeństwa.

Achmerow podniósł się z fotela.

– Wszystko czyste – powiedział półgłosem, wyciągając rękę do Zarubina, ale ten udał, że nie widzi gestu powitania. Rzucił kapelusz na fotel i usiadł na kanapie.

– Macie coś ważnego dla mnie...

– Tak – Achmerow wyjął z kieszeni marynarki kopertę od Halla. – Podobno są tam plany tego, czego poszukujemy najbardziej. Zapalnika implozyjnego.

Zarubin gwizdnął przez zęby, wyrażając w ten sposób swoje zadowolenie.

– Od kogo?

– „Mład” przekazał przed trzema godzinami.

– Wiarygodność?

– Jeszcze nieustalona. Dopiero zaczął.

– Ale ładnie zaczął. – Zarubin rozerwał kopertę i wyjął plik kartek. Zaczął przeglądać je uważnie, choć rzędy cyfr, wykresy i rysunki nic mu nie mówiły.

Podobno przed wyjazdem z Moskwy, w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, został przyjęty przez Stalina. Otrzymał wtedy polecenie zajmowania się budową siatki wywiadowczej i zbieraniem informacji, a także oddziaływania na wysokich urzędników i pozyskiwania ich przychylności dla Związku Radzieckiego. W tym czasie jeszcze nikt w Moskwie nie myślał o bombie atomowej, choć już szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku inny radziecki agent, Gregory Chaifetz, oficjalnie wicekonsul, nawiązał kontakt z Robertem Oppenheimerem i dowiedział się od niego, że naukowcy amerykańscy obawiają się, iż Niemcy mogą skonstruować broń atomową. Później ujawnił, że Albert Einstein podpisał list do prezydenta Roosevelta, apelując o przeznaczenie funduszy na badania nad atomem. Te informacje zaalarmowały Moskwę i wywiad radziecki zaczął werbować informatorów wśród naukowców zatrudnionych w Los Alamos. W końcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Zarubin otrzymał z Moskwy polecenie skoncentrowania się na zdobywaniu informacji o postępach amerykańskich prac nad bombą atomową.

– Dla pieniędzy czy idei? – Zarubin włożył kartki do koperty i śliniąc brzeg próbował ponownie ją zakleić.

– Dla pieniędzy z ideologicznych powodów – odparł wymijająco Achmerow. Nie chciał przyznać, że Hall wzbraniał się przed przyjęciem honorarium, co położyłoby się cieniem na jego całkowicie bezinteresownej chęci pomocy Związkowi Radzieckiemu. Gdyby Achmerow to ujawnił, nie mógłby inkasować dużych kwot pod pretekstem opłacania agenta.

– Niedobrze, towarzyszu. Niedobrze... – Zarubin wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę. Nie zwracając uwagi na Achmerowa, zajął się ugniataniem papierosa, poszukiwaniem zapalniczki i zapaleniem. Wreszcie zaciągnął się głęboko.

– Niby co? – Achmerow gorączkowo rozważał, o co chodzi Zarubinowi.

Ten wciąż zwlekał z odpowiedzią, udając, że pochłonęło go wydobywanie z ust drobin tytoniu.

– Niby co? – powtórzył Achmerow. Zaniepokoiły go słowa Zarubina, który palił papierosa i milczał, jakby zastanawiając się nad doborem słów.

– Centrala nie jest zadowolona z waszych raportów. Za rzadko, zbyt ogólne, wartość poznawcza niewielka – powiedział wreszcie, ale natychmiast skoncentrował ponownie uwagę na papierosie.

– Chyba kpicie! – krzyknął Achmerow. Zaczynał się denerwować. Oczekiwał wyrazów uznania za wydajną pracę, a otrzymał naganę. – W ubiegłym roku wysłałem ponad dwa tysiące raportów! Odliczając niedziele, to daje jakieś osiem dziennie! A wartości meldunków nie mnie oceniać! Nie znam się na fizyce, tylko na ludziach!

– Ja tylko was ostrzegam, że takie sygnały z centrali otrzymuję, więc nie podnoście głosu! Nie są z was zadowoleni, a wszystko okaże się za trzy tygodnie. Dokładnie dwudziestego ósmego lutego...

Znowu przerwał, tym razem po to, aby zgarnąć dłonią popiół z papierosa, który spadł na stolik. Achmerow zaczynał rozumieć jego grę. Coś miało wydarzyć się w końcu lutego i Zarubin, obawiając się wyniku, starał się przygotować usprawiedliwienie dla siebie. Zdecydował się przyjść na spotkanie, a nie przysyłać swojego człowieka, aby mieć podstawy do wysłania do Moskwy depechy: „Przeprowadziłem osobistą, kolejną rozmowę z towarzyszem, zwracając uwagę na niedociągnięcia w jego pracy. Do moich służbowych, szczerych uwag odniósł się z niechęcią i niezrozumieniem”. Zapewne tak sformułuje pierwsze zdania donosu. Achmerow uspokoił się.

– Co, dwudziestego ósmego lutego? – zapytał.

– „Pawłów” zażądał raportu zbiorczego, podsumowującego wyniki naszej pracy – odpowiedział Zarubin zniżając głos. – Dwudziestego ósmego lutego ma go otrzymać i będą z naukowcami na ten temat dyskutować. „Pawłowowi” zależy na przyspieszeniu prac.

„Pawłów” był to pseudonim Ławrentija Berii, szefa NKWD.

Achmerow wzruszył ramionami.

– Za materiały dotyczące zapalnika implozyjnego, które teraz wam przekazałem, możemy oczekiwać pochwał.

– Późno przekazaliście. Kiedy to – wskazał na kopertę leżącą na stoliku – dotrze do Moskwy, nie będą mieli czasu na opracowanie i „Pawłów” nie dostanie ich.

– To wyślijcie drogą radiową!

– Za dużo na radio – mruknął Zarubin.

Achmerow już nie miał wątpliwości. Szef legalnych chciał się go pozbyć i szukał pretekstu. Gotów był opóźnić przekazanie do Moskwy ważnych informacji, aby wykazać, że on nie nadaje się do tej pracy, i skłonić centralę do odwołania go. Przyniósł fotel bliżej stolika i pochylił się.

– Posłuchajcie, towarzyszu „Maksym” – mówił cicho, rozdzielając słowa. – Wasza żona po spotkaniu z pewną panią w Seattie straciła torebkę, nieprawdaż? Zgubiła, albo ukradziono jej. Nieprawdaż?

Zarubin wyprostował się, patrząc zaskoczony na Achmerowa. Skąd o tym wiedział? Jelizawieta Zarubina poznała żonę Roberta Oppenheimera, z którą zaprzyjaźniła się, uzyskując możliwość wyciągania od niej tajemnic męża. Po jednym ze spotkań skradziono jej torebkę, którą pozostawiła na siedzeniu samochodu, o czym Achmerow dowiedział się od swoich ludzi i trzymał tę wiadomość w zanadrzu, spodziewając się ataku. Istniało podejrzenie, że dokumenty, które Zarubina zabrała z domu Oppenheimerów, przepadły wraz z torebką.

– Murzyn ukradł torebkę i wyjął pieniądze, a resztę wyrzucił na śmietnik, czy tak? A może to sprawka ludzi z FBI? A co znaleźli? Może już mają waszą żonę na widelcu i

dowody przeciwko wam. Poinformowaliście o tym... wypadku „dyrektora”?

Achmerow przerwał i sięgnął po papierośnicę Zarubina. Wziął papierosa i gestem wskazał, że nie ma zapalek. Zarubin podsunął mu zapalniczkę. Wiedział, że przegrał. Informacja o takiej wpadce jego żony, przekazana do centrali, mogła zakończyć się natychmiastowym odwołaniem z placówki i, zapewne, uwięzieniem.

– Zrobię wszystko, aby w Moskwie przedstawić was w jak najlepszym świetle – Zarubin niespodziewanie zmienił ton. – Wyślę wszystko drogą radiową. Jeszcze dzisiaj – wstał i schował kopertę do kieszeni marynarki. – A wy się tak nie obrażajcie, słysząc dobre rady. Jesteśmy tutaj po to, aby walczyć ze wspólnym wrogiem – zakończył pojednawczo. – No to bywajcie.

Przytknął dłoń do kapelusza i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Był zadowolony, że przyjechał osobiście na spotkanie z Achmerowem. Co prawda nie udało mu się osiągnąć celu, jakim było zastraszenie szefa siatki „nielegalnych” i podporządkowanie go, ale odebrał cenne dokumenty. Ostateczną rozgrywkę odłożył na później, wiedząc, że zawsze znajdzie odpowiedni pretekst. Teraz musiał skoncentrować się na jak najszybszym przekazaniu materiałów od „Młada” do Moskwy, aby zostały wykorzystane w czasie narady dwudziestego ósmego lutego, gdy na zaproszenie Berii w gabinecie szefa NKWD mieli stawić się najważniejsi naukowcy pracujący nad radziecką bombą atomową. Oni na pewno docenią informacje o zapalniku i będą chwalić robotę Zarubina.

Wartownik w holu konsulatu zasalutował i podbiegł do drzwi, aby otworzyć je przed Zarubinem. Zarubin wszedł na drugie piętro, gdzie za pancernymi drzwiami zaczynało się jego królestwo. Kiedy przyjechał do Nowego Jorku, od razu kazał zabezpieczyć tajne pomieszczenia konsulatu: wstawić kraty w okna, zawiesić kotary uniemożliwiające obserwację z zewnątrz i zainstalować drzwi pancerne do korytarzyka, z którego wchodziło się do pokoju wywiadu.

Nacisnął dzwonek. W okienku pojawiło się oko strażnika, który po chwili otworzył ciężkie, obite blachą drzwi.

– Wezwijcie do mnie Borysa – rzucił Zarubin i skierował się do swojego gabinetu.

Sekretarka na jego widok włączyła czajnik z wodą, słusznie przeczuwając, że szef będzie chciał napić się kawy.

Wszedł do gabinetu i zapalił światło. Lampa nad biurkiem rozświetliła ciemności panujące w pokoju z oknami zasłoniętymi grubymi kotarami.

– Melduję się – po chwili do gabinetu wszedł szyfrant.

– Masz to wysłać, jak najszybciej – Zarubin położył na biurku kopertę.

– Tak jest – szyfrant wyjął kartki i zaczął je przeglądać, co Zarubinowi wydało się dziwnym zachowaniem.

– Co jest? – burknął niezadowolony.

– Towarzyszu pułkowniku – szyfrant stanął na baczność – muszę was poinformować...

– Tak... – Zarubin usiadł na fotelu. Spodziewał się, że szyfrant, który dzień i noc przebywał w konsulacie, bez prawa opuszczania placówki, przyszedł z nowym donosem, co Zarubin bardzo cenił.

– Chodzi o szyfry jednorazowe dostarczone przez kuriera...

– Co z nimi?

– Jak wiecie, towarzyszu pułkowniku, pracuję od dawna, od tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku...

– Co, na emeryturę się wybieracie, Borysie Dawidowiczu? – zaśmiał się Zarubin.

– Nie, nie to. Ja tych szyfrów jednorazowych, dostarczonych ostatnio przez kuriera, już używałem, w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku – szyfrant wyrzucił z siebie informację.

– Co wy, geniusz, co to potrafi mnożyć w okamgnieniu pięciocyfrowe liczby?! Pamiętacie szyfry używane jedenaście lat temu?!

– Tak jest, pamiętam – szyfrant przełknął ślinę, zastanawiając się, jak wyjaśnić szefowi skomplikowany mechanizm szyfrów jednorazowych.

– A to jakim cudem? – Zarubin nie mógł uwierzyć, że człowiek wysyłający każdego dnia szyfrogramy może zapamiętać wysyłane wiele lat temu.

– Można powiedzieć tak: każdy szyfr ma niepowtarzalny numer. Ten zapamiętałem, bo w dniu, kiedy go wysyłałem, umarła moja córka, a jego numer był datą jej śmierci. Taki zbieg okoliczności. Dlatego zapamiętałem.

– Tak, tak – mruknął Zarubin. – I co z tego wynika?

– Jeżeli szyfr jednorazowy jest ponownie użyty, przestaje być bezpieczny. Można go złamać.

– Co wy mi takie banialuki... – Zarubin zerwał się z fotela. – Myślicie, że innym tego dnia też córki umarły i zapamiętali numer sprzed jedenastu lat?!

Szyfrant opuścił głowę. Nie śmiał już nic więcej powiedzieć.

– To, waszym zdaniem, mam napisać do Moskwy, że szyfrantowi zmarła córka i zapamiętał numer, więc niech przyślą inne szyfry? Głupca ze mnie chcecie zrobić, czy co?

Uspokoił się nagle, rozumiejąc, że jeżeli szyfrant miał rację, to odpowiedzialność spadnie na niego.

– Kiedy będzie kurier z Moskwy?

– Najwcześniej za dwa tygodnie – cicho powiedział Borys.

– Wykluczone! Nie możemy czekać! Wysyłajcie to natychmiast!

– Napisałem raport – szyfrant zdawał sobie sprawę, jak poważna jest sytuacja.

– Zostawcie raport na moim biurku i zabierajcie się. Już, już! Zarubin podszedł do drzwi i otworzył je, nie dopuszczając Borysa do słowa. Wiedział, że szyfrant powinien zostawić raport w sekretariacie i uzyskać potwierdzenie, że taki dokument złożył. Oddając go w ręce Zarubina, nie mógłby udowodnić, że zwrócił uwagę szefa na nieprawidłowości, a tym samym odpowiedzialność spoczywała na nim.

– Ale... – usiłował protestować, lecz Zarubin wypchnął go za drzwi i zamknął je z trzaskiem.

Wrócił do biurka. Wziął raport pozostawiony przez szyfranta i podarł go na strzępy.

Borys zamknął starannie drzwi swojego pokoju i, jak nakazywały przepisy, zaciągnął zasłony w zakratowanym oknie. Zapalił biurkową lampkę i skierował snop światła na szafę pancerną stojącą w rogu pokoju. Sprawdził, czy łąkowe pieczęcie, które założył poprzedniego dnia, nie zostały naruszone i wydobyl z kieszeni pęk kluczy, zawieszony na mocnym łańcuszku, którego koniec był przynitowany do paska spodni. Pierwszy, długi i cienki klucz wsunął w otwór gniazda elektrycznego wyłącznika alarmu. Za pomocą dwóch innych kluczy otworzył drzwi szafy pancernej i wyjął grubą teczkę, na której okładce znajdował się napis: „Najbardziej tajne”. Ten napis wystarczał, gdyż jedyną osobą, która mogła tę teczkę otworzyć, był Borys. Ponownie sprawdził cztery łąkowe pieczęcie na kolorowych sznurkach ciasno opasujących okładki i złamał je, jedna po drugiej. Przez chwilę przeglądał kartki wypełnione długimi szeregami cyfr. Wreszcie odnalazł kartkę z numerem 11091934. Położył ją na stole i zamyślił się. To był taki piękny dzień, wtorek. Wracała ze szkoły. Wowka, który się w niej kochał, niósł jej tornister. Żartowali, śmiali się. I nagle nadjechał samochód z pijanym kierowcą.

Oczy mu się zaszklily. Przetarł je dłonią. – Jedenasty września. Takie przypomnienie... Zamknął teczkę i położył na biurku przed sobą materiały, które dał mu Zarubin. Było ich wiele, więc szyfrowanie powinno mu zająć wiele czasu, choć wiedział, że tego wieczoru już nie odnajdzie spokoju. Koszmar tamtego dnia, jedenastego września tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, gdy zginęła jego jedyna córka, powrócił z całą siłą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trzeciego dnia pobytu w zamku Jorg dowiedział się, że może przystąpić do pracy. Beer, który mu to zakomunikował, nie omieszkął dodać, że akta z Berlina jeszcze nie nadeszły – miało to utrzymać go w niepewności.

Pierwsze zadanie, jakie otrzymał od szefa zespołu kryptologów, polegało na segregowaniu depesz, przechwytywanych przez stację nasłuchową, zlokalizowaną na zachód od Breslau. Musiał wybierać te, które pochodziły z radzieckich stacji radiowych, co mógł rozpoznać po charakterze szyfru.

Przypominał sobie, że podobne zadania wykonywał kilka lat wcześniej, gdy tylko przeniesiono go do „Pers Z”. Bez wątpienia nie po to oddelegowano go do Tzschochy. Zdawał sobie sprawę, że musiał tam działać inny zespół, dobrze ukryty przed światem zewnętrznym, do którego wciąż nie miał wstępu.

Praca kryptologa nie polegała jedynie na wpatrywaniu się w kolumny cyfr i podejmowaniu prób znalezienia związków między nimi. W ten sposób nie udałooby się złamać żadnego poważniejszego szyfru. Kryptolog musiał być częścią zespołu korzystającego z osiągnięć wywiadu oraz pracy ludzi, pozornie nie mających nic wspólnego z analizowaniem matematycznych zależności.

W Dahiem, a nawet w Hirschbergu, kryptolodzy stanowili mniejszość grupy, wśród której najliczniejszy był zespół pastora Joachima Zügenruckera. Ci ludzie zbierali informacje z audycji radiowych, biuletynów Ministerstwa Spraw Zagranicznych, doniesień ambasad z państw neutralnych, a nawet z gazet alianckich, które, ze zrozumiałych względów, docierały z dużym opóźnieniem. Wszystko po to, aby odpowiedzieć na przykład na pytanie kryptologa, kto, o nazwisku zaczynającym się na „W” rozmawiał z kimś, kogo nazwisko kończy się na „n”, w miejscu, w którego nazwie występuje „po”, w miniony czwartek.

Odpowiedź, której można było udzielić, na przykład czytając kronikę towarzyską angielskiego „Timesa”, mogła ułatwić odczytanie szyfrogramu.

Szczególną pomocą były dla kryptologów maszyny liczące, opracowane przez Hansa-Georga Kruga, nauczyciela matematyki, który był geniuszem w segregowaniu dokumentów. Wynalazł system kodowania informacji w postaci perforowanych kart lub taśm, co pozwalało porównywać różne teksty pod względem częstotliwości występowania określonych znaków, ułożenia cyfr, częstotliwości ich powtarzania w określonych układach, a sukcesy kryptologów wynikały z analizy odpowiedniej liczby tekstów.

Jorg, gdy tylko pozwolono mu dotrzeć do innych stref zamku, spodziewał się spotkać

ludzi, którzy w naturalny sposób powinni współpracować z kryptologami. Sądził, że uda mu się nawiązać rozmowę z tymi, którzy pracowali nad szyfrogramami. Pamiętał, że do Dahlem i do Hirschbergu każdego dnia w południe łącznik przywoził nowy materiał: szyfrogramy przechwycone przez stację nasłuchową pod Breslau, stacje wojskowe lub pocztowy urząd telegraficzny. Tutaj nie zauważył tego ruchu. Zamek musiał być samowystarczalny. Wyglądało na to, że działały tu stacje nasłuchu radiowego, przechwytyjące wrogą korespondencję. Przynajmniej takie wrażenie odnosił po trzech pierwszych dniach. Jednakże w zamku ani w jego otoczeniu nie dostrzegł anten, które musiały górować nad okolicą. Uznał więc, że ustawiono je na wzgórzach w pewnej odległości, a sygnał stamtąd przesyłano podziemnym kablem.

Wyszedł na niewielki placzyk przed zamkowym wejściem, zastanawiając się, w jaki sposób będzie mógł dojechać do pobliskiego miasta. Oficer dyżurny, u którego musiał zameldować się przed opuszczeniem zamku, powiedział mu, że nie ma stałej komunikacji, ale często wysyłano samochody w tamtą stronę. Wystarczyło spytać kierowców. Ruszył więc w stronę samochodów przygotowanych do odjazdu, gdy nagle dostrzegł dziewczynę, którą spotkał dwa dni wcześniej. Ubrana jak wtedy, w krótki kożuszek i bryczesy wsunięte w wysokie buty, szła w stronę opla, zaparkowanego tuż przed wejściem.

– Czy nie wybiera się pani do Marklissy*? – krzyknął w jej stronę. Zatrzymała się, rozejrzała po placyku i po chwili dostrzegła Jorga. Uśmiechnęła się.

– Tak jest, panie kapitanie, jadę – odpowiedziała, gdy do niej podszedł.

– Cieszę się, że nie myli mnie pani z pułkownikiem Krebbsem – uśmiechnął się.

– Przepraszam za tamto nieporozumienie, byłam bardzo zdenerwowana. Jestem Anna Maria Solof...

Wydawało mu się, że na moment zawiesiła głos, jakby spodziewała się jakiejś jego reakcji, ale zaraz podała mu rękę, którą Jorg potrząsnął, nie wiedząc, czy nie powinien ucałować dłoni.

– To ładne miasteczko, cztery kilometry stąd. Jadę do apteki i do krawca. W samym rynku, więc pozna pan Marklissę, choć, jak słyszałam, pełno tam wojska.

Otworzył przed nią drzwi do dwuosobowego opla.

Był wyraźnie zadowolony z możliwości przejażdżki z dziewczyną, która podobała mu się coraz bardziej, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma to większego sensu.

Anna Maria prowadziła samochód lekko, nieco brawurowo. Być może przyjemność sprawiało jej uznanie, z jakim Jorg kwitował płynne pokonywanie wąskich zakrętów, z których wiele pokrytych było śniegiem, nawiewanym z pól.

– Zaraz zwolnię – poinformowała go w pewnym momencie. – Zaczną się posterunki kontrolne. Zawsze mnie zatrzymują, chociaż dobrze znają samochód mojego wuja.

Jakby na potwierdzenie tych słów tuż za zakrętem dostrzegli żandarmów przy motocyklu. Tym wystarczył widok znajomej twarzy Anny Marii i munduru Jorga. Przyjrżeli się im przez szybę i nie sprawdzając dokumentów, pozwolili jechać dalej.

– Po co te wszystkie kontrole? – zdziwił się Jorg.

– W okolicach budują jakieś dziwne obiekty... – przerwała, hamując na widok kolejnego posterunku, tuż przed wjazdem do miasteczka.

Tym razem żandarmi sprawdzili dokładnie ich dokumenty, a nawet odnotowali, o której godzinie wjechali do Marklissy.

Brukowaną ulicą dojechali do rynku, gdzie Anna Maria zatrzymała samochód przy podcieniach, nad którymi widniały czarne litery o gotyckim kroju, tworzące napis „Apotheke”.

– Czy pan jest śledzony? – zapytała niespodziewanie.

– Mówi pani o tym czarnym wandererze, który teraz wjechał na rynek? – Jorg nie odwracał głowy. – Zauważyłem go, tak jak pani, przed zamkiem. Zapewne jechał za nami, w takiej odległości, aby nie dostrzegła go pani w lusterku. Tamten przed zamkiem miał rejestrację Wehrmachtu i pierwsze cyfry 397...

Anna Maria wrzuciła bieg i ruszyła gwałtownie w poprzek rynku na spotkanie czarnego samochodu. Zatrzymała się przy chodniku, niemalże tuż przed jego maską.

– Ma pan dobre oko. Ten samochód ma rejestrację WH 39755.

– Może też miał jakieś sprawy do załatwienia w Marklissie... – otworzył drzwi. Nie chciał komentować, że Glöbcke wysłał za nim swoich ludzi. Zastanawiał się wielokrotnie, czy ta dziewczyna rzeczywiście jest siostrzenicą właściciela zamku, czy ich pierwsze spotkanie było przypadkowe, a propozycja podwiezienia do Marklissy i wykrycie śledzących go agentów – szczerze.

– Może pan pozwiedzać miasteczko. Przed wojną było urocze. Lubiałam tu przyjeżdżać. Niewiele z tego uroku pozostało – wskazała na kolumnę ciężarówek wyjeżdżających z drugiej strony rynku i okrążających ratusz. – Niech pan zajrzy do hotelu „Pod Jeleniem” i powoła się na mojego wuja. Dostanie pan prawdziwą kawę.

Spojrzał na nią uważniej, ale nie dostrzegł nic prowokującego ani w zachowaniu, ani w tonie jej wypowiedzi. I tak zamierzał obejść miejscowe restauracje, gdyż jak w większości niemieckich miasteczek w pobliżu frontu, na drzwiach lub tablicach ogłoszeń przy wejściu wieszano kartki z informacjami dla bliskich, którzy zawieruszyli się na wojennych drogach. Wszędzie, gdzie mogli, zostawiali informacje o swoim losie, mając nadzieję, że dotrą do zainteresowanych.

Na rynku jego uwagę przyciągnął najbardziej okazały dwupiętrowy budynek, wyróżniający się eleganckim wyglądem wśród innych domów, które, ze względu na przysadziste bryły i wysokie spadziste dachy, miały coś z wiejskiej zabudowy. Tak jak przypuszczał i tutaj drzwi wejściowe i okna zaklejone były małymi kartkami z informacjami o zamiarach ludzi zmierzających na zachód. Nie znalazł jednak imienia, którego szukał.

Wszedł do holu, powiesił płaszcz na wieszaku i skierował się do cukierni – długiego i wąskiego lokalu z okrągłymi stołami przykrytymi białymi obrusami i z giętymi, wygodnymi krzesłami. Wzdłuż niemal całej przeciwległej ściany biegł duży bufet

pomalowany na biało, za którym stały wysokie gablotki. Zapewne przed wojną były wypełnione ciastkami, a gdy ich zabrakło, właściciel wstawił za szyby szklanki, kieliszki i filiżanki. Jedynie duży półmisek na ladzie, pełen egzotycznych owoców z gipsu, przypominał o zasobnej przeszłości.

Jorg rozejrzał się za gazetami, ale na stojaku przeznaczonym na nie wisały tylko puste drążki.

– Pan kapitan chce gazetę? – zza lady podniósł się grubas w wytartej marynarce. – Mam tylko najnowszy „Yolkischer Beobachter” – podniósł do góry partyjną gazetę i podszedł z nią do stolika.

– Nic innego nie mamy – dodał jakby na usprawiedliwienie. – Takie czasy. Kelnerka zaraz podejdzie.

– Słyszałem, że goście pana Glitschowa mogą dostać prawdziwą kawę w tym lokalu.

– Jasne, jasne, podamy prawdziwą kawę szanownemu panu kapitanowi – zapewnił grubas i wrócił na swoje miejsce za barem.

Jorg odwrócił głowę do okna, spoza którego dolatywał warkot przejeżdżających samochodów. Podszedł, aby zobaczyć, co się tam dzieje.

Ciężarówki, jedna za drugą, wjeżdżały na rynek i parkowały przed ratuszem. Żołnierze, w białych maskujących bluzach, zeskakiwali, ustawiali się w dwuszeregu i po chwili wchodzili do ratusza, gdzie zapewne przygotowano dla nich ciepły posiłek.

– Obrońcy – mruknął właściciel stając obok Jorga. – Obrońcy, co oni mogą...

Wyraźnie nie wierzył w możliwości bojowe kilkunastoletnich chłopców, którzy nieporadnie wyglądali w hełmach, jakby za dużych, z długimi pancerfaustami na ramionach.

Jorg wrócił do stolika i rozłożył gazetę.

– Podać coś? – do stolika podeszła kelnerka. Jorg drgnął na dźwięk jej głosu. Podniósł wzrok na dziewczynę. Była średniego wzrostu, bardzo zgrabna, co podkreślała obcisła spódnica kończąca się tuż przed kolanami i bluzka, bardzo obcisła, co wyglądało kusząco, tym bardziej że rozchyłała się na biuście, ukazując koronkę stanika. Poprawiała dłonią pasemko włosów wymykające się spod czepka. – Słyszałam, że dla pana kapitana ma być prawdziwa kawa...

– Szybko przyjechałaś – powiedział cicho, aby nie usłyszał właściciel. Ten jednak wciąż stał przy oknie pochłonięty obserwacją tego, co działo się pod ratuszem. – Odczytałaś wiadomość...

Mówił o ostatnim zdaniu w liście, jaki przekazał jej przez żołnierza, który odwiózł go do zamku. „Tak znowu się chce odwrócić, choć na chwilę, zły czas”. Pierwsze litery składały się na nazwę nowego miejsca, do którego go oddelegowano.

– Nic trudnego.

– Gdzie mieszkasz?

– Rosenstrasse cztery – powiedziała, pochylając się nad stolikiem, aby zebrać okruchy z obrusa.

– I jeszcze paczkę junco – dodał głośno. Skinęła głową.
– Podam kawę, ale tych papierosów nie mamy. Przyniosę panu inne – uśmiechnęła się, pokazując dołeczki na policzkach, i odwróciła się z wdziękiem, jakby starając się zrobić wrażenie na przystojnym oficerze.

– Muszę mieć na nią oko – właściciel odwrócił się od okna i podszedł do stolika. – Pracuje u mnie od trzech dni, a zna już wszystkich oficerów w okolicy. Nie powiem, wieczorem przychodzą tutaj specjalnie dla niej, ale moja żona nie lubi, jak personel zaleca się do gości. Zwracałem już jej uwagę.

– Mnie to nie przeszkadza – Jorg opuścił głowę, aby pozbyć się gadatliwego restauratora. Nie odezwał się też do kelnerki, gdy postawiła przed nim filiżankę i położyła paczkę papierosów. Przyjęła to z wyraźnym niezadowoleniem i odwróciła się w jeszcze bardziej taneczny sposób.

Zdawał sobie sprawę, że ludzie przysłani przez Glöbcke go znaleźli sposób, aby przyglądać mu się, gdy siedział w cukierni.

Rozkoszował się smakiem prawdziwej kawy, nie pamiętając już, kiedy po raz ostatni pił tak mocną i dobrze zaparzoną. Szybko przerzucił strony „Völkischera” wypełnione zdjęciami i opisami okrucieństw, jakich dopuszczali się radzieccy żołnierze na zajmowanych terenach, co miało wzmacniać wolę obrony. Nie zauważył nawet, jak do restauracji weszła Anna Maria, trzymając pod pachą papierową paczkę, zapewne z materiałem, który kupiła u krawca.

– Wracajmy już. Nie mogę patrzeć na te oddziały chłopców, których tu przywożą, aby zginęli... – stanęła przy stoliku, nie zamierzając usiąść.

Jorg odliczył pieniądze i położył na talerzyku.

– Dostałem prawdziwą kawę.

– Widzi pan, jak niewiele nam trzeba w czasie wojny. Filiżanka kawy...

Kelnerka wzięła pieniądze z talerzyka.

– Zaraz wydam resztę – spojrzała nieco zakłopotana na banknot i szybko odeszła do bufetu.

– Myślę, że nie warto zwiedzać miasta, skoro jest pełne żołnierzy. Zawsze bałam się uzbrojonych tłumów. – Dziewczyna patrzyła przez okno na nadjeżdżające kolejne ciężarówki.

– Pana reszta, dziękuję – kelnerka podała mu pieniądze. Zebrał je ze spodeczka. Pod jednym z banknotów wyczuł przyklejoną bibułkę. Spojrzał przelotnie na kelnerkę, potwierdzając, że odnalazł ukrytą przesyłkę. Zostawił kilka monet na stoliku. Wychodząc z hotelu, kątem oka zauważył, jak z samochodu, który podjechał już bliżej drzwi hotelu, wysiadł mężczyzna ubrany po cywilnemu.

„Na pewno wejdzie do cukierni. Ciekawe, czy będzie pytał właściciela, co tam robiłem, czy tylko pójdzie się rozejrzeć?” – pomyślał.

* Obecnie Leśna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Komandor porucznik Howard Compaigne wbiegł na pierwsze piętro głównego gmachu Ministerstwa Wojny w Londynie i zatrzymał się niezdecydowany, w którą stronę długiego korytarza powinien się skierować. Był spóźniony, o czym przypominały mu wskazówki wielkiego zegara nad marmurowymi schodami. Nie było w tym jego winy, gdyż do Londynu przyjechał wystarczająco wcześnie, aby spokojnie dotrzeć o wyznaczonej godzinie na miejsce konferencji, o której został poinformowany dopiero poprzedniego dnia. Późnym wieczorem zadzwonił komandor Edward Travis, komendant ośrodka kryptologicznego w Bletchley Park, gdzie Howard pracował od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, i oświadczył:

– Jutro o jedenastej masz się stawić w Londynie w Ministerstwie Wojny. O nic więcej nie pytaj. – Po chwili dodał z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru: – I tak powiedziałem ci za dużo.

To już była zapowiedź serii niepowodzeń, gdyż na dzień wyjazdu do Londynu umówił się z Elly, rudą Irlandką, która dawno wpadła mu w oko, a nagły wyjazd nie tylko przekreślał szansę na randkę, ale oznaczał koniec znajomości, gdyż nie znał adresu dziewczyny i nie mógł odwołać spotkania. W Bletchley Park, gdzie wszystko było tajemnicą, nikt nie udzieliłby mu takiej informacji. Przeczucie co do fatalnego rozwoju wydarzeń nie myliło go. Po przyjeździe do Londynu taksówka, do której wsiadł na Victoria Station, utknęła w korku spowodowanym przez rozbiórkę zburzonego domu. Potem ponaglany przez niego kierowca usiłował wycofać się z zablokowanej ulicy i uderzył w latarnię, co powiększyło spóźnienie, gdyż policjant, który pojawił się na miejscu, zażądał złożenia obszernego zeznania. Dojechał do Ministerstwa Wojny tuż przed wyznaczoną godziną, ale pech chciał, że oficer w biurze przepustek nie mógł odnaleźć jego nazwiska na liście osób uprawnionych do wejścia. Mijały minuty, a Compaigne bezradnie wpatrywał się w zegar. Wreszcie oficer wystawił mu przepustkę, lecz źle objaśnił, gdzie znajduje się sala konferencyjna.

Tak, ten dzień nie zapowiadał się dobrze.

Dostrzegł grupkę oficerów brytyjskich i amerykańskich i pozostało mu uznać, że oni również zdążają do sali numer pięć, w której miał się stawić, i iść za nimi. Pomylił się, ale dziwnym trafem wyprowadzili go wprost na drzwi, których poszukiwał. Otworzył je ostrożnie, aby nie wywołać niepotrzebnego hałasu i wszedł do środka.

W sali panował półmrok; ciężkie zasłony tłumiły światło słonecznego zimowego dnia, może po to, by jak najlepiej ukryć uczestników obrad przed niepożądanymi obserwatorami, choć trudno byłoby się spodziewać, że przy końcu wojny po Whitehallu,

w centrum Londynu, mogli krążyć niemieccy szpiedzy. Wkrótce zrozumiał, że półmrok, rozjaśniony nieco światłem lampek z metalowymi kloszami, stojących na długim stole pokrytym zielonym sukniem, jest konieczny ze względu na projekcję zdjęć, jaką planowano w czasie narady.

Komandor Edward Travis dostrzegł Compaigne'a i wskazał mu miejsce, jednocześnie dając znak, żeby się nie meldował, co przeszkodziłoby w naradzie.

Compaigne rozejrzał się po sali. Po jednej stronie stołu siedziało kilku oficerów brytyjskich oraz cywil, z którym spotykał się już wcześniej, więc dostrzegając wzrok tamtego lekko skłonił głowę. Był to naukowy doradca wywiadu Reginald Victor Jones. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku on pierwszy uwierzył w doniesienia polskiego wywiadu o niemieckich próbach z raketami balistycznymi i obronił swoje zdanie, mimo że lord Cherwell, doradca premiera Churchilla, twierdził, iż chodzi o nowy typ torped. Jones, ryzykując własny autorytet, zdołał przekonać premiera o słuszności swojego zdania i dzięki temu brytyjskie samoloty dokonały nalotu na ośrodek w Peenemunde, gdzie rzeczywiście testowano rakiety V-2.

Po drugiej stronie stołu siedzieli czterej oficerowie amerykańscy oraz dwaj cywile.

– Przez wiele dni analizowałem powody, dla których Niemcy podjęli wielką operację w Ardenach – mówił Jones, przekładając ołówek w palcach, co mogło być wyrazem pewnego zdenerwowania. – Według naszych szacunków do tej operacji użyli dwie armie pancerne i jedną armię ogólnowojskową; ogółem trzydzieści dywizji, w tym jedenaście pancernych, wspieranych przez tysiąc samolotów. Należy rozważyć... – zawiesił głos, aby nadać swojemu pytaniu akcent dramatyczny – po co?

– Komunikat naszej Kwatery Głównej wyjaśnia to... – jeden z amerykańskich oficerów sięgnął do teczki, leżącej obok jego ręki i szybko odnalazł właściwy dokument.

– *„Ofensywa wojsk niemieckich, wychodząca z Ardenów, miała oddzielić wojska amerykańskie na południu od brytyjskich na północy i umożliwić dojście do odległego o około stu sześćdziesięciu kilometrów portu w Antwerpii, co odcięłoby wojska alianckie od głównej bazy zaopatrzeniowej”* – odczytał.

– Panie generale, z całym szacunkiem – powiedział Jones, zwracając się do cywila; wstał z miejsca i podszedł do mapy.

– Kto to jest? – Compaigne pochylił się do Trávisa. Wskazywał na mężczyznę, którego Jones tytułował generałem.

– William Joseph Donovan, szef wywiadu amerykańskiego – szeptem wyjaśnił komandor Travis.

– Ten komunikat jest dobry dla prasy, ale nie dla nas – mówił Jones, który stanął przy ekranie. – Zaskoczenie, jakie uzyskali hitlerowcy na początku tej operacji, a był to ich główny atut, nie pozwoliłoby ich wojskom po przejściu stu sześćdziesięciu kilometrów do Antwerpii, zdobyć miasta i obronić go przed naszymi kontratakami! Musieli zdawać sobie sprawę, że zapasy, które przygotowali, a zwłaszcza zapasy benzyny, do tego nie wystarczą.

– To jak pan wytłumaczy cel tej ofensywy, w którą Hitler zaangażował tak duże siły?
– Donovan wydawał się zniecierpliwiony.

Compaigne przyjrzał mu się. Był to postawny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o szpakowatych włosach, ubrany w doskonale skrojony dwurzędowy garnitur z ciemnej flaneli i jasny jedwabny krawat. W jego sposobie bycia i zachowaniu można było dostrzec wiele cech żołnierza i sportowca. W istocie był jednym z najbardziej odznaczonych żołnierzy amerykańskich pierwszej wojny światowej oraz najlepszym graczem footballowym stanu Columbia. Był również kolegą ze studiów prawniczych prezydenta Franklina D. Roosevelta, co miało istotny wpływ na jego karierę. W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku zaproponował prezydentowi stworzenie organizacji kierującej propagandą i wkrótce stanął na czele Biura Koordynatora Informacji. Nie osiągnął wielkich sukcesów, ale prezydent, nie zważając na to, mianował go szefem nowej organizacji wywiadowczej – Biuro Służb Strategicznych, bardziej znanej jako OSS, co było skrótem od nazwy Office of Strategic Services.

Jones skinął do żołnierza, który włączył epidiaskop, rzucający jasny snop światła. Na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie.

– Te zdjęcia lotnicze – Jones podszedł do ekranu i wskazywał na miejsca, w których można było dostrzec baraki, drogi i linie kolejowe znikające pod ziemią – a także doniesienia wywiadu wskazują, że na Dolnym Śląsku oraz w Górach Harzu hitlerowcy prowadzą zakrojone na wielką skalę roboty budowlane. Możemy zakładać, że podobne prace trwają lub dobiegły końca w innych miejscach, których jeszcze nie odkryliśmy. Należałoby sądzić, że przeniosą tam produkcję samolotów z zakładów zagrożonych naszymi nalotami. Tymczasem nic nie wskazuje na to, że w wielkich podziemnych kompleksach produkowane są samoloty lub ich zespoły. Można więc byłoby oczekiwać, że Niemcy postanowili w tych podziemnych fabrykach produkować benzynę syntetyczną, która jest im potrzebna jak krew, po utracie rumuńskich pól naftowych zajętych przez Rosjan w sierpniu minionego roku oraz złóż węgierskich. Na żadnym ze zdjęć nie widać cystern ani rurociągów. Po co w tych rejonach – ponownie wskazał na Dolny Śląsk i Góry Harzu – zgromadzili tak wielkie zasoby ludzkie i materiałowe? Dlaczego zużywają tam ogromne ilości stali, potrzebnej do produkcji czołgów, których im tak bardzo brakuje?

– Pana konkluzja? – Donovan wyjął z paczki papierosów, którą położył przed sobą na stole, zmiętego chesterfielda. Odłożył go jednak na bok, uznając, że w niewielkiej salce jest wystarczająco duszno i bez dymu.

– Panie generale, zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym przedstawić jeszcze jeden dokument, opatrzony klauzulą tajności – Jones wrócił do stołu i podniósł tekturowe okładki, na których widać było złamaną pieczęć z niebieskiego laku. – Jest to zeznanie esesmana, który trafił do naszej niewoli. – Uniósł na moment głowę. – Okoliczności, w jakich to się stało oraz jego nazwisko są utajnione, nawet przed tym szacownym gronem.

Zeznanie dotyczy eksperymentu przeprowadzonego w Kiesgrube, w pobliżu Stechowitz przy granicy czesko-austriackiej...

Przebiegł wzrokiem tekst, szukając odpowiedniego fragmentu.

– Proszę posłuchać: „Znajdowaliśmy się w potężnym schronie, dwa kilometry od testowanego materiału o niewielkiej objętości, ale wielkiej sile wybuchowej, odpowiadającej pięciuset sześćdziesięciu tonom dynamitu”. – Jones podniósł wzrok i powiedział dobitnie: pięćset sześćdziesiąt ton dynamitu!

Te słowa zrobiły duże wrażenie na zebranych, którzy wiedzieli, że najcięższe bomby używane w tej wojnie nie ważyły więcej niż dziesięć ton, a siła ich wybuchu powodowała pęknięcie największych konstrukcji żelbetowych.

– „W promieniu tysiąca dwustu metrów uwiązano psy, koty oraz kozy, na powierzchni lub w jamach wykopanych w ziemi – czytał dalej Jones. – Widziałem wiele wybuchów, w tym największy, w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, gdy wysadziliśmy francuskie okopy za pomocą trzystu ton dynamitu, ale to, co przeżyłem podczas tej próby, było przerażające. To był ryczący, grmiący, wyjący potwór z falami błyskawic. Huragan przerodził się w falę gorąca tak wielkiego, że myślałem, że zostaniemy uduszeni. Wszystkie zwierzęta na powierzchni i w jamach zostały zabite. Grunt drżał, straszliwy wiatr przetoczył się przez nasz schron. Ziemia została zwęglona. Gdy wybuch ucichł, poczułem straszne gorąco na całym ciele i ogarnęło mnie odrętwienie. Moje gardło było jakby zaklejone. Próbowałem otworzyć oczy, ale powieki były za ciężkie”.

Jones odłożył kartki i spojrzał na twarze zebranych osób – wszyscy patrzyli na niego w skupieniu.

– Uważam, że chodzi o próbę nowej broni, którą Niemcy nazywają bombą z ciężkim powietrzem, Schwere Luft Bomb – podał niemiecką nazwę. – Nie możemy jednak wykluczyć, że chodzi o... bombę atomową niewielkiej mocy.

– Łatwo byłoby to sprawdzić, wskazówką byłby opad radioaktywny po wybuchu – Donovan wzruszył ramionami.

Jones zerknął na cywila siedzącego po stronie Brytyjczyków.

– Profesor Goudsmit ma inne zdanie...

Profesor Samuel Goudsmit, wybitny holenderski fizyk, kierujący tajną misją „Alsos”, wysłaną z Los Alamos do Europy na poszukiwanie niemieckiej bomby atomowej, podniósł głowę.

– Hm..., no..., nie całkiem – powiedział. – Jeżeli Niemcy przeprowadzili próbę, aby sprawdzić słuszność założeń teoretycznych, a nie moc wybuchu, to strukturalne części bomby mogły zostać wyłożone cyrkonem lub bizmutem w osłonie ołowianej. Opad radioaktywny byłby wówczas praktycznie niezauważalny.

– Mam jeszcze jeden dokument – Jones wyjął z innej teczki kilka kartek. – Jest to zeznanie niemieckiego eksperta od rakiet przeciwlotniczych. Oto jego treść: „Na początku października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku poleciałem z Ludwigsluft (na południe od Lubeki) na odległość około dwunastu do piętnastu

kilometrów od poligonu, gdzie testowano bomby atomowe. Zobaczyłem silną, jasną iluminację całej atmosfery, trwającą około dwóch sekund” – Jones sięgnął po inną kartkę. – Jest także opis formowania się słupa dymu, wyglądało to tak: „Chmura o kształcie pieczarki, z wyraźnie widocznymi turbulencjami w środkowej części na wysokości około siedmiu tysięcy metrów, wznosiła się nad miejscem eksplozji. Silne elektryczne zakłócenia uniemożliwiły kontynuowanie łączności radiowej”.

Donovan spojrział na Goudsmita. Ten skinął głową.

– Zeznanie ma cechy prawdziwości – powiedział, trzymając w ustach wypaloną już fajkę. – Tak możemy wyobrazić sobie wybuch atomowy.

– Panie profesorze, misja „Alsos” – Donovan zwrócił się do niego – bada to zagadnienie od sierpnia ubiegłego roku. Proszę powiedzieć jednoznacznie: czy potwierdza pan możliwość zagrożenia ze strony niemieckiej bomby nuklearnej?

– Nie wykluczam, chociaż rezultaty naszych dotychczasowych poszukiwań nie pozwalają na jednoznaczne stwierdzenie, że Niemcy mają broń nuklearną. Ich laboratoria znajdują się we wschodnich rejonach Niemiec. Dopiero gdy nasze wojska przekroczą granicę Rzeszy, będziemy mogli znaleźć więcej materiałów.

Jego autorytet był niekwestionowany i mimo że w czasie wojny zajmował się pracami nad radarem, to przedwojenne osiągnięcia, gdy razem z Georgem E. Uhlenbeckiem odkrył istnienie spinu, co miało ogromne znaczenie naukowe, kazały wierzyć w jego oceny.

– A co rewelacje na temat nowej broni mają wspólnego z ofensywą w Ardenach? – Donovan zwrócił się do Jonesa.

– Zaraz to wyjaśnię, ale przedtem zacytuję zdanie z niedawnego wystąpienia Hitlera, ogłoszonego na spotkaniu z oficerami:

„Bóg wybaczy mi, jeżeli zdecyduję się użyć straszliwej broni w celu zakończenia konfliktu”.

Zamilkł na chwilę, sprawdzając, jakie wrażenie wywarły jego słowa na uczestnikach narady.

– Wracając do pańskiego pytania, przypomnę, że celem niemieckiej ofensywy w Ardenach było dojście do Antwerpii, ale nie po to, aby odciąć nasze wojska od zaopatrzenia, sprowadzanego przez ten port, lecz po to, aby ustawić rakiety w miejscach, z których mogłyby dolecieć do Londynu. Rakiety uzbrojone w głowice z ciężkim powietrzem. Można sobie wyobrazić spustoszenie, jakiego dokonałyby one w naszej stolicy. Co więcej, nie możemy wykluczyć, że rakiety byłyby uzbrojone w głowice atomowe, gdyż uważam, że Niemcy mają tę broń od miesiąca. Taki atak, bez wątpienia, wpłynąłby na dalszy bieg wojny, zmuszając nasz rząd do wystąpienia o zawieszenie broni...

Donovan zwrócił się w stronę Goudsmita.

– To śmiała teza – powiedział po chwili naukowiec. – Jeżeli przyszłoby nam głosować, czy przyjąć ją czy odrzucić, wstrzymałbym się od głosu...

W sali zapadła cisza. Wyważona wypowiedź wybitnego uczonego, naukowego szefa misji badającej możliwości skonstruowania bomby atomowej przez Niemców, zmroziła wszystkich, gdyż uświadomiła im skalę zagrożenia.

Jones poczuł się pewniej.

– Muszę powiedzieć więcej – dodał po chwili. – Cały program budowy rakiet V-2 nie ma sensu, jeżeli rakiety te miałyby być uzbrojone w głowice o wadze jednej tony. Proszę popatrzeć – ponownie skinął na żołnierza, który wybrał odpowiednie zdjęcie i włożył do rzutnika. Na ekranie pojawiła się wielka prostopadłościenna budowla sfotografowana z nisko lecącego samolotu.

– To gigantyczna wyrzutnia V-2 w Eperlecques koło Calais zdobyta przez nasze wojska pół roku temu. Ma dwadzieścia trzy metry wysokości. Grubość stropu wynosi pięć metrów. Stamtąd co pół godziny miała startować rakietą. Łatwo obliczyć: w ciągu doby na Anglię spadłoby czterdzieści osiem rakiet, a więc około czterdziestu ośmiu ton materiału wybuchowego. Przez dziesięć dni – czterysta osiemdziesiąt ton. Dlaczego wybrałem taki okres? Otóż w czasie dziesięciu dni nalotów na Hamburg, nasze samoloty zrzucały na to miasto osiem i pół tysiąca ton bomb, bez mała dwudziestokrotnie więcej, nie angażując tak wielkich środków, jak na badania nad raketami czy ich produkcję.

Jones usiadł, dając znak, że wyczerpał już swoje argumenty.

– Co pan proponuje? – zapytał Donovan. Widać było, że argumenty, jakie usłyszał w czasie tej narady, przekonały go.

– Z naszych ustaleń wynika, że główny zespół niemieckich fizyków działa w Hechingen w Badenii-Wirtembergii, w południowo-zachodnich Niemczech. Należy przygotować specjalną grupę, która w dniu opanowania tego rejonu przez nasze wojska zostanie tam przetrzucona, aby przejąć dokumentację i schwycić niemieckich naukowców. Armia generała Pattona, która kieruje się w stronę południowych Niemiec, nie powinna zatrzymać się na linii wyznaczonej na konferencjach z Rosjanami, lecz dojść jak najdalej na wschód, wkroczyć do Czech, a może nawet podejść do Dolnego Śląska. Potem będziemy Rosjan przepraszać, że nasze oddziały zapędziły się za granice ich strefy.

Komandor Travis uznał, że nadszedł czas, aby on zabrał głos. Podniósł rękę, zwracając na siebie uwagę Donovana.

– Wiele odpowiedzi na pytania zgłoszone przez pana Jonesa, znajdziemy w dokumentach, które mamy, ale których nie potrafimy odczytać, gdyż są zaszyfrowane. Rozszyfrowanie będzie możliwe po zdobyciu materiałów kryptologicznych. Zespół jest już gotowy. Na jego czele stanie komandor porucznik Howard Campaigne.

Campaigne spojrzawszy zaskoczony na szefa Bletchley Park. Rozumiał, że o wszystkim decydowały względy zachowania tajemnicy, ale Travis mógł go uprzedzić, że wystąpi z taką propozycją. Pierwszy raz usłyszał, że ma dowodzić specjalnym zespołem. Gorączkowo zastanawiał się, co powie, gdy Donovan zapyta go o stan przygotowań. Na szczęście Travis nie dał czasu na roztrząsanie sprawy.

– W materiałach, nad którymi pracowaliśmy, pojawiały się informacje o dziwnym urzędzeniu – Travis mówił o niemieckich szyfrogramach odczytywanych w Bletchley Park, ale nie mógł tego powiedzieć otwarcie, ze względu na tajemnicę, jaka otaczała ośrodek. – Mamy podstawy sądzić, że Niemcy potrafią odczytywać rosyjskie depesze, wysyłane z przedstawicielstw dyplomatycznych.

Robią to za pomocą urządzenia, o którym nic nie wiemy. Uważam jednak, że należy potraktować te sygnały bardzo poważnie.

– Radzieckie ambasady używają szyfrów jednorazowych! – Donovan wydawał się zdziwiony. – One są nie do złamania!

– Tak, chyba że udałoby się odtworzyć gamy, używane do szyfrowania dokumentów – zauważył Travis.

– Czy może pan mówić jaśniej? Nie jestem kryptoanalitykiem – Donovan zdawał się być szczególnie zainteresowany uwagą Trvisa.

– Pozwoli pan, generale, że ja to wyjaśnię – Compaigne podniósł się z miejsca. – Komandor porucznik Howard Compaigne – przedstawił się.

– Jest pan Amerykaninem? – Donovan rozpoznał amerykański akcent Compaigne’a.

– Tak jest, oddelegowany z US Navy do Wielkiej Brytanii w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

Podszedł do rzutnika i napisał kilka liter oraz cyfr na kartce, którą włożył do epidiaskopu.

– W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku nasz rodak – skłonił głowę w stronę Donovana – Joseph Mauborgne wymyślił prosty, ale nadzwyczaj skuteczny szyfr. Wyobraźmy sobie, że szyfrant ma zapisać słowo „atak”. Sięga do tabeli, a tak naprawdę, to zna ją na pamięć, i odnajduje, że literze „a” odpowiada liczba 33, literze „t” – 25, „k” – 11; zapisuje więc słowo „atak” jako 33253 311, w kolumnach po pięć cyfr. W ten sposób otrzymujemy pierwszy prymitywny szyfr podstawieniowy, ale to tylko połowa pracy. Szyfrant sięga po dokument, który nazywamy gamą. Jest to kartka z ciągiem cyfr, absolutnie losowych, bez żadnej reguły. I to jest istota tego szyfru: brak reguły i powtarzalności. Załóżmy, że kolejne liczby na tej kartce to 18, 12, 55, 37 i dalej różne następne. Szyfrant dodaje je do tych, którymi zaszyfrował słowo „atak”, czyli do 33 dodaje 18 i uzyskuje sumę 51, dalej do 25 dodaje 12 uzyskując sumę 37, a następnie kolejne 88 i 48.

Donovan wpatrywał się w ekran, zastanawiając się, jak szyfr powstający w taki prosty sposób, może być nie do złamania dla nieprzyjaciela.

– Po tej pracy szyfrant niszczy gamę – mówił dalej Compaigne. – Już sam nie potrafi odczytać słów, które zaszyfrował. Wysyła je do nadawcy, podając w szyfrogramie numer gamy np. 23456 12. Odbiorca wyjmuje z sejfu gamę numer 23456 12, z takim samym ciągiem cyfr, jakich użył nadawca, i zaczyna odczytywać: 51 minus 18 równa się 33, czyli „a”, 37 minus 12 to 25, czyli „t”. Po odczytaniu depeszy niszczy gamę. Do napisania następnego szyfrogramu zostanie użyta inna gama. Dlatego nazywamy to

szyfrem jednorazowym. Jest prosty i nie do odczytania. Nie daje możliwości zastosowania metod na przykład Kasiskiego czy Kerckhoffs'a, bardzo skutecznych w łamaniu innych szyfrów.

– Dlaczego więc wszyscy: Niemcy, Rosjanie, Anglicy, nie stosują powszechnie tego systemu?

– Niestety, tworzenie i rozsyłanie gam oraz zapewnienie bezpieczeństwa temu procesowi jest bardzo trudne, a przy nadzwyczaj natężonej łączności w warunkach wojennych – niemożliwe. Dlatego stosuje się go tam, gdzie jest spokojniej niż na froncie – w dyplomacji.

– Jak Niemcom udało się złamać szyfr nie do złamania?

– Panie generale – Compaigne wrócił na swoje miejsce za stołem – na świecie losowe jest tylko promieniowanie kosmiczne. Wszystko inne ma jakąś regułę. Nawet jeżeli poproszę pana o podanie kilkudziesięciu przypadkowych cyfr, to po starannym zbadaniu może się okazać, że podświadomie użył pan na przykład dat urodzenia dzieci, numeru kołnierzyka i tak dalej. Jeżeli zaś rząd cyfr do gamy układa maszyna, a tak właśnie jest, to działa według jakiegoś algorytmu. Czyli reguła występuje.

– I Niemcy mogli to odkryć?

– Jeżeli rosyjscy szyfranci nie przestrzegaliby obowiązku niszczenia gamy po jednorazowym użyciu, to możliwe byłoby odkrycie reguły przez wroga. Najczęściej złamanie szyfru możliwe jest w wyniku błędów popełnianych przez szyfrantów.

– A zbudowanie maszyny, która tak jak rosyjska tworzyłaby gamy, jest możliwe?

– W takich warunkach, tak.

– Czyli że gdy rosyjska maszyna wystukuje rzędy cyfr do gam, to w tym samym czasie niemiecka maszyna może robić to samo?

– W pewnym sensie tak, choć proces byłby odwrotny. Mając rosyjskie depesze, Niemcy mogliby odtworzyć gamy, jakich użyto do ich napisania, i w rezultacie odczytać szyfr, uważany za nie do złamania!

– Panowie – Donovan spojrzął na zegarek i podniósł się z miejsca – oczekuje mnie premier, musimy więc zakończyć naradę.

Przedstawię projekt powołania grup wywiadu do zadań specjalnych. Proszę o przygotowanie szczegółowych projektów. To dobrze, że na czele zespołu kryptologicznego stanie komandor ... – spojrzął na Compaigne'a.

– Howard Compaigne – odpowiedział Travis.

– Proszę, aby pan komandor Compaigne towarzyszył mi, chciałbym poznać pana opinię na temat osiągnięć Niemców w tej dziedzinie.

Amerykane szybko opuścili salę, w której pozostali tylko Brytyjczycy. Reginald Jones usiadł obok Trvisa.

– Kto to jest ten Compaigne? – zapytał.

– Zdolny facet. Matematyk, był wykładowcą na Uniwersytecie w Minesocie – wyjaśnił Travis. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku wysłał do

dowództwa marynarki wojennej projekt maszyny szyfrującej. Nie zyskał aprobaty, ale zaproponowano mu kurs kryptoanalizy. Z ciekawości zabrał się za to i ukończył kurs w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, tuż przed przystąpieniem Stanów do wojny. Kilka miesięcy później przysłano go do nas.

– Czy nie mógł pan zaproponować na szefa zespołu Anglika? – Jones był wyraźnie niezadowolony z obrotu sprawy.

– Takie polecenie otrzymałem z Londynu – Travis rozłożył ręce. – Mogłem tylko zaproponować najlepszego Amerykanina.

– Obawiam się, że obsadzają swoimi ludźmi najważniejsze pozycje wywiadowcze – Jones przysunął się bliżej do Trávisa. – Wie pan, komandorze, co to oznacza? Będą mieli wszystkie niemieckie tajemnice, którymi nie podzielą się z nami!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W czasie drogi powrotnej z Marklissy Anna Maria i Jorg nie rozmawiali, wymienili tylko kilka zdawkowych uwag na temat sytuacji w mieście. Dopiero gdy minęli bramę zamku, dziewczyna powiedziała:

– Proszę mi wybaczyć, jestem w fatalnym nastroju. Świadomość tego, co stanie się z nami za kilkanaście tygodni, paraliżuje mnie.

– Zapewne pani wyjedzie na zachód i po wojnie wróci tutaj, oczywiście, jeżeli zamek nie zostanie zniszczony. Ale skoro stoi z sześćset czy siedemset lat, to przetrwa i tę wojnę.

Nie odpowiedziała. Wsiadła z samochodu i otworzyła bagażnik, aby wyjąć sprawunki. Jorg podążył za nią.

– Liczę na to, że zabierze mnie pani ponownie do Marklissy. Spojrzała na niego w ten sam sposób, jak wtedy, gdy wymieniała swoje nazwisko. To go zastanowiło.

– Nie powinien pan ze mną przebywać zbyt często, panie kapitanie.

– A to dlaczego?

– Dla własnego bezpieczeństwa – podeszła tak blisko, że poczuł zapach jej perfum.

– Czym może mi grozić przejazdka z siostrzenicą właściciela zamku? Samochód prowadzi pani doskonale – usiłował rozładować sytuację, wyczuwając, że ich rozmowa nabiera niezamierzonego charakteru, gdyż mimo woli dotknął jakiejś tajemnicy tej pięknej dziewczyny.

Zdawała się nie słyszeć jego żartu.

– Jestem Anna Maria Solof. Solof – powtórzyła. Najwyraźniej nie miała ochoty niczego więcej wyjaśniać. Pochylił się, aby przejąć od niej paczki.

– Dziękuję, poradzę sobie sama. Do zobaczenia, kapitanie – zatrzasnęła klapę bagażnika i poszła do zamku, pozostawiając przy samochodzie zakłopotanego Jorga.

Nie miał czasu rozważyć jej zachowania, gdyż nagle przypomniał sobie o bibułce przyklejonej plastrem do banknotu. Rozejrzał się szybko, czy nikt nie zwraca na niego uwagi, i ruszył w stronę zamku. Gdy tylko wszedł od holu, skierował się natychmiast do toalety. Sprawdzał szybko, czy kabiny są puste, i wszedł do jednej z nich, starannie zamykając drzwi. Powiesił płaszcz, wyjął z kieszeni banknot i odkleił bibułkę.

„Pracuję codziennie od 14.00 do 22.00. W kościele ewang. bywam w niedziele o 11.00. Wracam przez cmentarz, aby zapalić świeczkę na grobie Krugerów”.

Podarł bibułkę na drobne kawałki i wrzucił do muszli. Odczekał moment, aż skrawki nasiąkną, i spuścił wodę, sprawdzając, czy żaden nie przykleił się do ścianek sedesu.

Wszedł na korytarz, powtarzając w myśli informację zapisaną na kartce. Nagle

zauważył, że przed nim pojawił się mężczyzna.

– Kapitan Jorg, jeśli się nie mylę – powiedział niespodziewanie, wyciągając rękę na powitanie. – Jestem Kunze, profesor Kunze.

Jorg przyjrzał mu się bacznie. Średniego wzrostu, z siwymi włosami i takim samym niewielkim wąsem, wydawał się człowiekiem sympatycznym i szczerym. Był znakomitym matematykiem i kryptologiem, ale od tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku słuch o nim zaginął. Jorg nawet zastanawiał się, czy nie związał się on ze spiskowcami, którzy chcieli zabić Hitlera, i nie został zgładzony po nieudanym zamachu w „Wilczym Szańcu”.

– Cieszę się, że mogę pana poznać. – Jorg omal nie powiedział, że cieszy go widok profesora żywego.

– Za długo trwa pana bezczynność, Jorg. Jest mi pan potrzebny – Kunze przetrzymał jego dłoń w mocnym uścisku. – Spotkamy się wkrótce. – Niespodziewanie odwrócił się i poszedł w stronę schodów prowadzących na piętro.

Glöbcke przeglądał właśnie raporty z frontu, przywiezione nad ranem przez łącznika z dowództwa, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Kunze, z za którego pleców, sekretarka dawała znaki, że wszedł, nie pytając o pozwolenie.

– To już przekracza wszelkie granice! – krzyknął. – Pan, Obersturmbannführer, przekracza wszelkie granice!

– Proszę się nie denerwować, profesorze – Glöbcke odłożył dokumenty i podniósł się z biurka. Uśmiechał się, zdecydowany miłym zachowaniem rozproszyć gniew naukowca. – O co chodzi?

– Od miesiąca upominam się o dodatkowych ludzi, nie mogąc sobie poradzić z nawałem pracy. Jak ważnej, to pan dobrze wie. Przysyłają wreszcie człowieka. Jednego, zamiast dziesięciu, a pan nie pozwala włączyć go do zespołu! To skandal, panie Obersturmbannführer Glöbcke !

Kunze niespodziewanie zmienił nastrój, jakby podniesiony głos był jedynie przemyślanym zagranem, mającym zrobić wrażenie na gestapowcu. Podszedł do Glöbckego i spojrzał mu prosto w oczy.

– Jeżeli jutro kapitan Jorg nie będzie mógł wejść do strefy, którą pan nazywa „X”, zadzwonię do Berlina!

Glöbcke odwrócił się do Beera, stojącego obok biurka.

– Zostaw nas samych.

Odczekał chwilę, aż współpracownik wyjdzie z pokoju. Nie chciał mieć świadków starcia z szefem zespołu kryptologów. Znał dobrze tego drobnego mężczyznę i wiedział, że potrafi działać z niezwykłą konsekwencją, zawsze osiągając to, do czego zmierzał. Uznał jednak, że w zamku, o którego bezpieczeństwo on dbał, profesor nie może stawiać żądań.

– Proszę – Glöbcke odsunął się od biurka. – Proszę – wskazał na telefon.

Kunze bez chwili zastanowienia wziął słuchawkę i nacisnął na widełki.

– Mówi profesor Kunze. Proszę mnie połączyć z Berlinem, z gabinetem marszałka Rzeszy Göringa!

Tego Glöbcke się nie spodziewał. Zrozumiał, że profesor nie zamierza go straszyć, lecz za chwilę zacznie żalić się marszałkowi Rzeszy! Czyżby sekretarka w Berlinie, znała tak dobrze nazwisko Kunzego, że słysząc je, gotowa była połączyć go z szefem?

– Dobrze, wygrał pan – powiedział spokojnie Glöbcke .

– Proszę powtórzyć... – Kunze nie odkładał słuchawki.

– Wyrażam zgodę na podjęcie przez Jorga pracy w strefie „X”, bezzwłocznie – powiedział.

– Proszę odwołać rozmowę z Berlinem – rzucił Kunze do mikrofonu i odłożył słuchawkę. – Dziękuję, liczę, że za kilka minut Jorg otrzyma niezbędne przepustki i stawi się u mnie.

Odwrócił się na pięcie i machając dłonią, jakby dyrygował orkiestrą lub wybijał takt znanej melodii, wyszedł z pokoju.

Glöbcke patrzył za nim wściekły. Czuł się upokorzony.

W drzwiach stanął Beer.

– Czego chciał? Glöbcke wrócił za biurko.

– Zastrzelę go przy pierwszej okazji, gdy przestanie być potrzebny. Przygotuj przepustkę dla Jorga do strefy „K”. Co zameldowali z Marklissy?

– Niewiele. Oglądał rynek i poszedł do restauracji hotelu „Pod Jeleniem”. Wypił kawę, zapalił papierosa, przejrzał gazetę i przyszła po niego panienska dziedziczka, która załatwiała babskie sprawy w mieście. To wszystko.

– Pilnować go przez cały czas. Jeżeli pojedzie znowu do Marklissy albo do Lauban* wysłać za nim ludzi.

– Tak jest. I jeszcze jedno: w restauracji hotelu „Pod Jeleniem” pracuje nowa kelnerka. Podobno ładna.

– Sprawdź ją.

Jorg odebrał z bufetu talerz z ziemistym sosem pokrywającym ziemniaki, spomiędzy których wystawały kawałki mięsa. Wygląd i zapach dania nie zachęcały do jedzenia, ale był głodny. Żałował, że nie zamówił czegoś w hotelu „Pod Jeleniem”.

W drzwiach stanął Kunze. Rozejrzył się po sali i, dostrzegając Jorga, podszedł do jego stolika. Odsunął krzesło i usiadł obok.

– Otrzymałem właśnie wiadomość, że może pan podjąć pracę w moim zespole. Niech pan zje spokojnie i każe oficerowi dyżurnemu zaprowadzić się do mojego gabinetu – wstał od stołu, ale zatrzymał się na moment i dodał z uśmiechem: – W strefie „X”. I jak to brzmi? Czekam na pana.

Odszedł szybko, pozostawiając zaskoczonego Jorga, który ledwo zdążył poderwać się na równe nogi.

Beer dojechał do dużego budynku z czerwonej cegły przy rynku i zatrzymał samochód. Był w szarym garniturze, na który narzucił krótką kurtkę. Wybierając się wieczorem do Marklissy, uznał, że lepiej będzie pojechać tam w cywilnych łachach, jak zwykł nazywać wszystko, co nie było mundurem. Czuł się fatalnie w cywilnym ubraniu. Od dawna żałował, że wraz z rozpoczęciem wojny esesmanom kazano zamienić czarne mundury na bardziej przydatne w kolorze feldgrau. Policjant, pełniący wartę przy schodach prowadzących do drzwi z dużym napisem „Polizei”, zasalutował na jego widok. Znali go dobrze na tym posterunku. Beer odpowiedział, podnosząc rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Od razu poczuł, że jest na służbie, i lekko wbiegł na górę.

Komendant, zwalisty mężczyzna z protezą zamiast prawej dłoni, wyszedł mu na spotkanie.

– Dzwonili z zamku, że pan przyjedzie. Ledwo pana poznałem w tych cywilnych szmatach – specjalnie użył tego określenia, wiedząc, jak Beer jest przywiązany do munduru. Ten uśmiechnął się z zadowoleniem i, pamiętając o kalectwie komendanta, wyciągnął na powitanie lewą rękę.

– Chciałbym, żeby wezwał pan właściciela „Pod Jeleniem”. Chcę zadać mu parę pytań, a nie chcę iść do hotelu.

– Poślę policjanta. Niech pan wejdzie do mnie – otworzył drzwi do dyżurki, gdzie swąd topionej słoniny mieszał się z odorem taniego tytoniu. Beer z niechęcią rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu zastawionym szafami z aktami i półkami z bronią różnego kalibru.

– A można zapytać, o co chodzi?

– To dyskretna sprawa. Kogo meldowaliście ostatnio? – Beer podszedł do półki z aktami. Wciąż był w kurtce, ale po chwili, czując ciepło buchające od żelaznego piecyka w kącie, na którym stał garnek ze słoniną, zdjął okrycie i usiadł przy stole.

– Kilkadziesiąt osób zatrzymało się w hotelu. Sporo w szkole. Uciekają przed Rosjanami. Nie wszystkich dało się zarejestrować – odpowiedział komendant z obawą, że Beer, znany mu ze służbistości, zacznie sprawdzać akta. – Mam mało ludzi, wszystkich młodych zabrano na front – dodał na usprawiedliwienie.

– Chodzi mi o kelnerkę. Tę nową w restauracji „Pod Jeleniem” – wyjaśnił Beer.

– A tak – komendant uspokoił się. Zdjął z półki książkę meldunkową. Przez chwilę przewracał kartki, aż znalazł nazwisko.

– Natalia Kohl – odczytał. – Niemka, urodzona w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku w Prusach Wschodnich, tam mieszkała na stałe. Ewakuowana z grupą uchodźców.

– Ma dwadzieścia pięć lat – skonstatował Beer.

Rozległo się pukanie do drzwi i na progu pojawił się policjant; za nim stał właściciel „Pod Jeleniem”.

– Dzień dobry, panie Luge – powiedział przyjaźnie komendant, odsuwając krzesło od

stołu. – Przepraszam, że pana fatygowałem, ale SS-Untersturmführer Beer chciał zadać panu kilka pytań, a wolał nie robić tego w hotelu.

– Co obowiązek, to obowiązek – ochoczo powiedział Luge, rozsiadając się przy stole.

– Natalia Kohl to nowa kelnerka? – zaczął Beer.

– Tak, zatrudniłem ją trzy dni temu. Ewakuowana ze wschodu. Trzeba pomagać rodakom. Coś złego?

– Nie, panie Luge. Musimy wiedzieć wszystko o obcych w naszym mieście – wyjaśnił Beer, choć sam przybył na te tereny kilka miesięcy wcześniej. – Co pan o niej wie?

– Dobra dziewczyna. Jej mąż zginął na froncie wschodnim w czterdziestym trzecim. Pokazywała zdjęcie, miał Krzyż Żelazny. Dzieci nie ma. Chyba już przeboleła tę stratę, bo zalotna do oficerów. Co tu więcej powiedzieć? – czekał, aż Beer zada mu pytanie, ale ten był zajęty notowaniem. – Żonie to się nie podoba, aleja tam nie widzę nic złego, że się uśmiecha do naszych chłopców. Może nowego męża szuka...

– Gdzie mieszka?

– Wynajęła pokój na Rosenstrasse cztery, u niejakiej Chrabąszcz...

– Co? – przerwał Beer, słysząc dziwną zbitkę dźwięków.

– To Polka, folksdojczka. Ewelina Chrabąszcz.

– Jak to się pisze? – Beer zastanawiał się przez chwilę, ale machnął ręką. – Nie ma pan żadnych uwag?

– Nie, dlaczego? Czysta, dobrze pracuje, chętna do pomocy.

– Dużo ma pan gości w hotelu?

– Wszystkich zameldowałem.

– Panie Luge, jakby pan coś zauważył, coś, co nie spodobałoby się panu w zachowaniu ludzi w hotelu, niech pan do mnie zadzwoni. Do zamku.

– Tak jest – Luge podniósł się z krzesła i nałożył kapelusz.

– I ani słowa o naszej rozmowie – Beer zamknął notatnik. – To tajemnica służbowa. Zrozumiał pan?

– Tak jest – powtórzył Luge, zmiierzając do drzwi. Ukłonił się i szybko wyszedł. Beer też wstał.

– Ewakuowana ze wschodu, wdowa po dzielnym żołnierzu, dobrze pracuje i w dodatku ładna. Warto by ją poznać – wyciągnął lewą rękę do komendanta.

Wyszedł szybko, zadowolony, że znalazł się na dworze; miał już dość zatęchłego powietrza dyżurki.

Jorg zszedł stromymi schodami prowadzącymi do dużej sali. Dwukrotnie sprawdzano jego nową przepustkę na żółtym kartoniku, na którym duże czarne „X” oznaczało, że uzyskał wstęp do najtajniejszej części zamku.

* Obecnie Lubań.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Howard Compaigne wysiadł z samochodu, który zatrzymał się przed kadłubem dakoty stojącej na murawie lotniska w Northolt, w północnej części Londynu. Zadarł głowę i przez kilka sekund przypatrywał się ciężkim chmurom nadciągającym od północy. Dostrzegł, że przez boczne okienko kabiny wychylił się pilot.

– Porucznik pilot Hanke! – krzyknął, przedstawiając się. – Na razie nie mamy zgody na start. Nad kanałem sztormowa pogoda. Niech pan wróci do baraku. Przekazali mi właśnie informację przez radio, że czekają na pana u komendanta lotniska.

Compaigne skinął głową i wszedł do samochodu, zastanawiając się, co takiego mogło się zdarzyć, że tuż przed odlotem odwołano jego podróż na kontynent. Przez ostatnie dwa tygodnie przygotowywał się do tej wyprawy, analizując raporty wywiadowcze, oceny sytuacji na froncie zachodnim, planowane kierunki uderzeń wojsk amerykańskich na południu, a także dobierając ludzi do swojego zespołu. Zebrał grupę pięciu kryptologów, których znał dobrze z Bletchley Park, i przez ostatnie dni czytali wspólnie wszystkie materiały na temat organizacji niemieckich służb kryptologicznych i ich szyfrów. Pracowali całymi dniami i nocami, niewiele znajdując czasu na sen. Dlatego z zadowoleniem myślał o locie do Paryża, sądząc, że tam będzie mógł się wyspać, zanim, w ślad za trzecią armią generała Pattona, ruszy do Niemiec.

Samochód zatrzymał się przed barakiem pomalowanym w maskujące łaty, nad którym górowała wieża kontrolna. Compaigne wspiął się po metalowych schodach na piętro i przeszedł przez długi korytarz, odnajdując na jego końcu drzwi do gabinetu komendanta.

Komendant wyglądał jak typowy Anglik, z krótko przyciętym wąsem i kręconymi włosami, opadającymi na czoło. W gabinecie był jeszcze jeden mężczyzna w mundurze wojsk lądowych w stopniu pułkownika. Na ramieniu miał czerwoną półkolistą naszywkę z wyhaftowanym napisem „Poland”.

– Melduje się komandor porucznik Howard Compaigne – podniósł rękę do daszka.

Pułkownik podszedł do niego i wyciągnął rękę:

– Pułkownik Stanisław Gano z wywiadu Polskich Sił Zbrojnych.

– Zostawiam panów – komendant wziął czapkę z biurka. – W moim gabinecie możecie panowie rozmawiać całkowicie otwarcie. Proszę częstować się cygarami.

Zasalutował i szybko zamknął za sobą drzwi.

– Dobrze, że odlot się opóźnił, gdyż muszę z panem porozmawiać – powiedział pułkownik Gano.

– Bez obrazy, ale czy wy, Polacy, musicie robić wszystko w ostatniej chwili? –

Compaigne uśmiechnął się, maskując irytację.

– Pod tym względem mamy wiele wspólnego z Amerykanami – Gano usiadł na wyplatany wiklinowym fotelu i otworzył pudełko cygar stojące na biurku. – Nasz gospodarz pali niezłe hawany – wyciągnął pudełko w stronę Compaigne’a, ale ten pokręcił głową.

– Wolę papierosy – wyjął z kieszeni kurtki paczkę chesterfieldów.

– Dowiedziałem się późno o pana misji – Gano starannie przypalił cygaro i wypuścił kłąb dymu. – Niezłe... Zgasił zapałkę i wrzucił do popielniczki.

– Nic dziwnego, skoro jest to misja tajna... – dodał uśmiechając się.

– No właśnie, dziwi mnie, że pan dowiedział się o tym – Compaigne wciąż badawczo patrzył na oficera o sympatycznej twarzy, z której jednak nie można było wyczytać żadnej informacji o charakterze i przyzwyczajeniach tego człowieka.

Gano udał, że nie usłyszał tej uwagi.

– Wiem, że pana celem jest Dolny Śląsk. Nie możemy panu pomóc, gdyż na tym terenie nie mamy siatek wywiadowczych. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Gestapo zlikwidowało oddział Armii Krajowej we Wrocławiu, czyli Breslau. Nie udało się go odbudować, ale może pojawią się pewne możliwości...

– Co to znaczy? – Compaigne zdecydował się usiąść naprzeciw pułkownika. Zrozumiał, że rozmowa może być ważna dla jego misji.

– Chcę wskazać panu ważny ślad, choć nie wiem, na ile ważny i czy uda się panu go wykorzystać.

– Zamieniam się w słuch.

– Musi pan poznać tę historię od początku. W grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku na moście na Sanie, w południowo-wschodniej Polsce, Gestapo z Rzeszowa oraz NKWD ze Lwowa dokonywały wymiany więźniów, zgodnie z umową Mołotowa i Ribbentropa. Tego dnia tylko Sowieci oddawali swoich więźniów Niemcom. Do gestapowca nadzorującego tę operację zgłosił się oficer Abwehry i pokazał mu dokument, nakazujący przekazanie jednego z więźniów. Chodziło o kapitana Andrzeja Czernego z naszego wywiadu wojskowego, który dostał się do niewoli po siedemnastym wrześniu, gdy Sowieci dokonali najazdu na nasze ziemie. Więzień został odprowadzony do samochodu oficera Abwehry...

– Czy pan sądzi, że może to mieć coś wspólnego z moją misją? – Compaigne zaczynał się niecierpliwić. Denerwował go ten polski oficer, który nagle zjawiał się tuż przed odlotem, tak ważnym dla niego i, wykorzystując złą pogodę, opowiadał mu o wydarzeniach z początku wojny.

Gano pochylił się nad stolikiem.

– Niech pan słucha uważnie i nie przerywa. Najciekawsze dopiero się zacznie.

Wypuścił dym z cygara.

– Oficer zawiózł więźnia do lasu. Dał mu plecak z zapasem żywności na kilka dni, dużą kwotę pieniędzy i mapę, wskazał kierunek do granicy z Rumunią i puścił wolno.

Dziwne zachowanie jak na oficera Abwehry, nieprawdaż?

Compaigne wzruszył ramionami.

– Czyżby ten oficer Abwehry szukał kontaktu z wami, a więzień miał stać się łącznikiem?

– Jest pan niecierpliwy, panie komandorze, i ciągle mi przerywa. Niech pan posłucha jeszcze kilka minut.

– Przepraszam – mruknął Compaigne.

– Kapitan Czerny zapytał niemieckiego oficera, dlaczego to robi. Ten odpowiedział, że ma do niego prośbę, taką mianowicie, żeby, gdy dotrze do Paryża, zadzwonił pod numer, który mu podał, i powiedział, że przekazuje pozdrowienia od Joachima Broka.

Czerny myślał początkowo, że Niemiec usiłuje nakłonić go do podjęcia współpracy z ich wywiadem, ale jego zachowanie nie potwierdzało obaw. Niestety, podróż do Rumunii trwała zbyt długo. Czerny został schwytany przez Sowietów, ci wysłali go do obozu, ale po drodze zdołał zbiec. Do Bukaresztu, gdzie zgłosił się do ambasady, dojechał w końcu kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Opowiedział o dziwnym wydarzeniu na granicy.

Gano wstał i podszedł do okna. Na szybach pojawiły się krople deszczu.

– Pogoda wciąż paskudna, więc pana odlot do Paryża nie nastąpi tak szybko – oznajmił. Spojrzał na rękaw, widoczny na skraju pasa startowego. – Wiatr się nasila.

– Nie szkodzi, zaciekawiała mnie pana opowieść – Compaigne stawał się uprzejmy.

– Traf chciał, że Czernego w ambasadzie przesłuchiwał oficer kierujący przed wojną placówką polskiego Sztabu Głównego w Gdańsku. W tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku podsunęli Sowietom agenta. To była piękna operacja – Gano wrócił na swoje miejsce. – Wykorzystali, że we wrześniu tamtego roku niemiecka policja rozbiła komórkę niemieckiej partii komunistycznej. Aresztowano i wysłano do obozu całą rodzinę przywódcy niejakiego Helmutha Nowaka. Uratował się tylko najstarszy syn, Joachim, który usiłował zbiec do Sowietów, ale na granicy polsko-litewskiej wpadł w ręce KOP-u, naszej służby granicznej. Zgodził się z nami współpracować. Przygotowaliśmy więc „sobowtóra”. Był podobny do tego Joachima tak bardzo, że nie trzeba było zmieniać zdjęcia w dowodzie osobistym. W grudniu tegoż roku przeszedł przez Litwę do Sowietów. Przyjęli go, oczywiście, po dokładnym sprawdzeniu. Potrzebowali Niemców. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, szczytowym okresie stalinowskich czystek, kontakt z naszym agentem się urwał, nie udało nam się go odtworzyć do wybuchu wojny. Nie wiedzieliśmy, czy Joachim nie został zdemaskowany i zamordowany.

– Sądzi pan, że był to oficer, który zwolnił Czernego?

– Wiele na to wskazuje, choć nie wiemy, w jaki sposób Sowietci podsunęli go Niemcom, skoro był w mundurze Abwehry, i to w stopniu porucznika. Należy sądzić, że wykorzystał swoją pozycję, aby wysłać kilku innych ludzi, jako łączników, lecz do nas dotarł tylko jeden – kapitan Czerny. Zanim jednak sprawdziliśmy go i zezwoliliśmy na

działanie, Niemcy uderzyli na Francję. Pod paryskim numerem telefonu nikt się nie odzywał, a w atmosferze klęski poszukiwanie tego człowieka było niemożliwe. Czułem, że straciliśmy wiele. Proszę pomyśleć: na granicy oficer Abwehry zabiera gestapowcom sprzed nosa ważnego więźnia. Oznaczało to, że musiał mieć bardzo mocne poparcie. Może nawet samego Canarisa!

– Jeżeli ten wasz oficer działał za wiedzą Canarisa, to dlaczego szef Abwehry chciał nawiązać kontakt akurat z Polakami, a nie Brytyjczykami czy Francuzami?

– To wcale nie wydaje się dziwne. Canaris nie był zdrajcą, a podjęcie współpracy z Brytyjczykami można byłoby uznać za zdradę. Kontakt z Polakami można byłoby tłumaczyć pewnym zadośćuczynieniem za brutalną napaść we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Takie moralne alibi dla współdziałania z wrogiem, przeciw nazizmowi. To oczywiście moje wyjaśnienie...

– Nie miał pan możliwości zweryfikowania tych ocen, gdyż łączność z tym dobrym Niemcem nie została nawiązana.

– Nie do końca, panie komandorze. Odniosłem wrażenie, że oficer Abwehry, pozostał przy imieniu Joachim, co pewien czas, powiedzmy, co kilka miesięcy, przekazywał nam szczególnie ważne wiadomości...

– Przecież nie miał z wami stałej łączności!

– Wykorzystywał okazje. Mógłbym powiedzieć, że potwierdziły się moje oceny, że ktoś bardzo wysoko postawiony w Abwehrze umożliwiał mu komunikowanie się z nami za pośrednictwem specjalnych kurierów, którym Abwehra umożliwiała wyjazd z Polski i których ochraniała na trasie do Szwajcarii. A także przez członków podziemia, którym umożliwiono ucieczkę z więzień w Polsce albo we Francji.

– Czy może pan ujawnić, jakiego typu informacje przesyłał ten Joachim?

Gano zaczął się śmiać.

– Mogę, choć pomyśli pan, że ja, szef polskiego wywiadu, opowiadam panu bajki, aby udowodnić, jacy to ważni jesteśmy w tej wojnie...

Po chwili spoważniał i zaczął mówić wolno i dobitnie:

– Te informacje są decydujące dla biegu wojny! Może pan to sprawdzić w raportach, które przekazywałem szefom Secret Intelligence Service. Niech pan to zrobi szybko. Lada dzień te raporty zaginą albo spłoną w pożarze!

– Zdziwiał mnie pan, pułkowniku!

– A jak pan sądzi, skąd Brytyjczycy nagle dowiedzieli się o rakietach V-2?

– Otrzymali raport ze Szwecji w sprawie znalezionej tam rakiety, która spadła po próbnym locie i nie eksplodowała.

– Owszem, ale pół roku wcześniej dostali meldunek numer 341 z Polski, opracowany przez wywiad podziemia i przewieziony przez naszego kuriera. Do rzeczy; od Joachima dowiedzieliśmy się bardzo dużo o niemieckich rakietach i szyfrach. Niemożliwe, by jeden człowiek zdobył tyle informacji, musiał więc działać jako członek opozycyjnej grupy. Nie wiem, co się z nim stało po rozwiązaniu Abwehry. Być może przystąpił do

grupy spiskowców, którzy przygotowali zamach na Hitlera, i zginął rozstrzelany lub powieszony. Od lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku nie odezwał się.

– Wybaczy pan, pułkowniku – Compaigne podniósł się z fotela. – Jednego nie rozumiem. Dlaczego opowiada mi pan historię waszego szpiega, do którego nie macie dostępu? Czyżby uważał pan, że ja mogę go odnaleźć?

Gano skinął głową.

– To ciekawe – Compaigne uśmiechnął się. – A w jaki sposób? Mam dać ogłoszenie w gazecie? Gano ponownie skinął głową.

– Tak, właśnie o to chodzi.

– Pan żartuje, prawda? – Compaigne wydawał się zbity z tropu.

– Za kilka godzin będzie pan w Paryżu i pozostanie tam do czasu przekroczenia Renu przez wojska amerykańskie, a więc przez kilka tygodni. To dość czasu, aby odnalazł pan właściciela telefonu, do którego miał zadzwonić kapitan Czerny. Może pan dać ogłoszenie: „Joachim, czekam na ciebie. Zadzwonź pod numer 366-366”. Być może będzie to niepotrzebne, gdyż ten człowiek powrócił do swojego mieszkania po wyzwoleniu Paryża i wystarczy zadzwonić pod ten numer.

– Stało się to w sierpniu czterdziestego czwartego roku, a więc bez mała pół roku temu. Mieliście wystarczająco dużo czasu, aby odnaleźć tego człowieka. Nie zrobiliście tego...

– Nie zrobilibyśmy niczego, co mogłoby narazić Joachima. Teraz zamilkł. Należy więc sprawdzić, czy żyje. Jeżeli tak, może pan uzyskać niezwykłą pomoc w realizacji swojej misji.

– Z całym szacunkiem, ale nie jest pan moim zwierzchnikiem i nie sądzi pan chyba, że przyjmę od pana rozkaz!

– Przecież to oczywiste, że nie prowadziłbym z panem tej rozmowy bez wiedzy pana zwierzchników. Prosiłem, żeby zostawili nas samych ze względu na szczególną tajemnicę, jaką otoczyliśmy Joachima. O tym agencie dotychczas wiedziało tylko trzech ludzi. Teraz wie czterech. To, że opowiedziałem tak dużo, jest wyrazem szczególnego zaufania do pana, komandorze Compaigne – Gano mówił spokojnie, ale Amerykanin wyczuwał jego przewagę. Nie odzywał się. W milczeniu sięgnął po papierosa.

– Przecież doskonale pan rozumie, dlaczego spotkaliśmy się tuż przed pana odlotem do Paryża – mówił dalej Gano. – Nie chodziło o pogodę, ale o to, żeby nie miał pan kontaktu z nikim w Londynie. Chodziło również o to, abyśmy rozmawiali w pomieszczeniu, w którym nikt nie spodziewał się naszej obecności, i w którym na pewno nie ma podsłuchu. Niech pan to rozważy, panie komandorze.

Gano podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Nie przyszedłem po to, aby wydawać panu rozkazy. Oddaję panu wielką tajemnicę, która może mieć ogromne znaczenie dla wyników pana misji. Decyzja, czy w Paryżu będzie pan starał się odnaleźć osobę, którą wskazałem w naszej rozmowie, należy do pana.

Compaigne patrzył w milczeniu, jak pułkownik Gano wkłada czapkę i idzie do drzwi. Już z ręką na klamce powiedział:

– I jeszcze jedno: sprawa Joachima nie dotyczy tej wojny, gdyż ona została już wygrana. Musimy walczyć o to, co będzie po zwycięstwie. Powodzenia, panie komandorze.

Drzwi zamknęły się i Compaigne pozostał sam. Był wściekły na siebie, że źle ocenił intencje Polaka. Podbiegł do drzwi, otworzył je z rozmachem i nagle dostrzegł, że Gano nie odszedł, lecz stoi kilka kroków dalej, jakby czekając.

– Tak, panie komandorze? – podniósł głowę, spoglądając z uśmiechem na Compaigne’a.

– Przepraszam – powiedział Amerykanin.

– Nie ma za co – Gano ponownie się uśmiechnął. – Czekałem, aby panu powiedzieć, że w Paryżu pomocy udzieli panu major Andrzej Czerny. Awansował od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Powinien pan włączyć go do swojej grupy, jeżeli oczywiście uzna pan to za stosowne. Łatwo pan go znajdzie. Zainstalowaliśmy go w „Hotelu Szwajcarskim”. Drogi, ale zdecydowałem się pokryć wydatki majora, żeby nie musiał go pan długo szukać. Ale niech pan mu powie, że jeżeli będzie chciał tam pozostać dłużej, to na swój koszt.

Gano zasalutował i odwrócił się. W końcu korytarza minął komendanta lotniska, który szybko podszedł do Compaigne’a.

– Niech pan się zbiera, komandorze. Pogoda poprawiła się na tyle, że może pan lecieć.

– Wie pan, pułkowniku – Compaigne narzucił płaszcz na ramiona – zawsze sądziłem, że pogoda to sprawa Boga, ale teraz zacznę myśleć, że to Polacy o niej decydują.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jorg stanął na progu pokoiku, który nazywano gabinetem szefa. Niskie pomieszczenie, bez okna, jasno oświetlone żarówką przysłoniętą pękniętym białym kloszem było zavalone papierami, które piętrzyły się stertami we wszystkich możliwych miejscach.

– Niech pana nie zwiedzie widok tego bałaganu – odezwał się za jego plecami profesor Kunze. – Wbrew pozorom, dokumenty są starannie posegregowane. A drzwi nie zamykam, bo nikt niepowołany nie może się tutaj dostać. Pan już to wie.

Jorg skinął głową. Na korytarzach prowadzących do strefy „X” trzykrotnie sprawdzano jego nową przepustkę – żółty kartonik ze zdjęciem, oznaczony wielką czarną literą „X”.

– Niech pan wejdzie – profesor wskazał na krzesło przy stoliku, na którym było trochę wolnego miejsca. Postawił tam porcelitowy kubek z kawą i metalowe pudełko z cukrem.

– Kawa prawdziwa, cukier też – pochwalił się. – Wywalczyłem to w administracji. Jak się ślęczy całymi dniami i nocami nad rzędami cyfr, to musi być kawa, a nie jakaś lura.

Jorg wsypał łyżeczkę cukru do kubka.

– Zastanawia pana, co za dokumenty leżą dookoła na stertach? Powiem panu: wielokrotnie używane szyfry jednorazowe.

– Jak to? – Jorg wydawał się zaskoczony. – Nie rozumiem...

– To są rosyjskie szyfry ze stycznia i lutego tego roku, chociaż cała sprawa jest znacznie starsza. Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku stwierdziliśmy, że Rosjanie zaczęli wielokrotnie używać tych samych gam, choć, jak pan wie, powinni je niszczyć po jednorazowym użyciu. Nie wiem, dlaczego tak zrobili. Jedyne wyjaśnienie mogła być sytuacja na froncie i pogłębiające się w związku z tym chaos, lęk, represje i, oczywiście, asekuranctwo, a także wzmożona łączność. Gamy zużywały się szybciej, niż zdołali je wytwarzać i dostarczać. Jak pan wie, największą wadą systemu jednorazowego jest bardzo skomplikowany i czasochłonny sposób dystrybuowania gam, w dodatku wymagający żelaznej dyscypliny. Nic więc dziwnego, że fala demoralizacji, która w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku objęła radziecki rząd i wojsko, dotarła również do szyfrantów. W rezultacie ich błędów uzyskaliśmy bezcenny materiał porównawczy.

– Chce pan powiedzieć, że złamał pan algorytm rosyjskich szyfrów jednorazowych!?

– Jorg wstał. – Przecież to niemożliwe! Kunze patrzył na niego badawczo. Milczał przez chwilę.

– Myli się pan. Rosjanie w okresie międzywojennym wprowadzili maszyny wytwarzające gamy. Zapewne konstruktor i ci, którzy zdecydowali się je zastosować, dostali wysokie nagrody i ordery. Nie byli to głupcy. Zapewne przewidzieli, że codziennie trzeba zmieniać wałki lub tryby, aby ciągi liczb wypisywanych przez maszynę nie miały żadnej prawidłowości. Tyle że po wybuchu wojny wszyscy o tym zapomnieli. Nikt nie sprawdzał, jak często zmieniano ustawienia maszyny. A ta powielała ten sam wzór.

– Między stwierdzeniem tego faktu a odczytaniem metody tworzenia gam jest nieprzekraczalna przepaść! Kunze uśmiechnął się.

– Niech pan idzie za mną...

Zeszli wąskimi kamiennymi schodkami do pomieszczenia o łukowym sklepieniu, przypominającego piwnicę win, z której wyniesiono butelki i zdemontowano półki, instalując metalowe szafy w kolorze zgniłej zieleni. Szafy stały na masywnych cokołach, które Jorg uznał początkowo za drewniane, ale szybko się przekonał, że deski osłaniały metalowe rury, w których biegły kable wychodzące z maszyn.

– To jest tajemnica zamku – Kunze zatoczył ręką łuk. – Można by powiedzieć: maszyna do liczenia.

Na ścianie, za każdą z szaf, wisiały półki, na których stały w równych rzędach metalowe walce.

– Awaryjność jest bardzo duża – Kunze zauważył, gdzie Jorg skierował wzrok. – Trudno się dziwić, potrzebują ogromnej dokładności, a w czasie wojny nie jest o to łatwo.

Takie same walce sterczały ze ścian szaf. Na ich czołowych płytach Jorg dostrzegł kołeczki pomalowane na różne kolory. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że każdy miał cyfrę wygrawerowaną na niewielkiej płaskiej główce.

– Najbardziej pracochłonne jest wpisywanie cyfr, a właściwie wciskanie kołeczków z cyframi, jakie odczytujemy z szyfrogramów. Potem zaczynają działać wirniki. Sześćdziesiąt cztery silniki elektryczne obracają tarczami tak długo, aż znajdą wspólne ustawienie. Wtedy automatycznie zatrzymują się, zamykając obieg prądu, który uruchamia drukarkę – wskazał na drewnianą skrzynkę z pochyłą przednią płytą, spod której wysuwały się zadrukowane kartki. – Czasami mam wrażenie, że stworzyliśmy sztuczną inteligencję, można bowiem odnieść wrażenie, że maszyna wie, kiedy odnalazła sens w zaszyfrowanych tekstach.

Jorg pochylił się nad drukarką.

– To nic specjalnego, po prostu elektryczna maszyna do pisania, tylko wolna. Pracuje z prędkością dwudziestu znaków na minutę. Inaczej mówiąc, z taką prędkością możemy..., hm, moglibyśmy odczytywać rosyjskie szyfry. Mózg jest w innym miejscu...

Wyszli na korytarz, pod którego stropem biegły wiązki kabli, prowizorycznie zawieszane na hakach wbitych między kamieniami. Co kilkanaście metrów widać było wystające ze ścian metalowe skrzynki, których przeznaczenie łatwo można było

odgadnąć, co ułatwiały żaluzje, z których dmuchawy tłoczyły ciepłe powietrze. Zatrzymali się w połowie korytarza, gdzie z niewielkiego okna, zabezpieczonego szybą i drucianą siatką, padało jasne światło. Jorg podniósł głowę. Wiązki kabli znikają w stropie nad oknem, a po drugiej stronie widać było, jak biegną do dużej szafy, zapewne rozdzielni, choć całkowicie pozbawionej jakichkolwiek przycisków czy zegarów. Na stole, pośrodku pomieszczenia, stało metalowe pudło, które wyglądało jak dalekopis, choć było dużo większe. Na jego bokach można było dostrzec metalowe klamry mocujące całość do solidnego blatu stołu.

– Te zapięcia pozwalają szybko zdemontować urządzenie w przypadku zagrożenia – Kunze znowu odgadł, co zainteresowało Jorga. – Patrzy pan na arcydzieło mechaniki precyzyjnej – to jest mózg całego systemu. Nad tym urządzeniem pracowaliśmy przez trzy lata, a czas wojny biegnie trzy razy szybciej niż czas pokoju. Jorg patrzył kątem oka na profesora, który zdawał się zapominać o jego obecności, jakby urzeczony niezwykłą maszyną, którą skonstruował.

– Czy możemy tam wejść? – Jorg rozejrzał się, ale nigdzie w korytarzu nie widział drzwi prowadzących do tajemniczego pomieszczenia.

Kunze, jakby nie słysząc jego pytania, mówił dalej:

– Tutaj zbiegają się impulsy maszyn, które oglądaliśmy w poprzednim pomieszczeniu; mózg decyduje, kiedy zatrzymać wirniki i uruchomić drukarkę. Niestety, od listopada ubiegłego roku nie jesteśmy w stanie odczytać żadnego z ich szyfrów. Odnoszę wrażenie, że albo zmienili maszynę tworzącą gamy, albo w logicznym schemacie mózgu maszyny jest błąd. Nie mogę go znaleźć. Liczę na pana doświadczenie, od trzech lat pracował pan nad rosyjskimi szyframi. Znam pana analizy. Miał pan bardzo śmiałe koncepcje. Wykorzystywałem je, choć zapewne pan nic o tym nie wiedział. Może kiedyś będę mógł ujawnić pana zasługi.

– Dziękuję, już wiem, dlaczego mnie tutaj pan ściągnął. Ale dlaczego Tzschocha? Te lochy nie są najlepszym miejscem do pracy...

– Wojenna prowizorka. W założeniu cały ośrodek kryptologiczny miał powstać w Hirschbergu, w schronach pod miastem. Stare lochy zaczęto w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku okładać betonem. W trzech największych pomieszczeniach miał stanąć „Aparat” i urządzenia łączności ze stacjami nasłuchowymi. W tunelach pracowałyby personel przygotowujący materiały dla „Aparatu”. Plan piękny, ale schron nie jest gotowy, i zapewne nie będzie, a „Aparat” zamilkł.

– Panie profesorze – Jorg podszedł blisko do Kunzego i mówił cicho, obawiając się, że i w tym podziemnym pomieszczeniu Glöbcke zainstalował mikrofony. – Jeżeli potrafimy odczytywać rosyjskie szyfrogramy, to dlaczego przegrywamy wojnę? Skoro możemy poznać ich zamiary, to dlaczego się cofamy?

Teraz Kunze zaczął mówić ściszym głosem.

– To urządzenie odegra swoją rolę w historii. Ale nie podczas tej wojny, gdyż ją przegraliśmy. Ono – stuknął dłonią w szybę – wstrząśnie światem po wojnie. Przekona

się pan o tym.

Spojrzał na zegarek. – Niech pan zabierze się do dokumentacji i szuka błędów, które popełniłem.

Uśmiechnął się w ten sam tajemniczy sposób i poszedł w głąb korytarza, jakby zapominając odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest wejście do pomieszczenia, w którym, jak to określił, pracował mózg niezwyklej maszyny.

Jorg wrócił do gabinetu i zaczął przeglądać papiery, które pozostawił Kunze, był jednak zbyt podniecony tajemnicą, jaką poznał przed chwilą, aby skupić się nad długimi linijkami równań.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dochodziła północ, gdy generał Zawieniagin zamknął czerwone tekturowe okładki, w których przechowywał tajne opracowanie szpiegowskich meldunków ze Stanów Zjednoczonych. Nie mógł zrozumieć informacji zawartych na kilkudziesięciu kartkach, ale zdawał sobie sprawę, że mają ogromne znaczenie dla naukowców pracujących nad bombą atomową. Spotkanie z Igorem Kurczatowem i jego zespołem miało odbyć się dopiero dwudziestego ósmego lutego, czyli za dwa tygodnie, ale obawiał się ocen, które mogły tam paść, ponieważ to on był odpowiedzialny za przetwarzanie szpiegowskiego materiału i ochronę tajemnicy, co wydawało mu się zadaniem nie do zrealizowania. Miał dostarczyć naukowcom możliwie najwięcej wiedzy, a jednocześnie musiał spreparować wiadomości tak, aby nie zorientowali się, z jakich źródeł pochodzą, gdyż teoretycznie zagrażałoby to bezpieczeństwu informatorów w Stanach Zjednoczonych. Stalin i Beria nie wybaczyliby mu niezadowolenia radzieckich konstruktorów bomby z otrzymywanych informacji i równie szybko skazaliby na więzienie albo kazali rozstrzelać, gdyby okazało się, że w wyniku zdrady któregoś z nich amerykański kontrwywiad uniemożliwiłby penetrowanie tajemnic atomowych laboratoriów w Los Alamos.

Jego największy niepokój budziła reakcja naukowców. Wyobrażał sobie, jak podczas narady profesor Kurczatow, dotykając jakby z obrzydzeniem czerwonej okładki tajnego raportu, powie: „Praca duża, dziękuję towarzyszom z wywiadu, ale niewiele posuwa naprzód naszą wiedzę o dokonaniach imperialistów”. „Gad!” – pomyślał Zawieniagin. – „Nie pochwali wywiadu, gdyż to umniejszałoby osiągnięcia jego zespołu, a gdyby nie te raporty, to byłiby daleko w lesie. Wszystkiego się dowiedzieli od ludzi ryzykujących życie w Ameryce. Ale on tego nie przyzna. Myśli, że historia uzna go za ojca radzieckiej bomby atomowej, a on ledwo akuszer! Dlatego, gad, krytykuje szpiegowskie opracowania i mówi, gdzie tylko może: „za mało”, „za ogólne”, „za późno”„.

Zebrał dokumenty z blatu biurka, obciągnął mundur i wyszedł do sekretariatu. Przejrzał się w wiszącym na ścianie lustrze, sprawdził, czy nie ma łupieżu na kołnierzyku, zapiął haftkę pod szyją i szybkim krokiem wyszedł na korytarz. Ominął wartownika i wbiegł schodami na drugie piętro, gdzie mieścił się gabinet Ławrentija Berii.

– Szef mnie wzywał? – ni to zapytał, ni stwierdził, gdy minął drzwi.

Tamara, rudowłosa sekretarka, poprawiła upięte w kok włosy i skinęła głową, wiedząc, że Zawieniagin ma zawsze wstęp do gabinetu Berii, chyba że byłby u niego ktoś ważniejszy albo że ochrona przyprowadziła mu kobietę.

Berta spojrział na niego swoim zimnym wzrokiem znad okularów, marszcząc czoło.

– Ta banda nigdy nie ma dość. Nigdy nie powie, towarzysze, dziękujemy wam! – krzyknął.

Wstał zza biurka i podszedł do okrągłego stolika przy kanapie, gdzie stała karafka. Nalał wódki do kieliszka, ale nie wypił.

– Kapica był u mnie! – mówił wzburzony o wybitnym fizyku. – Groził! Mnie groził! Że warunki pracy naukowej złe, że ograniczam wolność jego i kolegów! Już zapomniał, jak przyjechał do Moskwy z tego swojego Cambridge i paszport mu zabraliśmy! Możemy z nim zrobić, co chcemy, a on tu przychodzi i grozi, że do Stalina pójdzie, napisze...

Usiadł ciężko na kanapie stojącej pod ścianą i wypił szybko wódkę.

Nie lubił naukowców, nad którymi sprawował nadzór, a którzy wciąż przysparzali mu kłopotów.

– Jak Tupolew i inni w Butyrkach siedzieli, to robili wspaniałe samoloty, a teraz proszę! Fizycy bomby zrobić nie umieją, a konstruktorzy lotniczy nie wiedzą, jak odtworzyć amerykański bombowiec!

Mówił o amerykańskim samolocie B-29, który przymusowo lądował w rejonie Władywostoku i został przez zespół Tupolewa rozebrany na części, aby na jego podstawie mogli zbudować radziecki samolot dalekiego zasięgu. Prace przeciągały się, gdyż konstruktorzy nie potrafili sobie poradzić z rozwiązaniem nadzwyczaj trudnego problemu przeliczenia miar calowych na metryczne.

Ślina wypływała mu z kącika ust i ciekła po brodzie. Szybko przetarł twarz ręką, na moment tracąc wątek. Zawieniagin wykorzystał tę przerwę.

– Ławrentiju Pawłowiczu – odezwał się nieśmiało, uznając, że złość Berii na naukowców może skrupić się na nim. – Igor Kurczatow z uznaniem wyrażał się o ostatnim raporcie od „Maksyma” z Waszyngtonu. Warto będzie mu to przypomnieć na zebraniu, gdy jak zwykle zacznie narzekać, że wywiad źle pracuje...

Beria zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, o jakim raporcie mówi Zawieniagin.

– No, ten raport z Waszyngtonu, w sprawie zapalnika implozyjnego – wyjaśnił szybko Zawieniagin.

– Napij się, Awram! – Beria podsunął mu karafkę. – Siadaj obok i napij się.

Zawieniagin wziął jedną ze szklanek z posrebrzanej tacy i nieśmiało nalał sobie wódki.

– Co ty taki delikatny?! Usta moczysz, czy wódkę pijesz? – Beria był niezadowolony z wstrzemięźliwości podwładnego.

– Nie śmiałem, towarzyszu Beria – bąknął zmieszany Zawieniagin.

– Dobry z ciebie enkawudzista, Awram, ale pij więcej!

– Tak jest – Zawieniagin dolał wódki do pełna i szybko wychylił szklanekę, aby nie było wątpliwości co do jego zaangażowania.

– Mówisz, że im się spodobało, towarzyszom naukowcom od atomu. To dobrze,

dobrze... – wstał z kanapy i podszedł do dużej mapy Europy, wiszącej obok portretu Stalina nad biurkiem.

Stał przed nią w rozkroku i wpatrywał się przez dłuższy czas w milczeniu w szpilki z kolorowymi łebkami, wbite w mapę. Oznaczały położenie wojsk radzieckich, niemieckich i zachodnich aliantów.

– Za trzy dni, ósmego lutego ruszy wielka ofensywa frontu Koniewa. Wielka! Jedna armia gwardyjska, trzy armie ogólnowojskowe, dwie armie pancerne, a nad nimi samoloty armii lotniczej. Wielka siła. Pójdą znad Odry na Goerlitz i Zittau.

Nastrój Berii niespodziewanie zmienił się.

– Do Berlina już niedaleko – Zawieniagin też wstał z kanapy.

– Głupis! – burknął Berta. – Berlin to będzie tylko kupa gruzów. O Berlin niech się martwi ten, kto po wojnie będzie tam dowodził wojskami okupacyjnymi. Nas interesuje ten rejon – położył dłoń z rozcapierzonymi palcami na Dolnym Śląsku. – Ten rejon! Niemcy tam zgromadzili wielkie siły. Grupa Armii „Mitte” broni tej ziemi. Nie mają tyle siły, co dwa lata temu, ale posłali najbardziej doświadczonego generała, Schórnera! Lista jego zasług jest dłuższa niż stół konferencyjny w moim gabinecie. Dowodził na każdym froncie tej wojny i zwyciężał albo ratował armie z opresji, gdy inni rozkładali ręce. Jak myślisz, po co go Hitler wybrał?

Odwrócił się, ale Zawieniagin nie śmiał się odezwać, obawiając się, że nietrafną opinią znów rozeźli Berię. Ten jednak nie czekał na odpowiedź.

– Wiedzą, że front Żukowa doszedł do Odry, na wprost Berlina. Tam powinni skoncentrować główne siły. Brakuje im żołnierzy i sprzętu. Ich dziewiąta armia ma tylko czternaście dywizji i pięćset czołgów, a naprzeciw stoi Żukow z siedemdziesięcioma siedmioma dywizjami i ponad trzema tysiącami czołgów. Pewnie boją się, że front Koniewa zagrozi Berlinowi od południa, to niechby tam przesunęli całą Grupę Armii „Mitte”, a oni skierowali ją daleko na południe, aby broniła Dolnego Śląska. Wiesz, dlaczego?

Podszedł do Zawieniagina.

– Tam mają wszystko, co nam jest potrzebne: kopalnie uranu w Schmiedenbergu*, nowe typy samolotów, fabryki broni chemicznej, laboratoria. Mają coś, co nas zastanawia: ogromne kompleksy podziemne. Musimy to zdobyć, bo inaczej Amerykanie zabiorą nam wszystko! Sprzed nosa! Wiesz, co donoszą nasze służby z Waszyngtonu i Londynu? Sojusznicy – uśmiechnął się pogardliwie – powołali specjalne grupy rozpoznawcze, które idą za frontem i wchodzą do zdobytych miast, fabryk i tak dalej.

– Tak jak nasz „Smiersz” – podrzucił Zawieniagin, licząc na przychyłność szefa za tę uwagę. Ostatecznie to Beria powołał oddziały kontrwywiadu nazwane „Smiersz”, a nawet sam wymyślił tę nazwę od zawołania „Smierf szpionom”.

Nie spodziewał się, że rozgniewa tym Berię.

– Głupis! – ryknął Beria. – „Smiersz” to kontrwywiad, i gównem się zna na nauce i różnych wynalazkach. Jak byś Abakumowowi bombę atomową pod nogi położył, to on

by się potknął i poszedł dalej, i nie wiedziałby, o co się potknął. On dobrze w mordę leje, rękę twardą ma, ale o nauce nie ma pojęcia.

– Tak jest, tak jest. Nie ma pojęcia... – skwapliwie przytaknął Zawieniagin, który miał swoje porachunki z Wiktorem Abakumowem, szefem oddziałów kontrwywiadu.

– A co było na poligonie w Bliźnie? Zajęliśmy niemiecki ośrodek rakietowy, i nawet o tym nie wiedzieliśmy. Dopiero Anglicy nam zwrócili uwagę na to, co mamy w swoich rękach. Mało rakiet sprzed nosa nie zabrali, z tej Blizny! W ostatniej chwili plany im pokrzyżowałem!

Beria mówił o wizycie brytyjskich specjalistów na niemieckim poligonie rakietowym Blizna w południowo-wschodniej Polsce w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, na co zgodził się Stalin po otrzymaniu listu od premiera Churchilla. Brytyjcy wysłannicy badali znalezione tam części rakiet V-2 i wiele zapakowali do skrzyń, aby zabrać je do dalszej analizy w kraju. Beria, gdy się o tym dowiedział, zabronił wysyłać fragmenty rakiet, a skrzynie kazał wypełnić częściami starych silników lotniczych i dostarczyć do Londynu.

– Amerykanie wysyłają naukowców – mówił dalej. – Fizyków, chemików, rozumiesz, co się z niemieckimi jeńcami potrafią dogadać, poznać się na ich pracy, dokumenty przejrzeć, a nie w piecu nimi palić, bo na kwaterze zimno! I taki zespół ty musisz zorganizować. Możesz najlepszych brać, najlepszych od atomu, uranu, gazów bojowych, samolotów i rakiet. O, masz...

Podszedł do biurka i przez chwilę przeglądał papiery. Wziął jedną z kartek i podał Zawieniaginowi.

– Siergiej Korolow po przebadaniu V-2 pisze, że jest to broń przyszłości, i nie możemy dać się imperialistom ubiec, bo chociaż wygramy wojnę, przegramy po wojnie. Pisze, że trzeba przeszukiwać zajmowane tereny. Tam pojedziesz i przywieziesz mi największe niemieckie odkrycia.

– Rozkaz, towarzyszu Beria! – Zawieniagin zerwał się ponownie z kanapy, a ponieważ Beria już się nie odzywał, więc zasalutował i wyszedł z gabinetu.

Przemknął szybko przez korytarz i zbiegł piętro niżej, gdzie w wielkim gmachu na Łubiance miał swój gabinet. W sekretariacie czekał już major Cziżykow.

– Chodź do mnie – otworzył szeroko obite skórą drzwi do gabinetu. – Kawy! Dużo i mocnej! – krzyknął przez ramię do sekretarki.

Cziżykow wszedł za nim do gabinetu i stanął przy drzwiach.

– Co tak stoisz, jak by ci ktoś kij w dupę wsadził? – Zawieniagin zgarnął papiery ze stołu, sięgnął po kartkę i pióro. – Siadaj! – wskazał na krzesło obok.

Drzwi uchyliły się i weszła sekretarka, niosąc na tacy dzbanek z kawą i filiżanki.

– Kogo mamy na Dolnym Śląsku? – Zawieniagin gestem wskazał sekretarce, gdzie ma postawić dzbanek. – Znaczy w Breslau, czyli Wrocławiu, jak Polacy nazywają, i okolicach...

– Niewielu, towarzyszu generale, we Wrocławiu pozostały tylko resztki grupy

„Olimp”...

– Czemu resztki? – przerwał mu Zawieniagin.

– W połowie czterdziestego drugiego roku hitlerowcy aresztowali większość członków tej organizacji. Ci, co przeżyli, nie podejmują poważniejszej działalności wywiadowczej, kontakt praktycznie niemożliwy. Podobnie z...

– Nie mówcie, co jest niemożliwe, tylko co jest możliwe – warknął Zawieniagin.

– W ośrodku kryptologicznym mieliśmy „Z-1”.

– Mieliśmy?

– Kontakt zerwany jakieś dwa-trzy tygodnie temu. Nie znamy przyczyn.

– To wszystko, co o nim wiecie?

– Być może został ewakuowany wraz z grupą kryptologów w głąb Niemiec i nie mógł odtworzyć kontaktu. Liczymy, że odezwie się...

Zawieniagin podszedł do stolika, na którym stał dzbanek z kawą. Dotknął go dłonią, żeby sprawdzić, czy nie wystygł, ale uznał, że temperatura jest odpowiednia, więc nalał kawy do filiżanki. Spojrzał na Cziżykova pytająco, ale ten pokręcił głową.

– Kawa źle mi robi na żołądek – wyjaśnił.

– Majorze Cziżykow – Zawieniagin usiadł przy stole. – Sprawa Dolnego Śląska jest w tej chwili najważniejsza. Sam towarzysz Beria interesuje się tym, a można uważać, że i Stalin. Macie natychmiast zrobić wszystko, żeby aktywować kontakt z „Z-1”!

– Ależ – Cziżykow zawahał się, ale natychmiast, aby nie dopuścić Zawieniagina do słowa, mówił dalej. – To może być nieostrożne i zagrozić ich bezpieczeństwu... Jeżeli wstrzymał nadawanie, a to doświadczony agent, to znaczy, że ma powody.

– Majorze Cziżykow! – Zawieniagin wstał. – Jutro, a najdalej pojutrze, chcę mieć pewność, co dzieje się z naszymi agentami na Dolnym Śląsku. Jeżeli „Z-1” się nie odezwie, to uznamy go za zdrajcę, a oddziały „Smiersz” otrzymają rozkaz ścigania i, po schwytaniu, potraktowania jak dezertera! Kula w łeb!

– Tak jest – Cziżykow zdawał sobie sprawę, że dalsze argumentowanie nie ma sensu.

– Chcę mieć na bieżąco informacje o sposobie wykonania mojego rozkazu. Poza tym przygotujcie mój wyjazd do Polski, to znaczy kwatery i tak dalej. Za dwa dni chcę być jak najbliżej Wrocławia.

– Tak jest – Cziżykow odwrócił się na pięcie.

* Obecnie Kowary.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obawy Jorga, że przyjdzie mu pracować w podziemiach, gdzie zaduch stęchlizny wydawał się nie do zniesienia, okazały się płonne. Nie musiał, na szczęście, opuszczać wygodnych biur na pierwszym piętrze. Czasami tylko, aby sprawdzić obliczenia, telefonował do podziemi i przekazywał technikowi kolumny cyfr, aby po kilkunastu minutach dowiedzieć się, że wynik nie jest zadowalający.

Wciągnął go pojedynek z maszyną, która zachowywała się w sposób nieprzewidywalny i niezrozumiały. Zdarzało się co prawda, że utajniona treść depezy, z których długie kolumny cyfr wprowadzano do wirników, mozolnie wciskając kołeczki, pojawiała się natychmiast na taśmach spływających z dalekopisu w pokoju za szybą, wywołując wybuch radości kryptoanalityków, niestety, zazwyczaj krótkotrwałej, gdyż zdania urywały się lub traciły sens, gdy maszyna drukowała niezrozumiałe wyrazy. Profesor Kunze zabierał wówczas długie zwoje taśm dalekopisowych i zamykał się w swoim małym pokoju, aby analizować je w poszukiwaniu błędu, którego wychwycenie mogło stać się przełomowym odkryciem. Jorg odnosił wrażenie, że Kunze nie opuszczał podziemi, wychodząc jedynie na górę w czasie przerw na „przewietrzanie okrętu”, jak nazywał krótkie przerwy w pracy. W czasie jednej z nich przyszedł do pokoju kryptoanalityków. Przez kilka minut przypatrywał się w milczeniu mężczyznom stojącym przed tablicą i prowadzącym spór o słuszność matematycznego dowodu.

– Daję wam jednodniowy urlop! – krzyknął niespodziewanie. – Wszyscy na urlop, inaczej utknijemy z tym do końca życia i nie odnajdziemy błędu, który może być trywialnie prosty. Wyjdźcie na powierzchnię i usiądźcie nad jeziorem, spróbujcie łowić ryby w przerębli albo idźcie do knajpy „Pod Jeleniem” i upijcie się! Tylko jutro o szóstej rano wszyscy bądźcie tutaj!

Jorg spojrzął na zegarek, podobnie jak kilku innych.

– Dochodzi piąta... – zauważył ktoś, z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

– To znaczy, że urlop będzie krótki, gdyż w zimie dni bywają krótkie – stwierdził niezmiśnany Kunze i ruszył w stronę drzwi.

Jorg był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Od dawna wybierał się do Marklissy, lecz nie znajdował powodu, który pozwalałby mu ukryć właściwy cel wyjazdu do miasta.

– Zapraszam cię na kolację – odwrócił się do stojącego najbliżej Helmuta Nowolka, Ślązaka, który w ich zespole był głównym mechanikiem.

– Dobry pomysł, idzie kto z nami? – Nowolk rozejrzał się dookoła.

Kilkugodzinny urlop, jak Kunze nazwał wolny wieczór, był wydarzeniem zupełnie nieoczekiwanym, toteż nikt nie miał planów na ten wieczór, i wszyscy podchwycili

pomysł wspólnej kolacji, wręczając Jorgowi, jako inicjatorowi, kartki żywnościowe.

Glöbcke patrzył z okna na grupę wychodzącą na dziedziniec przed zamkiem i czekającą na samochód, który miał ich zawieźć do Marklissy. Był wściekły, że Kunze zwolnił kilkunastu swoich pracowników, nie uprzedzając go o takim zamiarze. Nie mógł tego zabronić, gdyż obawiał się kolejnego konfliktu z profesorem, a zorganizowanie grupy wywiadowców śledzących kryptologów musiało zająć co najmniej pół godziny. Mimo mrozu otworzył okno i stał w nim tak, aby go widzieli. Chciał, by mieli świadomość, że wie o wyjeździe i przygląda się im.

– Namierzono radiostację w naszym rejonie – do gabinetu wszedł Beer. Glöbcke odwrócił się raptownie.

– Wiesz coś więcej?

– Nadawała wczoraj wieczorem. Zbyt krótko, aby można ją było zlokalizować. Służby goniometryczne twierdzą, że z okolic Marklissy.

– Czy ostatnio meldowano o zrzutach skoczków?

– Nie. Może to jest radiostacja grupy sabotażowej, która przeszła przez front, a może ujawniła się radiostacja, która od dawna jest na tym terenie, ale milczała.

– Tylko dlaczego właśnie teraz zaczęła nadawać?

– Być może ma to związek z przeniesieniem sztabu generała Schórnera do naszego rejonu i przygotowaniem do kontrataku. Rosjanie wysłali zwiadowców, to zrozumiałe.

– Obyś się nie mylił – Glöbcke zamknął okno. – Kilkunastu ludzi Kunzego dostało wolne na dzisiejszy wieczór. Podobno są przemęczeni pracą i kilka godzin poza zamkiem dobrze im zrobi. Poślij za nimi kilku naszych. Co z Jorgiem?

– Są z niego zadowoleni. Pracowity, aktywny. Glöbcke pokiwał głową.

– Przeszukiwaliście jego pokój?

– Tak jest, wszystko w porządku. Z podsłuchu też nie ma niepokojących sygnałów.

Jorg rozejrzał się po zadymionej sali restauracji „Pod Jeleniem”, szukając Natalii. Dostrzegł ją przy bufecie, jak odbierała od barmana tacę z kieliszkami z wódką i trzymając ją wysoko nad głową, przemknęła do stolika, przy którym siedziała grupa oficerów Wehrmachtu. Najwidoczniej wracali po bitwie – mieli zabłocone mundury i nieogolone twarze. „Gdzie to wojsko, piękne jak na paradzie” – pomyślał Jorg, wpatrując się w oficerów, którzy w milczeniu wzniesli kieliszki i wychylili je szybko, najwidoczniej nie po to, aby świętować zwycięstwo, lecz upić się, odsuwając na czas alkoholowego zamroczenia myśli o tym, co miało stać się jutro.

Natalia spojrzała w przelocie na niego. Ich oczy spotkały się na moment i Jorg

zerknął na boczne wyjście. Natalia lekkim zmrużeniem powiek dała znać, że zrozumiała.

Powiesił płaszcz i czapkę na wieszaku.

– W rogu jest stolik akurat dla nas – dobiegł go tubalny głos Nowolka, który już przepychał się w tamtą stronę.

Jorg usiadł plecami do ściany, co pozwoliło mu obserwować salę. Mimo obecności wielu Niemców, którzy zawsze robili sporo hałasu, w restauracji unosił się ledwie szmer przyciszonych rozmów i słychać było piosenki z gramofonu przy barze.

– Idę do ubikacji – Jorg podniósł się z krzesła. – Zamów dla mnie brandy i coś do jedzenia, obojętnie co – powiedział do Nowolka.

Spieszył się, zdając sobie sprawę, że ludzie Glöbckego nie zdążyli jeszcze dojechać do Marklissy, więc na razie nikt go nie śledził.

Natalia zauważyła, że wstał, obróciła się na pięcie i zniknęła gdzieś za drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Podszedł do baru.

– Gdzie jest toaleta?

– Musi pan wyjść na podwórze, bo ta w korytarzu jest nieczynna. Rura pękła – restaurator przetarł talerz i odłożył go na brzeg zlewu.

Na podwórku dostrzegł sylwetkę Natalii, która, widząc go, wyszła z mroku.

– Mam ważne wiadomości – powiedział cicho. – Przekaż za dwa, trzy dni z lasu. Niech myślą, że działa tam jakiś oddział sabotażowy. Niemcy odczytują szyfry. W zamku jest maszyna, która łamie szyfry jednorazowe! Więcej informacji będę miał za tydzień.

– Czy to znaczy, że mogą odczytać moje depesze?

– Nie, używasz innego szyfru. Postaraj się tylko, żeby nie namierzyli miejsca, z którego nadajesz. Zmykaj!

Odwrócił się, słysząc skrzypnięcie drzwi, i szybko odszedł. Sala trochę opustoszała, pewnie część oficerów musiała powrócić do obowiązków. Jorg zajął swoje miejsce w rogu. Przed nim stał talerz z gorącą kiełbasą.

– Da się zjeść, chociaż mięsa w niej mało – mruknął Nowolk. – Na wszelki wypadek lepiej tę padlinę podlać wódką. To nam lepiej wychodzi niż obrona ojczyzny.

Wydawało mu się, że mówi półgłosem, ale oficerowie przy stoliku obok odwrócili się do nich. Nie spodobał im się ten żart.

– Daj spokój, Helmut – Jorg nie chciał dopuścić do awantury, wiedząc, jak popędliwy jest Ślązak o niedźwiedziej sile. Ten podniósł rękę w geście pojednania w stronę oficerów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dzwonek telefonu obudził Compaigne'a tak wcześnie, że miał wrażenie, iż ledwo zasnął, tym bardziej że za oknem było ciemno. Zanim sięgnął po słuchawkę, zapalił lampkę i spojrzął na budzik. Dochodziła ósma.

– Słucham... – powiedział głosem tak zaspanym, że rozmówca w mig zorientował się, iż dzwoni za wcześnie.

– Zdaje się, że obudziłem pana – usłyszał głos mężczyzny mówiącego z wyraźnym polskim akcentem.

– Nie „zdaje się”, tylko na pewno – burknął Compaigne – ale skoro pan to już zrobił, panie majorze, proszę mówić.

– Poznał mnie pan? – rozmówca był zdziwiony.

– A wam, Polakom, wydaje się, że mówicie po angielsku jak król Jerzy V. Oczywiście, poznałem pana po tym cholernym polskim akcencie, zresztą jest pan jedynym reprezentantem tego narodu, który mógł szukać mnie w Paryżu.

– Major Czerny, proszę mi wybaczyć...

– Właściwie dobrze się stało, że mnie pan obudził, dopiero teraz zobaczyłem, jaka ponura jest moja kwatera. I dlatego powinienem jak najszybciej wstać i wyjść stąd.

– Wobec tego proponuję wspólne śniadanie w „Hotelu Szwajcarskim” to jest na...

– Wiem, pana zwierzchnik podał mi adres, mówiąc, że to bardzo dobry hotel. Jak rozumiem, pan płaci za śniadanie. Będę za godzinę.

Odłożył słuchawkę i podniósł się z łóżka. Rzeczywiście pokój, który oddano do jego dyspozycji, był obskurny i miał tylko jedną zaletę: znajdował się w centrum Paryża. Stan mebli wskazywał na długoletnie używanie, a wyszczerbiona umywalka w rogu miała duże rdzawe zacieki. Kiedy przybył późnym wieczorem, od razu położył się spać, zapominając otworzyć okno, a teraz pokój wypełniał smród rozkładających się śmieci, które, jak sądził, poprzedni lokator pozostawił w kubie pod zlewem.

– Zobaczyć Paryż i umrzeć – Compaigne podszedł do umywalki i odkręcił kran, lecz zamiast wody wydobyło się z niego powietrze z sykiem uchodzące z pustych rur.

– Cholera – uderzył w kran, ale nie doczekał się nawet kropli wody. Dopiero wtedy dostrzegł kartkę przyklejoną w rogu lustra. Ktoś napisał po francusku i angielsku, że woda jest tylko w toalecie w końcu korytarza.

Łazienka była podobnie zaniedbana jak pokój, ale z zadowoleniem stwierdził, że jest kran z ciepłą wodą. Jednak już po chwili czekał go taki sam zawód, jak przy umywalce w pokoju. Na domiar złego ktoś zaczął stukać w drzwi, ponagляjąc go po francusku, aby jak najszybciej wyszedł stamtąd. Umył się w zimnej wodzie szybko, gdyż pukanie stawało

się coraz bardziej natarczywe, wytarł ręcznikiem twarz i wyszedł na korytarz.

Korpulentny mężczyzna w podkoszulku, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię zalał go potokiem słów. Compaigne nie rozumiał, ale domyślił się, że tamten ma pretensje za zajmowanie łazienki.

– Jak się nie zamkniesz, to cię zastrzelę, kolaborancie – huknął wreszcie, a Francuz przerwał w pół słowa i zamiast wejść do łazienki, wycofał się do swojego pokoju.

Po rannych przeżyciach hol „Hotelu Szwajcarskiego”, gdzie wśród palm unosił się dyskretny zapach cygar, wydał mu się miejscem nadzwyczaj eleganckim. Portier, widocznie uprzedzony przez Czernego, od razu wskazał mu drogę do restauracji.

– Jeszcze raz przepraszam za zbyt wczesny telefon – zza stolika podniósł się wysoki ciemnowłosy oficer, którego wygląd zdziwił Compaigne’a. Wszyscy Polacy, których poznał w Stanach byli niscy, krępi, mieli pucołowate twarze i blond włosy.

– Niech pan się nie sumituje, mieszkam w paskudnej norze. Spiesząc się po pana telefonie, nie miałem czasu przyjrzeć się jej dokładniej, co bez wątpienia dobrze wpłynęło na moje samopoczucie.

Czerny sięgnął do kieszeni munduru i wyjął wizytówkę.

– Niech pan zgłosi się pod ten adres – podał mu kartonik. – Wynajmie pan tam czysty pokój, a gospodyni, madame Marie, każdego ranka piecze bułeczki z dżemem.

Compaigne schował bez słowa wizytówkę i usiadł na miejscu wskazanym przez Polaka.

– Po śniadaniu proponuję spacer nad Sekwaną, to niedaleko – powiedział.

– Romantyczne, panie majorze, a powie mi pan, po co?

– Na spotkanie, na które spóźniłem się cztery lata temu.

– Odnalazł pan tajemniczą osobę, do której miał pan zadzwonić z polecenia niemieckiego oficera?

– Tak, to kobieta. Wiem tylko, że ma na imię Joanna.

– Jak ją pan znalazł?

– Zaczęliśmy od sprawdzenia, kto miał numer telefonu podany przez niemieckiego oficera. Niewiele zyskaliśmy. Mieszkanie należało do niejakiemu panu Brunona, który wynajął go kobiecie, a ta wyprowadziła się w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, gdy do Paryża wkroczyli Niemcy. Jej nazwisko było fałszywe i trop się urwał. Dwa miesiące temu przeglądałem dokumenty przejęte przez żołnierzy amerykańskich w więzieniu Fresnes. Niespodziewanie znalazłem fiszkę z danymi więźniarki aresztowanej w lipcu ubiegłego roku pod zarzutem współpracy z generałem Stülpnaglem w spisku przeciw Hitlerowi. Mieszkała przez pewien czas pod znanym mi adresem. Skazana na śmierć, miała zostać stracona, ale uratował ją wybuch powstania w Paryżu i uderzenie waszych wojsk. Odszukanie jej nie było trudne. Zadzwoniłem i podałem hasło, które powinienem przekazać cztery lata temu. To wszystko.

Czerny spojrział na zegarek i ten moment wystarczył, aby Compaigne dojrzał na jego przegubie piękny złoty schafhausen.

– Nie chciałbym, abyśmy się spóźnili – skinął na kelnera, a gdy ten podszedł, wyjaśnił mu coś po francusku.

– Zaskakuje mnie pan – odezwał się Compaigne. – Mówi pan płynnie po angielsku, choć można doszukać się polskiego akcentu, po francusku – chyba znakomicie, jak słyszę. Dużo jeszcze zna pan języków?

– Oprócz angielskiego i francuskiego jeszcze sześć. A przyznaję, że z angielskim miałem najwięcej kłopotu. Wśród guwernerów w naszym majątku nie było Anglika, tylko Francuz, Włoch, Niemiec i Rosjanin.

Odłożył serwetkę na stół i podniósł się z krzesła. Nad Sekwaną wiał chłodny wiatr, zmuszając ich do podniesienia kołnierzy płaszczy. Nie musieli długo czekać, po kilku minutach dostrzegli kobietę w krótkim futrze, dość znoszonym, która zatrzymała się na schodach prowadzących z nadrzecznego bulwaru. Najwidoczniej obawiała się zasadzki, gdyż wybrała najlepsze miejsce do obserwowania tego, co działo się nad rzeką, jak i na ulicy biegnącej powyżej.

Czerny podniósł książkę, którą kupił przed kilkoma minutami u bukinisty na bulwarze, co chyba było umówionym znakiem, gdyż kobieta, widząc to, zaczęła iść w ich kierunku.

– To ja przekazywałem pozdrowienia od Joachima Broka – podszedł do niej. – Jestem major Andrzej Czerny z polskiego wywiadu. To komandor Howard Compaigne, Amerykanin. Nie zna francuskiego. Wszyscy Anglosasi są przekonani, że cały świat mówi po angielsku. Czy możemy rozmawiać po angielsku?

Kobieta skinęła głową.

– Proszę nazywać mnie Joanną.

Trudno było ocenić jej wiek. Mogła mieć czterdzieści kilka lat, może pięćdziesiąt, lecz pobyt w więzieniu i czekanie na śmierć odbiły się na jej wyglądzie. Bruzdy wokół ust i zmarszczki przy oczach były zbyt wyraźne. Włosy, ciasno spięte w kok, przetkane były siwizną. Ale najbardziej uderzające w jej twarzy były ciemne, smutne oczy, których nie opuszczał wyraz zaleźnienia.

– Sowietci wydali mnie Niemcom w listopadzie trzydziestego dziewiątego roku – mówił Czerny. – Niespodziewanie pojawił się porucznik z Abwehry, który wręczył gestapowcom przejmującym więźniów dokument, nakazujący przekazanie mnie Abwehrze. Potem wywiózł mnie do lasu, dał pieniądze, prowiant i kazał dostać się do Paryża i tam zadzwonić pod numer pani telefonu.

– Ale pan nie zadzwonił... – kobieta patrzyła na niego badawczo i wyczekująco.

– W drodze do Rumunii Sowietci ponownie mnie schwytali. Zdołałem jednak uciec. Dojechałem do Bukaresztu w kwietniu czterdziestego roku. Zanim poszliśmy tropem wskazanym przez niemieckiego oficera, zaczęła się wojna na Zachodzie. Telefon w Paryżu milczał. Nie było żadnej możliwości odnalezienia pani.

– A jak mnie pan teraz znalazł?

– W kartotece więzienia Fresnes.

Napięcie powoli ustępowało. Widać było, że zaczyna mu wierzyć.

– Usiądźmy tutaj – kobieta wskazała na ławkę pod uschniętym kasztanem, krzywo wyrastającym z metalowego obramowania, jakie wmontowano w chodnikowe płyty.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy poszli do jakiegoś bistra? Zimno tu. Trudno rozmawiać ... – wtrącił Compaigne. Kobieta pokręciła głową.

– Tutaj jestem dobrze pilnowana...

Czerny rozejrzał się szybko. Na bulwarze dwaj mężczyźni przerzucali paczki z gazetami z czarnego Citroena do kiosku. Kilkadziesiąt metrów od nich siedział wędkarz, ale nie wydawał się zajęty obserwowaniem spławika.

– Sam pan widzi – powiedziała Joanna, podążając za wzrokiem Czernego. – I nie tylko oni mnie pilnują. Słucham dalej.

– Czy to oznacza, że zna pani tajemnice, o których Gestapo się nie dowiedziało? – zapytał Compaigne.

Oczy kobiety zaszklily się, a dłonie zaczęły nerwowo wygładzać jakąś niewidoczną fałdkę na spódnicy. Mówiła cicho po francusku, nie dbając, czy rozumieją jej słowa.

– Torturowali mnie. Topili. Pamiętam ból rozsadzający płuca... – nagle zamilkła. Niedawne wspomnienie cierpień zadawanych jej przez gestapowców nagle powróciło i ścisnęło jej krtań. – Przepraszam – dodała pospiesznie. – Musi minąć trochę czasu, abym zapomniała. Ten koszmar jest za świeży. Zresztą nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się zapomnieć.

Znowu zapadło milczenie, którego nie przerywali, czekając aż kobieta się odezwie.

– Nikogo nie wydałam – powiedziała już po angielsku, patrząc przed siebie – choć boję się, że nikt mi nie uwierzy.

– Wiem, przeglądałem dokumenty ze śledztwa – przytaknął Czerny.

– Moje szczęście polegało na tym, że nie wiedzieli, kogo aresztowali. Zarzucali mi tylko, że jako zatrudniona w sekretariacie generała Stülpnagla nie poinformowałam władz o próbach przejęcia władzy w Paryżu przez spiskowców, a w dodatku im pomagałam. To była prawda, ale niecała.

– Dlaczego zdecydowała się pani z nami spotkać, skoro nam pani nie wierzy?

– Hasło, które pan podał, było poprawne. Potwierdził je pan, opowiadając, jak Joachim pana zwolnił. Znam przebieg waszego spotkania. Moje wątpliwości wynikały stąd, że nie zgłosił się pan w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

– Wyjaśniłem, dlaczego tak się stało...

– Teraz wierzę, ale wciąż nie czuję się bezpieczna; moja obstawa będzie mi zawsze towarzyszyć. Oni żyją tylko dlatego, że ich nie wydałam.

– Kim jest Joachim?

– Możemy przyjąć, że uczciwym Niemcem.

– Dlaczego postanowił nawiązać kontakt z polskim wywiadem?

– To był pomysł admirała Canarisa, który twierdził, że to, co SS i Wehrmacht robiły w Polsce, pozbawiło Niemców honoru. Masowe egzekucje, represje, getta, obozy

koncentracyjne. Teraz mogę to powiedzieć, bo wiem, że admirał Canaris został aresztowany i zapewne nie przeżyje. Wykorzystanie Polaków w kontaktach z Zachodem miało być formą zadośćuczynienia dla was. Pan nie był jedynym łącznikiem, wysłanym przez Joachima, choć niewielu udało się dotrzeć do celu.

– Co się z nim stało?

– Żyje, działa w najtajniejszym ośrodku we wschodnich Niemczech.

– Czy ma pani kontakt z Joachimem?

-Tak.

– Czy w dalszym ciągu gotów jest współdziałać z polskim wywiadem?

– Tak – Joanna wstała, dając w ten sposób znak, że nie odpowie na więcej pytań.

Czerny zauważył, że mężczyźni z jej obstawy podeszli bliżej, jakby obawiając się, że coś jej grozi, ale uspokoiła ich gestem.

– Jak się z panią skontaktujemy? – zapytał Compaigne.

– Ja was odnajdę – powiedziała, nie odwracając się. Wbiegła szybko na górę i wsiadła do samochodu, który zatrzymał się tuż przy krawężniku. Ci, którzy jej pilnowali, pozostali na miejscach, bacznie obserwując Compaigne'a i Czerneho, czy nie dają znaku do pościgu. Upewniwszy się, że tak nie jest, i że Joanna odjechała wystarczająco daleko, wycofali się, osłaniając się wzajemnie, ale ani na moment nie tracąc z oczu dwóch cudzoziemców.

– Gdyby tak działali w czterdziestym roku, to nie ponieśliby tak kompromitującej klęski – zauważył Compaigne.

– Wie pan, komandorze, to dzielni żołnierze, wielu z nich zginęło, broniąc ojczyzny, ale mieli pecha: głupich dowódców i polityków. Tak, jak my, Polacy.

Odczekali jeszcze chwilę, aż ludzie z obstawy Joanny znikną z pola widzenia, i ruszyli spacerem w dół rzeki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Co to znaczy, że odczytują nasze szyfry jednorazowe? – Zawieniagin wyrwał z ręki Cziżykowa kartkę z tekstem depeszy.

– Niewiele więcej wiemy, towarzyszu majorze. To jedyny meldunek od „Z-1”. Najważniejsze, że się odezwał.

– Ty mi nie mów, co jest najważniejsze, tylko się zastanów, co ja mam teraz zrobić. Pomyślałeś?

– Nie rozumiem, towarzyszu generale – Cziżykow wciąż stał na baczność przed biurkiem Zawieniagina. – Otrzymaliśmy ważny sygnał o zagrożonym bezpieczeństwie naszych szyfrów. To sukces!

– A ja mam pójść do Berii i powiedzieć o tym ważnym sygnale. A on mnie zapyta: od kiedy czytają nasze szyfry, jak do tego doszli, które szyfry? I co ja na to odpowiem?

Cziżykow milczał. Obawiał się tego, co może nastąpić. Nie mylił się.

– Nadajcie do „Z-1”: Musimy wiedzieć jak najwięcej o łamaniu przez faszystów naszych szyfrów, i to jak najszybciej!

– To może zagrozić bezpieczeństwu operacji. Uważam, że nie należy naciskać. Pośpiech w tym wypadku może mieć katastrofalne następstwa.

Cziżykow mówił szybko, starając się nie dopuścić szefa do głosu. Ale ten nie miał zamiaru przerywać. Spokojnie wysłuchał argumentów do końca. To ucieszyło Cziżykowa, uznał, że przekonał generała.

– Dobrze, żeś taki mądry – Zawieniagin mówił spokojnie, jakby z pochwałą w głosie. – Ale o swoją dupę martw się najpierw, a potem o agentów. Jesteś bliżej Berii i Stalina niż ten „Zet”. Ciebie szybciej postawią pod ścianą niż jego. A postawią, jak się dowiedzą, że Niemiaszki nasze szyfry znają i od dawna tajne depesze sobie czytają, a my co? A my nic nie wiedzieliśmy?!

– To sprawa „Smierszu”, towarzyszu generale, nie nasza – Cziżykow nabierał coraz więcej pewności.

Zawieniagin zastygł z otwartymi ustami. Cziżykow mówił dalej dobitnie:

– My mamy zbierać niemieckie wynalazki, a bezpieczeństwem szyfrów powinien zajmować się „Smiersz”. Tymczasem to my wywęszyliśmy coś, o czym „Smiersz” powinien wiedzieć od dawna! A nie wiedział!

Zawieniagin wciąż milczał, ale z jego miny widać było, że podoba mu się to, co powiedział Cziżykow. Podniósł się zza biurka i zaczął krążyć po pokoju. Cziżykow zauważył, że zaczął się tak zachowywać, odkąd zapraszano go na narady do Stalina, który tak właśnie zwykł przechadzać się po gabinecie i stawać za plecami siedzących

uczestników narady.

Zawieniagin też obszedł go i stanął za jego plecami.

– Dobrze mówisz – powiedział z wyraźnym uznaniem w głosie. – To siadaj.

Całkiem już spokojny usiadł w fotelu stojącym przed biurkiem i zaczął, aż to samo zrobi Cziżykow.

– To co uważasz?

– Należy bezzwłocznie powiadomić towarzysza Berię o tym, że bezpieczeństwo naszych szyfrów jest zagrożone. Działać z rozwagą i czekać na meldunki od agentów, a nie ponaglać ich. Taka jest moja opinia, towarzyszu generale.

– Dobrze, będziesz żyć – Zawieniagin nagle wybuchnął śmiechem, nie zważając, że jego dowcip nie wzbudził wesołości podwładnego. Uspokoił się po chwili i pochylił w stronę Cziżykowa.

– Zamelduję Berii, a ty przejmujesz kontrolę nad „Z-1”. Sam będziesz za niego odpowiadał i nikt ci się nie będzie wtrącał.

Cziżykow podniósł się z fotela. Był wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Tak jest, będę meldował o rozwoju sytuacji! Szedł już do drzwi, gdy usłyszał głos Zawieniagina:

– Za trzy dni muszę mieć nowe informacje o szyfrach! Odwrócił się zaskoczony.

– Ale, towarzyszu generale, powiedzieliście, że...

– Powiedziałem to, co słyszysz: za trzy dni!

Powód do zadowolenia nagle prysnął. Sytuacja wróciła do punktu wyjścia, czego Cziżykow się nie spodziewał. Powinien wysłać rozkazy zmuszające agenta do pośpiechu, a pośpiech mógł przynieść złe skutki. Zdawał sobie jednak sprawę, że już nie może protestować.

Uniósł rękę, salutując. Zanim nacisnął na kławkę, usłyszał ponownie:

– Za trzy dni, majorze Cziżykow! Zawieniagin podniósł słuchawkę telefonu.

– Niech tu do mnie przyjdzie Bałabankow!

Wzywał szefa sekcji kryptologicznej swojego zespołu, nie potrafił bowiem zrozumieć, jak Niemcy mogą odczytywać szyfry jednorazowe. Zawsze słyszał, że jest to całkowicie bezpieczny sposób tajnego komunikowania się i nie istnieją żadne możliwości złamania takiego szyfru, który używany był tylko raz.

Bałabankow, który przyszedł kilka minut po wezwaniu, był drobnym mężczyzną o płowych włosach, zapadniętej klatce piersiowej i miał lekkiego zęza. Mówił cicho, więc Zawieniagin kazał mu usiąść przy stole, a sam postawił krzesło obok niego. Położył na stole kartkę i ołówek.

– Czy można złamać szyfr jednorazowy? – zapytał podchwytliwie.

– Nie można – stanowczo powiedział Bałabankow.

– A to niby dlaczego? – Zawieniagin poczuł, że ma przewagę nad kryptologiem.

– Bez gamy tylko Bóg może odczytać, i to nie tak szybko. Pomęczyc się musi trochę.

– A co to ta gama?

- Ciąg przypadkowych cyfr używanych do szyfrowania.
- A ja mam sygnały wywiadowcze, że Niemcy potrafią – Zawieniagin patrzył bacznie na Bałabankowa. Ten ponownie pokręcił głową.
- Kłamią te sygnały. W błąd chcą wprowadzić.
- Skąd macie taką pewność?
- Towarzyszu generale, uwierzcie mi, bo ja jeszcze za cara pierwsze szyfry odczytywałem...

Zawieniagin spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć: „To jak udało ci się przeżyć czystkę?”, szybko jednak pomyślał, że to dobrze, iż nie ruszano takich fachowców jak Bałabankow.

– Żeby złamać szyfr, trzeba mieć bardzo dużo zaszyfrowanych depeesz. Bez takiego materiału porównawczego nie uda się. Nasze szyfry jednorazowe nie dają wrogowi żadnego materiału porównawczego, bo depesza, w której zostały użyte, jest tylko jedna jedyna. Ot i cała tajemnica.

– Dziękuję wam – Zawieniagin podniósł się z krzesła.

Bałabankow wstał i ukłoniwszy się, ruszył ku drzwiom.

Zawieniagin poczuł, że stanął przed najpoważniejszym problemem w swoim życiu i zupełnie nie wiedział, jak go rozwiązać. Meldunek od „Z-1” był bardzo poważnym sygnałem, ale czy był prawdziwy? Dotychczasowy przebieg działalności tego agenta wskazywał, że dostarczał wiarygodnych informacji o niemieckich planach na Dolnym Śląsku. Pierwszy zawiadomił o budowie podziemnego kompleksu, choć nie wyjaśnił, co tam powstaje. A jeżeli Niemcy zmusili „Z-1” do współpracy i podsuwali fałszywe informacje? Na podstawie opinii Bałabankowa można by sądzić, że tak właśnie się dzieje. Jeżeli jednak Bałabankow mylił się i Niemcy rzeczywiście potrafią łamać radzieckie szyfry, to następstwa mogłyby być katastrofalne. Co robić?

Podszedł do biurka i złożył papiery, które umieścił w sejfie. „Tak, Cziżykow w jednym miał rację – pomyślał. – Pośpiech nie jest wskazany. Muszę mieć więcej informacji, zanim pójde do Berii i wywołam aferę”.

Uspokoił się. Zamknął sejf i zamierzał włożyć klucz do kieszeni, przekonany, że znalazł właściwe rozwiązanie. Wnet jednak opadły go wątpliwości.

W radzieckim systemie szpiegowskim, scentralizowanym do granic możliwości, decyzję podejmowali najwyżsi: Beria i Stalin. Żądali dostarczania meldunków szpiegowskich, zamiast o wiele bardziej wartościowych raportów zbiorczych, przygotowanych przez zespół analityków wywiadu, na podstawie wielu różnych doniesień i źródeł. Stalin żądał nawet ujawniania tożsamości informatorów, a gdy nie podobały mu się ich meldunki, wydawał wyrok: odwołać do Moskwy i rozstrzelać albo zlikwidować na miejscu.

„Niemcy czytają nasze tajne depesze – rozważał dalej Zawieniagin, wciąż trzymając w dłoni klucz do sejfu. – Ja o tym wiem, a uwierzyłem Bałabankowowi, który kiedyś był w carskiej armii. Niewiarygodny. Każdego dnia faszyści poznają nasze tajemnice, a ja nie

informuję przełożonych, tylko wierzę pogońszczykowi (tak pogardliwie nazywano carskich oficerów, gdy w Armii Czerwonej zlikwidowano pagony). Działam na szkodę ojczyzny. Za to kula w łeb! Nie będzie inaczej”!

Poczuł, że dłonie mu się pocą i klucz wydaje się lepki. Mimo dość młodego wieku uważał się za starego oficera – miał czterdzieści cztery lata – był doświadczony i zaprawiony w partyjnych bojach. A jednak zawsze, gdy pojawiały się wątpliwości, gdzieś z wnętrza ciała niespodziewanie wychodził strach, jak uderzenie krwi do mózgu. Może dlatego, że widział, co stało się z ludźmi, którzy zawiedli Stalina.

Wsunął klucz do kieszeni. „Czekać – uspokajał siebie. – Czekać”.

Podniósł słuchawkę.

– Nataszo Pietrowna – powiedział, gdy usłyszał głos sekretarki. – Napiszcie rozkaz dla majora Cziżykowa. Krótki rozkaz. Dyktuję: „Zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby wyjaśnić sprawę... – zawahał się na moment, zastanawiając się, czy w rozkazie podać, o co chodzi, ale wnet podjął – ...sprawę szyfrów, o czym zameldował agent, dotychczas oceniany jako wiarygodny. Wyjaśnić to w jak najkrótszym, podkreślam, jak najkrótszym czasie”. I przynieście do podpisu.

Odłożył słuchawkę zadowolony z siebie. Od tego momentu odpowiedzialność będzie ponosił Cziżykow.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jorg dostrzegł Natalię w grupie kobiet stojących przed kościołem. Ledwo ją rozpoznał; była w grubej wełnianej chuście, którą zawinęła wokół głowy, a końce rozrzuciła na ramionach, aby lepiej chronić się przed mrozem. Przeszedł obok. Zobaczyła go i dała mu o tym znać ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy. Wszedł do nawy głównej, z której wychodzili już ostatni wierni uczestniczący w południowym nabożeństwie. Przyklęknął w ławce i udając, że się modli, bacznie obserwował wejście. Widział tam tylko ludzi wychodzących z kościoła. Nikt za nim nie wszedł.

Kościelny, niosąc metalowy kapturek na długim kiju, podszedł do gromnic, z których niewiele zapalono, i zaczął je gasić. Po chwili ktoś zamknął drzwi i wewnątrz zapanował półmrok zimowego dnia.

Jorg klęczał jeszcze przez kilka minut, aż nabrał pewności, że tego dnia Glöbcke zrezygnował z wysłania za nim swoich psów tropiących.

Natalia weszła przez małe drzwi prowadzące do zakrystii i szybko podeszła do ławki za nim. Usiadła i pochyliła głowę.

– Odebrałam ważny rozkaz – powiedziała szeptem. – Fakt istnienia urządzenia deszyfrującego jest ogromnie ważny. Musimy przekazywać wszystkie informacje na ten temat. Jak najszybciej.

Skrzypnęły drzwi. To kościelny zgasił ostatnią świecę i wyszedł z kościoła tymi samymi drzwiami, przez które weszła Natalia.

– Czekać na kontakt – takie było ostatnie zdanie z depeszy. Być może przerzucą kogoś, kto zabierze dokumenty.

Znowu skrzypnęły drzwi. Natalia odwróciła się spłoszona. Do kościoła weszła kobieta w chuście, takiej samej, jaką miała Natalia, choć zsunęła ją z głowy na ramiona.

– Za długo tu jesteśmy. Czekam na cmentarzu – szepnął Jorg. – Spotkajmy się przy grobie Krugerów.

– Przy grobie Krugerów – powtórzyła niemal bezgłośnie.

Wstał i skierował się do wyjścia.

Kobieta, która weszła do kościoła, uniosła się z klęczek i skierowała się do ołtarza. Przechodząc obok Jorga, niemal otarła się o niego. Przez moment popatrzył na jej twarz. Miała proste blond włosy, krótko obcięte i nieuczesane, wąski haczykowaty nos, niebieskie wypłowiałe oczy, a na policzkach rysowały się drobne żyłki, które starała się ukryć pod pudrem.

„Jaka brzydka” – pomyślał. Nie wiedział, czemu w ogóle skomentował w myśli jej brak urody.

Zmrużył oczy oślepiiony bielą śniegu. Rozejrzał się szybko. Kościelny, który wcześniej gasił świece, teraz okryty kurtką z baranich skór uprzętał śnieg, padający coraz mocniej.

– Nie wie pan, gdzie jest grób rodzinny Krugerów? – zwrócił się do niego Jorg.

– Trzecia alejka po prawej – kościelny wskazał kierunek kijem miotły. – Łatwo odnaleźć! Takie wysokie kolumny.

Poszedł powoli w tamtą stronę, myśląc o tym, co usłyszał od Natalii. Jeszcze niewiele mógł powiedzieć o niemieckim urządzeniu i nie sądził, aby w ciągu trzech dni udało mu się dowiedzieć wiele nowego. Wiedział, że dowództwo czeka z niecierpliwością na każdy meldunek, tyle że pośpiech był w tym wypadku niebezpieczny. Od jego przyjazdu z Hirschbergu minęło nieco ponad dwa tygodnie. Glöbcke wciąż miał go na oku, a nadmierne zainteresowanie „Aparatem” obudziłoby jego czujność. Tak jak zbyt częste kontakty z Natalią.

Między drzewami dostrzegł kolumny ustawione w podkowę, otaczające wielką płytę z piaskowca. Podeszedł bliżej. Mosiężne litery informowały, że spoczywa tu rodzina Krugerów i prosiły przechodnia o modlitwę. Przyjrzał się uważnie tej pompatycznej konstrukcji, starając się odnaleźć miejsce, które Natalia wybrała na skrytkę dla korespondencji. Pień drzewa przysłaniał część grobu i pomyślał, że tam właśnie musi znajdować się wazon, pod którym miał zostawiać listy.

Obejrzał się. Z kościoła wyszła Natalia, a tuż za nią kobieta, której przyjrzał się przelotnie w kościele. Stały przez moment rozmawiając, a potem rozeszły się. Jorg prowadził wzrokiem kobietę, która nie oglądając się, szła do bramy ogrodzenia kościoła.

– Kto to był? – zapytał, gdy Natalia podeszła do niego.

– Polka. Wynajmuję u niej pokój. Nazywa się Ewelina Chrabąszcz – Natalia roześmiała się. – A właściwie nazywała się tak. Podpisała folkslistę i zmieniła nazwisko na Maikafer. Nie wydaje mi się, żeby mogła zaszkodzić, bo wygląda na głupią, choć jest wścibska i źle jej z oczu patrzy.

– Nasze spotkania mogą się stać niebezpieczne. Ciągle czuję zainteresowanie Glöbckego i jego pomocnika Beera. Gdzie skrytka?

– Tam – Natalia ruchem głowy wskazała dużą wazę, w lecie z pewnością pełną kwiatów. Jej podstawa była popękana i tam miał wsuwać kartki.

– Za trzy dni, po południu – przeżegnał się, jak człowiek, który zmówił pacierz za spokój zmarłych, i odwrócił się. Alejka, z rzadka obsadzona strzelistymi cyprysami, była pusta, a ciężkie płatki śniegu osiadające na ramionach nagrobnych krzyży podkreślały niezwykły spokój tego miejsca.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina czternasta, co oznaczało, że lada moment na rynku w Marklissie zatrzyma się samochód, który miał go zabrać do zamku. Podniósł kołnierz, aby ochronić się przed przenikliwym zimnem, i przyspieszył kroku, nie oglądając się. Kątem oka dostrzegł, że Natalia gałązką odgarniała śnieg z płyty grobowca.

Samochód zahamował tak gwałtownie, że Jorg ledwo zdążył złapać za metalowy uchwyt nad drzwiami, żeby nie uderzyć głową o szybę. To wyrwało go z zamyślenia. Spojrzał zdziwiony na drogę.

– Przepraszam, musiałem tak hamować – mruknął kierowca. – Dobrze, że droga czarna, bo byśmy do rowu wpadli.

Zza zakrętu, z którego wyjechali, nie było widać stojących obok motocykla żandarmów, którzy zatrzymywali samochody nadjeżdżające z kierunku Marklissy.

Jorg wysiadł z szoferki. Przed ich samochodem stało kilka innych ciężarówek, które widocznie niedawno dostarczyły zaopatrzenie do miasteczka. Po chwili dostrzegł znajomy samochód, z którego wysiadła Anna Maria, też zaintrygowana niespodziewanym pojawieniem się żandarmów.

Mijały minuty, gdy nic się nie działo, aż z poprzecznej drogi wybiegającej z lasu wyłoniła się kolumna ludzi, których w zapadającym zmierzchu Jorg w pierwszej chwili nie rozpoznał. Dopiero gdy przyjrzał się uważnie, zorientował się po pasiakach, że są to więźniowie. Poruszali się truchtem, poganiani przez esesmanów.

– To z któregoś z podobozów Gross-Rosen – powiedział kierowca, który stanął obok niego. – Najwidoczniej rosyjscy jeńcy.

Jorg nie słuchał go. Podszedł do samochodu Anny Marii. Nie zauważyła go, wpatrzona w kolumnę wynędzniałych ludzi, którzy wychodzili z leśnego duktu na szosę i szli w stronę Tzsochy. Wielu ślaniało się na nogach i widać było, że ostatnim wysiłkiem zmuszają się do utrzymania tempa marszu, jaki nadawali esesmani idący po bokach i z tyłu kolumny. Niektórzy prowadzili psy, duże czarne owczarki alzackie, na długich linkach. Psy, dobrze wytresowane, biegły spokojnie obok przewodników, dopóki nie zauważyły, że któryś z więźniów zwalnia lub chwając się, przystaje, aby złapać tchu. Podnosiły wówczas łby, jakby pytając o pozwolenie i na znak dany gestem rzucały się w tamtym kierunku. Więzień, który znalazł się z boku, nie wracał do szeregu. W drewnianych sabotach na gołych, często krwawiących stopach, ślizgał się niezdarnie po śniegu. Unosił ręce, starając się zasłonić twarz i gardło, gdy pies, warcząc, rzucał się na niego, przewracał w śnieg i szarpał za ramiona lub głowę, nie mogąc zatopić zębów w gardle, dopóki powalony nieszczęśnik miał siłę, aby zasłaniać się rękami.

Drzwi od samochodu Anny Marii otworzyły się gwałtownie. Jorg, który był już parę kroków dalej, zobaczył ją, jak wysiada i idzie wprost do esesmana trzymającego linkę psa zagryzającego więźnia. Żołnierz odwrócił głowę w jej stronę, zdziwiony nagłym pojawieniem się kobiety. Anna Maria zatrzymała się przed nim i nagle uderzyła go z rozmachem, aż zachwiał się, trafiony pięścią w twarz. Oprzytomniał po chwili i odepchnął ją z całą siłą, tak że poślizgnęła się i wpadła do rowu. Patrzył w dalszym ciągu zdziwiony na leżącą kobietę i zaczął ściągać z ramienia pistolet maszynowy. Po chwili zmienił zdanie i przez zęby gwizdnął na psa.

– Bierz sukę! – krzyknął.

Owczarek porzucił więźnia i susami pędził w stronę leżącej kobiety, która widząc to,

zasłoniła się ręką i usiłowała się podnieść, lecz nie mogła znaleźć oparcia dla stóp w grząskim śniegu.

Jorg wyszarpnął pistolet z kabury i wycelował w twarz esesmana.

– Zawołaj psa! Zawołaj! – krzyknął.

Szczęk zamka pistoletu przestraszył esesmana.

– Do nogi! – szarpnął za linkę, przywołując psa. Zdawał sobie sprawę, że wystarczy moment wahania i oficer wystrzeli mu w twarz, ale od kolumny bieгло już kilku strażników, trzymając broń w pogotowiu. Na ich czele podązał oficer. Było to wielkie chłopisko o rudych włosach, twarzy obrzmiałej od alkoholu i grubych, masywnych dłoniach.

– Bronicie tego ścierwa? – ryknął, podchodząc do Jorga. – wy jesteście Niemcami?!

Skierował pistolet w stronę leżącego więźnia i kilkakrotnie wystrzelił. Jorg dostrzegł, jak okaleczony przez psa człowiek, który czynił ogromne wysiłki, by wstać i dołączyć do kolumny, zastygł na moment i trafiony kolejnymi pociskami przewrócił się na plecy, brocząc krwią. Oficer odwrócił się do Jorga. Patrzył mu prosto w oczy pewny swojej przewagi, jaką dawała mu obecność kilku otaczających go esesmanów. Powoli chował pistolet do kabury.

– Za zdradę, dzielny żołnierzyku, będziesz wisiał! I ta panienska też. Dawać sznur i powiesić ich! – krzyknął do żołnierzy.

Jeden podbiegł do Anny Marii i złapał ją za włosy. Szarpnął tak mocno, że przewróciła się, a wtedy zaczął ją wlec po śniegu w stronę sosny o grubych konarach, rozchodzących się niewysoko nad ziemią.

– Dobrze wybrałeś! Powiesimy ich tak, żeby dotykali stopami ziemi. Będą mieli czas zastanowić się nad tym, co zrobili, zanim się uduszą – oficer był wyraźnie zadowolony, że urządzi swoim żołnierzom widowisko.

Jorg poczuł, że ktoś wykręca mu ręce i sznurkiem ściska przeguby. I wtedy rozległa się długa dudniąca seria. Nad ich głowami przemknęły smugowe pociski z karabinu maszynowego. Wszyscy zaskoczeni niespodziewanym ostrzałem odwrócili się w stronę samochodów. Klapa na górze samochodu pancernego była podniesiona, a żołnierz, który się z niej wychylił, celował w ich stronę. Kilkudziesięciu innych zeskoczyło z ciężarówek i stanęło po obydwu stronach, podnosząc szturmowe pistolety maszynowe. Przewaga ognia była wyraźnie po ich stronie, choć kilkunastu esesmanów pilnujących kolumny też podniosło broń. Żołnierzy było jednak więcej, a opancerzony samochód na przedzie dawał im jednoznacznie przewagę.

– Nie będziecie wieszać Niemców! Cofnąć się! Drzwi samochodu pancernego otworzyły się i wysiadł porucznik w czarnym kombinezonie pancerniaków.

– Cofnąć się i opuścić broń! – krzyknął do esesmanów, którzy zamarli w osłupieniu. Patrzyli na oficera, oczekując rozkazu. On jednak zrozumiał, że jeżeli każe im walczyć, to wszyscy zginą.

– Zrozumieliście?! – oficer z samochodu pancernego krzyknął ponownie, a nie

widząc reakcji, uderzył dłonią w burtę. Na ten sygnał żołnierz na górze znów nacisnął na spust. Długa seria przemknęła nad głowami esesmanów, odłupując drzazgi z sosny, na której zamierzali powiesić Annę Marię i Jorga. Esesmani woleli dłużej nie wystawiać na próbę cierpliwości oficera. Nie czekając na rozkaz, zaczęli się cofać. Jedynie pies szarpał się na linie, usiłując ugryźć Jorga.

Esesman dowodzący kolumną, widząc, że traci panowanie nad sytuacją, schował pistolet do kabury.

– To bunt! – krzyknął w stronę samochodu. – Znajdziemy was, sukinsyny! Wszyscy będziecie wisieć! Dopilnuję tego!

Lufa karabinu maszynowego obróciła się w jego stronę. Zamilkł natychmiast i, ratując resztki autorytetu, krzyknął do esesmanów:

– Do kolumny!

Odwrócił się i szybko ruszył przed siebie, najwyraźniej starając się wyjść z pola rażenia karabinu maszynowego.

Jorg podszedł do Anny Marii, która podnosiła się z klęczek.

– Nie jest pani ranna? – zapytał, widząc strużkę krwi na jej czole.

– Skaleczenie, drobiazg. – Dotknęła głowy sprawdzając, jak poważna jest rana. Podniosła się. – Dziękuję.

Objął ją ramieniem. Czuł, jak drży. Otworzył drzwi samochodu.

– Ja poprowadzę.

– Panie kapitanie, nazywam się Herbert Klön – oficer, który kazał strzelać do esesmanów, podszedł do nich. – Nie mogłem dopuścić, aby te czarne dranie powiesiły oficera Wehrmachtu.

– Dziękuję panu – Jorg uściśnął mu dłoń. – Obawiam się, że nie mogę odwdzińczyć się za uratowanie życia.

– Niech pan się nie obawia konsekwencji – Anna Maria wychyliła się z samochodu. – Mój wuj jeszcze dzisiaj będzie rozmawiał z generałem Schórnerem. Nie dopuści, aby coś złego stało się ludziom, którzy stanęli w obronie jego siostrzenicy.

Porucznik zasalutował.

– Do wozu! – krzyknął do żołnierzy stojących kilka kroków dalej w milczeniu.

Jorg dał znać kierowcy, z którym jechał, aby nie czekał na niego.

– To nie było rozsądne, co pani zrobiła – powiedział jakby z wyrzutem, wsiadając do samochodu Anny Marii. – Świata nie zmienimy...

– To nie było rozsądne, co pan zrobił – przerwała mu. – Świata nie zmienimy. Ale musimy próbować.

Nie odpowiedział. Spojrzał ze smutkiem na tę dziewczynę i uzmysłowił sobie, jak wiele ich dzieli.

– Chciałbym tylko dowiedzieć się, dlaczego kiedyś ostrzegła mnie pani? Przed sobą... – uruchomił samochód i wrzucił bieg. Byli już sami na drodze. Ruszyli. Przysłumione światła reflektorów wydobywały ośnieżone zarzysy drzew.

– Nabrałam do pana zaufania – powiedziała. – Już wtedy. A teraz wiem, że się nie pomyliłam. Powiem panu, ale nie teraz. Czuję się tak, jakbym uciekła śmierci spod kosa.

– Właściwe uczucie.

Uśmiechnął się. Dopiero teraz poczuł, że napięcie, które cały czas ścisnęło mu gardło, zaczyna opadać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jorg nie widział Anny Marii od dwóch dni. Odnosił wrażenie, że dziewczyna go unika. Upewnił się, że tak jest, kiedy umknęła, widząc go na korytarzu – spostrzegła go i natychmiast zawróciła, jakby o czymś sobie przypominając. Nie wiedział, co o tym myśleć, za mało ją znał. Zresztą okazji, by ją spotkać, nie miał wiele; poza strefę „X” wychodził ostatnio nieczęsto, a jeśli już, to późną nocą, gdy zmęczony analizowaniem tysięcy cyfr i próbami znalezienia związku między ich kolumnami, szedł do pokoju, aby nareszcie położyć się w chłodnej pościeli łóżka, które uznał za swoje. Ten stały rytm pracy został niespodziewanie przerwany dwudziestego ósmego lutego informacją o radzieckiej ofensywie, co potwierdzał dobiegający gdzieś z północy głuchy łomot, jakby przewalała się tam wielka burza.

Tej nocy, idąc do pokoju, postanowił zboczyć do kasyna oficerskiego i przyjrzeć się nocnemu niebu, rozświetlanemu przez odległe wybuchy pocisków artyleryjskich.

W pustej sali kelner drzemał na krześle obok baru. Jorg minął go i otworzył drzwi na balkon, przylegający do wschodniego muru, stromo opadającego do jeziora. Z dala wciąż dobiegało głuche dudnienie, przez które co pewien czas przedzierał się przenikliwy świst. Wiedział, co to jest. Tysiące katusz wyślizgiwało się z przewodnic, aby spaść w odległości kilku kilometrów, obracając w perzynę teren, na który były wycelowane.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Najlepszy czas na przygotowania artyleryjskie. Będą tak strzelać do rana, a wtedy, gdy czołgiści przez okulary peryskopów zobaczą drogę, ruszą tysiące pancernych pojazdów, pomazanych wapnem w maskujące wzory, utrudniające celowniczym niemieckich dział przeciwpancernych wypatrzenie ich na pokrytych śniegiem polach.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Obejrzał się. Z kasyna wychodziła Anna Maria, ubrana tak samo jak w czasie ich pierwszego spotkania na balkonie i wyprawy do Marklissy.

– Pani też wybuchy nie dają spać? – zapytał ot tak, nie mogąc znaleźć innego sensownego zdania, które pozwoliłoby nawiązać rozmowę.

– Front nadchodzi – powiedziała, jakby nie słysząc pytania. – Będą tu za kilka tygodni.

– Zgromadziliśmy tak dużo wojska, że powinniśmy odrzucić Rosjan. W każdym razie na pewien czas...

– Niech pan tak nie mówi! – podeszła tak blisko, że poczuł zapach jej perfum. – Wie pan lepiej ode mnie, że obrona pochłonie życie setek tysięcy naszych chłopców. Chłopców, panie kapitanie Jorg, bo teraz Hitler ich rzuca śmierci. I setek tysięcy

mieszkańców miast, które zamieniono w twierdze. Już nic nie ma sensu!

Patrzył na nią zaskoczony i nagle przypomniało mu się, jak po powrocie z pierwszego wspólnego wyjazdu do Marklissy powiedziała, że nie powinien się z nią spotykać. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Dlaczego pani mnie unika? – spojrzał jej prosto w oczy. Zawahała się. Nie spodziewała się tego pytania.

– Bo jestem córką Hanny Solof – powiedziała wreszcie, wytrzymując jego spojrzenie.

– Chyba powinienem znać to nazwisko, ale nie znam. Nic mi nie mówi. Kto to jest Hanna Solof? – był tak szczery w swoim zakłopotaniu, że uśmiechnęła się.

– Nie dziwię się, ponieważ to nazwisko zostało wymazane. Moja matka i siostra zostały aresztowane i zapewne zamordowane. Modłę się, żeby ich nie męczyli. A może jeszcze żyją...

Jej głos załamał się. Tłumiąc łzy, oparła głowę na ramieniu Jorga. Przez ten moment miał wrażenie, że jego ręce są zbyt ciężkie, aby je podnieść. Chciał ją objąć, ale nie mógł się na to zdobyć. Po chwili dziewczyna uniosła głowę, najwyraźniej zakłopotana lub zła na siebie za chwilę słabości.

– Nie wiem, dlaczego mnie nie aresztowali. Czasami boję się, że pozostawili mnie na wolności, abym doprowadziła ich do innych ludzi. Dlatego natychmiast przyjechałam tutaj, do wuja. W tym miejscu niczego nie dowiedzą się o moim otoczeniu. Nikogo nie zdradzę.

Patrzył na nią, nie mając odwagi ponownie zapytać, kim jest Hanna Solof i dlaczego została aresztowana, choć mógł przypuszczać, że łączyło się to z wielką nagonką na wrogów Hitlera.

– Zimno tu – powiedziała niespodziewanie. – Chodźmy do środka.

Odwróciła się i otworzyła drzwi do kasyna. Weszła szybko do sali. Podążył za nią. Niespodziewanie zatrzymała się i podała mu rękę.

– Wiem, że muszę panu to wyjaśnić, dlaczego powiedziałam, że powinien mnie pan unikać. Nadszedł na to czas. Niech pan idzie teraz do siebie. Dobranoc.

Odprowadził ją do drzwi. Stał zaskoczony, patrząc przez chwilę, jak odchodzi korytarzem. Zdjęła czapkę i potrząsnęła głową rozrzucając włosy, które w ostrym świetle żarówek wyglądały jak świetlisty woal.

Wrócił do kasyna, zastanawiając się, czy mimo późnej pory zjeść coś przed snem. Wybór nie był duży. Od kilku dni podawano tylko fasolę z kawałkami mięsa, więc zjadł podgrzane danie.

Dochodziła czwarta, gdy dotarł do pokoju. Otworzył drzwi wielkim kluczem, którego rozmiary i ciężar irytowały go, ale dopatrywał się w tym przebiegłości Glöbckego. Nie sposób było nosić takiego klucza w kieszeni munduru, więc trzeba było zostawiać go u oficera dyżurnego. W ten sposób Glöbcke mógł łatwo kontrolować czas wyjścia i przyścia do pokoju każdego z lokatorów zamku.

Drzwi ustąpiły z lekkim szcęknięciem zasuw i Jorg otworzył je. Smuga światła z

korytarza rozjaśniła wewnątrz i wtedy dostrzegł Annę Marię. Siedziała nieruchomo przy stole. Obejrzał się. Korytarz był pusty. Zamknął szybko drzwi i położył palec na ustach, nakazując jej milczenie. Zaciągnął zasłony i zapalił światło. Gestem nakazał jej, aby odeszła od stołu, nad którym zamontowano mikrofony.

– Bez względu na to, co chce mi pani wyjaśnić, proszę pamiętać, że tu jest podsłuch – powiedział szeptem, tak że mikrofony nie mogły zarejestrować jego głosu.

Zmrużyła powieki, potwierdzając, że spodziewała się tego.

– Nie wiedziałem, że ma pani klucz do mojego pokoju... – wyszeptał, wciąż zaskoczony jej obecnością.

Nie odpowiedziała. Bezszelestnie podeszła do szafy i wsunęła dłoń pod gzyms boazerii. Usłyszał zgrzyt zegarowego mechanizmu. Otworzyła szafę i wtedy zobaczył, że nie było tam bocznej ściany, a w jej miejscu znajdował się ciemny otwór.

Poruszając się cicho, włączyła radio, z którego popłynął wojskowy marsz, a następnie zapaliła wyjętą z kieszeni spodni niewielką płaską latarkę i pokazała gestem, aby szedł za nią. Bez trudu wślizgnęła się w otwór we wnętrzu szafy, co Jorgowi nie przyszło tak łatwo. Barczysty, o szerokiej klatce piersiowej starał się wypuścić powietrze z płuc i mocno zaprzeć się nogami, aby precyzyjnie się do wnętrza. Bał się, że cała przestrzeń za otworem będzie tak samo ciasna, gdyż nie mógł niczego dojrzeć w panującej tam ciemności, zaś Anna Maria, pomna jego ostrzeżeń, nie odzywała się. Z ulgą wyczuł, że lewą ręką natrafił na załom muru, co było widowym znakiem, że tunel wejściowy rozszerzał się. W słabym świetle latarki dostrzegł, że doszli do korytarza, którego koniec krył się w ciemności. Gotycka cegła wskazywała, że przejście powstało przed wiekami, zapewne w czasie budowy lub przebudowy zamku. Ponownie usłyszał szczęknięcie sprężyny mechanizmu i nikłe światło padające z tyłu, przez otwór wejściowy, zaczęło zanikać. Zrozumiał, że ściana szafy wraca na swoje miejsce, maskując wejście.

– Niech pan idzie za mną – Anna Maria przystanęła na moment i oświetliła mur.

Po kilkudziesięciu krokach dotarli do schodów o stopniach z piaskowca, lekko wklęsłych, wąskich i stromych, po których poruszanie się, zwłaszcza przy słabym świetle wydawało się niebezpieczne. Wyczuwając stopnie i mocno opierając dłonie o chropowate cegły, schodził za dziewczyną. Przeszli tak kilkadziesiąt zaledwie kroków, a on miał już dość wyprawy przez ciasne przejście, wypełnione ciężką wonią stęchlizny.

Z ulgą wyczuł stopami, że schody zakończyły się, zaś tunel rozszerzył się, ujawniając przejście prowadzące w bok.

– Jesteśmy pod Salą Rycerską – odezwała się wreszcie Anna Maria. – Tutaj możemy rozmawiać bez obawy, że nas usłyszą. Poza tym tylko mój wuj zna to przejście.

– Speleologia nigdy nie była moją pasją – mruknął Jorg. – Pozwolę sobie zapytać, czy długo będziemy jeszcze błądzić po tych ciasnych korytarzach.

– Te schody prowadzą na dół, do jeziora – wyjaśniła, wskazując na czeluść. – Zapewne stamtąd tak cuchnie stęchlizną. My pójdziemy w bok. I niech pan się nie obawia, to tylko parę metrów.

– Dobrze, księżniczko podziemi – powiedział wyraźnie zadowolony, że zbliżają się do celu, bez względu na to, co miało nim być.

Światło pojawiło się niespodziewanie, gdy panel przed nimi zaczął przesuwać się w bok, widocznie pod działaniem sprężyny uruchomionej przez Annę Marię.

– Jesteśmy na miejscu – obwieściła, przeciskając się przez wąski otwór, który ujawniał się po odsunięciu desek boazerii.

Izba, do której weszli, była niska, o gotyckim sklepieniu i wyłożona grubo ciosanymi kamieniami. Nie było tam okna, ale w suficie zobaczył prostokątne otwory, przez które do tego pomieszczenia, jak i prowadzących do niego korytarzy, dostawało się powietrze, a w czasie dnia światło słoneczne. Umeblowanie było skromne. Pod ścianą stał niski stół zбитy z grubych desek i szeroka ława, w części przykryta skórą, przyniesioną tu, aby przyjemniej siedziało się na prostej i twardej desce. Zobaczył też w kącie wysoką i wąską szafkę.

– Myślę, że kiedyś było to miejsce schadzek właścicieli zamku. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że tajne przejście prowadzi z sypialni, która teraz jest moim pokojem – Anna Maria zapaliła lampę naftową i zgasiła latarkę. – Może bywało tak, że mąż raczył swoją starzejącą się żonę naparem z ziół, a gdy ta zasnęła, przedostawał się tutaj, gdzie czekała na niego młoda wybranka.

Usiadła na ławie, którą odsunęła od stołu.

– Nie obawia się pani tych zakamarków? Na pewno gnieźdzą się tu szczury, a może i nietoperze? – rozejrzał się po niskiej izbie.

– W pokoju nie chciał pan, abym się odzywała, bo zamontowali mikrofony. Czego więc mamy się bać: szcurów czy Glöbckego? Jorg usiadł naprzeciw niej.

– Cóż, zdaje się, że dla nas jest to jedyne miejsce, w którym możemy spokojnie rozmawiać.

– Tak, jeżeli twierdzi pan, że w pana pokoju jest podsłuch, to bez wątplenia mikrofony są również w moim. Tutaj nikt nas nie podsłucha. Tylko dwie osoby wiedzą o istnieniu tych korytarzy i tej izby: mój wuj i ja. Teraz trzy...

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego zdecydowała się pani ujawnić mi tajemnicę zamku?

– Obronił mnie pan, tam na drodze...

– Z tego samego powodu, dla którego pani ujęła się za więźniem.

– Uratował mi pan życie.

– Nie ja, żołnierze.

– Oni bronili oficera Wehrmachtu przed esesmanami, a nie jakiejś tam dziewczyny.

– Być może, to nie ma znaczenia.

– Ależ ma. I ja właśnie spłacam panu dług wdzięczności, ujawniając tajemnicę – podeszła do szafki stojącej w rogu i otworzyła ją. Wydobyła kilka płacht złożonych we czworo i rozpostarła je na stole. Gdy przysunęła bliżej lampę i postawiła na rogu arkusza, dostrzegł, że są to stare plany.

– Pochodzą z tysiąc dziewięćset dwunastego roku, gdy przebudowywano zamek, i są

jego największą tajemnicą, dlatego trzymamy je tutaj. Naniesiono na nie korytarze, odkryte podczas przebudowy. Jesteśmy w tym miejscu – wskazała na czworokąt zaznaczony grubą kreską i starannie wypełniony ukośnymi liniami – pod wieżą, która kiedyś pełniła funkcję ostatniego miejsca obrony. Dlatego wymyślono to schronienie, na wypadek, gdyby wróg wdarł się do wieży. Właściciel zamku miał ostatnią szansę ukrycia się, a nawet ucieczki, gdy jego dzielni wojowie ginęli.

Jorg pochylił się nad mapą. Od pomieszczenia, które wskazywała Anna Maria, prowadziły korytarze, ale żaden nie biegł poza obręb murów.

– Z dziedzińca prowadzi korytarz do jeziora. Na pierwszym poziomie wychodzi tuż nad taflą wody, gdzie kiedyś znajdowało się ujście kanalizacji. Nieużywana od wieków rura zarosła pokrzywami i krzakami. Drugi poziom biegnie pod wodą, na drugą stronę jeziora. Zamek miał kiedyś funkcje obronne, więc wykopano to tajne przejście, aby przemycać żywność w czasie oblężenia.

– To teraz proszę mi powiedzieć, kim jest Hanna Solof? – zapytał niespodziewanie.

Anna Maria milczała przez chwilę. Wspomnienie matki musiało być dla niej bardzo bolesne.

– Przed wojną matka związała się z grupą bawarskich katolików, którzy postanowili przeciwstawić się Hitlerowi – zaczęła po chwili, starając się mówić spokojnie. – Ich działalność, popierana przez admirała Canarisa, nie wykraczała poza spotkania i rozważania, co należałoby zrobić, aby uratować Niemcy i świat. Tak sędzę, gdyż matka nie chciała mnie wtajemniczyć w sprawy organizacji, wiedząc, że jest to bardzo niebezpieczne. Wśród nich był zdrajca. Donosił do Gestapo. Mimo to nie aresztowano mojej matki, ani jej przyjaciół. Snuli więc plany budowy nowych Niemiec na swoich spotkaniach w naszym monachijskim mieszkaniu.

– Za rozmowy przy kawie nie aresztuje się ludzi najbardziej znaczących, nawet w hitlerowskich Niemczech. To musiało być coś więcej.

– Tak, teraz też tak myślę. Matkę aresztowano kilka tygodni po zamachu na Hitlera. W tym samym czasie uwięziono admirała Canarisa. Dlatego podejrzewam, że jej działalność nie ograniczała się tylko do rozmów w gronie przyjaciół... Modłę się, żeby jej nie torturowali. Zawsze tak bardzo bała się bólu...

Zamilkła niespodziewanie. W migotliwym świetle lampy naftowej widział spływające po jej policzkach łzy. Delikatnie przesunął po jej twarzy palcami i zanurzył je we włosach.

– Hugo, wiem – powiedziała tak cicho, że tylko w tej mrocznej piwnicy, odgradzonej grubymi ścianami od dźwięków świata mógł usłyszeć jej głos. – Ja wiem. Ale to byłaby słabość, na którą teraz nie możemy sobie pozwolić. Glöbcke i ta jego banda wykorzystaliby to przeciwko nam.

Dotknęła ustami jego dłoni i przytuliła do niej policzek.

– On na to czeka – powtórzyła. – Jest jak hiena. A Beer jest jeszcze gorszy.

Chciał cofnąć rękę, ale przytrzymała jego dłoń.

– On wie, czyją jestem córką, i jeżeli nawet nie liczy na to, że cokolwiek ode mnie wydobędzie, to i tak zrobi wszystko, aby mnie zniszczyć.

Beer znalazł Glöbckego przy śniadaniu, gdy ten grzebał widelcem w żółtej mazi, którą w jadłospisie kantyny nazwano jajecznicą. Podszedł blisko i stanął, czekając na sygnał, że może zreferować sprawę, z którą przyszedł. Glöbcke nadejście podwładnego uznał za okazję, aby zaniechać dalszych prób znalezienia smaku w potrawie z proszku. Przetarł usta serwetką.

– Stało się coś, że tak wcześnie mnie poszukujesz? Beer nie odpowiedział. Odsunął krzesło i widząc przyzwolenie Glöbckego usiadł obok.

– Jest meldunek w sprawie wczorajszej strzelaniny na drodze. Jak zdołałem ustalić, awanturę z esesmanami eskortującymi rosyjskich więźniów wszczęła nasza panienka...

– Anna Maria? – Glöbcke był najwyraźniej zdziwiony.

– Tak jest, ona. Z pomocą pospieszył jej Jorg, rycerz waleczny. To oczywiście nic nie znaczyło, gdyż po prostu powieszono by ich na drzewie, ale za nimi wstawili się żołnierze z samochodów czekających na przejazd. Esesmanom z eskorty zagrozili użyciem broni. Oddali nawet ostrzegawcze strzały.

– Ustalono, co to za oddział?

– Tak jest.

– To rozstrzelać ich! Wszystkich!

– Dowództwo SS z Lauban żąda odesłania Anny Marii i Jorga, winnych karygodnego zachowania wobec strażników.

– Będą chcieli wykonać wyrok, którego nie udało się wykonać na drodze. Odpowiedz, że sami wymierzymy sprawiedliwość.

Glöbcke znowu sięgnął po widelec, najwidoczniej uznając, że w najbliższych godzinach nie dostanie nic lepszego do zjedzenia.

– I to wszystko? – Beer był zdziwiony zachowaniem szefa. – Panie Obersturmbannführer, przypominam, że śledztwo wykazało kryminalne działania przeciwko...

– Untersturmführer Beer, nie mam zamiaru zostać rozdeptany przez Góringa... – zawiesił głos, chcąc sprowokować pytanie Beera, co z tym wszystkim może mieć wspólnego marszałek Rzeszy, ale ten nie odezwał się.

– Tak, Góringa, do którego profesor Kunze zadzwoni natychmiast, gdy dowie się, że zabrano mu Jorga. Nie muszę wam mówić, do kogo zadzwoni nasz drogi gospodarz, właściciel zamku, na wieść, że jego siostrzenicy coś zagraża. Ci durnie eskortujący więźniów mieli dużo szczęścia, że nie udało im się zrobić krzywdy Annie Marii, gdyż teraz byliby już martwi.

Glöbcke uznał, że wystarczająco jasno wytłumaczył motywy swojej niechęci do podjęcia jakichkolwiek kroków przeciwko Jorgowi i Annie Marii, i zdecydował się na dokończenie jajecznicy. Po chwili głośno odłożył widelec obok talerza, a Beer zrozumiał, że szef uważa rozmowę za zakończoną. Wstał, zasalutował i szybko wyszedł ze stołówki,

najwyraźniej zawiedziony, że nie dane mu będzie wymierzyć sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Praca w zamku stawała się coraz trudniejsza. Kryptologów przygnębiała świadomość, że kilkadziesiąt kilometrów od ich spokojnych pomieszczeń toczą się zacięte walki. Niepokoił ich również brak jakichkolwiek planów ewakuacji ośrodka. Jorg starał się nie brać udziału w tych rozmowach, obawiając się, że któryś z kolegów może donosić Glöbckemu, a nie chciałby jeszcze raz zwrócić na siebie uwagi komendanta ochrony zamku. Już i tak czuł jego baczne spojrzenie, co wiązało ze zbyt częstymi kontaktami z Anną Marią. Nocne spotkanie w tajnych tunelach zamku bardzo go poruszyło i odebrało mu spokój. Czuł, że zakochał się w tej dziewczynie o jasnym spojrzeniu. Tym chętniej przesiadywał w pokoju w strefie „X”, wśród stert nierozwiązanych szyfrogramów. Pamiętał rozmowę z Schaufflerem, gdy ten powiedział, że sukces w kryptologii to pamięć, kojarzenie i intuicja.

Jorg nie potrafił uzasadnić, dlaczego z setek kartek, które przeglądał, wybrał kilkanaście wypełnionych długimi kolumnami cyfr. Odnosił wrażenie, że dostrzega w nich pewien porządek, ale nie potrafił zrozumieć istoty tego spostrzeżenia. Było to tak bardzo męczące, że czasami odkładał papiery na bok i krążył wokół, potem zabierał się ponownie do pracy, przerywał ją, znów zaczynał, aż wreszcie całkowicie wyczerpany szedł do swojego pokoju. Noc nie przynosiła mu odpoczynku. Nękający obraz porządkowanych cyfr prześladował go w czasie snu i budził na długo przed dźwiękiem budzika, a pierwszą niepokojącą myślą, która dopadała go po otwarciu oczu, była ta o konieczności rozwiązania problemu.

Powracał do pokoju w strefie „X” i długo analizował częściowo rozszyfrowane radzieckie depeze, choć nie wiedział, czego w nich szukał.

– „Mlad” – przeczytał na głos. – Mogła to być część wyrazu, może... – „Mlad” – powtórzył jeszcze raz. – „Młody”, brzmi jak pseudonim – powiedział głośno do siebie, prowokując rozbawione spojrzenie kolegi ślęczącego nad podobną stertą kartek. Spojrzał na datę przechwycenia tej depezy radiowej, był to dwunasty lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

Brak zespołu, który w Hirschbergu pomagał kryptologom, wydał lu się szczególnie dotkliwy. Nie miał kogo zapytać o „Mlada”, może ten pseudonim był już znany niemieckiemu wywiadowi.

Zebrał wszystkie depeze ze Stanów Zjednoczonych, przechwycone tego dnia. Nie było ich dużo, tylko kilkanaście kartek, więc zaczął przeglądać jedna po drugiej, starając się zapamiętać cyfry, by dostrzec jakąkolwiek prawidłowość. Znów odczuł brak pomocy. W Dahiem albo w Hirschbergu uruchomiłby maszynę profesora Kruga i szybko

znalazłby to, czego szukał. Tutaj musiał polegać na swojej pamięci. W pewnym momencie zwrócił uwagę na cyfry „11091 34”. Odniósł wrażenie, że już widział je na innej kartce. Ponownie zaczął przeglądać papiery, próbując z kolumn cyfr wyłowić poszukiwane. Często zastanawiał się, skąd miał tyle cierpliwości, aby wciąż od nowa, wiele razy analizować kartki wypełnione kolumnami znaczków, które nic nie mówiły i pozornie nie kryły w sobie żadnego porządku, poza ułożeniem w kolumny. Nagle jego twarz się rozpromieniła. Omal nie krzyknął. Miał przed sobą depeszę, w której powtórzył się ten sam układ cyfr. To nie mógł być przypadek. Położył dwie kartki obok siebie.

– Jeżeli na jednej 11091 934 oznacza numer gamy, to na drugiej musi oznaczać zupełnie coś innego – powiedział na głos.

– Mój biedny przyjacielu – usłyszał za plecami tubalny głos Helmuta Nowolka – odczytaj to, a będziesz musiał nagrodzić mnie kwartą piwa. Niejedną!

– No, czytam – Jorg odwrócił się do niego – i co?

– Czytasz, ale nie słyszysz. Ja, słuchając ciebie odniosłem wrażenie, że wymieniałeś datę. Posłuchaj: jedenasty dziewiąty tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty. To brzmi jak jedenasty września...

– Hans, gdybym nie bał się uścisku twoich ramion, to bym cię przytulił do serca!

– Nie musisz, męskie uściski nie sprawiają mi żadnej radości, ale piwo „Pod Jeleniem” to zupełnie co innego – Nowolk zaśmiał się i zniknął za drzwiami pokoju, dokąd niósł skrzynkę z narzędziami. Po chwili zajrzał przez uchylone drzwi i dodał: – Miałeś szczęście, że tędy przechodziłem. Możesz mnie wziąć do waszego zespołu mózgowców jako doradcę.

Jorg już go nie słuchał, wiedział, że zbliża się do odkrycia czegoś niesłychanie ważnego.

Szyfranci stosowali wiele sposobów umieszczania numerów gam. Nigdy jednak nie wpisywali ich na początku szyfrogramu. Na pierwszej kartce cyfry 11091 934 znajdowały się na początku. Nie mógł to być numer gamy. Wszystko wskazywało na to, że tekst na drugiej kartce utajniono za pomocą gamy o tym numerze, zamieszczonym w kolejnej kolumnie. Czyżby przypadek sprawił, że depeszę zaszyfrowano, wykorzystując ponownie gamę z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku? Jeżeli tak właśnie było, to wystarczyło odnaleźć szyfrogram z tamtego roku.

Nagle zdał sobie sprawę, że jego radość była przedwczesna, przecież musiałyby odnaleźć szyfrogramy sprzed jedenastu lat, a to graniczyłoby z cudem.

– Cuda się zdarzają – powiedział do Nowolka, który nie chcąc mu przeszkadzać, cicho przechodził właśnie za jego plecami. Słyszając Jorga, zatrzymał się.

– Wiesz co, Hugo, postaw mi kawę w bufecie, bo mnie się coś zdaje, że zanim pojedziemy na to piwo do Marklissy, to wcześniej cię zamkną u czubków.

– Nie zamartwiaj się, zapiszę ci dwie butelki w testamencie. Pozostawił Nowolk, z jego zatroskaną miną, narzucił kurtkę i skierował się do drzwi.

– Idę do Glöbckego – poinformował szefa zmiany i pobiegł na górę.

Glöbcke jak zwykle siedział za biurkiem, sprawiając wrażenie człowieka nadzwyczaj zapracowanego. „Powinien dostać nagrodę dla wzorowego urzędnika” – pomyślał Jorg, widząc jak esesman podnosi głowę i patrzy z wyraźnym niezadowoleniem na intruza.

– Słyszałem, że przychodzi pan z czymś ważnym, jeżeli nie, to proszę mi nie przeszkadzać – mruknął, aby wyrazić niechęć wobec człowieka, który zakłócał rytm jego pracy.

– Nie śmiałybym przeszkadzać bez powodu. Muszę zadzwonić do Hirschbergu, a tylko w pana gabinecie jest bezpieczny telefon – spojrzął na stolik pod ścianą, gdzie stał specjalny aparat. Dołączone do niego urządzenie tak zniekształcało głos, że ktoś, kto podłączyłby się do linii, nie potrafiłby zrozumieć, o co chodzi.

– Niech pan dzwoni, proszę wykręcić szóstkę – Glöbcke pochylił się nad papierami, choć Jorg czuł, że obserwował go spod oka, gotów zapamiętać wszystkie słowa, które miały paść w czasie rozmowy telefonicznej.

– Hugo Jorg – przedstawił się, gdy do telefonu w Hirschbergu wezwano Schaufflera.
– Dzwonię z bezpiecznego telefonu z ważnym pytaniem.

Z pozoru przekazywał informację, że rozmowa jest bezpieczna, co Schauffler i tak musiał wiedzieć, podnosząc słuchawkę specjalnego telefonu. W istocie Jorg informował rozmówcę, że Glöbcke przysłuchuje się ich rozmowie.

– Czy w jakimkolwiek z dokumentów odczytanych w Hirschbergu występuje słowo „Mlad”? To ważne. I drugie pytanie: czy zarejestrowano cokolwiek na temat numeru 11091934? Będę czekał na odpowiedź.

Odłożył słuchawkę. Wyobraził sobie, jak Schauffler zleca swojemu asystentowi, aby sięgnął do kartotek, a dzięki systemowi kart perforowanych nie powinno to trwać długo. Usiadł na krześle obok stolika. Nie miał ochoty na rozmowę z Glöbckem, ale zdawał sobie sprawę, że ten nie zmarnuje takiej okazji. Nie mylił się.

– Coraz częściej widuję pana w towarzystwie panny Anny Marii... – Glöbcke podniósł głowę znad papierów, wyprostował się i sięgnął po papierosa.

– Piękna kobieta, prawda? – Jorg wstał, podszedł do biurka i sięgnął po papierośnicę Glöbckiego. – Mogę? Swoje zostawiłem na dole...

Zrobił to specjalnie, aby zburzyć plan rozmowy, który zapewne Glöbcke obmyślił, wiedząc, że Jorg spędzi więcej czasu w gabinecie.

– Czy dostrzega pan coś niestosownego w adorowaniu pięknych kobiet? Ale mówiąc poważnie – Jorg nie dawał Glöbckemu dojść do słowa – czy pana pytanie, a właściwie stwierdzenie, wynika z obowiązków służbowych, czy z zazdrości?

Mówił dalej, chcąc wytrącić esesmana z równowagi. Ten patrzył zaskoczony.

– Ja na przykład widuję pana często w towarzystwie Matheasa Beera... – dzwonek telefonu przerwał rozmowę, która zmierzała do otwartej konfrontacji. – Przepraszam.

Schauffler informował, że „Mlad” to pseudonim, który pojawił się w radzieckiej łączności dyplomatycznej na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Zapewne chodzi o agenta zwerbowanego przez Rosjan niedawno w Waszyngtonie

lub Nowym Jorku. Tylko tyle mogę panu powiedzieć po sprawdzeniu naszych danych. Numeru 11091934 nie ma w naszych zbiorach, czyli nic ważnego nie wiązało się z tymi cyframi lub nie zostały one wyodrębnione jako znaczące.

– Czy może pan przysłać za pomocą G-Schreiber – mówił o dalekopisie utajnianym korespondencję – wszystkie informacje, jakie udało się odczytać o „Mladzie”?

– Nie jest tego dużo – odparł Schaufler. – Zaraz to wyślę, ale zwracam pana uwagę na inny ważny szczegół. Konsulat radziecki w Nowym Jorku powtarza gamy, co jednoznacznie wynika z nadzwyczaj nasilonej komunikacji radiowej w ostatnich miesiącach czterdziestego czwartego i bieżącego roku.

– Dziękuję, to bardzo ważne – Jorg czuł, że rozwiązanie znajduje się w zasięgu ręki. – Bardzo. Jeszcze jedno pytanie: co dzieje się z rosyjskimi depezbami zarejestrowanymi przez nasze stacje nasłuchowe w trzydziestym czwartym roku?

– Wszystkie nieodczytane depesze odsyłaliśmy do archiwum Reichswehry. Zostało przejęte przez Abwehrę. Obecnie powinny znajdować się w archiwum Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

– Dziękuję, panie profesorze – powtórzył Jorg. – Życzę panu wiele sukcesów.

– Nawzajem, Jorg – Schaufler odłożył słuchawkę. Jorg spojrział na Glöbckego, który ochłonał po impertynenckim ataku i szykował się do starcia. Nie miał zamiaru ułatwić mu zadania.

– Przepraszam pana – powiedział stanowczo. – Otrzymałem bardzo ważną informację. Muszę wracać do pracy.

Podszedł do drzwi, ale zanim je otworzył, zatrzymał się na moment.

– Jeżeli pan sobie życzy przedyskutować stosunki między osobami różnej płci oraz zabronione przez prawo stosunki między mężczyznami, to będę do dyspozycji za kilka godzin.

Dostrzegł, jak twarz Glöbckego czerwienieje z wściekłości, więc szybko zamknął drzwi za sobą.

Jorg zaczynał nabierać pewności, że „Aparat” służył do odczytywania radzieckiej korespondencji dyplomatycznej, a nie wojskowej, jak sądził dotychczas, dając Niemcom wgląd w poczynania polityczne aliantów, a nie wojskowe. Ale czy tylko polityczne? Ambasady Związku Radzieckiego na całym świecie były ośrodkami zbierającymi dane od agentów i przekazujące je do centrali w Moskwie w poczcie dyplomatycznej lub zaszyfrowane w łączności radiowej. W meldunkach „Mlada” mogły więc być zawarte informacje dotyczące strategicznych planów militarnych lub odkryć naukowych.

Zszedł na dół i w drodze do pokoju zatrzymał się przed drzwiami z napisem „Centrum łączności”. Zapukał. Okienko w drzwiach otworzyło się i wyjrzał przez nie żołnierz.

– Czekam na dokument z Hirschbergu. Proszę mi go dostarczyć, jak tylko nadejdzie. Będę w swoim pokoju.

Usiadł na krześle, usiłując się skupić. To odkrycie mogło mieć decydujące znaczenie.

Należało ustalić, jakimi gamami posługiwała się ambasada w Waszyngtonie lub konsul w Nowym Jorku.

Pukanie do drzwi przerwało jego rozważania. Żołnierz położył przed nim depezę z Hirschbergu. Była to tylko jedna kartka, na której wymieniano słowa, jakie udało się odczytać z radzieckich depeż. „Implozja” to jedno ze słów, które go zaniepokoiło. Dlaczego „Mlada” zainteresował proces zapadania się? Co się kryło za tym określeniem. Broń implozyjna? Nigdy o tym nie słyszał.

Jeszcze raz spojrzął na kartkę z dalekopisu. Bez wątpliwości Schauffler przesłał mu wszystkie informacje, które segregująca maszyna wskazała, jako związane ze słowem „Mlad”. Należało jednak przeszukać inne zakresy. Nie miał najmniejszej ochoty iść do gabinetu Glöbckego, ale też nie chciał rozpraszać się, czując, że jest na tropie ogromnie ważnego odkrycia. Teczka?

Zerwał się z krzesła, wypadł na korytarz, minął kilkoro drzwi, aby zastukać do gabinetu Kunzego. Ten był na miejscu i wyglądał, jakby nagła wizyta przerwała mu poobiednią drzemkę, o ile była ona w ogóle możliwa w małym pokoju zawałonym papierami.

– Stało się coś ważnego, że wpada pan jak amerykańska bomba? – Kunze wydawał się bardzo niezadowolony z niezapowiedzianej wizyty.

– Czy mogę przejrzeć dokumenty, które przywiozłem z Hirschbergu?

Kunze wstał, nie pytając już o nic. Zdawał sobie sprawę, że cały umysł Jorga jest zaprzątnięty jakąś ważną myślą i nie należy zadawać zbędnych pytań, aby go nie rozpraszać – a nuż dotarł do wyjaśnienia nadzwyczaj istotnej sprawy?

Otworzył sejf, na którym też leżała sterta dokumentów, i wyjął plik kartek nawleczonych na sznurek zakończony łąkową pieczęcią.

– Rozmawiałem z Schaufflerem na temat słowa „Mlad” – Jorg poczuł, że winien jest wyjaśnienie szefowi. – Powiedział, że już w grudniu ubiegłego roku zauważył, iż konsul radziecki w Nowym Jorku powtarza gamy.

– A, o to panu chodzi – Kunze przejrzął kilkanaście kartek i wydobył jedną. – „Analiza przechwyconych depeż wskazuje, że używają gam z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku” – odczytał i odłożył kartkę. – To prehistoria, drogi kolego. Nie mamy żadnej możliwości zdobycia materiału porównawczego z tego roku.

Jorg pokiwał głową. Miał pewien pomysł, ale wahał się, czy powiedzieć o nim. Po chwili namysłu zdecydował się na to, gdyż bez pomocy Kunzego nie mógł zrealizować tego swojego zamiaru.

– Czy mam szansę na delegację do Berlina? To pytanie wywołało zdziwienie Kunzego.

– Rosjanie stoją nad Odrą i bez wątpliwości za kilka tygodni uderzą. Stolica przygotowuje się do obrony. Co więc spodziewa się pan tam znaleźć?

– Radzieckie archiwa, zdobyte w Charkowie.

– Zaciekawia mnie pan!

– W Charkowie znajdował się ośrodek radiowy odbierający sygnały z placówek dyplomatycznych, między innymi ze Stanów Zjednoczonych. Stamtąd przesyłano depesze kablem telefonicznym do Moskwy, ale na miejscu pozostawały oryginały. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku nasze wojska zdobyły archiwa NKWD. Oczywiście nie wiem, czy wcześniej Rosjanie nie ewakuowali części zbiorów poza zasięg działań wojennych lub nie zniszczyli. Zakładam, że tak się nie stało. Dokumenty zdobyte w Rosji zostały przewiezione i zdeponowane w...

– Ano właśnie, w archiwum Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. I w związku z tym mam dla pana dwie wiadomości. Najpierw dobra...

Kunze usiadł wygodnie w fotelu i amerykańskim zwyczajem oparł nogi na biurku, a właściwie na wolnym skrawku blatu, którego nie zawałały papiery. Jednocześnie wskazał na krzesło, zapraszając Jorga, aby też usiadł.

– To archiwum nie znajduje się w Berlinie, gdyż w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku zostało stamtąd ewakuowane w obawie przed amerykańskimi i angielskimi nalotami. Przewieziono je do bunkrów niedaleko stąd, do zamku Flirstenstein.

Odwrócił się do kolorowej mapy wiszącej na ścianie i przez chwilę poszukiwał wzrokiem obszaru, o którym mówił. Wreszcie wskazał go linijką.

– To piękny zamek na skale, jakieś sto kilometrów stąd. Należał do książęcej rodziny Hochbergów, ale w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Hitler kazał upaństwowić go, gdy dowiedział się, że dwaj synowie tej rodziny zdradzili i rozpoczęli służbę u aliantów, nawet chyba u Polaków. Początkowo führer chciał tam urządzić muzeum sztuki podbitych narodów, ale chyba Himmler albo Goebbels wyperswadowali mu to. Czy podludzie mogą mieć sztukę? A podziemia znakomicie nadawały się na bezpieczne archiwum. Sądzę, że złożono tam większość dokumentów Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, a także część akt Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Zaledwie sto kilometrów stąd. Wystarczy tylko uzyskać zezwolenie na wejście tam.

– Tak, to była dobra wiadomość, a teraz zła. Nikt z nas, ani pan, ani ja, nie dostanie tego zezwolenia!

– Nawet, jeżeli pan interweniowałby w Berlinie?

– A jakie miałbym argumenty?

– Bardzo poważne, takie mianowicie, że analiza depech przechwyconych w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku i zdeponowanych w archiwum RSHA daje szansę na odnalezienie brakującego ogniwa i uruchomienie „Aparatu”.

– Cóż, spróbuję, choć nie sądzą, żeby ktoś poza najwyższymi urzędnikami w naszym kraju mógł wydać zgodę. Wszystkie sprawy Fürstensteinu, z powodów, których mogę się tylko domyślać, objęte są klauzulą najwyższej tajemnicy. Powiadomię pana...

Jorg wstał, zastanawiając się, czy Kunze mówił to szczerze, czy po prostu chciał się go pozbyć. Pozostawało mu tylko czekać.

Glöbcke w płaszczu narzuconym na ramiona przeszedł przez dziedziniec zamku i skierował się do bramy, od której biegła droga do jeziora. Niepokoił się, gdyż uważał, że jeżeli wróg zechciałby przedostać się do zamku, to wybrałby właśnie ten teren. A z takim niebezpieczeństwem należało się liczyć w miarę zbliżania się wojsk radzieckich. Dlatego opracował projekt zaminowania wód jeziora, co miało nastąpić, gdy tylko puści lód.

– Panie Obersturmbannführer! – po schodach w bocznej części dziedzińca zbiegał Beer. – Ważna wiadomość! Glöbcke zatrzymał się.

– Dzisiaj w nocy, a właściwie o świcie, ponownie namierzono wrogą radiostację! – Beer mówił zdyszany, co było wynikiem pokonania wielu stopni lub podniecenia, w jaki wprawiała go myśl o bliskim sukcesie.

– Nadawano z lasu pod Marklissą. Nie udało się schwytać radiotelegrafisty, ale popełnił błąd. Myślał, że śnieg zasypie ślady, a opady szybko ustały. Psy doprowadziły nas do Marklissy. Straciły trop na Rosenstrasse! To znaczy, że radiotelegrafista tam jest. Możemy go schwytać!

Glöbcke zapiął płaszcz.

– Czy to duża ulica?

– Nie. Prawie same jednorodzinne domy. W jednym musi ukrywać się radiotelegrafista. Jeżeli zablokujemy ulicę, to w ciągu jednego dnia możemy wszystkie przetrząsnąć!

– Beer, jesteśmy w Niemczech! W Niemczech, a nie w Generalnej Guberni! Nie wolno nam wyganiać porządnych Niemców na bruk i trzymać ich na mrozie pod lufami, gdy nasi żołnierze będą wywracać ich domy do góry nogami. To by obniżyło morale ludności cywilnej! Wykluczone!

– Szpieg może nam wyrządzić większe szkody! – Beer nie ustępował.

Glöbcke nie odpowiedział. Usiadł na dużym kamieniu przy murze i wyciągnął papierosa. Beer usłużnie podsunął mu zapalniczkę.

– Chcę mieć spis wszystkich ludzi mieszkających na tej ulicy, ale policjanci niech tam nie chodzą, żeby nie wywołać alarmu. Zarządzam stałą obserwację. Znajdź miejsca, z których widać wyloty ulicy, i ukryj tam posterunki. W samochodzie, na strychu, na dzwonnicy, gdzie chcesz, ale żeby ich nie było widać.

– Ustawię to wszystko w ciągu kilku godzin – Beer wydawał się szczęśliwy, że miał szansę schwywania szpiega.

– Jaka sytuacja na froncie? – zapytał Glöbcke.

– Wojska radzieckie zostały zatrzymane...

– Albo same stanęły!

– Słucham... – Beer był zdezorientowany uwagą szefa.

– Nic, mów dalej.

– Zatrzymane – powtórzył. – Generał Schórner przygotowuje kontruderzenie na

Lauban. Rozpocznie się za kilka dni. Uważam, że to początek operacji odblokowania Breslau.

– Lubię twój optymizm, Beer – Glöbcke rzucił niedopałek na kamienie i rozgniół go czubkiem buta.

– Dzisiaj wieczorem w okolicach Rosenstrasse mają być wozy pelengacyjne. Uderzymy, Beer, ale precyzyjnie, w punkt – wstał i spojrział na zegarek. – Za pół godziny chcę mieć raport o stanie przygotowań do operacji. Odniesiemy sukces, bo jesteśmy silniejsi niż wróg.

Ruszył w kierunku bramy, aby przyjrzeć się jezioru, na którym lada dzień saperzy mieli rozciągać liny z minami.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Komandor porucznik Compaigne skorzystał z rady Polaka i przeprowadził się do mieszkania, którego właścicielka przygotowywała wspaniałe śniadania ze świeżutkimi bułeczkami. Życie od razu wydało mu się znośne, jednakże czas nadal się dłużył. Codziennie bywał w kwaterze wojsk alianckich, gdzie otrzymywał informacje o niewielkich postępach armii generała Pattona, toczącej ciężkie walki na granicy Rzeszy. Nie był to czas, w którym jego grupa mogłaby zacząć działać, tym bardziej że po zachodniej stronie Renu, gdzie były już wojska alianckie, nie miał czego szukać. Zastanawiał się, jakie znaczenie miałyby nawiązanie kontaktu z tajemniczym Joachimem, ale Joanna nie odzywała się. Andrzej Czerny, który wyprowadził się z „Hotelu Szwajcarskiego” i zamieszkał w pokoju obok, doradzał cierpliwość. W istocie niewiele, poza oczekiwaniem na sygnał od Joanny, mogli zrobić. Czerny nie tracił jednak optymizmu, biorąc pod uwagę, że wracał do przytulnej kwatery późno w nocy, zazwyczaj w znakomitym humorze, co oznaczało, że również nie tracił czasu w Paryżu. Compaigne przesiadywał w rezydencji amerykańskiego wywiadu, gdzie każdego dnia przeglądał meldunki przysyłane przez polowe oddziały wywiadu działające przy sztabie dowódcy trzeciej armii i nanosił na mapę Niemiec punkty, które mogły być interesujące dla jego zespołu. Wschodnia część Rzeszy wciąż pozostawała białą plamą, co niepokoiło go najbardziej, gdyż rozumiał, że tam dotrzeć będzie najtrudniej.

Jorg minął bramę cmentarną i, starając się nie rozglądać, podszedł do grobowca Krügerów. W kieszeni płaszcza miał kartkę z meldunkiem dla Natalii; chciał, aby przekazała go do centrali. Miotały nim sprzeczne uczucia. Uważał, że nie powinna zbyt często nawiązywać łączności radiowej, gdyż to narażało ją na dekonspirację. Niedawno widział pod zamkiem samochód pelengacyjny, co oznaczało, że kontrwywiad wzmógł swoją działalność w tej okolicy. Było to zrozumiałe ze względu na przygotowania do kontruderzenia, w którego wyniku generał Schórner chciał przechwycić ważną linię kolejową i odepchnąć radzieckie oddziały od Lauban. Widok tego samochodu nasunął mu przypuszczenie, że Gestapo musiało dowiedzieć się o transmisjach radiowych z tego obszaru i zaczęło poszukiwać szpiegowskiego nadajnika. Znał te procedury. Mogli tygodniami krążyć po okolicy, cierpliwie czekając na pojawienie się w eterze wrogiego sygnału. Za każdym razem, gdy radiostacja wznawiała nadawanie, krąg poszukiwań zacieśniał się, a było też prawdopodobne, że specjalny oddział wysłał w teren ludzi z

walizkami pelengacyjnymi, tak małymi, że człowiek nasłuchujący sygnału radiowego mógł kryć się w tłumie.

Jorg wiedział, że Natalia działała sama. Gdy naciskała klucz radiostacji, nie pilnowały jej posterunki obserwujące okolice, gotowe wszcząć alarm, gdy tylko pojawi się samochód z charakterystyczną anteną na dachu. Łatwo więc było ją zaskoczyć w trakcie nadawania. Wiedział jednak, że musi jak najszybciej przekazać informacje o „Aparacie”, gdyż lada dzień mógł nadejść rozkaz ewakuacji zespołu i urządzeń z zamku, jako położonego zbyt blisko rejonu walk. Nie mógł też wykluczyć, że Natalia, ze względu na sytuację frontową, zostanie objęta nakazem ewakuacji i zmuszona do wyjazdu z miasteczka. Wówczas utraciłby jedyny kontakt z centralą i nie mógłby go odtworzyć.

Rozejrzał się szybko. Nie dostrzegł niczego niepokojącego. Odnosił wrażenie, że Glöbcke nabrał do niego zaufania i od kilku dni nie wysyłał za nim swoich ludzi, których być może potrzebował do innych zadań.

Wsunął kopertę w szparę pod wazonem. Jeszcze raz rozejrzał się i odszedł szybkim krokiem. Natalia miała nadejść za piętnaście minut. Wyjmie kopertę i szybko pójdzie do kościoła. Tam usiądzie gdzieś w kącie i udając, że modli się, rozłoży książeczkę do nabożeństwa, której użyje do zaszyfrowania wiadomości, przekazanej przez Jorga. Potem będzie musiała zniszczyć jego zapiski. Jak to zrobi, aby nie pozostawić żadnego śladu? Prawdopodobnie wyjdzie z kościoła przez boczne drzwi zakrystii i wejdzie do kotłowni. Tam wrzuci kartki do pieca, niszcząc dowód, śmiertelnie niebezpieczny dla Jorga.

Daleko na ulicy dostrzegł sylwetkę Natalii. Odwrócił się i poszedł w drugą stronę, trochę żałując, że się z nią nie spotka. Lubił tę dziewczynę i podziwiał za to, że mając dwadzieścia trzy lata, zdecydowała się podjąć tak wielkie ryzyko. Nigdy nie miał okazji, aby zapytać ją, dlaczego to zrobiła.

Glöbcke pochylił się nad mapą okolic Marklissy, rozłożoną na stole w jego gabinecie.

– Nadawał z tego obszaru – Beer zatoczył ołówkiem duży krąg nad częścią planu miasta obejmującą cmentarz i kościół. Było to dzisiaj o trzynastej. Transmisja trwała trzy minuty. Potem przerwał. Zmienił miejsce i znów nadawał, tym razem dłużej, bo sześć minut. Po kolejnej przerwie, długiej, godzinnej, nadawał jeszcze osiem minut.

– Jakim cudem udało mu się wynieść radiostację z Rosenstrasse? – Glöbcke wyprostował się. – Rejon jest pilnowany?

– Tak jest. Posterunki ustawiliśmy...

– Nie interesuje mnie, gdzie – przerwał mu Glöbcke – interesuje mnie, czy mógł wynieść radiostację tak, że nasze posterunki tego nie zauważyły.

– Nie, to niemożliwe. Przez ostatnie dwa dni nie zauważono nikogo z walizką, plecakiem lub tobołkiem, w którym można byłoby przenieść radiostację i akumulator.

– Łącznie nadawał przez siedemnaście minut, a nasza pelengacja nie może dokładnie określić miejsca!

– Teren jest bardzo trudny.

– Miał wiele do przekazania – Glöbcke zdawał się nie zwracać uwagi na Beera. – Do kogo wysyłał te wiadomości tak długo?

– Szyfr jest unikatowy, stosowany tylko przez tego radiotelegrafistę. Profesor Kunze twierdzi, że szansę odczytania go na podstawie kilku depesz są zerowe. Przygotowałem listę osób mieszkających na stałe lub czasowo na Rosenstrasse – położył przed Glöbckem kilka kartek. – Wykluczyłem dzieci do lat piętnastu i starych powyżej sześćdziesiątki.

– I tak dużo – mruknął Glöbcke przeglądając kartki. – Zostaw to na biurku.

Beer podszedł do biurka, gdy zadzwonił telefon.

– Odbierz – rzucił Glöbcke, który ponownie pochylił się nad mapą. Przez silne szkło powiększające studiował na planie okolice Rosenstrasse, zastanawiając się, w jaki sposób radiotelegrafista mógł ominąć posterunki obserwacyjne i przemyścić w rejon kościoła radiostację.

– Dzwoni komendant policji z Marklissy – poinformował Beer, zakrywając mikrofon dłonią. – Mam nadzieję, że nie będę musiał jechać do niego, bo w jego pokoju strasznie śmierdzi.

Glöbcke skinął głową, nie spodziewając się żadnych ważnych wiadomości od komendanta. Wielokrotnie już zgłaszał się on z informacjami, które uważał za ważne, a które były doniesieniami o kieszonkowcach lub kradzieży paru bochenków chleba.

Beer, który przez kilka minut słuchał relacji z Marklissy, odłożył słuchawkę.

– Tym razem chyba coś ważnego.

Glöbcke podniósł głowę znad mapy, a Beer rzucił do słuchawki: – Proszę ją zatrzymać, za kilkanaście minut będę u pana. – Odwrócił się do Glöbckego:

– Do komendanta przyszła kobieta, niejaka Maikafer.

– Co to za jedna?

– Kiedyś nazywała się Chrabąszcz...

– Jak?! – Glöbcke był zdziwiony niezwykłą zbitką dźwięków. – I ty potrafisz to wymówić?

– Trenowałem – uśmiechnął się Beer i Glöbcke nagle skonstatował, że tak rozpromienionej twarzy swojego ponurego podwładnego nie widział od tygodni. Widocznie poczuł krew – pomyślał.

– Co to jest ten chrrr...?

– Pospolity owad. Pełno go w lasach na wiosnę. A jak podpisała folkslistę, to zmieniła nazwisko na Maikafer*, i chwala jej za to – relacjonował Beer. – Przyszła na posterunek, żeby zameldować, że dziewczyna, która wynajmuje pokój w jej domu, wychodziła gdzieś w nocy.

– Czyś ty oszalał, Beer! – krzyknął Glöbcke. – Co mnie obchodzi, że lokatorka tej...

– Chrabąszcz vel Maikafer – Beer wciąż się uśmiechał, dumny z opanowania

wymowy trudnego słowa i wiedzy o wydarzeniu, której nie miał jeszcze jego szef. – Ona mieszka na... Rosenstrasse.

Glöbcke bez słowa zdjął płaszcz z wieszaka i czapkę.

W pokoju komendanta policji wciąż śmierdziało jak w taniej garkuchni. Swąd przypalonej słoniny mieszał się z wonią potu, oleju do czyszczenia broni i wódki. Glöbcke zrzucił płaszcz i usiadł naprzeciw kobiety w chustce, która na jego widok zerwała się na równe nogi.

– Co pani widziała, pani Maikafer, czy jak tam pani się nazywa?

– Chrabąszcz – podsunął Beer.

– Ja wynajmuję pokój pewnej pannie na Rosenstrasse cztery – Chrabąszcz zaczęła niepewnie, zerkając to na Glöbckego, to na Beera.

– Niech pani usiądzie – wtrącił się Beer. – Jesteśmy przyjaciółmi, którzy doceniają pani zasługi dla pilnowania niemieckiego porządku.

Uspokoila się trochę i usiadła na brzeżku krzesła. Zsunęła chustkę z włosów zlepionych potem. Glöbcke nie mógł się powstrzymać od odwrócenia głowy z obrzydzeniem.

– No, niech pani mówi, niczego nie tając.

– Całkowicie praworządnie wynajmuję pokoje, o czym pan komendant wie – odwróciła się w stronę drzwi, jakby oczekując potwierdzenia jej słów przez komendanta, który tamtędy wyszedł. – Biorę za to niedużo, bo właściwie mnie chodzi o pomoc rodaczce. My Niemcy musimy sobie w takich trudnych czasach pomagać, panie esesmanie...

– Dobrze, do rzeczy – ponaglił ją Beer. – Co było dzisiaj w nocy. Niech pani opowie.

– Ja śpię na parterze, a ten pokój to wynajęłam na strychu, no, powiem, na piętrze. Budzę się, było nad ranem, bo skrzypnęły schody. Raz skrzypnęły, no nic, mówię, drewniane, to same skrzypią. Drugi raz, trzeci, więc, mówię, zobaczę, czy tam ktoś się nie zakrada. Podeszłam do drzwi i przez szparę w futrynie spozieram na schody. Widzę, panienka Natalia, w płaszczu, chustce schodzi.

Przerwała i popatrzyła uważnie na Glöbckego, jak pies, który sprawdza, czy dobrze wykonuje polecenie pana. Widząc zainteresowanie, mówiła dalej:

– Mówię: co ona tak wcześniej wychodzi? Do pracy, czy jak?

– Do kogo pani tak mówiła?

– No, do nikogo, bo mój mąż zmarł, będzie dwa lata temu, jak...

– Niosła coś: walizczkę, tobołek? – przerwał jej Glöbcke. Kobieta zmarszczyła brwi, usiłując przywołać obraz wychodzącej Natalii.

– Plecak miała. Tak, nieduży.

– Widziała pani, dokąd poszła?

– Ano właśnie, dlatego do pana komendanta przyszedłam, bo to mnie się wydało dziwne. Poszła, mianowicie... – Glöbcke uśmiechnął się słysząc słowo, które nie pasowało do tej kobiety. Zauważyła jego uśmiech, co poczytała za wyraz sympatii i uznania i nabrała pewności siebie – ...nie do furtki na ulicę, a wzdłuż komórki i dalej przez ogródek na drugą stronę. Ja mówię, panie esesmanie, że ona nawet przez płot przelazła. Zaraz potem znikła mi z oczu, bo ciemno jeszcze było.

– Czyli nie szła Rosenstrasse? – chciał upewnić się Glöbcke.

– No mówię ...

Glöbcke spojrzał na Beera, jakby chciał powiedzieć, że o rozstawieniu posterunków obserwacyjnych porozmawiają za chwilę.

– Zawołaj komendanta! Odwrócił się do Chrabąszczowej.

– Zostanie pani tutaj...

– Boże jedyny! – krzyknęła po polsku, ale natychmiast powróciła do języka niemieckiego, którym posługiwała się bardzo sprawnie: – Znaczy, jestem aresztowana?! Za co panie oficerze?!

Załamana ręce i przybrała błagalną pozę. Glöbcke pokręcił głową.

– Zostanie pani tutaj przez parę godzin, bo ta pani lokatorka może być niebezpiecznym szpiegiem. Musimy chronić panią – nie mógł wykrzesać w sobie nawet odrobiny sympatii dla tej kobiety. Jasne, krótko przycięte pasemka włosów wciąż były zlepione potem, a łzy rozpuszczały tani tusz, który spływał po policzkach, zostawiając ciemne smużki.

„Powinna nazywać się pająk, a nie chrabąszcz” – pomyślał. Tacy ludzie, a wielu ich spotykał w swojej policyjnej karierze, zawsze robili na nim odrażające wrażenie, choć rozumiał, że są potrzebni, tak jak pająki łowiące muchy i komary.

– Dostanie pani nagrodę, jak się okaże, że ta dziewczyna jest wrogiem Rzeszy – skłamał, chcąc powstrzymać jej łkanie, tym bardziej że z nosa spływała już strużka śluzu. Odwrócił głowę, żeby już nie przyglądać się jej twarzy.

– I ja jeszcze powiem, że widziałam ją z oficerem – dodała nagle.

– Gdzie, kiedy?

– Parę dni temu, musiało być w zeszłą niedzielę, bo w kościele widziałam.

– Poznałaby go pani? Jaki miał stopień?

– Tak na pewno to nie wiem...

– Pokażesz jej zdjęcia wszystkich oficerów z zamku – powiedział do Beera i odwrócił się do komendanta.

– Niech jej pan pilnuje do czasu zakończenia akcji.

– Jezusie słodki! – kobieta znowu zaczęła lamentować po polsku.

– Zabrać ją! – krzyknął Glöbcke.

Beer zamknął starannie za nimi drzwi, a Glöbcke pokręcił korbką telefonu. Odczekał chwilę, aż odezwie się operator, i kazał połączyć z zamkiem.

– Wyślij pluton zabezpieczenia do mnie do komendy policji w Marklissie – rozkazał.

– Akcja bojowa, ale bez zbędnego osprzętu, znaczy saperek, chlebaków, masek gazowych i tak dalej. Niech wezmą granaty dymne. Na buty niech naciągną skarpety. Mają być tutaj za pół godziny.

– Zaczekajmy do świtu. Będziemy mieć pewność, że złapiemy ją w domu – powiedział Beer.

Jorg szedł korytarzem, ale zatrzymał się, gdy mijalo go kilkunastu esesmanów, biegnących jeden za drugim. Glöbcke często urządzał ćwiczenia swoim ludziom, jednak Jorg odniósł wrażenie, że tym razem coś jest inaczej. Po sekundzie uzmysłowił sobie, że żołnierze biegli zbyt cicho, jak na zbrojony oddział. Zwykle słyszał stukot metalowych pojemników na maski gazowe obijających się o menażki, saperek zawadzających o pochwy bagnetów. Nie słyszał też charakterystycznego stukotu podkutych butów na kamiennych płytach korytarza.

Odwrócił się za żołnierzami i zobaczył, że na buty mieli naciągnięte grube wełniane skarpety, które tłumili odgłos kroków.

Skręcił do gabinetu Glöbckego i wszedł do sekretariatu.

– Chcę się widzieć z Obersturmbannführerem – powiedział do sekretarki, której twarz kojarzyła mu się z głową żyrafy. Może ze względu na sposób upinania włosów.

– Nie ma – powiedziała, nie podnosząc głowy znad papierów.

– To szkoda, a kiedy będzie? – Jorg starał się zachowywać naturalnie.

– Wiem tylko, że pojechał do Marklissy.

– To może Untersturmführer Beer...

– Pojechali razem.

Jorg odwrócił się gwałtownie ogarnięty paniczną myślą. Wyszedł na korytarz i zatrzymał się przy oknie. Widział, jak na podwórzu żołnierze wskakiwali do samochodów. Czuł ogarniające go przerażenie, choć jednocześnie odrzucał myśl, że esesmani wyruszają po Natalię. Ale niepokój wracał. Po co, tak wyposażeni, mieliby jechać do Marklissy? Nie miał wątpliwości, że przygotowali się do bezgłośnego wdarcia się do jakiegoś budynku i schwytania tam kogoś. Mogło chodzić o zupełnie inną osobę, ale ilu szpiegów może być w małym niemieckim miasteczku? Czuł, że Natalia znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czy mógł ją ostrzec? Oddział wyruszy za kilka minut. Miał jeszcze czas, by ich wyprzedzić. Tylko jak? Przecież nie pójdzie do oficera dyżurnego i nie zażąda samochodu do Marklissy! Wszelkie logiczne argumenty ustępowały jednak przed nakazem uratowania Natalii.

Zbiegł na parter i podniósł słuchawkę na biurku przed oficerem. Ten spojrzał na niego zdziwiony i stanął na baczność.

– Macie połączenie z prywatnym apartamentem pana Gütschowa? – pytał o właściciela zamku.

– Tak jest, proszę wykręcić czwórkę. Zgłosił się kamerdyner, którego poprosił, aby skontaktował go z Anną Marią.

– Mówi kapitan Jorg, jeżeli pamięta pani o naszym zakładzie, to właśnie znalazłem książkę, o której rozmawialiśmy.

Anna Maria, zaskoczona, przez chwilę nie odzywała się.

– Rozumiem. Nie mogę pana zaprosić do naszych apartamentów, ale zaraz wyjdę. Będę na dolnym dziedzińcu – powiedziała równie oficjalnym tonem, spodziewając się, że telefon jest na podsłuchu.

– Och, nie musi się pani tak spieszyć – powiedział, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie. – Ale jeśli pani nalega, to zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę. Jeszcze nie słyszał warkotu ciężarówek ruszających spod zamku.

– Będą tu za dwadzieścia minut – powiedział Beer, przyjmując telefoniczny meldunek od dowódcy oddziału esesmanów. – Jadę do restauracji, żeby dowiedzieć się, czy ta Natalia nie pracuje tam dzisiaj.

Glöbcke stanął przed planem miasta i odszukał Rosenstrasse. Szybko się zorientował, że zablokowanie ulicy nie będzie przedstawiało większych trudności. Do pokoju wszedł komendant.

– Ilu pan ma ludzi? – Glöbcke odwrócił się do niego.

– Na służbie czterech.

– Znają kelnerkę z restauracji „Pod Jeleniem”?

– Tak jest.

– Niech pan pośle dwóch na stację kolejową, żeby się za nią rozejrzeli. A najbardziej bystrego trzeba wysłać na Rosenstrasse cztery. Jak będzie tam Natalia, niech jej powie, że na policji jest wiadomość dla tej... Maikafer.

– Przecież ona jest tutaj, zamknięta w pokoju – zdziwił się komendant.

– Niech pan robi, co każe – warknął Glöbcke i powrócił do studiowania planu, który zdjął ze ściany i rozłożył na stole obok emaliowanego garnka ze smalcem.

Anna Maria czekała już na dziedzińcu, gdy Jorg tam wszedł. Zdziwił się, że przyszła przed nim, ale przypomniał sobie nocną wycieczkę po zamkowych tajnych przejściach. To zresztą nie miało znaczenia.

– Chodzi o życie – powiedział od razu. – Muszę wziąć twój samochód do Marklissy. Natychmiast.

– Pojadę z tobą – wsunęła ręce w rękawy kurtki, którą dotychczas miała narzuconą na ramiona.

– Zbyt niebezpieczne. Nie dyskutujmy, liczy się każda sekunda... – przerwał, słysząc uruchamiane silniki ciężarówek.

– Stracisz za dużo czasu na kontrolę dokumentów na drodze. Mnie nie sprawdzają, dojedziemy szybciej.

Nie protestował.

Wbiegli do garażu, gdy ciężarówki wyjeżdżały z placu przed zamkiem. Anna Maria

nie zadawała pytań.

Żołnierz przed bramą dał im znać, żeby zjechali na bok i przepuścili ciężarówki, które powoli podjeżdżały drogą prowadzącą do bramy. Kątem oka zauważył, że zacisnęła usta i nie ma zamiaru posłuchać polecenia.

– Nie rób tego. Każda awantura przekreśli wszelkie szansę ratunku – położył rękę na jej dłoni. Posłuchała go, choć patrzyła ze złością na mijające ich ciężarówki.

– Jada, żeby aresztować dziewczynę z restauracji. Jeżeli im się to uda, zabiją ją albo zamęczą na torturach.

Żołnierz przy bramie dał znać, że mogą ruszać. Wcisnęła gaz i koła przez kilka sekund buksowały po śliskim bruku. Szybko dołączyli do kolumny trzech ciężarówek z esesmanami. Anna Maria przechyliła się w lewo, usiłując wypatrzeć moment, w którym mogłaby wyprzedzić samochody. Droga była zbyt wąska i kręta, aby można było tego dokonać.

– Za kilkaset metrów będzie prosty odcinek, tam ich wyprzedzę – powiedziała, wciąż wpatrując się w lewą stronę szosy.

Jorg nie odzywał się. Wiedział, że za chwilę będzie musiał podjąć decyzję, czy jechać do restauracji, gdzie Natalia powinna pracować o tej porze, czy do jej domu na Rosenstrasse. Nie mógł przecież wykluczyć, że właśnie miała wolne popołudnie. Ta decyzja mogła przesądzić o jej życiu.

– Nie wyprzedzaj. Zwiększ odstęp i jedź za nimi – polecił. Pomyślał, że Glöbcke sprawdził, gdzie jest Natalia, i skierował żołnierzy we właściwe miejsce.

Anna Maria, nie pytając, posłusznie zmniejszyła szybkość.

– Czy wiesz, gdzie jest Rosenstrasse? Skinęła głową.

– Gdy ciężarówki wjadą do miasta, skierują się albo na rynek, albo na Rosenstrasse. Wtedy musimy ich wyprzedzić i przed nimi dojechać do miejsca, do którego będą zmierzać.

Skupiona, wciąż nie pytała o nic.

– Muszę cię uprzedzić, że bierzesz udział w cholernie niebezpiecznej wyprawie. Szansę, że zginiemy, są bardzo duże... Skinęła głową.

Glöbcke stanął przy oknie i wpatrywał się w ulicę, oczekując powrotu Beera. Rozważał, czy Natalia mogła w jakikolwiek sposób zorientować się, że została zdekonspirowana, i podjęła próbę ucieczki.

Szybko jednak odrzucił tę myśl. Jeżeli nawet tak się stało, to nie mogła ujść daleko.

– Pana ludzie wrócili? – zwrócił się do komendanta. Ten pokręcił głową. Glöbcke spojrzął na zegarek.

Anna Maria zahamowała, pozwalając ciężarówkom, które wjechały na ulicę Marklissy, oddalić się.

– Nie jada ani do rynku, ani na Rosenstrasse.

– W takim razie, dokąd? – Jorg przysunął się do szyby, aby lepiej widzieć znikające światła ciężarówek.

– Nie wiem... – Anna Maria wpatrywała się w słabo oświetloną ulicę wjazdową do miasta. – Zastanawiam się... Chyba na dworzec...

Jorg zaczynał odczuwać ulgę. Odnosił wrażenie, że alarm był niepotrzebny i nic Natalii nie groziło, skoro esesmani nie kierowali się do żadnego z miejsc, w którym mogła przebywać. Nagła myśl zmroziła go. W tym samym momencie Anna Maria powiedziała:

– Jadą w stronę posterunku policji! To oczywiste, że Glöbcke tam na nich czeka.

Ulga, która przed chwilą przyniosła mu spokój, nagle ustąpiła miejsca przerażeniu.

– Musimy wybrać – Anna Maria nie odrywała wzroku od szyby. – Restauracja czy Rosenstrasse...

Jorg milczał przez chwilę, aż nagle, mając paralizujące uczucie uciekającego czasu powiedział:

– Restauracja.

Żołnierze pozostali na ławkach, gdy ciężarówki zatrzymały się przed posterunkiem policji. Glöbcke przeszedł obok, przyglądając się im.

– Sprawdzić zamocowanie osprzętu. Żadnego dźwięku, bo wysłę na front wschodni – w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że ta groźba, aktualna jeszcze kilka miesięcy wcześniej, straciła sens.

– To niedaleko – usłyszał uwagę rzuconą półgłosem, ale w ciemnościach nie potrafił stwierdzić, kto to powiedział.

Czekał na powrót policjanta, który miał sprawdzić, czy dziewczyna jest w swoim pokoju.

Jorg wbiegł do restauracji z nadzieją, że zobaczy Natalię. Nie było jej w sali, gdzie żona właściciela roznosiła talerze i piwo.

Uspokoił się, poddając się złudnemu przeczuciu, że Natalia zaraz stanie w drzwiach prowadzących na zaplecze. Zdjął czapkę.

– Pan kapitan – usłyszał głos restauratora przeciskającego się przez korytarzyk zastawiony skrzynkami z butelkami. – Prosimy zachodzić. Na kolację? Będę miał coś specjalnego dla pana.

– Natalii nie ma? – rozejrzał się ponownie po sali, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie.

– A co to wszyscy tak dziś o nią pytają? Dałem jej wolny wieczór, a tu, co kto wchodzi, to zaraz pyta, gdzie Natalia. Jutro będzie. O, tam pod oknem jest stolik dla pana kapitana.

Jorg pokiwał głową. Drzwi do holu otworzyły się i weszła Anna Maria. Już po minie Jorga zorientowała się, że wybrali zły kierunek.

– Możemy coś zrobić? – zapytała cicho. Pokręcił głową.

– Już tam są.

Ciężarówki z wyłączonymi silnikami zatrzymały się przecznicę przed Rosenstrasse. Esesmani, jeden po drugim, jak duchy, bezgłośnie zeskakowali na chodnik i w tej samej ciszy, w której nie było słycać tupotu butów, biegli na wyznaczone stanowiska. Jedynie nasilające się szczekanie psów dowodziło, że działo się coś niezwykłego.

Natalia zgasła lampę i podeszła do okna. Zastanowiło ją nagłe ujadanie psów na sąsiednich posesjach. Ktoś musiał obudzić ich czujność, gdyż mieszkając już kilka tygodni w tym domu, nie słyszała, żeby zachowywały się tak agresywnie. Niczego nie dostrzegła. Psia awantura mogła być wywołana przez lisa, który zakradał się gdzieś do kurnika. Uspokoiła się. Zaciągnęła zasłonki i wróciła do stołu. Szczekanie nasilało się.

– Cholerne psy. Postawią na nogi całe miasto – Glöbcke, trzymający w ręku pistolet, rozejrzał się. Esesmani stanęli już pod murem domu Rosenstrasse cztery. Okna, które Chrabąszczowa opisała jako należące do pokoju Natalii, były ciemne, ale to nic nie znaczyło. Wobec nakazu zaciemnienia mogła je szczelnie zasłonić. Za ogrodzeniem ujadał wielki kundel. Glöbcke podszedł do furtki. Pies rzucił się na nią z taką siłą, że stare drewno zaskrzypiało. Szczekanie zamieniło się we wściekłe ujadanie.

Natalia już nie miała wątpliwości, że to nie lis był przyczyną alarmu. Narzuciła chustę i podbiegła do drzwi. Nie chciała zbiegać do sieni, gdyż tam już mogli być. Mogła próbować ucieczki tylko przez niewielkie drzwi prowadzące do drugiej części strychu, gdzie było wyjście na dach.

Glöbcke przełożył lufę pistoletu między sztachetami i dwukrotnie nacisnął spust. Zwierzę padło ze skowytym.

Machnął w stronę żołnierzy, którzy natychmiast jeden za drugim wbiegali na podwórko, odcinając drogę ucieczki. Dwaj inni ciężkimi młotami rozbili zamki frontowych drzwi, otwierając drogę przed grupą uderzeniową, która wdarła się do sieni z uniesionymi pistoletami maszynowymi.

– Nie strzelać! – krzyknął Glöbcke. – Chcę mieć ją żywą!

Cicho zamknęła za sobą drzwi na strych.

„Stracą kilka chwil na sprawdzenie pokoju” – pomyślała. W tym czasie powinna wydostać się na dach i po desce, biegnącej tuż przy kalenicy, pozostawionej przez kominiarza, przejść na dach sąsiedniego domu. Stał tak blisko, że obydwa budynki dzieliła przestrzeń, którą mogła przeskoczyć, a potem zsunąć się po dachu.

Po omacku, dotykając stropowych belek, dotarła do klapy zamykającej wyjście na dach. Słyszała już tupot wielu nóg na schodach i łomot wyważanych drzwi do jej pokoju, okrzyk „nie ma jej tutaj!”, potem drugi, najwidoczniej kogoś dowodzącego akcją, „przeszukać strych!”. Uderzyła silnie w deski klapy – uniosła się na kilka centymetrów, wpuszczając do wnętrza strumień zimnego powietrza i zastygła blokowana kabłąkiem kłódki. Ostatnia droga ucieczki była odcięta!

Drzwi za nią otworzyły się gwałtownie i w świetle padającym z sieni zobaczyła

żołnierza podnoszącego pistolet maszynowy.

Chciała, żeby strzelił. Rzuciła się z krzykiem na niego. Odsunął się i biorąc krótki zamach uderzył ją kolbą. Straciła przytomność.

– Pojadę przez Eckersdorf – Anna Maria skręciła na północ – okrężną drogą. Nie chcę, żeby widzieli, że wracamy z Marklissy.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Jorg gorączkowo rozważał, co powinien zrobić. Natalia mogła nie wytrzymać tortur i wydać go. Miał jeszcze kilka godzin, aby przygotować ucieczkę, ale to by oznaczało, że wiele lat poszukiwań i prób dotarcia do jądra „Pers Z” zostaną zmarnowane. Przecież nie miał pewności, czy ją aresztowano. A może zdołała uciec, może zastrzelono ją lub popełniła samobójstwo. Długo nie będzie wiedział, co się z nią stało. W tej sytuacji jego ucieczka byłaby równoznaczna ze zmarnowaniem wieloletnich wysiłków, i to z powodu paniki.

– Mogę cię zapytać, kim jest ta dziewczyna? – Anna Maria odezwała się dopiero, gdy podjeżdżali pod zamek. Pokręcił głową.

– Lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

– Brałam udział w ratowaniu dziewczyny, o której nie mam pojęcia, co robi i dlaczego trzeba było ją ratować. Czy nie sądzisz, że to śmieszne? – była wyraźnie poirytowana.

– Uwierz mi, że lepiej będzie dla ciebie i dla mnie, jeśli nie będziesz wiedziała, kim jest Natalia.

– W dodatku uważasz mnie za idiotkę! – zahamowała gwałtownie i wysiadła z samochodu.

– Dziękuję! – krzyknął za nią, gdy biegła do zamku. Zdawał sobie sprawę, że w tej jej reakcji przejawiało się napięcie, w jakim działali przez ostatnią godzinę. Nie był pewien, czy dobrze robi, nie wyjawiając jej, że Natalia była jego łączniczką, zakładał jednak, że gestapowcy mogą przepytывать Annę Marię. Szybko zorientowaliby się, gdyby zaczęła kłamać i kręcić, a mówiąc, że nie wie, kim jest Natalia, byłaby szczerą.

Glöbcke pochylił się nad Natalią i palcem dotknął jej szyi, starając się wyczuć tętno. Obawiał się, że esesman uderzył ją za mocno. Uśmiechnął się, czując pulsowanie krwi. Otworzyła oczy.

– Zabierzcie ją do celi i ściągnijcie lekarza – Glöbcke odwrócił się do komendanta, którego dostrzegł wśród esesmanów na strychu. – Do rana niech odpocznie. Będzie potrzebowała dużo sił.

Wyprostował się i odsunął, aby żołnierze mogli zakuć Natalię w kajdanki i wywlec ze

strychu.

– Wzmocnić posterunki przed komendą policji. Chcę mieć przed wejściem samochód pancerny. To na wypadek, gdyby ktoś chciał ją odbić.

Otrzeptał ręce z kurzu i wyszedł do sieni, gdzie Beer nadzorował przeszukiwanie wszystkich zakamarków.

– Masz coś?

Beer pokręcił głową.

– Sądzę, że radiostację ukryła poza domem. Szukamy książki szyfrów, żeby odczytać meldunki, które przechwyciliśmy.

– O ósmej rano rozpocznij przesłuchanie tej dziewczyny.

– Może ją przewieźć do Gestapo do Lauban. Tam będziemy mieli lepsze warunki – Beer podszedł do Glöbckego. Na jego ustach widać było nikły uśmiech, jakby podniecała go myśl, że będzie mógł zadawać ból.

– Nie. Nie chcę, żeby wtrącali się do naszych spraw. Zatrzymamy ją tutaj, w komendzie policji w Marklissie – Glöbcke założył czapkę i odwrócił się, ale po paru krokach zatrzymał się i spojrzał na Beera, wciąż uśmiechniętego. – Tylko nie waz się jej okaleczyć!

* der Maikafer (niem.) – chrapaszcz.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Howard Compaigne obudził się z dziwnym wrażeniem, że ktoś chodzi po jego pokoju. Przewrócił się na bok i leżał chwilę bez ruchu. Powoli, nie otwierając oczu, wsunął dłoń pod poduszkę, gdzie zawsze kładł pistolet, gdy nagle światło z gwałtownie odsłoniętego okna zalało pokój. Poderwał się i zobaczył Czernego zawiązującego sznurek zasłony. Ten spojrzał na Howarda zdziwiony.

– Dzieci śpią ze smoczkami, Polacy z dziewczynami, a Amerykanie z pistoletami. To wam sprawia przyjemność? Rozumiem, że największą wtedy, gdy się nie postrzelicie we śnie.

Howard opuścił nogi na podłogę i usiadł, ziewając, na brzegu łóżka.

– Mógłbyś zapukać, jak cywilizowany człowiek, a nie jak Polak włączyć nieproszony do mojego pokoju.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. Przynoszę ważną wiadomość.

– Mów krótko i znikaj.

– Joanna się odezwała!

Compaigne potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić resztki snu.

– Teraz możesz mówić wolno i dokładnie. A tak w ogóle to zaczekaj. Przed porannym siusiu niedobrze mi się rozmawia. Wsunął stopy w pantofle i poczłapał do łazienki.

– Kiedy dzwoniła? – krzyknął przez drzwi.

– Pięć minut temu. Dlatego nie bawiłem się w konwenanse i postanowiłem przerwać ci rozkosz spania z pistoletem. Zanim się postrzelisz.

Szum wody dobiegający z łazienki zagłuszył dalsze pytania i Czerny skupił się na parzeniu kawy. Podał filiżankę Compaigne'owi, gdy ten pojawił się w drzwiach, dopinając guziki kurtki.

– Chce się z nami spotkać – odsunął mankiet i spojrzał na zegarek – za pół godziny, na zapleczu kawiarni przy rue des Cloys. To daleko stąd, w Siedemnastej dzielnicy, więc weźmiemy taksówkę. Oczywiście, płaci twój rząd.

Compaigne wypił kilka łyków kawy i postawił filiżankę na szafce przy drzwiach. Nie wierzył, że Joanna się odezwie. Możliwość niespodziewanego kontaktu wydawała mu się fascynująca. Czuł, że ta kobieta może odegrać ważną rolę w jego misji.

Kawiarnia, którą wyznaczyła na spotkanie, była jeszcze zamknięta, ale na widok dwóch oficerów kelner stojący przy drzwiach otworzył ją i spojrzał na nich pytająco.

– Do pani Joanny – powiedział Czerny, co kelner skwitował skinieniem głowy i wskazał drzwi za barem.

Niewielkie pomieszczenie było zastawione kartonowymi pudłami. Joanna siedziała na krześle dosuniętym do niewielkiego stołu.

– Dobrze, że jesteście panowie tak szybko – zdusiła papierosa w popielniczce, ale natychmiast sięgnęła po następnego. – Mam dla was ważną wiadomość, którą muszę przekazać teraz, gdyż, jak sądzę, wyruszyście niedługo do Niemiec.

Dostrzegli, że na stole leżała złożona niemiecka mapa.

– Joachim jest w najtajniejszym ośrodku na wschodzie Niemiec. Sięgnęła po mapę. Czerny dostrzegł, jak bardzo drżą jej dłonie, co starała się ukryć, przesuwając je po blacie stołu i nie unosząc za wysoko.

– To tutaj – wskazała palcami, w których trzymała papierosa, punkt na mapie. Pochylili się nad mapą. – Zamek Tzschocha – jej palec przesunął się na ledwie widoczny punkt nad jeziorem.

– Problem polega na tym, że Rosjanie są kilkadziesiąt kilometrów od tego miejsca – powiedział Compaigne. – I zapewne szykują się do ofensywy.

– Tak – Joanna skinęła głową – ale Niemcy ich tak szybko nie wpuszczą do tego rejonu.

Compaigne przypomniał sobie konferencję w Londynie, w czasie której Reginald V. Jones przekonywał szefa amerykańskiego wywiadu, że Niemcy produkują w podziemnych fabrykach na Dolnym Śląsku nową broń, i mówił, że może to być nawet bomba atomowa.

– W zamku zainstalowano urządzenie, które potrafi łamać rosyjskie szyfry.

Compaigne nie wydawał się zaskoczony, choć ta informacja zrobiła na nim wrażenie.

– Słyszałem o tym. Nasz wywiad nazywa je ryba-miecz, ale nic bliższego na ten temat nie wiemy. Powiem nawet, że wątpiliśmy, czy to prawda.

– Informacje, jakie ma wywiad amerykański, pochodzą ode mnie – powiedziała Joanna. – Dotychczas sami niewiele więcej wiedzieliśmy, gdyż Joachim nie miał dostępu do największych tajemnic. Wczoraj drogą radiową otrzymaliśmy obszerniejszą informację. To jest kompletny raport.

Wyjęła z torebki kilka kartek, które położyła przed Compaigne'em, a on zaczął przeglądać je z takim zapałem, jakby mu w ręce wpadł skarb.

– Kiedy spodziewa się pani kolejnej sesji radiowej? – zapytał Czerny.

– Nie mamy ustalonych terminów, to byłoby zbyt niebezpieczne dla radiotelegrafisty Joachima. Musimy czekać.

– Wobec postępów sowieckich wojsk realne staje się zagrożenie, że oni przechwycą maszynę – Compaigne schował starannie kartki do wewnętrznej kieszeni munduru. Pochylił się nad mapą, aby porównać położenie zamku z informacjami, jakie otrzymywał w dowództwie na temat sytuacji na tym odcinku frontu. – Walki toczą się o Lauban, miasto położone ledwie dwadzieścia kilometrów od zamku.

– Zdaniem Joachima, Niemcy nie dopuszczą, aby maszyna wpadła w ręce Sowietów i w odpowiednim czasie ewakuują ją na zachód. To jest dobra informacja dla panów, gdyż

daje wam możliwość przechwycenia tego urządzenia, gdy znajdzie się w zasięgu waszych wojsk.

– Czy mamy możliwość skontaktowania się z Joachimem?

– Przekazał informacje na temat tajnego wejścia do zamku. Może uda się to wykorzystać w odpowiednim czasie. To wszystko, co miałam panom do przekazania.

– Dziękuję pani – Compaigne stanął na baczność przed drobną kobietą o drżących rękach. – Chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie... – zawiesił głos, jakby czekając na pozwolenie.

– Słucham pana.

– Wie pani więcej od alianckiego wywiadu. Ma pani agenta w najtajniejszej niemieckiej placówce, ukrytej gdzieś w zamku na wschodzie, obok najtajniejszego kompleksu, jaki powstał w historii cywilizacji. Czy może nam pani zdradzić, jaką organizacją pani kieruje? Czy jest to organizacja francuska, niemiecka czy może polska?

– Jeszcze za wcześnie, komandorze Compaigne, na odpowiedź – Joanna wstała i narzuciła szal na ramiona. – Każdą nową informację przekażę panom bezzwłocznie. Wciąż musimy czekać.

– A jeżeli będę musiał wyjechać z Paryża za naszymi wojskami na front? – zaniepokoił się Compaigne.

– Będę o tym wiedziała – Joanna uśmiechnęła się. Czerny pomyślał, że po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy tej niezwyklej kobiety. Otworzyła drzwi prowadzące na podwórze, i wtedy dostrzegł, że czekał na nią mężczyzna, którego wcześniej widział na bulwarze.

– Ta kobieta mnie przeraża – Czerny spojrzał na Compaigne’a.

– Wyjdźmy stąd – odpowiedział tamten. Gdy znaleźli się na ulicy, rozejrzał się, czy nikt nie stoi wystarczająco blisko, aby mógł podsłuchać ich rozmowę.

– Jedna z brytyjskich organizacji rządowych – mówił cicho, wciąż patrząc na boki – utworzyła niewielką grupę zabójców. Być może są już w Paryżu, a może nawet na granicy z Niemcami. Jak wściekłe psy rzucą się na niemieckich zbrodniarzy i rozszarpią ich. Bez sądu, bez świadków, bez obrońców. Wystarczą dowody zbrodni, jakie dotychczas zebrano, aby ci specjaliści wysłannicy zaczęli wykonywać wyroki śmierci. Zastanawiam się, czy nie tą organizacją ona kieruje. Mam dla niej wiele współczucia po tym, co przeszła, ale mnie też ona przeraża.

– Zapytałeś ją, czy jest to francuska, niemiecka czy polska organizacja. Myślę, że jest to organizacja międzynarodowa i nie zakończy działania wraz z końcem wojny.

Compaigne szedł w milczeniu, rozważając słowa Polaka.

– Jedźmy do mojego biura. Chcę przeanalizować meldunek, który dała mi Joanna. Teraz za taksówkę płaci polski rząd.

– Po co brać taksówkę? To blisko – wzruszył ramionami Czerny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Generał Zawieniagin zszedł z piętra na parter pałacu, który kilka dni wcześniej zajęli radzieccy żołnierze. Wiedział tylko tyle, że znajduje się gdzieś za Tarnowskimi Górami. Poprzedniego wieczoru przyleciał dakotą na polowe lotnisko pod Katowicami, skąd samochodem zabrano go do tej kwatery. Do tego czasu niewiele spał, a lot ze względu na silny wiatr był nadzwyczaj męczący. Gdy tylko usiadł na niewygodnym siedzeniu jeepa, zasnął tak mocno, że nie potrafił powiedzieć, jak znalazł się w wielkim i ponurym pałacu. Odniósł wrażenie, że projektował go jakiś szalony architekt, gdyż w budynku nie było żadnej symetrii i gubili się w nim nawet oficerowie, którzy przybyli tam wcześniej.

Cziżykow otworzył przed nim wysokie drzwi do sali wyłożonej po sufit boazerią. Zawieniagin ze zdziwieniem zauważył, że podłoga była cementowa i tylko w niektórych miejscach można było dostrzec resztki klepki, która kiedyś ułożona była w wymyślny wzór.

– Jakiś oddział frontowy tędy przeszedł – Cziżykow, widząc zdziwienie generała, pospieszył z wyjaśnieniem. – Były mrozy, więc najpierw spalili książki i meble, a potem zerwali klepkę. No cóż, nie czas żałować róż... – chciał zakończyć refleksyjnie, ale Zawieniagin przerwał mu.

– Czy ty taki głupi, naprawdę? – huknął. – Ta swołocz sztukę niszczy, a ty mi o różach! Odnaleźć tych, co tu kwaterowali, i rozstrzelać!

Oficerowie i kilku cywilów na sali wstali z hurgotem odsuwanych krzeseł. Byli to ludzie z zespołu specjalistów, których kazał ściągnąć do tego pałacu, aby wyznaczyć im zadania i podzielić na grupy poszukiwawcze, których działalność miał bezpośrednio koordynować Cziżykow. Rozpoznawał niektóre twarze. Przy oknie siedział zajęty lekturą dokumentów profesor Julij Chariton, szef zespołu badającego niemiecki program nuklearny, dalej obok siebie siedzieli Walentyn Głuszko i Siergiej Korolow, wybitni specjaliści od rakiet, zwolnieni niedawno z więzienia. Zawieniagin dostrzegł też Wiktora Miszina – to on pierwszy badał fragmenty rakiet V-2 dostarczonych do Moskwy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Z pozostałymi postanowił zapoznać się później, podczas kolacji, którą w tym celu kazał urządzić w dużej sali, gdzie, jak zauważył, klepka była zerwana, ale na ścianach pozostały imponujące poroża, a nawet głowa nosorożca, którą właściciel przywiózł z wyprawy do Afryki.

– Towarzysze! – zaczął oficjalnie, gdy zajął miejsce na niewysokim podium, jakie Cziżykow ustawił mu przed wielką mapą Niemiec rozwieszoną na ścianie.

Odczekał, aż żołnierz stojący przed drzwiami zamknie je, i mówił dalej:

– Decyzje w sprawie operacji berlińskiej zostały podjęte i w tym gronie mogę

powiedzieć, że nastąpi wcześniej, niż moglibyśmy się spodziewać. Takie są rozkazy towarzysza Stalina. Ja powiem tak:

z każdej decyzji towarzysza Stalina się cieszę, a z tej w szczególności, bo nie tylko wkrótce dobijemy faszystowskiego zwierzka w jego legowisku... – przerwał i powiódł wzrokiem po sali; z żadnej twarzy nie mógł odczytać, jakie wrażenie zrobiły jego słowa – ... ale gdyby imperialiści doszli do Berlina, zabraliby nam to, co naszemu narodowi się należy, jako zadośćuczynienie za zbrodnie i zniszczenia, dokonane przez faszystów.

Znowu rozejrzał się. Zaczynał rozumieć, że przyjął zły sposób na prowadzenie rozmowy z tymi ludźmi. Przed nim siedzieli najwybitniejsi specjaliści, największe mózgi europejskiej nauki, a on mówił jak agitator do robotników w fabryce amunicji. Chrząknął.

– Musimy, towarzysze, pamiętać, że rozpoczął się wielki wyścig do tajemnic. Musimy powiedzieć sobie szczerze, po partyjnemu: my ten wyścig przegrywamy! Wywiad informuje o ucieczce niemieckich specjalistów na Zachód. Na przykład w lutym ewakuowano tajny ośrodek raketowy Peenemunde nad Bałtykiem. Gdy wkroczą tam nasze wojska, zastaną puste hale. Naukowcy z dokumentacją będą u Amerykanów. Nie możemy do tego ponownie dopuścić i musimy działać jak najszybciej. Zostaniecie, towarzysze, włączeni do specjalnych oddziałów „Smierszu”, idących za wojskami frontowymi. Na miejscu będziemy oceniać, co znaleźliśmy i dalej prowadzić poszukiwania.

Dał znać Cziżykowowi, który skierował na mapę światło z biurkowej lampy.

– Najbardziej interesuje nas ten rejon – wskazał na Dolny Śląsk. – Wywiad informuje, że znajdują się tam fabryki produkujące broń chemiczną i raketową. Działają tam również ośrodki kryptologiczne, a poznanie niemieckich szyfrów i osiągnięć w tej dziedzinie to ważna sprawa. Może to być klucz do wielu tajemnic, których rozwikłanie wpłynie na rozwój naszej nauki i siły zbrojnej po wojnie, nie liczymy bowiem na trwały pokój z imperialistami. Towarzysze, jutro otrzymacie konkretne zadania. Powiem wam również, kto będzie w mojej grupie, która jutro wyruszy do jednej z miejscowości w rejonie Breslau. Inni otrzymają zadanie w rejonie Berlina. A teraz czas na kolację. Zapraszam.

Zszedł z podium.

– Obawiam się, że szybkie dotarcie na tereny na południowy zachód od Breslau nie będzie łatwe. Ostatnie meldunki świadczą o tym, że Niemcy utworzyli bardzo silną linię obronną od Cieszyna do Goerlitz. Górzysty teren im sprzyja – powiedział któryś z oficerów.

– Nie szkodzi. Będziemy czekali w gotowości – odparł Zawieniagin.

– Jeszcze jedna informacja, towarzyszu generale – Cziżykow zatrzymał Zawieniagina, choć ten chciał jak najszybciej udać się do sali, gdzie mógłby zasiąść za stołem.

– Koniecznie teraz? – Zawieniagin był wyraźnie niezadowolony.

– Ważna sprawa, towarzyszu generale!

– To mów, szybko!

Cziżykow zwlekał jeszcze przez chwilę, obserwując naukowców wychodzących z sali. Nie chciał, aby usłyszeli to, co miał do powiedzenia.

– Amerykanie są w błędzie, uważając, że Hitler lada dzień wyjedzie z Berlina do Berchtesgaden i stamtąd będzie dowodził obroną Alpejskiej Reduty – powiedział, gdy zostali tam sami. – Jego plany są inne.

– A skąd te informacje? Od „Aleksandra”?

Zawieniagin wiedział, że w bezpośrednim otoczeniu Hitlera działał agent o pseudonimie „Aleksander”. Był tak zakamuflowany, że dopiero wiele lat po wojnie poznał jego prawdziwe nazwisko:

Pokszyszkin.

Cziżykow skinął głową.

– Prawdą jest, że ludzie z najbliższego otoczenia Hitlera namawiają go, aby wyjechał z Berlina. Jednakże nie do Bawarii, gdyż Alpejska Reduta nie istnieje. To tylko taki manewr, żeby zmylić Amerykanów i tam skierować ich wojska.

– Dla nas to też korzystne rozwiązanie – stwierdził Zawieniagin. – Lepiej niech idą do Bawarii niż na Berlin.

– Tak jest, ale Hitler naprawdę ma wyjechać z Berlina, zanim nasze wojska tam dojdą.

– A dokąd?

– Do Riese.

– Gdzie?

– To kryptonim kwatery Hitlera powstającej pod zamkiem Furstenstein – Cziżykow podszedł do mapy i odszukał miejscowość, o której mówił. – Na północ od Waldenburga*. Mamy meldunki o gwałtownym nasileniu robót budowlanych w tym rejonie. Prawdopodobnie zatrudniają tam dwadzieścia tysięcy ludzi, głównie więźniów. Budują kwaterę Hitlera i zakłady zbrojeniowe w bezpośrednim sąsiedztwie.

– Tak, to ciekawe miejsce – Zawieniagin stanął obok Cziżykova i zaczął przypatrywać się mapie. – I my tam pojedziemy. Jaki związek tam uderza?

– Piąta armia gwardii. Dwudziestego ósmego lutego doszła do rubieży Strzelin-Strzegom, ale dowództwo spodziewa się silnych kontruderzeń. Proponuję więc, abyśmy dołączyli do trzeciej armii pancernejszej gwardii. Idą na Lauban, ale i tam Niemcy zaciekle się bronią i kontratakują.

– Rybałko – z uznaniem powiedział Zawieniagin. Generał Paweł Rybałko zdobył sobie sławę twardego żołnierza i świetnego dowódcy. – Połącz się z dowódcą oddziału „Smiersz” armii Rybałki. Jeżeli nasze czołgi nie przejdą, to może trzeba tam wrzucić paru spadochroniarzy? Dobrze byłoby posłać taki oddział do „Z-1”, aby przechwycić to tajne urządzenie z zamku Tzschocha. No, ale na dzisiaj starczy!

Zawieniagin odwrócił się i poszedł szybko do drzwi, obawiając się, że Cziżykow

może jeszcze długo rozważać, gdzie mają pojechać, a kolacja stygła.

* Obecnie Wałbrzych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Glöbcke zszedł po wilgotnych schodach prowadzących do piwnicy zamienionej na areszt. Na jego polecenie komendant opróżnił cele, w których siedział miejscowy złodziejasek, dezerterski, który uciekł ze swojej jednostki walczącej gdzieś na północy, oraz pijak, który nie mógł sobie przypomnieć, z jakiej to wsi przyjechał do Marklissy. Esesman otworzył drzwi zbite z grubych, ledwie oheblowanych desek, prowadzących do krótkiego korytarza, gdzie cuchnęło myszami i zgniłymi ziemniakami i wskazał na celę po prawej stronie.

Było cicho. Glöbckemu wydało się to dziwne, gdyż znał okrucieństwo swojego zastępcy. Pomyślał jednak, że Beer przerwał pewnie przesłuchanie, aby dziewczyna mogła chwilę odpocząć.

Skręcił w prawo i otworzył drzwi do dużego pomieszczenia, największego w tym areszcie, zamienionego na polecenie Beera na „pokój przesłuchań”. W jasnym świetle żarówek zawieszonych w kilku miejscach niskiego sufitu zobaczył dziewczynę przywiązaną paskami do drewnianego krzesła. Widać było świeże drewno, co wskazywało, że krzesło zostało zrobione w nocy przez stolarza wyciągniętego z domu. W wielu miejscach biel drewna była poplamiona krwią ściekającą po rękach dziewczyny. Dopiero wtedy odkrył, dlaczego nie słyszał jęków katowanej. Założono jej wojskową maskę, której filtr obwiązano szmatą, utrudniając oddychanie.

– Strasznie piszczała – wyjaśnił Beer, widząc, że jego wynalazek zainteresował Glöbckiego. – Ludzie na ulicy mogli usłyszeć...

– Ściągnąć jej to! – krzyknął Glöbcke.

Jeden z esesmanów zdziwiony spojrział na niego, ale szybko pojął, o co chodzi. Zerwał maskę z głowy dziewczyny.

– Rozkujcie ją i wynoście się!

Beer i dwóch esesmanów niechętnie wykonali rozkaz i wyszli z celi.

Glöbcke nalał wody do metalowego kubka i podał Natalii. Piła łapczywie, jakby woda miała ukoić ból. Przetarł jej twarz chustką, przysunął sobie stołek i usiadł obok. Patrzył dziewczynie prosto w oczy.

– To dranie – powiedział tak szczerze, że Natalia spojrzała na niego zaskoczona. Odniósł wrażenie, że wierzy, iż to, co się stało, było wbrew jego woli.

– Nie pozwoliłem im pani katować – mówił z oburzeniem – ale to prostytutki. Nie potrafią rozmawiać, tylko biją. Bardzo panią męczyli?

Skinęła głową.

– Ukarzę ich za to! Nie powinni tak postępować z obywatelką niemiecką. Zaraz

wezwe lekarza, aby opatrzył pani rany.

Jasne światło żarówek wydobyło lekki grymas na jej spuchniętych wargach. Uśmiechnęła się. Może miała nadzieję, że słyszy prawdę i że straszne godziny w piwnicy były przejawem samowoli paru sadystów.

Zapalił papierosa i podał jej, ale odmówiła ruchem głowy.

– No dobrze, niech mi tylko pani powie, z kim w zamku pani się kontaktowała? Tylko wtedy będę mógł pani pomóc i ochronić panią. Nie odpowiadała, patrząc mu prosto w oczy.

– Ja nie jestem oprawcą. Z zawodu jestem policjantem. Zdarzyło się, że jak się zdenerwowałem, to zdzierałem jakiegoś rzezimieszka, ale nigdy nie torturowałem ludzi! Muszę jednak panią przesłuchać. To mój obowiązek.

Podszedł do drzwi, uchylił je i krzyknął:

– Co z lekarzem? Ściągnąć go tutaj!

Odczekał chwilę i ponownie usiadł przy Natalii.

– Jest pani szpiegiem, wyjętym spod prawa, zasługującym na śmierć. Ile pani ma lat?

Opuściła głowę w milczeniu. Zaczynała rozumieć, że dotychczasowe zachowanie Glöbckego było grą.

– Czy chce pani umrzeć? Tak, dobrze mówię: „chce”. Od pani zależy, co dalej się stanie. Czy przyjdzie lekarz, który założy opatrunki, czy ci sadyści tu wrócą i znowu będą panią męczyć... No? Proszę mi powiedzieć, kto z zamku przekazywał pani informacje i jakie. Tylko tyle...

Milczała. Przysunął się i zaczął oglądać jej twarz.

– Bili panią gumową rurą...

Dotknął nabrzmiątych powiek. Zmoczył róg chustki w kubku, który trzymała w popalonych dłoniach i dotknął lekko jej twarzy.

– Przypalali papierosami powieki... Niech pani tylko odpowie na pytania, które muszę zadać: kto z zamku przekazywał pani informacje?

Opuściła głowę.

Glöbcke wstał i podszedł do stołu pod ścianą.

– Wiem, że w kościele spotkała się pani z oficerem. Kto to był? Czekał chwilę na odpowiedź.

– Jesteś głupia! – krzyknął tak głośno, że aż się skuliła. – Chcę ci pomóc, ale bez twojej współpracy nie mogę nic zrobić! Muszę uzyskać od ciebie parę odpowiedzi. Tylko parę...

Przerwał i znowu chwilę czekał na jej reakcję. Nie odzywała się.

– Myślisz, że sprawia mi przyjemność przebywanie w tej cuchnącej piwnicy i oglądanie tego, co zrobili ci sadyści?! A wiesz, co tutaj przygotowali?

Wziął ze stołu ciężki przedmiot, od którego biegły kable, i podszedł do Natalii.

– To jest generator. Gdy wyjdę stąd, nie uzyskawszy od ciebie żadnej odpowiedzi, oni wrócą. Będą podłączać te kable do najbardziej wrażliwych miejsc i puszczają prąd

przez twoje ciało. Cały dzień. Jeżeli wytrzymasz, to w nocy zwiększą dawkę. A jutro – jeszcze bardziej. Nikt nie jest w stanie znieść tej tortury! Widziałem najsilniejszych mężczyzn, którzy załamywali się po paru godzinach i błagali o litość, gotowi zdradzić własne matki, byle tylko umknąć dalszych wstrząsów! Nikt tego nie zniesie!

Zagryzła wargi i zacisnęła powieki, jak tylko pozwalał jej na to ból opuchniętych oczu. Nie chciała patrzeć na przedmiot, który trzymał przed jej twarzą.

– Nic nie powiesz? Pokręciła głową. Znowu podszedł bliżej.

– Dobrze. Mogę ci pomóc tylko w jeden sposób. Nie musisz zdradzać swojego towarzysza. Sam go znajdę bez twojej pomocy. Dobrze?

Patrzyła na niego zdziwiona.

– Ale musisz wskazać, gdzie ukryłaś radiostację i współpracować z nami przy nawiązaniu łączności. Zgadzasz się?

Opuściła głowę, zamknięta w uporze niezrozumiałym dla Glöbckego. Właściwie żał mu było tej dzielnej dziewczyny, gdyż nie raz widział, co ludzie tacy jak Beer potrafią zrobić. Schodząc do piwnicy, był pewien, że grając rolę dobrego esesmana osłabi upór dziewczyny, co wielokrotnie udawało mu się ze skatowanymi więźniami. W jakiś sposób chciał jej pomóc. Uchronić przed straszliwym bólem.

Popatrzył jeszcze przez chwilę i wyszedł z celi. Na korytarzu czekał Beer i dwaj esesmani.

– Słyszałeś, co jej zaproponowałem? Beer skinął głową.

– Ona na to przystanie – dodał Glöbcke. – Zawołaj mnie. Zastukał w masywne drewniane drzwi, które strażnik otworzył po chwili. Zatrzymał się jeszcze na moment. Dobiegł go długi stłumiony jęk. „Założyli jej maskę” – pomyślał i szybko wszedł na schody.

Jorg odsunął na bok papiery, które stały się rzędami niezrozumiałych cyfr. Kunze zerknął na niego.

– Coś dziś nie w sosie, kolego?

– Przepraszam, mam zły dzień. Nie mogę się skupić.

– Normalne. W tej pracy czasami stres bierze górę i powala nas. W normalnych warunkach zaleciłbym panu kilkudniowy urlop, ale nie żyjemy w normalnych czasach. Niech pan idzie się przejść nad jezioro.

Jorg zebrał papiery. Rzeczywiście dalsze przesiadywanie nad kartkami straciło sens. Nic nie mógł działać. Powracała ciągle myśl, że powinien uciekać, ale zdawał sobie sprawę, że jest to przedsięwzięcie równie ryzykowne, jak pozostawanie w zamku. W warunkach przyfrontowych, gdzie oddziały żandarmerii były szczególnie wyczulone na dezertersów, ucieczka mogła zakończyć się przy najbliższym posterunku. Pozostawało tylko czekać.

– Niestety, mam dla pana nie dobrą wiadomość – powiedział Kunze. – Nie dostaliśmy zgody na dostęp do archiwum w Flirstenstein, czego zresztą można się było spodziewać. Nie tracmy jednak nadziei. Liczę na pewne wydarzenie, związane z udaną ofensywą naszych wojsk i odbiciem Lauban. Tylko nie mogę jeszcze na ten temat mówić. Zaczekajmy parę dni.

Jorg wiedział, że dwie wielkie grupy, którymi dowodził generał Walter Nehring uderzyły w nocy z pierwszego na drugi marca w kierunku Lauban, aby odzyskać kontrolę nad strategiczną linią kolejową i odbić stację i węzeł kolejowy. Po dwudniowych krwawych walkach, o których codziennie mówiło się w zamku, odepchnęły Rosjan, co miało ogromne znaczenie dla morale wojsk walczących na Dolnym Śląsku. Niemcy znowu uwierzyli, że klęska nie jest przesądzona. Ale jaki to mogło mieć związek z dostępem do archiwów w zamku Flirstenstein?

W pokoju komendanta policji siedziała już Chrabąszczowa. Przestraszona rozglądała się wokół, nie wiedząc, po co znowu ją wezwano. Ręką zaciśniętą w pięść uderzała się w piersi, powtarzając po polsku:

– A po co mnie to było? Jezuśku, Jezuśku, jaka ja głupia...

– Co ona tam mamrocze? – Glöbcke wszedł do pokoju i spojrzał z wyraźną niechęcią na kobietę o nadzwyczaj trudnym nazwisku.

– Nie wiem – komendant wzruszył ramionami. – Gada coś po polsku.

– Pokazaliście jej zdjęcia?

– Tak jest, wybrała czterech – komendant otworzył kluczykiem wyjętym z kieszeni munduru szufladę w biurku i wydobył teczkę ze zdjęciami oficerów z zamku. Położył przed Glöbckem cztery zaznaczone czerwoną kredką. – To oni.

Glöbcke uważnie przyjrzał się twarzom ludzi, których wskazała Chrabąszczowa. Znał ich wszystkich.

– Nie potrafi pani wskazać tego, który był w kościele z tą Natalią?

– Mówię, że wtedy nie zwracałam tak bardzo uwagi, panie oficerze – Chrabąszczowa, trzymając wciąż zaciśniętą dłoń, zaczęła wycierać łzy i śluz płynący z nosa. – W kościele nie było tak jasno, a powiem, że ciemno było. Mnie się zdaje, że to któryś z nich, ale tak do końca to pewności nie mam. Prawdę mówię...

– Dobrze, niech pani już idzie do domu. Podniosła się szybko.

– A co z tą Natalią, panie oficerze, bo ja o nagrodę... – zapytała już od drzwi.

– Wynoś się! – ryknął Glöbcke tak głośno, że zabrzęczały szklanki na biurku. Chrabąszczowa rzuciła się do wyjścia, nie rozumiejąc, czym tak rozwścieczyła oficera.

Glöbcke spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Beer nie zjawiał się z meldunkiem. „Twarda dziewczyna” – pomyślał.

Jorg uznał, że profesor Kunze dobrze doradził mu, proponując długi spacer. Było ciepło i słonecznie. Zdawało się, że wiosna pojawi się lada dzień. Wziął kurtkę, która była przewieszona przez oparcie krzesła, i wszedł na górę. Przed drzwiami esesman zagroził mu drogę.

– Co jest? – niemal krzyknął. Nerwy wyraźnie nie pozwalały mu zapanować nad sobą.

– Przepraszam, panie kapitanie, nie wolno opuszczać zamku – usłyszał za plecami głos szefa warty.

– Czy to areszt domowy?

– Nie chodzi tylko o pana. Obersturmbannführer Glöbcke wydał rozkaz zatrzymywania każdego, kto zechciałby opuścić zamek. Straże mają pozwolenie otwarcia ognia do osób, które nie zastosują się do zakazu. Bez względu na to, kto złamie zakaz.

Jorg spojrział w bok, dostrzegając kątem oka, że wartownik zatrzymał innego oficera. To uspokoiło go trochę, gdyż przekonał się, że nie chodzi o niego.

– Zamek można opuścić tylko na podstawie osobistej zgody Obersturmbannführera Glöbckego – wyjaśnił oficer.

– Gdzie on jest?

– Nie wrócił jeszcze do zamku.

Jorg skinął głową i poszedł do pokoju.

– Zaczęła zeznawać – Beer, zadowolony wszedł do pokoju komendanta. – Zaczęła – powtórzył.

– Prąd? – Glöbcke podniósł się z krzesła. Beer skinął głową.

– Aż bałem się, żeby nie padła.

– Długo wytrzymała, sześć godzin. Ściągnij lekarza, żeby ją opatrzył. Nie chcę, żeby zmarła na zakażenie, zanim powie cokolwiek.

Minął Beera i zbiegł na dół.

Natalia wciąż siedziała na krześle ze zwieszoną głową. Oddychała z trudem. Miała rozerwaną bluzkę i dostrzegł na jej piersiach ślady oparzeń po elektrodach. Odsunął spódnice i na udach zobaczył takie same krwawiące rany.

– Będiesz mówić?

Skinęła głową. Nie wierzył. Przypuszczał, że chciała ich wprowadzić w błąd, aby zyskać choć kilkanaście minut odpoczynku przed kolejnymi torturami.

– Kim był oficer, z którym widziano cię w kościele?

– Porucznik Kurt Hanse. Poznałam go w restauracji. Obiecywał, że się ze mną ożeni. Już zabrali go na front.

– Z jakiego oddziału?

– Nie wiem, nie wiem. Z piechoty, chyba.

– Sprytne, bo prawdopodobne, a nie do sprawdzenia – skonstatował Beer, biorąc ze stołu elektrody. Widząc to, krzyknęła:

– Pan Luge, właściciel restauracji, może zaświadczyć! – skuliła się, jakby zasłaniając się przed ciosem. Glöbcke powstrzymał gestem Beera.

– Kto z zamku przekazywał ci informacje?

– Nie wiem. Nie widziałam go...

Beer schwycił ją za włosy i szarpnął mocno.

– Ty suko, a mówiłaś, że będziesz zeznawać – krzyknął rozwścieczony.

Glöbcke ponownie go powstrzymał.

– Dlaczego przyjechałaś do Marklissy?

– Otrzymałam przez radio rozkaz nawiązania kontaktu. Miałam zawiesić ogłoszenie w oknie restauracji zatytułowane „Dla Hansa”. Nigdy go nie spotkałam. Dajcie mi wody, proszę...

Dygotała, nie wiadomo, czy z zimna czy też traciła panowanie nad swoim ciałem.

Jeden z esesmanów podsunął jej kubek. Piła łączywie wodę, którą wlewał jej do ust.

– Jak przekazywał ci informacje?

– Zostawiał w szczelinie pod wazą na grobie Krügerów, na cmentarzu przy kościele ewangelickim. Sprawdzałam skrytkę w nieparzyste dni po południu. Informacje dla niego też miałam tam zostawiać.

– Wyślij kogoś, po cywilnemu, żeby to sprawdził – Glöbcke, nie odwracając się, polecił Beerowi.

Wszystko, co mówiła, wydawało się prawdopodobne, ale nie wierzył, że nie spotkała się z agentem działającym w zamku. Zdawał sobie jednak sprawę, że chwytając radiotelegrafistkę, unieszkodliwił go. Nie mógł już przekazywać informacji, a jego zdekspirowanie było już tylko sprawą czasu. Wystarczyło obserwować grób, aby wpadł w zasadzkę.

– Jaki sygnał miałaś mu przekazać w przypadku zagrożenia?

– Wstawić suszone kwiaty do wazonu na parapecie. Był zadowolony z jej odpowiedzi, gdyż upewniał się, że Beerowi udało się ją złamać i zmusić do mówienia. Musiał uzyskać jeszcze odpowiedzi na trzy pytania.

– Gdzie ukryłaś radiostację?

Zawahała się. Dobrze, takiej reakcji się spodziewał, potwierdziła, że mówi prawdę.

– W domu?

Milczała jeszcze przez chwilę.

Czyżby była tak sprytne, że po wielogodzinnych torturach usiłowałyby wprowadzać ich w błąd? Zastanawiał się przez chwilę.

– W domu? – powtórzył pytanie.

Beer zetknął elektrody, które zaiskrzyły. Drgnęła gwałtownie.

– Nie – powiedziała pospiesznie, jakby nie chcąc dopuścić do kolejnych tortur – nie w domu. Ukryłam... w skrzynkach, pod ziemniakami w restauracji.

Beer nie czekał na polecenie i wybiegł. Glöbcke zyskiwał pewność, że dziewczyna zdecydowała się z nimi współpracować.

– Przenieście ją do celi – polecił. – Niech odpocznie.

Przez następne dwa dni wciąż obowiązywał zakaz opuszczania zamku, a Kunze indagowany przez podwładnych, tylko wzruszał ramionami. Zapewne Glöbcke, który pojawiał się rzadko, nie chciał mu wyjaśnić, co spowodowało zaostrzenie rygorów wobec personelu tajnej placówki i mieszkańców zamku. Nawet Anna Maria nie mogła wyjść poza obręb murów, a więc uzyskanie jakiegokolwiek informacji o losie Natalii było niemożliwe, tym bardziej że odcięto wszelkie połączenia telefoniczne ze światem zewnętrznym.

Siódmego marca Jorg zaczął myśleć, że powodem wszystkich restrykcji nie było schwywanie Natalii i obława na szpiega działającego w zamku, lecz przyjazd najwyższego niemieckiego dostojnika.

Plotka rozeszła się szybko w tym zamkniętym świecie i urosła do monstrualnych rozmiarów. Niektórzy twierdzili, że sam Hitler miał odwiedzić Tzschochę, co wiązano z wizytacją frontu w rejonie Lauban, jedyne, gdzie Niemcy odnieśli zwycięstwo, odrzucając wojska radzieckie na kilkanaście kilometrów. Profesor Kunze, który znał prawdę, nie mówił nic, stwierdzając lakonicznie, że zobowiązano go do tajemnicy. Raz tylko, rozmawiając z Jorgiem na temat wizyty, zmrużył oko; co miało znaczyć, że spodziewa się ważnych rozstrzygnięć w ich pracy.

W południe dziewiątego marca profesor zniknął gdzieś i nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nim stało. Wrócił przed wieczorem, gdy Jorg jadł kolację, i wpadł raptownie do kasyna.

– Niech pan idzie do mnie – powiedział zaaferowany. – Tutaj nie możemy rozmawiać – dodał i zniknął za drzwiami.

Jorg wszedł do jego gabinetu, gdy Kunze zdejmował marynarkę.

– To niesamowite! – wykrzyknął. – Oni wciąż wierzą w zwycięstwo! Wracam z Lauban. Tam był Goebbels!

Usiadł za biurkiem i wyjął paczkę papierosów z kieszeni marynarki.

– Była piękna uroczystość na rynku. Nawet szesnastoletniego chłopca w hełmie podstawili, żeby minister mógł go pogładzić po twarzy i powiedzieć „dzielny chłopiec”. Niech pan sobie wyobrazi, że ten młodzieniec zniszczył ileś tam rosyjskich czołgów i dostał Krzyż. Biedny dzieciak, ale przecież nie o niego chodziło, tylko o ministra, który był fotografowany i filmowany ze wszystkich stron, aby pokazać Niemcom, że docenia wagę zwycięstw tutaj odnoszonych.

Jorg, wymownie rozglądając się wokół, usiłował dać do zrozumienia profesorowi, że nie jest jedynym słuchającym.

– Niech pan da spokój, kolego Jorg – zachnął się Kunze. – Chyba nie uważa mnie pan za idiotę. Sądzi pan, że dopuściłbym do zainstalowania podsłuchu w moim biurze albo tolerował istnienie mikrofonów pod biurkiem? Ale do rzeczy. Znam Goebbelsa wystarczająco dobrze, aby móc zwrócić się do niego z prośbą o dostęp do archiwum. Cokolwiek byśmy o nim nie powiedzieli, to jednak jest to nadzwyczaj błyskotliwy i inteligentny człowiek. Pojechałem do Lauban, odczekałem, aż skończyły się uroczystości na rynku, i podszedłem do niego, gdy wsiadał do samochodu, aby pojechać obejrzyć frontowe stanowiska. Od razu zgodził się, aby udostępniono nam zbiory Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, choć powiedział, że, kurtuazyjnie, musi zwrócić się do Himmlera. Wydał polecenie swojemu sekretarzowi. Jutro otrzyma pan rozkaz wyjazdu do Fürstenstein i przepustkę do tamtejszego archiwum.

– To może być przełom w naszej pracy – powiedział z niekłamanym zadowoleniem Jorg.

– Dokumenty w zamku są przygotowywane do ukrycia lub ewakuacji, ale zachowano porządek. Myślę, że nie będzie trudności z odnalezieniem akt z Charkowa, chyba że ich tam nie ma. Teraz niech mnie pan zostawi, czuję się trochę zmęczony dzisiejszą wyprawą.

Rozparł się wygodnie w fotelu, zamierzając najwidoczniej spędzić noc w swoim gabinecie.

Jorg wyszedł szybko. Rozmowa miała dla niego szczególne znaczenie. Przede wszystkim upewnił się, że Kunze wciąż darzy go zaufaniem. Co więcej, skoro wydano mu przepustkę na wjazd do tajnej strefy zamku Furstenstein, to oznaczało, że również służba bezpieczeństwa SS nie miała zastrzeżeń.

Te rozważania sprawiły, że wspomnienie Natalii i strach o nią wróciły z całą siłą. Jeżeli żyje, to znaczy, że wytrzymała śledztwo i nie zdradziła go! Wydawało mu się jednak nieprawdopodobne, żeby ta drobna dziewczyna znalazła w sobie tyle siły, aby znieść wszystko, co mogli jej zrobić gestapowcy.

Glöbcke wszedł po skrzypiących drewnianych schodach na poddasze, gdzie mieścił się pokój Natalii. Dziewczyna zadziwiająco szybko doszła do siebie po torturach zadawanych przez Beera i wydawało się, że gotowa jest potulnie spełniać polecenia i ujawnić tajemnice swojej działalności. Radiostacja, ciasno zawinięta w zielony brezent, leżała, tak jak mówiła, w skrzynce w restauracyjnej kuchni. Książeczka do nabożeństwa, na podstawie której szyfrowała meldunki, była w szufladzie w komodzie w jej pokoju. Dlatego Glöbcke, idąc na górę, miał nadzieję, że zdoła zmusić Natalię do odszyfrowania meldunków, które wysłała, a które zostały zarejestrowane przez niemiecką stację

nasłuchową. Gdyby tak się stało, złapanie szpiega działającego w zamku byłoby sprawą godzin. Jednakże nie to było dla niego najważniejsze.

Otworzył drzwi i zobaczył ją siedzącą przy stole, wyprostowaną, z rękami opartymi o blat. Pilnujący jej gestapowiec usiadł przed oknem i zza firanki zerkał na ulicę, na której pełnili straż agenci, ukryci tak, że nawet najbardziej doświadczone oko nie mogło ich wypatrzeć.

Położył przed nią kartki z tekstem szyfrogramu i książeczkę do nabożeństwa.

– To jest meldunek, który wysłałaś parę dni temu. Odszyfruj to!

– To niemożliwe – dziewczyna podniosła głowę. Patrzyła na niego lękliwie, ale pewnie, jakby bardzo chciała, aby jej uwierzył. – To niemożliwe...

– Dlaczego?

– Po każdej operacji niszczyłam kartki, na podstawie których szyfrowałam. Bez tych kartek nie mogę tego odtworzyć!

Glöbcke zaczął przewracać stronicę. Rzeczywiście kilku brakowało, pozostały ślady po ich wyrwaniu.

– Przyniosę ci nową książeczkę.

– Nie znajdzie pan takiej. Ta pochodzi z tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku i była bezpłatnie dodawana do jakiejś kościelnej gazetki w Prusach Wschodnich.

Miała rację. Znalezienie książeczki do nabożeństwa sprzed bez mała ćwierć wieku i to w dodatku wydanej w niewielkim nakładzie gdzieś w Prusach Wschodnich było niemożliwe. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna wciąż miała nad nim przewagę, choć niczego nie ukrywała i mówiła prawdę. Kto tak doskonale przygotował ją do pracy radiotelegrafistki? Musiała przejść bardzo staranne przeszkolenie. Był niemal pewien, że jej zgoda na współpracę też była wybiegiem.

– To powiedz, co zawierał meldunek.

– Proszę pana – spojrzała mu prosto w oczy – niech pan zapyta jakiegokolwiek szyfranta, czy rozumie to, co szyfruje. Ten proces wymaga tak wiele uwagi, że nikt nie jest w stanie skupić się na treści odczytywanego meldunku. Mogę tylko powiedzieć, że wydaje mi się, iż chodziło o ofensywę w naszym rejonie.

„Sprytne” – pomyślał. Ofensywa rzeczywiście nastąpiła, ale o tym nie musiała dowiedzieć się od swojego informatora. Strzelaninę w rejonie Lauban słychać było z daleka.

Usiadł przy stole naprzeciw niej.

– Natalio – powiedział jak ojciec karcący lekkomyślną córkę – ja nienawidzę sprawiania ludziom bólu, czego nie mogę powiedzieć o moim zastępcy. Ucieszyłem się, słysząc, że zgodziłaś się na współpracę z nami, bo było mi Ciebie żal, bo wiedziałem, co by z tobą zrobili, gdybyś odmówiła. Chcesz tam wrócić? Do piwnicy na posterunku...

– Nie! – krzyknęła tak głośno, że gestapowiec przy oknie spojrzał w ich stronę. – Wszystko panu powiedziałam: gdzie jest skrytka na cmentarzu i gdzie jest radiostacja! Zdradziłam sposób szyfrowania! Wszystko powiedziałam! Wszystko! Niczego nie

ukrywam! Przysięgam panu!

Skuliła się, szlochając gwałtownie.

– Może pan mnie torturować, ale nic więcej nie powiem, bo nie wiem. Nie wiem! I co panu z tego przyjdzie, że mnie zamęczycie?!

Postanowił się wycofać. Wciąż jej nie wierzył. Uważał, że nie tylko została doskonale przygotowana do swojej pracy, ale że jest również sprytna. Musiał jednak zaakceptować jej wyjaśnienia, gdyż była mu potrzebna do realizacji planu, który opracował ze szczegółami, toteż nie miał zamiaru ponownie wydawać jej w ręce Beera. Była mu potrzebna, aby w odpowiednim czasie wysłać fałszywy meldunek. Ryzyko tego przedsięwzięcia polegało na tym, że mogła w tym meldunku zawrzeć ukryty sygnał alarmowy, który odbiorcy wskazałby, że została zmuszona do współpracy. A to zniweczyłoby wszelkie zamiary.

– Wypisz na kartce, jak ukrywałaś w szyfrowanym tekście sygnały, które miały świadczyć o autentyczności przekazu.

– Nie stosowałam tego.

– A co miało być sygnałem alarmowym, informującym twoich odbiorców, że nadanie depeszy zostało wymuszone?

– Było kilka sposobów – odpowiedziała bez wahania i sięgnęła po kartkę. – Wypiszę...

Wciąż nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście zrezygnowała z oporu, zdecydowana wypełniać jego polecenia, czy wszystko było częścią bardzo sprytnej gry.

– Wrócę wieczorem – powiedział, wychodząc. Znowu znalazł się na skrzypiących schodach, gdzie śmierdziało kiszoną kapustą, zapewne z beczki stojącej pod ścianą, i mydlinami. Chrabąszczowa, zaciekawiona odgłosami, uchyliła drzwi i wyjrzała, ale widząc Glöbckego, skinęła głową na powitanie, mamrocząc coś jakby „dzień dobry, panie oficerze” i schowała się szybko.

Miał w kieszeni zdjęcie czterech oficerów z zamku, wskazanych przez nią jako tych, z których jednego widziała z Natalią. Nie położył ich przed Natalią, aby sprawdzić jej reakcję. Teraz, gdy już lepiej poznał dziewczynę, uznał, że potrafiłaby ukryć swoje wrażenie i nie dałaby poznać, z którym się spotkała. Wydawało mu się, że i tak znał odpowiedź. Wśród czterech mężczyzn Chrabąszczowa wskazała Jorga, i nie miał wątpliwości, że się nie myliła. Twierdziła, że widziała tego oficera w niedzielę około południa. Sprawdził księgę wyjść: Jorg w niedzielę, od dziesiątej do siedemnastej był poza zamkiem. Glöbcke nie miał jednak zamiaru go przesłuchiwać. Dowody, jakimi dysponował, były słabe i na ich podstawie nie mógłby aresztować niemieckiego oficera, zwłaszcza takiego, za którym natychmiast wstawiłby się Kunze. Rozumiał, że w ten sposób niczego by nie zyskał. Jeżeli Jorg był szpiegiem, który przez Natalię przekazywał meldunki, to z chwilą jej aresztowania przestał być groźny. Nie miał jak wysyłać swoich wiadomości. Oczywiście można byłoby przyjąć, że istniał drugi łącznik, zapasowy, z

którego pracy Jorg mógłby skorzystać po unieszkodliwieniu Natalii. Było to jednak mało prawdopodobne, a nasłuch radiowy nie informował o uaktywnieniu się wrogiej radiostacji. Glöbcke zaczął zastanawiać się, czy Jorg nie mógłby w przyszłości przydać się w realizacji jego planu. Na razie nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale tym bardziej postanowił pozostawić go w spokoju. Nacisnąć spust mógł zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jeep, którym jechali Compaigne i Czerny, zatrzymał się w długiej kolejce samochodów ciężarowych, równo ustawionych po jednej stronie drogi prowadzącej do mostu.

– No to mamy stop – kierowca, chłopak z Alabamy, podniósł się z fotela, a ponieważ niewiele mógł dostrzec, wskoczył na maskę.

– Panie komandorze, czarno to wygląda, przed nami ze dwieście ciężarówek. Gdzie im się tak spieszy?

Compaigne wysunął nogi na zewnątrz samochodu i wyprostował się z ulgą. Od Paryża jechali bez zatrzymywania w stronę mostu pod Remagen na Renie, który niespodziewanie siódmego marca został przechwycony przez patrol amerykańskiej dywizji pancerniej. Atak był tak zaskakujący, że ostrzeliwani Niemcy nie zdążyli eksplodować wszystkich ładunków, które założono w przesłach, i wycofali się, pozostawiając otwartą drogę dla głównych sił amerykańskich, które, jak przez szeroko otwarte wrota, zaczęły się wlewać do Rzeszy.

Czerny, który drzemał przez ostatnią część drogi, niechętnie odrzucił płaszcz i ziewając, wysiadł z samochodu. Po lewej stronie drogi, gdzie teren obniżał się, widać było domy Remagen. Zastanawiał się, czy nie wykorzystać postoju i nie udać się tam w poszukiwaniu czegoś ciepłego do jedzenia lub picia, gdyż herbata w termosie od czasu wyjazdu z Paryża zdążyła wystygnąć. Niemcy chętnie gościli Amerykanów, nawet z własnej woli wnosząc zziębniętym żołnierzom ciepłe napoje, zobaczył jednak, że większość domów w zasięgu wzroku była zniszczona lub poważnie uszkodzona, więc pomyślał, że jego poszukiwania mogłyby się przeciągnąć lub okazać się bezowocne. Spojrzał na oddział żołnierzy idących gęsiego po torowisku biegnącym nieco wyżej, po prawej stronie szosy i pomyślał, że zator może być lada moment rozładowany, więc nie powinni oddalać się zbyt od samochodu.

– Postoimy trochę, nie martwi cię to? – zwrócił się do Compaigne. – Możemy stracić dużo czasu.

– Zacznę się martwić, gdy nadlecą niemieckie samoloty – Compaigne lustrował wzrokiem niebo, podnosząc co chwila lornetkę do oczu. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia, usiadł więc na brzegu błotnika i zapalił papierosa.

– Sądziłem, że bardziej niepokoją cię postępy grupy Pasha i Lansdale'a. Wygląda na to, że wysforowali się daleko przed nas...

– Czy wy, cholerni Polacy, naprawdę wszystko wiecie, czy tylko udajecie?! – krzyknął Compaigne.

Rzucił papierosa i podszedł do Czernego.

– Skąd, u diabła, wiesz o grupie Lansdale’a i Pasha? To przecież najtajniejsza misja w Europie! Mów!

Czerny po raz pierwszy widział tak rozsierzonego Amerykanina.

– Daj spokój – powiedział pojednawczo. – Powiedziała mi o tym Joanna.

– Kiedy się z nią widziałeś? I dlaczego nic mi nie powiedziałeś?! Ja dowodzę tą misją i nie życzę sobie żadnej gry na boku. Albo jesteś w mojej grupie i meldujesz o ważnych sprawach, albo wracaj do Londynu!

Był wściekły, ale Czerny rozumiał, że jest to bardziej efekt zmęczenia i napięcia przed rozpoczynającą się misją niż prawdziwe oburzenie, które mogło wywołać zatajenie ważnej informacji.

– Daj spokój – powtórzył. – Nie miałem zamiaru niczego przed tobą ukrywać. Postanowiłem pogadać o telefonie od Joanny w czasie podróży. Wiedziałem, że będziemy mieli dużo czasu.

– Okey – Compaigne poczuł, że jego wybuch był niepotrzebny. – Poniosło mnie. Ale teraz już na spokojnie powiedz, co usłyszałeś od Joanny o Lansdale’u i Pashu?

Pytał o pułkownika Johna Lansdale’a, dowodzącego grupą o kryptonimie „Alsos”, oraz pułkownika Borysa Pasha, szefa wywiadu w Los Alamos, który został włączony do tej grupy osób, mających za zadanie poszukiwać naukowców pracujących nad niemieckim programem nuklearnym, a także materiałów wykorzystywanych w tej pracy.

– Co to jest?! – usłyszeli nagle głos kierowcy. Stał z boku drogi i wpatrywał się w punkty wysoko na niebie, nad górami. Jak na samoloty zbliżały się zbyt szybko, zaś odgłos, jaki im towarzyszył, nie przypominał warkotu samolotowych silników.

– Wszyscy do rowu! Nalot! – krzyknął Compaigne i rzucił się w poprzek drogi, gdzie krzaki zasłaniały głęboki wykrot.

Głuchy huk strzałów artylerii przeciwlotniczej potwierdził, że nad most nadlatywały niemieckie samoloty.

– Co to za cholera? – Czerny rzucił się na ziemię obok Compaigne’a, a po chwili dołączył do nich kierowca. – Nie widziałem takich samolotów!

– Odrzutowe – wyjaśnił komandor. – Nowa broń niemiecka. Są szybkie, ale mają niewielki zasięg i szybko kończy im się paliwo.

Leciały nisko. Przemknęły nad nimi z zawrotną prędkością i wystrzeliły świecą w górę, zostawiając za sobą czarne obłoki eksplodujących pocisków artylerii przeciwlotniczej, która nie nadążała z postawieniem zapory.

Czerny, który po raz pierwszy widział samoloty odrzutowe, przypatrywał im się bardziej z ciekawością niż lękiem. Dopiero odgłosy bomb, które zrzuciły, zmusiły go, żeby zsunął się niżej do rowu i zakrył głowę.

Nalot nie trwał długo, gdyż, jak przewidział Compaigne, samolotom kończyło się paliwo, lub też ogień przeciwlotniczy był zbyt silny i musiały zrezygnować z dalszych ataków, zrzucając bomby daleko od celu. Przemknęły nad ich głowami jeszcze raz, strzelając na oślep z działek i znikły nad górami równie szybko, jak się pojawiły. Ogień

dział i karabinów maszynowych, które jeszcze przez chwilę wystrzeliwały pociski za oddalającym się wrogiem, powoli cichł.

Wyszli z rowu, otrzepując mundury z resztek zeschniętej trawy i piachu.

– Całe szczęście, że nie trafiły – kierowca patrzył z ulgą na wyrwy po pociskach, które ominęły jego samochód zaledwie w odległości kilku metrów.

– To co z tą Joanną? – Compaigne ponownie usiadł na błotniku jeepa, a Czerny odniósł wrażenie, że wstydził się zachowania sprzed paru minut.

– Zadzwoiła do mnie przed wyjazdem – wyjaśnił Czerny. – Nie pytaj, skąd wiedziała, że wyruszamy do Niemiec. Przekazała informację, że w końcu lutego zespoły niemieckich kryptologów ewakuowano z Hirschbergu do Zschepplin i do zamku Naumburg pod Weimarem.

– Ja mam inne informacje – Compaigne pokręcił głową. – Nasze źródła mówią o Kaufbeuren i Rosenheim w Bawarii.

– Nie sądzę, żeby te informacje się wykluczały – Czerny wzruszył ramionami. Przerwał na moment, obserwując jak ciężarówki w porządku, którego nie zmącił krótki nalot, ruszają jedna za drugą.

Wsiedli do jeepa.

– Zastanawia mnie jeszcze coś. Powiedziała, żebyśmy zwrócili uwagę na zamek Tzschocha, gdyż istnieją możliwości dotarcia tam, choć bardzo niechętnie odpowiadała na pytania dotyczące tego zamku. Coś tam jednak musi być. I to cholernie ważnego.

– Czy możemy do końca wierzyć tej Joannie? Co o niej wiemy? Czerny wzruszył ramionami.

– Ty masz swoje źródła informacji, ja mam swoje. Może uda się jeszcze czegoś o niej dowiedzieć. Tyle miałem ci do powiedzenia o tym, co wydarzyło się w Paryżu. Jak widzisz, nic takiego.

Owinął się płaszczem i próbował ulokować się jak najwygodniej na tylnym siedzeniu jeepa, ale po chwili zaniechał tych wysiłków. Obejrzał się. Jeepy z pozostałymi członkami zespołu Compaigne'a zwiększyły odstęp. Wjeżdżali na most Ludendorffa, którego środkowe przęsło było mocno uszkodzone po wybuchu niemieckich min, jakie obrońcom udało się odpalić, zanim Amerykanie odrzucili ich, uniemożliwiając zniszczenie całego mostu. Inne części ucierpiały w czasie ponawianych nalotów niemieckich samolotów, starających się zniszczyć tę wygodną dla aliantów drogę do Niemiec i ostrzału pociskami V-1.

Compaigne rozłożył mapę i przyświecając sobie latarką, przypatrywał się wschodniej części Niemiec. Poszukiwał miejscowości, o której wspomniał Czerny.

– Pisz się Tzschocha, koło Marklissy... – usłyszał głos Polaka, który okutany w płaszcz, z czapką nasuniętą na oczy nie mógł widzieć, że komandor zaczął studiować mapę. – Narysowałem tam kółko, żebyś szybciej znalazł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Wyjeżdża pan do Furstenstein – ni to zapytał, ni stwierdził Glöbcke, którego Jorg spotkał przy wyjściu z zamku.

– Nie jestem upoważniony do ujawniania panu tajemnic.

– Zastanawiałem się, czy nie pojechać z panem – Glöbcke wydawał się niezrażony oschłością Jorga. – Mamy trochę do pogadania.

– My? Chce pan mnie przesłuchać?

– Dobrze, nie będę panu psuł widoków pięknego zamku Hochbergów moją osobą, ale proszę, żeby poświęcił mi pan pół godziny. Teraz.

– Jeżeli to konieczne... – Jorg był zaskoczony sposobem, w jaki Glöbcke zwracał się do niego.

– Chodźmy nad jezioro. Tam nad zaporą jest miły hotel „Zum Queistalsperre”. Był pan tam?

Jorg pokręcił głową. Patrzył podejrzliwie na esesmana, który nagle zamienił się w gawędziarza.

– To szkoda. Mają znakomitą kuchnię w niewielkiej restauracji na parterze. Bywałem tam jeszcze przed wojną. Proszę sobie wyobrazić, że mimo tego straszego czasu, hotel zachował swój urok.

Zeszli po kamiennych schodach prowadzących do jeziora utworzonego na początku wieku przez wody Queis* spiętrzone przez zaporę, widoczną z zamku. Ciepły dzień sprzyjał spacerowi, aczkolwiek przechadzka w towarzystwie esesmana i widok wartowników rozstawionych wokół jeziora sprawiał, że wydawało się to koszmarem sennym.

– Musi pan mieć dużo do powiedzenia – Jorg zdecydował się skłonić Glöbckego do podjęcia głównego tematu. Ten milczał przez chwilę, aż nagle oświadczył:

– Schwytaliśmy radiotelegrafistkę!

Patrzył uważnie na Jorga, starając się ocenić jego reakcję.

– Gratuluję, ale dlaczego mnie o tym pan mówi? – Jorg zachował całkowity spokój. – Ja nie zajmuję się sabotażystami ani dywersantami.

Esesman wydawał się zaskoczony pozbawioną wszelkich emocji reakcją Jorga na jego słowa.

– Rozumiem, że to informacja dla pana nieważna, ale pan zna tę dziewczynę... – zawiesił głos.

– Panie Obersturmbannführer, proszę, niech pan powie, o co panu chodzi, albo zakończmy ten... spacer! Oczywiście może pan mnie aresztować, tylko, za co?

– Niech pan się nie unosi, Jorg. Sądziłem, że może pana zainteresować, że ocieramy się o szpiegów, nie wiedząc o tym. To Natalia, kelnerka z restauracji.

Jorg patrzył spokojnie na Glöbckego, z naturalnym zdziwieniem, jakie powinny wywołać takie słowa.

– Widziano pana z nią... – mówił dalej Glöbcke.

– Podobnie, jak dwa tuziny oficerów z naszego zamku i kilkuset innych, którzy bywali „Pod Jeleniem”. I co z tego?

– Widziano pana nie w restauracji, ale w kościele. Jorg przypomniał sobie Polkę, która weszła do kościoła, gdy był tam z Natalią. Szybko jednak uznał, że Glöbcke blefuje, gdyż kobieta nie mogła rozpoznać go ani tym bardziej zapamiętać.

– Bzdura! Nie byłem nigdy w kościele w Marklissie! Jestem katolikiem...

– Skąd pan wie, że mówię o kościele protestanckim? – przerwał mu Glöbcke.

– Nie dał mi pan skończyć, a chciałem powiedzieć, że jestem katolikiem niepraktykującym, a więc nie chodzę do kościoła, choć wierzę w Boga. Widziano mnie w kościele protestanckim? To śmieszne!

Glöbcke przygryzł wargi.

– Czy ma pan inne dowody, na których podstawie mógłby mnie pan oskarżyć o współpracę z wrogim agentem?

– Mam! Dziewczyna zaczęła zeznawać... Jorg poczuł gwałtowny ucisk w żołądku. „On blefuje, blefuje! Niczego nie ma!” – pomyślał.

– Słucham dalej. To ciekawe – nie dawał po sobie poznać, jakie wrażenie na nim zrobiły słowa Glöbckego. – Ta dziewczyna zeznała, że współpracowała z kapitanem Hugo Jorgiem?

Tym razem Glöbcke zachował kamienną twarz.

– To dlaczego spacerujemy nad jeziorem? – Jorg powiedział to z wyraźną ironią. – Tak spokojnie, jak dobrzy znajomi? Czy nie boi się pan, że wyciągnę pistolet i zastrzelę pana, a następnie ucieknę? To byłaby najbardziej oczywista reakcja zdekonspirowanego szpiega, czyż nie?

Jorg czuł, że zachowuje przewagę nad Glöbckem. Ten uśmiechnął się.

– Nie wiem, jaką grę pan prowadzi – Jorg nagle zmienił ton. – Podejrzewa mnie pan, że jestem szpiegiem, ale zamiast mnie aresztować, zaprasza mnie pan na przechadzkę i wyjawia, że schwytano moją rzekomą towarzyszkę. Gdybym rzeczywiście był szpiegiem, natychmiast zawiadomiłbym centralę, uniemożliwiając panu wykorzystanie tej dziewczyny do wysyłania sfałszowanych meldunków, nieprawdaż?

Glöbcke uśmiechał się w dalszym ciągu. Rozmowa nie przebiegała po jego myśli, ale zaczynając ją, nie zakładał, że Jorg się przyzna. Chciał go tylko zastraszyć. Liczył się z tym, że będzie musiał zaakceptować obecność szpiega, gdyż był mu potrzebny, ale musiał obezwładnić go, uniemożliwić działanie.

– Wie pan, kapitanie Jorg, w pana przypadku nie mogę zastosować metod, które Gestapo zazwyczaj stosuje, gdyż wstawi się za panem profesor Kunze. – Jorg skinął

głową. – Ale niech pan nie będzie taki pewny siebie. Wpływy profesora kończą się w pewnym miejscu. Nie o to chodzi... – usiadł na kamieniu i przez chwilę wpatrywał się w wodę. – Wie pan, że chciałem być leśnikiem – powiedział niespodziewanie. – To jest wspaniałe kształtować życie dookoła siebie. Gdy drzewo rośnie krzywo – można je wyciąć, a gdy natura wprowadziła skazę do organizmu jelenia, co widać po porożu, trzeba go zastrzelić, aby nie psuł rasy.

– Znam tę ideologię i odnoszę wrażenie, że wszystkich leśników ubrano w czarne mundury.

– No cóż, otwieram się przed panem, a pan kpi. A mnie zależy na tym, abyśmy się zrozumieli.

– Nie widzę takiej potrzeby. A poza wszystkim, niech mi pan wreszcie wyjawi, o co panu chodzi?

– Tylko o to, że wiem, iż jest pan szpiegiem – Glöbcke wstał z kamienia. powtarzam, niech pan nie będzie taki pewny siebie. Zeznania dziewczyny są wystarczającym dowodem, żeby pana aresztować, ale po co? Przyznałby się pan do tego, co wiem, a w wyniku brutalnego śledztwa zdradził to, co wiem, a mianowicie, że poinformował pan swoich mocodawców w Moskwie, iż pracujemy nad łamaniem ich szyfrów. Oczywiście, siedząc w celi, nie mógłby pan wysyłać kolejnych meldunków, ale i tak pan nie może tego robić, ponieważ zabraliśmy panu radiotelegrafistkę, czyli zerwaliśmy kontakt. Oczywiście, przyjmuję, że Moskwa przyśle panu innego łącznika, lub że gdzieś w pobliżu tkwi jakiś zakamuflowany. I co z tego? Nie podejrzewam, żeby po tej rozmowie zechciał go pan aktywować, lub w jakikolwiek inny sposób odtwarzać kontakt z Moskwą. Przestał być pan groźny. O to mi chodziło. Proste!

– I, powiedziałbym, zabawne – Jorg postanowił nie zmieniać swojej taktyki, choć przyznawał w duchu, że to Glöbcke ma wszystkie atuty.

– Pan musi zdawać sobie sprawę, że mnie zawdzięcza życie – Glöbcke podszedł tak blisko Jorga, że ten poczuł przykry zapach tytoniu z jego ust. – To jest podstawa naszych przyszłych stosunków.

– Nie prosiłem pana o darowanie mi życia i nie czuję się zobowiązany do jakiegokolwiek wdzięczności!

– Oczywiście, oczywiście. Ja mówię tylko o podstawie naszych wzajemnych stosunków, licząc, że pojawi się odrobina sympatii do mnie. To zawsze dobrze wpływa na wspólną pracę. Zaproponuję panu coś, co powinien pan wykonać z pełnym przekonaniem i zaufaniem. Na to liczę.

– O co chodzi?

– Za wcześnie na szczegóły, kapitanie Jorg. Za wcześnie – Glöbcke odwrócił się. – Do tego hoteliku jest jeszcze daleka droga, wracajmy do zamku. Zaproszę pana na obiad innym razem.

Szli pod górę w milczeniu, aż nagle Glöbcke zatrzymał się.

– Zapomniałbym panu powiedzieć, że kobieta, która zdradziła Natalię i pana, taka o

dziwnym polskim nazwisku, które tylko Beer potrafi wymówić, miała dziś wypadek. Przygniotła ją ciężarówka, do ściany – skrzywił się na wspomnienie wizytacji miejsca wypadku. – Paskudny widok rozgnieczonego robaka.

Wartownik stojący na szczycie schodów prowadzących do zamkowej furty otworzył ją, przepuszczając Glöbckego i Jorga.

– Do zobaczenia, panie kapitanie – Glöbcke zaszalutował. – I proszę pamiętać, że będę znał każdy pana krok. Niech pan nie robi głupstw, które zmusiłyby mnie do działania sprzecznego z moją wolą. – Odszedł kilka kroków i odwrócił się. – I sympatią – dodał.

– Niech mi pan jeszcze powie... – Jorg zatrzymał go – dlaczego, skoro uważa pan, że jestem szpiegiem, zgadza się pan na mój wyjazd do tak tajnego miejsca, jak Furstenstein?

Glöbcke uśmiechnął się.

– W końcu marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, gdy rosyjskie armie stoją nad Odrą i lada dzień pójdą na Berlin, tajna kwatera w Furstenstein nie ma już żadnego znaczenia. Żadnego. To po prostu piramida dwudziestego wieku.

– Takie oświadczenia w ustach szefa oddziału Sicherheitsdienst są doprawdy szokujące.

– A może zależy mi na tym, aby poznał pan tę moją tajemnicę?

Odszedł, gwizdząc jakąś kabaretową melodyjkę, jak człowiek bardzo z siebie zadowolony.

Jorg zdawał sobie sprawę, że wszystko, co usłyszał, było przeraźliwie realne. Glöbcke mógł kłamać tylko w jednej sprawie, że Natalia zdradziła, choć to też wydawało się możliwe. Wciągał go do swojej gry, nie pozostawiając mu żadnego wyboru. Do czego zmierzał?

Zajęty myślami przeszedł przez pomost prowadzący na placyk przed zamkiem. Nie chciał jeszcze wracać do mrocznych pomieszczeń, tym bardziej że do momentu dotarcia do archiwów w Fürstenstein nie widział możliwości osiągnięcia niczego.

Odwrócił się gwałtownie, słysząc warkot silnika. Mały opel przemknął obok niego, tak blisko, że musiał się usunąć. Odniósł wrażenie, że prowadząca samochód Anna Maria w ogóle go nie zauważyła. Zatrzymała się pod ścianą muru odgradzającego zamkowy placyk od gospodarczych zabudowań, ale nie wysiadła. Początkowo nie miał zamiaru podchodzić do niej, zwłaszcza po rozmowie z Glöbckem. Szedł więc wprost do zamkowego pomostu, licząc jednak na to, że Anna Maria dostrzeże go i zawoła. Nie usłyszał jej głosu, nie usłyszał też trzaśnięcia drzwi samochodu – a więc nie wysiadła. Odwrócił się. Siedziała z głową opartą na kierownicy. Wyglądała tak, jakby zasłała. Podszedł do samochodu i uchylił drzwi.

– Źle się czujesz? – podniosła głowę. Zobaczył, że ma zaczerwienione oczy. – Co się stało?

– Hugo, one żyją! – wykrzyknęła z radością i natychmiast się rozplakała.

– Matka i siostra?

Musiał zaczekać chwilę, aż opanowała gwałtowny szloch.

– Żyj! To cud!

– Żałuję, że nie mam chusteczki. To byłoby ładne, gdybym ci ją teraz podał, a ty otarłabyś łzy, i, do cholery, zaczęła mówić jak człowiek.

Szloch i łzy zamieniły się nagle w radosny śmiech.

– Wracam z poczty w Marklissie. Odebrałam telegram. Moja matka i siostra stanęły przed sądem – zaczęła relacjonować, gdy się uspokoiła. – Mogę się domyślać, że wyrok mógł być tylko jeden, tym bardziej że sprawę prowadził sędzia Freisler.

– Widziałem film z procesu uczestników zamachu na Hitlera.

– Nagle rozpoczął się nalot. Nie zdążyli zbiec do schronu, gdy bomba trafiła w budynek sądu. Sędzia, przygnieciony stropową belką, zmarł. Akta sprawy spłonęły. Spłonęły wszystkie dowody! Dlatego zwolniono moją matkę i siostrę. One żyją!

– Tylko nie płacz, bo znowu będę żałował, że nie mam chusteczki. Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać. Do zobaczenia – skłonił się i odszedł szybko, dostrzegając kątem oka, że przed wejściem stanął Glöbcke.

– Szybko realizuje pan zapowiedź, że nie spuści mnie z oka – powiedział Jorg mijając esesmana.

– Opowiedziała panu o śmierci sędziego Freislera? Jorg słysząc to, zatrzymał się, a Glöbcke dodał:

– Można by to uznać za dowód na istnienie Boga. Ta kreatura zasłużyła sobie na śmierć.

Jorg nie odpowiedział i szybko wszedł do zamku. Coraz bardziej zastanawiał go ten esesman. „A może to zręczna prowokacja”? – pomyślał.

Dobiegało południe, gdy dojechał do zamku Fürstenstein. O ile uważał Tzschochę za miejsce ściśle strzeżone, o tyle ochrona samego podjazdu do zamku na skale wprawiła go w zdumienie. Wielokrotnie kontrolowany, mijał posterunki wzmocnione czołgami i samochodami pancernymi, stanowiska dział przeciwpancernych ukrytych w wykopach przy drodze i obłożone workami pozycje działek przeciwlotniczych.

Esesmani z ochrony zamku skierowali go do oficyny, po lewej stronie od bramy wjazdowej, skąd dobrze już było widać ponury kamienny zamek: Zatrzymali się na wysypanym żwirem placu, skąd, prowadzony przez żołnierza, musiał już na piechotę dojść do wskazanego budynku.

– Szukam pana Mayera – podał przepustkę esesmanowi pełniącemu straż przed wejściem do oficyny. Ten machnął ręką, zezwalając na wejście, ale nie udzielił żadnej informacji. Jorg mógł tylko wywnioskować, że Mayer oczekuje go wewnątrz. Rzeczywiście ledwo przekroczył drzwi, a na spotkanie mu wyszedł korpulentny mężczyzna, jak inni w tym pomieszczeniu, w mundurze Organizacji Todta.

– Jestem Christian Mayer, awizowano pana przyjazd, i to z sekretariatu ministra Goebbelsa, więc czekam, choć nie sądziłem, że będzie pan tak punktualny – wyciągnął rękę na powitanie.

Z daleka dobiegł odgłos przytłumionych wybuchów.

– Wysadzamy skały – wyjaśnił Mayer, widząc, że odgłosy zainteresowały gościa. – Rozumiem, że panu się spieszy, więc chodźmy do biura.

– Sądziłem, że będę poruszać się pod opieką SD, a nie Organizacji Todta.

– Proszę się nie niecierpliwić, koledzy z SD przejmą pana wkrótce, ale trzeba mieć inżynierskie wyczucie, żeby do nich dojść. Podziemne drogi, do których zaraz zejdziemy, zmieniają się każdego dnia. Proszę – wskazał drzwi.

Wyszli na duży plac przed zamkiem, który kiedyś musiał być imponującym dziedzińcem z pięknym widokiem na pobliskie góry. Sterty desek, wielkie rusztowanie piętrzące się tuż przed zamkowym wejściem obdzierały to miejsce z wszelkiego uroku.

– Jeśli zastanawiał się pan kiedyś, jak wygląda piekło, to proszę się rozejrzeć – powiedział nagle Mayer.

Co miał na myśli? Jorg spojrział na niego zdziwiony, ale ten szybko zmienił temat i wskazał na rusztowanie, które tak zainteresowało Jorga.

– Gdyby pan przyjechał za parę tygodni, to mógłby pan, nie wysiadając z samochodu, zjechać na dół. To jest szyb windy dla samochodów, ale prace zostały przerwane.

Obeszli opuszczony plac budowy, zmierając wprost do zamku, gdzie tuż za wejściowymi drzwiami zameldowali się u wartownika.

– Zaczekam tutaj na pana – powiedział Mayer, zapalając cygaro. – Rozmowa w naszym oddziale SD może trochę potrwać.

Mylił się. Wiadomość, że Jorg przybywa za zgodą Goebbelsa, podziałała na miejscowych esesmanów z taką siłą, że byli nadzwyczaj uprzejmi i bardzo szybko załatwili niezbędne formalności związane z wydaniem przepustki do podziemi. Sytuacja zmieniła się o tyle, że po wyjściu z biura SD towarzyszył Jorgowi mrukliwy esesman, ograniczający rozmowę do krótkich: tam, tędy, tutaj.

Mayer, nieco zdziwiony, że Jorg tak szybko wrócił, odłożył cygaro do metalowej popielniczki zrobionej z fragmentu łuski pocisku dużego kalibru i podniósł się pospiesznie.

Po betonowych schodach, najwidoczniej zbudowanych w ostatnich miesiącach i niewykończonych, gdyż stopnie urywały się i zostały zastąpione przez drewniane szczeble, zeszli do wąskiego, ciemnego korytarza, z rzadka oświetlonego gołymi żarówkami, dołączonymi do przewodu zawieszzonego na hakach wbitych w beczkowaty strop. Usiłował zapamiętać drogę prowadzącą do podziemi, ale zrezygnował już po kilkudziesięciu krokach, gdy skręcili do węższego korytarzyka, bez światła, odnajdując drogę dzięki latarkom niesionym przez esesmana i Mayera.

Betonowe półkolisty korytarze były identyczne, a jedynie białe numery namalowane na ścianach pozwalały zorientować się, dokąd doszli. Co pewien czas dobiegały ich głuchoe wybuchy, których siłę zwielokrotniały ściany tuneli, tak że nie mógł ocenić, jak daleko następowały.

Po pewnym czasie wąski i ciemny tunel doprowadził ich do sztolni, jasno oświetlonej lampami przytwierdzonymi wysoko, obok rury, przecinanej co pewien czas metalowymi

kratkami, co wskazywało, że była częścią systemu wentylacyjnego. Jorg zorientował się, że tunel był tak wysoki i szeroki, iż bez trudu mogła nim przejechać ciężarówka. Zatrzymali się przy pancерnej bramie, równie wielkiej, gdzie wartownik sprawdził ich dokumenty i przez tubę przytwierdzoną do metalowego aparatu kazał otworzyć bramę.

Pchnięta elektrycznymi siłownikami, uchyliła się na tyle, że mogli precyzyjnie się do wnętrza.

– Ten tunel jest tak wielki, że mogłaby tutaj wjechać ciężarówka – zauważył Jorg.

– Pan się myli, panie kapitanie – Mayer przystanął, aby złapać tchu po szybkim marszu. – To nie jest tunel dla ciężarówek, ale dla wagonów kolejowych! Beton chłonie światło i zmienia proporcje, dlatego nie docenił pan rozmiarów.

– I nie zauważyłem szyn – jakby usprawiedliwiając się, powiedział Jorg.

– Zmieniliśmy plany – mruknął niechętnie Mayer.

– A gdzie robotnicy?

– Pracują, w innej części – równie niechętnie odpowiedział przewodnik i dodał: – Niech pan nie zadaje tylu pytań.

– Przepraszam, ale po raz pierwszy w życiu widzę tak wielki podziemny korytarz, i to w dodatku wykuty w skale.

Mayer przyspieszył kroku.

Po kilkunastu minutach doszli do miejsca, w którym prawa odnoga tunelu została przegrodzona ścianą z cegieł, najwyraźniej wybudowaną prowizorycznie, w której wielkie wrota, mogące pomieścić ciężarówkę, zamykała solidna krata, a napis na blaszanej tablicy, przymocowanej śrubami, zakazywał wstępu osobom nieupoważnionym.

– Jesteśmy na miejscu. Ja tam nie mogę wejść, a pan pozostanie tam parę godzin. Proszę po mnie zadzwonić, gdy pan skończy. Znają numer do mnie.

Mayer odwrócił się i ruszył w głąb tunelu, pozostawiając Jorga samego.

Esesman, wciąż nie odzywając się, nacisnął kławkę i weszli do krótkiego korytarza zakończonego drewnianymi drzwiami. Za nimi znalazł się w kolejnym tunelu, przegrodzonym co kilkadziesiąt metrów drewnianymi ekranami.

Mężczyzna o siwych włosach, gładko zaczesanych do tyłu, w szarym fartuchu, segregujący papiery na długim stole, podniósł głowę. Wziął od esesmana kartkę i poprawiając okulary, przeczytał ją dokładnie.

– Kapitan Jorg, mówiono mi o pana przyjeździe. Powiem, że pana zapotrzebowanie, to dla nas wyzwanie.

Zachowywał się, jak typowy archiwista, który w nudnej pracy nagle odnalazł sens.

– Pracuję nad dokumentami nie po to, aby je udostępnić, lecz zabezpieczyć – zerknął niespokojnie na esesmana, ale widząc, że tamtego nie interesuje rozmowa, mówił dalej. – Dokumenty są zabezpieczone w skrzyniach, a nie mając wystarczających informacji o pana zapotrzebowaniu, nie mogłem się właściwie przygotować. Wiem tylko, że chodzi o zdobyczne dokumenty NKWD z Charkowa.

– Tak, dokumenty radiowej stacji nasłuchowej o kryptonimie „Chabarowsk” – wyjaśnił Jorg.

– O! – archiwista podniósł palec do góry – to już ważne! Proszę kontynuować. Słucham uważnie.

Mówiąc to, odwrócił się i podszedł do jednego z regałów, na którym półki były zastawione teczkami.

– Po zdobyciu miasta przez nasze wojska w czterdziestym pierwszym roku dokumenty, które nie zostały zniszczone lub ewakuowane przez NKWD, powinny zostać przekazane do archiwum Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Uważam, że jest bardzo prawdopodobne, że są tutaj.

– Tutaj, nie tutaj – archiwista odłożył teczkę, którą przeglądał, i znowu zerknął na esesmana. Ten usiadł na krześle i sięgnął po czasopismo. Przeglądał je, zupełnie nie zainteresowany tym, co działo się wokół niego.

– Niech pan też usiądzie – doradził archiwista. – Poszukiwania mogą trwać bardzo długo. Może nawet cały dzień.

Z tunelu wyszedł drugi mężczyzna w szarym fartuchu ze stosem tekturowych teczek. Rozmawiali przez chwilę półgłosem i przybysz oddalił się.

Jorg wychylił się, aby dojrzeć, co dzieje się za drewnianymi ekranami. Po jednej stronie tunelu stały rzędy metalowych regałów, a po drugiej wielkie skrzynie. Wyglądały, jakby były obciążone brezentem.

– Niech pan tu podejdzie – archiwista, który odebrał kolejną stertę teczek od kolegi przynoszącego je z głębi tunelu, odsunął krzesło od stołu, robiąc miejsce dla Jorga.

– To pierwsza partia dokumentów zbiorczych z czterdziestego pierwszego roku. Nie znam rosyjskiego, więc sam pan musi je przejrzeć. Pan zna rosyjski? Bo jeżeli nie, to wezwiemy...

Esesman, który wydawał się całkowicie nie zainteresowany tym, co dzieje się wokół, podniósł głowę znad gazety.

– Znam dobrze – przerwał mu Jorg.

– Dokumenty są u nas, w sektorze dwudziestym drugim, ale sam pan musi je przejrzeć. W tych katalogach odnajdzie pan bliższe dane.

Esesman opuścił głowę i ponownie zajął się lekturą gazety.

Jorg usiadł po drugiej stronie stołu. Stamtąd mógł zajrzeć głębiej w tunel. Dostrzegł, że w prostej linii ciągnął się on kilkaset metrów i choć obserwację utrudniały ekrany, to dalej ekrany były ażurowe i można było zorientować się, co się za nimi dzieje. Dziesiątki ludzi w szarych fartuchach przenosiły dokumenty z regałów do skrzyń obciążonych brezentem i układały je starannie, odnotowując zmianę zawartości.

„To niemożliwe, aby przygotowywali je do transportu – pomyślał Jorg. – Są za duże. Same skrzynie ważą kilkadziesiąt kilogramów, a wypełnione papierami, nie dadzą się podnieść”.

Wszystko wskazywało, że ludzie w podziemnym archiwum nie czynią przygotowań

do ewakuacji, lecz mają zamiar pozostawić skrzynie, wypełnione dokumentami i dobrze zabezpieczone przed wilgocią, która powróci do tych podziemnych korytarzy, gdy przestanie działać system wentylacyjny.

– W katalogu naniesiono oryginalne nazwy dokumentów, z rzadka tłumacząc je na niemiecki. Musi pan przejrzeć wszystkie. Jeżeli ustalono kryptonim tej stacji nasłuchowej, to powinien pan szukać pod nazwą „Chabarowsk” – archiwista postawił przed Jorgiem szklankę z herbatą. – Jeśli będzie mnie pan potrzebował, proszę zawołać, będę niedaleko. Mam na imię Rudi.

Sześć godzin trwało poszukiwanie słów, które wypisał jako kluczowe, umożliwiające odnalezienie stenogramów ze stacji nasłuchowej. Przeglądał długie kolumny cyfr układających się w numery, przy których rosyjscy archiwiści dopisywali krótkie objaśnienia. Pomagał mu wieloletni trening przy analizowaniu szyfrów, takich samych tysięcy znaków. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć słowa „Chabarowsk”. Wstał z krzesła, aby rozprostować kości. Dostrzegł, że część skrzyń za ekranami została zamknięta, a brezent był naciągnięty na całość. Inni pracownicy naklejali smołowane taśmy na miejsca łączenia materiału, co zapewniało całkowitą szczelność. I wtedy zobaczył, jak jeden z pracowników pochylił się, przyłożył do boku skrzyni szablon i maczając pędzel w puszcze białej farby zaczął malować cyfry i litery. Tak zaznaczano każdą skrzynię, nadając jej numer i oznakowanie literowe.

– Rudi! – krzyknął w głąb korytarza.

Archiwista przyszedł szybko, wyraźnie zaniepokojony.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby pan coś znalazł. Udało się? Jorg pokręcił głową.

– Nic nie znalazłem. Niech mi pan powie, co oznacza symbol „RU-XKB”, który ten człowiek maluje na boku skrzyni?

– „RU” oznacza dokumenty z Rosji, których katalogi pan przeglądał, a „XKB” to litery przeniesione z teczek, zaś cyfry... Jorg już go nie słuchał.

– Jeżeli zostały przeniesione z teczek opisanych cyrylicą, to nie jest to „XKB” lecz „CHKW”, czyli Charków! Przypominam sobie analizę sowieckich dokumentów, w których widywałem taki skrót! Gdzie jest spis dokumentów z tej skrzyni?

Rudi zaczął grzebać w stertach teczek, które położył z boku stołu, i po chwili wydobył jedną z nich.

– Niech pan się nie podnieca. Skrzyń oznaczonych „XKB” lub jak pan chce „CHKW” jest sto osiemdziesiąt.

Jorg rozpiął mundur.

– Nie szkodzi, przejrzałem już trzysta katalogów, przejrzę jeszcze sto osiemdziesiąt.

Miał szczęście. Dokumenty stacji „Chabarowsk” znalazł w jedenastym katalogu. Stenogramy transmisji radiowych ze Stanów Zjednoczonych znajdowały się w teczkach tak oznaczonych, a jedna z nich nosiła numer „1934”. Nie miał wątpliwości. Były w niej szyfrogramy, których szukał.

Odchylił się na krzesło. Rudi, który ponownie wychynął z tunelu, już po jego minie

poznał, że poszukiwanie zakończyło się sukcesem.

– Wie pan, ja jestem archiwistą od trzydziestu lat – powiedział, uśmiechając się radośnie. – Nikt tak dobrze jak ja nie rozumie, jak piękne jest odnalezienie czegoś tak długo poszukiwanego. Gratuluję panu.

Jorg wstał i zapiął kurtkę. Esesman, który drzemał na krześle, oparłszy się o stół, podniósł głowę. On też wydawał się zadowolony.

– Odbijemy zawartość tej teczki. Zatrzyma się pan na noc w miejscowym hotelu?

Jorg skinął głową.

– Za godzinę będzie pan miał swoje dokumenty! Zobaczysz, jak esesman podniósł słuchawkę telefonu i dzwonił po Mayera, aby wyprowadził ich z podziemnego labiryntu.

„Co może być w szyfrogramach, których treść utajniono za pomocą gamy 11091 934?” – myślał, idąc za milczącym esesmanem do kraty, za którą oczekiwał już Mayer.

* Obecnie Kwisa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Siadaj!– Glöbcke odsunął krzesło od niewielkiego stolika ustawionego przy oknie w pokoju Natalii.

Wykonała jego polecenie niemalże mechanicznie. Przed nią stała radiostacja przygotowana do pracy.

– W jakich godzinach nadawałaś? – zapytał Glöbcke. Wiedział, że określone pory transmisji radiowych też mogą być sygnałem alarmowym dla centrali. Rzadko stosowano takie zabezpieczenia, gdyż radiotelegrafiści musieli przesyłać informacje o różnych porach, ale wolał się zabezpieczyć i na taką ewentualność.

– Nie wcześniej niż o szóstej – powiedziała cicho.

– Mów prawdę! – krzyknął.

– Nie wcześniej niż o szóstej – powtórzyła. – Jeśli musiałam nadać o wcześniejszej porze, to zamieszczałam sygnał ATV. Nigdy to się nie zdarzyło.

– Mówi prawdę – konstatawał. Przejrzał wszystkie depesze, jakie nadała. – Czyżby strach przed bólem złamał ją? Nie wierzył w to.

Glöbcke odwrócił się do esesmana stojącego przed drzwiami.

– Wyjdź!

Gdy tylko żołnierz zamknął za sobą drzwi, wyjął z kieszeni munduru kartkę i położył na stole.

– Nadasz to tuż po osiemnastej.

Podniosła kartkę tak, żeby padało na nią jak najwięcej światła z lampy wiszącej u sufitu.

„Aparat będzie ewakuowany po rozpoczęciu ofensywy na Berlin. Punkt docelowy – Kaufbeuren. Dalsze wiadomości 16.04. Nadia”.

Glöbcke obserwował ją uważnie.

– Mamy wszystkie twoje depesze – powiedział, gdy sięgnęła po książeczkę do nabożeństwa, której miała użyć do szyfrowania. – Jak tylko zaszyfrujesz tę wiadomość, przeanalizujemy ją dokładnie i, zapewniam cię, że znajdziemy każdy sygnał alarmowy. Jeżeli tak będzie, wówczas uznam, że nie mogę na ciebie liczyć. Odeślę cię do piwnicy. Nie zmuszaj mnie do tego.

Przerwał na chwilę i przeszedł kilka kroków po pokoju, jakby zastanawiając się, czy ma coś więcej powiedzieć. Po chwili ponownie stanął za jej plecami i pochylił się. Mówił szeptem, tak cicho, że ledwo rozróżniała jego słowa.

– Nie zmuszaj mnie do tego, proszę. Gwarantuję ci życie i wolność. A to, co teraz robisz, nie jest zdradą. Uwierz mi...

Odwróciła się i spojrzała na niego zaskoczona. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby starając się odgadnąć, czy mówił szczerze. Czyżby, zdając sobie sprawę, że Trzecia Rzesza runie za kilka tygodni, chciał kupić sobie bezkarność?

Glöbcke, niby niechcący, dotknął jej pleców. Musiał wiedzieć, gdzie są rany po uderzeniach gumowej rury, którą Beer bił ją, zanim założył elektrody. Wszystko powróciło do niej z niezwykłą siłą.

Ból oparzeń, jakie spowodowały elektrody, przymocowane do jej piersi i ud, nie był już tak dotkliwy, lecz pamięć o szoku, wywoływanym uderzeniami prądu, gdy każde włókno mięśni zdawało się wyrywać z ciała, paraliżowała ją. Czy mogła znaleźć w sobie tyle siły, aby wytrzymać kolejną falę porażającego bólu i strachu? Trzy lata temu, gdy zdecydowała się przyłączyć do antyhitlerowskiego spisku, liczyła się z tym, że może zostać aresztowana. Nawet brała pod uwagę, że będą chcieli wydobyć od niej tajne informacje i będzie torturowana. Trzymała dłoń nad płomieniem zapalniczki, aż czuła swąd przypalonego ciała. Wytrzymywała to i wówczas odnosiła wrażenie, że potrafi znieść każdą mękę. Teraz już wiedziała, że się myliła.

– Uwierz mi – ponownie szepnął Glöbcke.

– Dobrze – odpowiedziała równie cicho. Sięgnęła po ołówek i otworzyła książeczkę.

– Dlaczego otwierasz na tej stronie?

– Do szyfrowania muszę użyć strony o numerze mniejszym od 50 o datę, w której nadaję. Dzisiaj jest dwudziesty ósmy marca, więc 28 plus 3, czyli 31. Odjęte od 50 daje stronę numer 19.

Glöbcke zapisał to w notesie.

– Depeszę nadawaną dwudziestego dziewiątego lutego musiałabyś też szyfrować w oparciu o stronę dziewiętnastą.

– Tak – odpowiedziała bez chwili wahania – wówczas wyrwałabym ją i spaliła i dzisiaj musiałabym wykorzystać najbliższą wolną, czyli stronę dwudziestą. Oczywiście, ułatwiając odczytanie depeszy, zamieściłabym na początku znak plus.

– Logiczne – mruknął Glöbcke. – Szyfruj!

Odszedł na bok, aby nie przeszkadzać jej w trudnym zajęciu, i zapalił papierosa.

Słusznie podejrzewała, że podjął grę o własną skórę, a nie o awans, który i tak nie dotarłby z Berlina, jeżeli ktokolwiek tam jeszcze myślał o wiernych gestapowcach. Stał na rynku w Lauban, gdy Goebbels w skórzanym płaszczu, niemrawo powłócząc wielkim butem, szedł przed szeregiem wyprężonych żołnierzy i klepał ich po ramieniu lub pytał o nazwiska, tak jakby chciał je zapamiętać. Zapomniał chwilę potem. Ilu z nich jeszcze żyje? Zginęli, bo uwierzyli Goebbelsowi, że uratują niemieckie kobiety przed wschodnią dziczą.

– Gotowe – Natalia wyprostowała się i odsunęła kartkę od siebie. Podniósł ją.

– To ostatni moment, w którym możesz wycofać znak alarmowy. Wprowadziłaś go?

Zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Paul! – krzyknął w stronę drzwi. Po chwili otworzyły się i stanął w nich esesman,

który wcześniej wyszedł z pokoju.

– Zawieź to do zamku, aby porównali z dotychczasowymi depezbami i sprawdzili, czy nie ma tam sygnałów alarmowych. Niech zawiadomią mnie o każdej wątpliwości. Pospiesz się.

Esesman schował starannie kartkę do raportówki i wyszedł szybko z pokoju.

– Bardzo liczę na to, że mnie nie oszukałaś. Jeżeli nawet tak będzie, to i tak do końca nie będę ci wierzył.

Pułkownik Iwan Iwanowicz Pribrokov był postawnym mężczyzną o szerokiej chłopskiej twarzy, płowych włosach mocno przerzedzonych na czubku głowy, co maskował, zaczesując je na bok, i mocnych spracowanych rękach. Był to typ człowieka, który Zawieniagin lubił, gdyż uważał, że ludzie prości to ludzie szczerzy, niezdolni do podstępów i intryg. Umocnił się w tym przekonaniu, gdy zapoznał się z historią służby Pribrokowa, z której wynikało, że cechuje go naiwność granicząca z głupotą, która jednak nie przyniosła mu szkody, ze względu na żarliwą miłość do towarzysza Stalina, którą wyraził już w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, a więc przed przejściem władzy przez Józefa Wissarionowicza. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata i pełnił ciężką służbę w Gwardii Czerwonej, gdy na którymś z partyjnych wieców udało mu się podejść do Stalina i zadeklarować swoje bezgraniczne oddanie.

– Wezwijcie mnie, a w ogień za wami pójde i życie z radością oddam, bo wy jesteście przyszłością kraju komunistów! – wykrzyknął, zanim ochrona odciągnęła go na bezpieczną odległość, waląc kułakami po nerkach.

Nie wiadomo jak to się stało, że Stalin zapamiętał wiejskiego chłopaka i kazał Dzierżyńskiemu wziąć go do służby w Czeka. Niezachwiana wiara w Stalina ochroniła go w krwawych czasach wielkiej czystki i doprowadziła do stopnia pułkownika, a było oczywiste, że po zwycięskiej wojnie ułatwi mu sięgnięcie po generalskie pagony.

Z taką samą szczerością i oddaniem, z jakim gotów był służyć Stalinowi, powitał generała Zawieniagina w schludnej niemieckiej wiosce gdzieś pod Steinau*, która w zadziwiający sposób uniknęła zniszczenia, może dlatego, że dowództwo upatrzyło sobie to miejsce jako odpowiednie do dłuższego kwaterowania.

– Tzschocha, mówicie, towarzyszu generale... – Pribrokov podszedł do dużej mapy rozłożonej na stole pod wielkim żyrandolem.

Jego sztab zainstalował się w dużym domu, którego piętro pułkownik przeznaczył dla siebie, a w piwnicy kazał założyć tymczasowy areszt. Nieprzyzwyczajony do dużej liczby pomieszczeń albo obawiając się oskarżeń o słabość do zbytku, w salonie kazał urządzić pokój sztabowy, rozkładając mapy na stole i fortepianie. Mniejszy pokój przeznaczył na swoją prywatną kwaterę, ustawiając obok wielkiego małżeńskiego łóżka, jakie pozostało po gospodarzach, łącznie z pościelą, stół do jedzenia oraz mniejszy stolik

z miską i dzbankiem, co trudno było zrozumieć, gdyż obok znajdowała się łazienka wyłożona biało-niebieskimi kaflami. Przy każdej okazji otwierał podwójne drzwi do swojej kwatery, aby zademonstrować gościom niechęć do luksusu i przywiązanie do robotniczo chłopskich ideałów.

– Daleko od naszych linii – wskazał palcem punkt na mapie po długim poszukiwaniu.
– Niemiaszki bronią się twardo i nie sądzę, żeby dowództwo chciało tracić siły na szturmowanie tego kierunku.

Wrócił do mniejszego stołu, wokół którego na fotelach zasiedli Zawieniagin i Cziżykow.

– Ofensywa na Lauban spełniła swoje zadanie – Pribrokov rozsiadł się wygodnie. Jego chłopska twarz była czerwona po sutej kolacji, jaką wydał na cześć generała, choć starannie unikał picia wódki, co rodziło podejrzenie, że był alkoholikiem i obawiał się zdradzić tę przypadłość przed Zawieniaginem.

– Niemcy odnieśli lokalny sukces pod Lauban, kontratakując, ale nie o to chodzi. Zabezpieczyliśmy nasze lewe skrzydło. Dlatego nasza gwardyjska armia nie będzie uderzać w tym kierunku, lecz pójdziemy dalej, na Berlin.

– Dobrze, towarzyszu Pribrokov, ale musimy dotrzeć do zamku Tzschocha, zanim Niemcy wywozą stamtąd wszystko, na czym nam zależy.

– Chcecie utworzyć oddział uderzeniowy – Pribrokov wydawał się szczerze zdziwiony – który tam by się przedarł? Zawieniagin skinął głową.

– Czy to możliwe? – Pribrokov aż wstał z fotela. – Armia pancerna nie może się przebić, a wy chcecie posłać niewielki oddział. Zmiotą go, zanim zdoła cokolwiek osiągnąć!

– Czasami łatwiej zmieść armię pancerną niż grupę zuchwalców. Wybierzcie mi sześciu albo siedmiu zabijaków, którzy będą gotowi do zrzucenia ze spadochronami w rejonie zamku Tzschocha – Zawieniagin przeciął dyskusję.

– Tak jest – Pribrokov uznał, że nie powinien dłużej podawać w wątpliwość zdania starszego stopniem. – A kiedy mają być gotowi?

– Spodziewam się sygnału z tego rejonu – Zawieniagin nie chciał ujawnić, że z samego zamku – za dwa, trzy tygodnie. Najpewniej, jak ruszy nasza ofensywa na Berlin. Niemcy wtedy zrozumieją, że Dolny Śląsk został odizolowany i zaczną wykonywać nerwowe ruchy, czyli ratować, co się da. Uważam, że będą chcieli ewakuować wszystko do Amerykanów.

Pribrokov podniósł się z miękkiego fotela i ponownie podszedł do mapy rozłożonej na dużym stole. Przypatrywał się przez chwilę różnokolorowym kreskom rysowanym przez oficerów jego sztabu w miarę zmian frontowej sytuacji w Niemczech.

– Amerykanie nie wejdą do rejonu, który was interesuje – skonstatował wreszcie. – Gorzej, że wygląda na to, iż ich trzecia armia lada dzień wejdzie do Gór Harzu, a nasze źródła wywiadowcze mówią, że Niemcy ukryli tam pokaźne archiwa, i do Nordhausen, gdzie produkują rakiety.

– Martwmy się o ten rejon – mruknął Zawieniagin. – Jutro chciałbym widzieć chłopaków, których przeznaczycie do skoku w rejonie Tzschochy.

– Wejść – Glöbcke, słysząc pukanie, podniósł się z łóżka, na którym rozłożył się, czekając na powrót łącznika z zamku, którego wysłał z depeszą zaszyfrowaną przez Natalię. Dziewczyna wciąż siedziała wyprostowana na krześle przed radiostacją. Czyżby niepokoił ją wynik sprawdzenia jej szyfrogramu? Szybko uznał, że jej zachowanie jest całkowicie naturalne w sytuacji, w jakiej się znalazła. Zdawała się potwierdzać jego oczekiwania.

– Meldunek z zamku – podoficer SS podał mu zalakowaną kopertę.

Glöbcke skinął głową, odprawiając go, i rozerwał kopertę. Szybko przebiegł wzrokiem treść raportu. Widać było, jak ogarnia go wściekłość.

– Ostrzegalem cię – powiedział przez zęby. – Dlaczego nie uwierzyłaś?!

Podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

– Beer! – krzyknął. – Beer!

– Pan Untersturmführer wyjechał coś zjeść. Zaraz wróci! – z dołu dobiegł go głos żołnierza.

– Odnaleźć go! Natychmiast ma tu przyjść! Natychmiast! – trzasnęła drzwiami z wściekłością.

Podszedł do Natalii, która zsunęła się na brzeg krzesła, jakby gotowa poderwać się na równe nogi. Patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, w którym wyczuwał błaganie.

– Myślałaś, że jesteś tak sprytna i uda ci się nas oszukać?! – rękawiczkami, które trzymał zwinięte w dłoni, z całą siłą uderzył ją w twarz. Zasłoniła się rękami, bojąc się kolejnych razów.

– Przysięgam, oni się mylą! Niech pan mnie nie bije! Na schodach rozległy się kroki i w drzwiach stanął Beer. Nie mając chusteczki, dłonią rozcierał tłuszcz na brodzie. Natychmiast zorientował się, co się stało, i uśmiechnął się triumfalnie. Podszedł do Natalii i schwycił ją z tyłu za włosy.

– Jest twoja. Chciała nas oszukać i myślała, że nie wykryjemy podstępów. Tak naiwnego, że śmiać mi się chce. Zabierz ją stąd!

– Wracamy do piwnicy, panienko! – Beer szarpnął ją za włosy, zmuszając do wstania, i pchnął na drzwi. Przycisnął kolanem i wykręcił ręce do tyłu, aby zakuć je w kajdanki.

Glöbcke stanął obok.

– Chciałem cię uratować, a ty mnie oszukałaś. Myślałaś, że jesteś taka sprytna, że nie odnajdziemy ostrzeżenia bez sygnału alarmowego?

– Błagam pana, ja nic złego nie zrobiłam. Nie wprowadziłam żadnego ostrzeżenia. Żadnego! Wykonałam to, czego ode mnie żądaliście. Nie chcę tam wracać. Proszę!

– W dalszym ciągu łiesz. Zabierz ją! – Glöbcke odwrócił się. Beer otworzył drzwi, aby wywlec Natalię.

– Dość! – krzyknął nagle Glöbcke. – Rozkuj ją!

Beer patrzył na niego zdziwiony, nie wykonując polecenia.

– Rozkuj, powiedziałem! – Glöbcke usiadł na krześle przy radiostacji i położył przed sobą dokument, który wyjął z koperty.

– Nie ma żadnych podstaw, aby uznać, że w szyfrogramie został wprowadzony sygnał ostrzegawczy dla odbiorcy – przeczytał na głos. Był wyraźnie zadowolony.

– To był dodatkowy sprawdzian – wstał z krzesła i podszedł do Natalii. Wyjął z kieszeni chusteczkę, aby otrzeć jej łzy.

– Na razie nie jesteś potrzebny – odesłał Beera, który niezadowolony zdjął Natalii kajdanki, zasalutował i wyszedł z pokoju.

Glöbcke odsunął krzesło od stolika, zapraszając gestem, aby usiadła. Nagle stał się uprzejmy i miły.

– Przystępujesz do gry, w której muszę mieć do ciebie zaufanie. Niestety, środki sprawdzenia mogą być nieprzyjemne, ale są one konieczne. Teraz włącz radiostację i nadaj depezę.

Joanna zapaliła niewielką lampkę z różowym abażurem, rzucającym ciepłe światło na kartki leżące na nocnym stoliku. Podniosła się i oparła na łokciu. Srebrny budzik z dwoma wielkimi dzwonkami wskazywał, że minęła godzina piąta. Sięgnęła po szklanę, w której zawsze stała zimna herbata, i zwilżyła usta. Nie była to pierwsza noc, gdy budziła się na długo przed świtem z uczuciem lęku, którego nie umiała sobie uświadomić. Często nasłuchiwała kroków w korytarzu, jakby bojąc się, że za chwilę drzwi się otworzą i stanie w nich esesman. Zdarzało się, że budziła się z krzykiem, widząc w sennym koszmarze opuszczającą się kłamkę. Dlatego nigdy nie gasiła lampki, chciała móc natychmiast po otwarciu oczu uzmysłować sobie, że rzeczywistość była inna, dlatego też pozostawiała włączone radio – cicha muzyka, głównie amerykańska, płynąca z głośnika uspokajała ją i dawała złudzenie, że w pokoju jest ktoś, kto się nią opiekuje.

Tej nocy inne uczucie nie dawało jej spać. Wieczorem otrzymała meldunek radiowy, z którego wynikało, że Niemcy przygotowują ewakuację tajnych urzędzeń z Tzschochy. Spodziewała się tego i zrazu była zadowolona, że „Nadia” potwierdziła jej przypuszczenie, a w dodatku podała, że nastąpi to tuż po rozpoczęciu przez wojska radzieckie ofensywy na Berlin. A jednak ta informacja w niezrozumiały sposób zaniepokoiła ją. Czyżby chodziło o zbliżające się rozstrzygnięcie? A może niepokoiła ją świadomość nieuchronnej walki z Rosjanami? Musiała zakładać, że oni też wiedzą o „Aparacie” działającym w Tzschosze i będą chcieli go przechwycić.

Narzuciła szlafrok i podeszła do okna, które wciąż zasłaniała, choć zaciemnienie już

nie obowiązywało. Podniosła roletę i wyjrzała na ulicę. Było pusto, jedynie patrol amerykańskiej Military Police przejechał szybko w zabłoconym jeepie z białymi gwiazdami.

Podeszła do łóżka i sięgnęła po kartkę z meldunkiem „Nadii”.

„Aparat będzie ewakuowany wkrótce po rozpoczęciu ofensywy na Berlin. Punkt docelowy – Kaufbeuren. Dalsze wiadomości 16.04.” – przeczytała. Przeniosła wzrok na ścianę, gdzie nad stołem wisiał kalendarz z wielką cyfrą „15”.

– Piętnasty kwietnia był wczoraj – pomyślała. – Dzisiaj „Nadia” powinna przysłać kolejny meldunek.

Dźwięki Księżycowej Serenady Glenna Millera nagle zamilkły. Zrazu myślała, że amerykańska radiostacja popsuła się lub ucichła na chwilę z braku prądu, jak to się zdarzało, i będzie musiała poszukać innej stacji nadającej relaksową muzykę, gdy wśród trzasków usłyszała głos spikera.

– Przerywamy nasz program, aby jako pierwsi nadać dla naszych słuchaczy informację o szybko zbliżającym się końcu tej wojny. Na wschodzie radzieckie formacje rozpoczęły zmasowany atak na Berlin. Jak się dowiadujemy, siła sojuszniczego uderzenia jest tak wielka, że faszystowskim tyranom pozostały już tylko ostatnie tygodnie życia. Jednocześnie nasze oddziały pierwszej armii umocniły się w zdobytym Halle i Lipsku, zaś trzecia armia ostatecznie złamała opór wroga w Turynii.

Nie słuchała dalszych słów o sytuacji na froncie, pamiętając pierwsze słowa komunikatu, że na wschodzie Rosjanie przeszli do ofensywy. Podniosła kartkę z meldunkiem „Nadii”. Jej uwagę przyciągały sformułowania: „...wkrótce po rozpoczęciu ofensywy na Berlin. ...Dalsze wiadomości 16.04”.

Skąd wiedziała, że ofensywę na Berlin rozpoczną Rosjanie, a nie Amerykanie, i że stanie się to szesnastego kwietnia? Musiałaby mieć wgląd w najbardziej tajne plany radzieckiego dowództwa, a to było niemożliwe. Była tylko radiotelegrafistką, nadawała depesze przekazywane jej przez Joachima. On też nie mógł znać terminu radzieckiego uderzenia! „Nadia” zdradziła! To znaczy, że została zdekonspirowana i zmuszona do współpracy z hitlerowskim kontrwywiadem! Ogarnął ją niepokój tak wielki, że przez kilka minut krążyła po pokoju, nie mogąc zebrać myśli i poddać wszystko spokojnej analizie.

Spokój powrócił, gdy uświadomiła sobie, że ulega nadmiernej podejrzliwości, z jaką od chwili wyjścia z więzienia odnosiła się do wszystkich ludzi ze swojego otoczenia. Wskazanie daty szesnastego kwietnia mogło być czystym przypadkiem, a treść depeszy nie dawała podstaw do jednoznacznego stwierdzenia, że „Nadia” poznała termin rozpoczęcia berlińskiej ofensywy.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i niecierpliwie czekała na połączenie. Zaspany głos Piotra dał jej chwilę uspokojenia. On odbierał i odszyfrowywał depeszę od „Nadii”. Nie zauważył tam niczego niepokojącego.

– Piotr, czy wczorajsza depesza została nadana przez „Nadię”? – zapytała nerwowo.

Znał charakterystyczne brzmienie jej głosu w chwilach szczególnego podenerwowania i nie odważył się protestować, że budzi go o świcie, gdy położył się spać godzinę wcześniej.

– Z całą pewnością depesza wyszła spod jej ręki. Znam na tyle jej styl nadawania, że rękę za autentyczność – odpowiedział spokojnie, najwyraźniej starając się ukryć ślady zaspania.

– Żadnego sygnału alarmowego? – dopytywała się.

– Żadnego, wszystkie systemy zabezpieczeń w idealnym porządku – potwierdził.

– Dziękuję – odłożyła słuchawkę.

Czy to możliwe, żeby „Nadia” zdradziła? Znała tę drobną, ładną dziewczynę jak nikt inny i nigdy nie uwierzyłaby, iż mogła wydać przyjaciół, zdradzić ideały, za które zdecydowała się walczyć.

Dzwonek telefonu, ostry, przenikliwy przerwał jej myśli. Sięgnęła po słuchawkę, wiedząc już, że za moment odbierze najgorszą wiadomość w jej życiu. Przeczucie nie myliło jej.

– Joanno – głos Piotra był spokojny i rzeczowy, jakby szykował się do trudnych wyjaśnień. – Po twoim telefonie sięgnąłem ponownie po depeszę „Nadii”...

– Tak, tak... – przerwała mu, mając jeszcze nadzieję, że jej nadzwyczaj skrupulatny współpracownik dzwoni, aby poinformować, że nie znalazł żadnych powodów do niepokoju. Chyba jednak chciała odwlec moment, w którym padną słowa, jakich się obawiała.

– Jak wiesz, zawsze pozostawiam oryginalne depesze na kilka godzin, zanim je zniszczę, gdyż doświadczenie uczy...

– Tak, wiem – znowu przerwała mu zniecierpliwiona przedłużającymi się wyjaśnieniami.

– Odnoszę wrażenie, że jednak jest sygnał alarmowy – powiedział wreszcie. Poczowała gwałtowną falę zimna otaczającą jej serce.

– „Nadia” nigdy nie sięgała do dolnej części strony książki szyfrów. Nawet odnosiłem wrażenie, że trzy ostatnie linijki traktowała jako alarmowe. Oczywiście, nie było to ustalone i mogę się mylić.

– Nie mylisz się – potwierdzenie jej najgorszych obaw podziało mobilizująco, jakby najgorszy był stan niepewności i oczekiwania. Już wiedziała, że została zdekonspirowana i oszukała swoich prześladowców, aby przesłać sygnał zagrożenia.

Myśli stawały się jasne i budziła się nadzieja, że skoro Natalia żyje, to można ją uratować.

– Przyjedź do mnie natychmiast. Musimy jak najszybciej skontaktować się z generałem Strongiem – mówiła o generale Kenneth’cie Strongu, szefie wywiadu kwatery głównej wojsk sprzymierzonych. – Weź meldunki Joachima o tajnym wejściu do zamku. Polak i Amerykanin muszą zacząć działać!

Compaigne rozłożył papiery na ławce, którą ustawił pod plandeką wielkiego studebakera i siedział tak pochylony, przyświecając sobie lampą naftową, kierowca nie chciał bowiem uruchomić agregatu, gdyż zapas benzyny zmniejszył się niebezpiecznie, a dostawy nie nadjeżdżały.

– Posłuchaj – wyprostował się na widok Czernego, który wspiał się do ciężarówki i usiadł obok.

– „*Tutaj, w miejscu bronionym przez naturę i najbardziej nowoczesną broń, jaką dotąd wynaleziono, siły, które kierowały Niemcami, przetrwają, aby przygotować swoje odrodzenie...*”.

– Wiersze piszesz? Pochwalam, ale dlaczego musisz je odczytywać mnie? – Czerny podsunął paczkę papierosów Compaigne’owi, ale ten, nie dostrzegając jego gestu, czytał dalej, więc major zapalił sam.

– „*Tutaj broń będzie produkowana w fabrykach zabezpieczonych przed bombardowaniami, żywność i wyposażenie zostały złożone w wielkich podziemnych grotach, a specjalnie wyselekcjonowany korpus młodych mężczyzn będzie trenowany do walki partyzanckiej, tak aby cała podziemna armia była gotowa wyzwolić Niemcy spod okupacji*” – Compaigne złożył kartkę.

– Rymy wprawdzie nie najlepsze, ale poezja palce lizać – mruknął Czerny.

– Nie kpij, żołnierzu! – Compaigne wyprostował się, kładąc rękę na obolałym kręgosłupie. – To raport generała Stronga, szefa wywiadu SHAEF z jedenastego marca tego roku.

– Już wiem, co generał będzie robił po wojnie. Ale poważnie, o czym tak bardzo bredził?

– O Alpach, rejonie Berchtesgaden, gdzie Hitler ma swoją rezydencję, a nasz dzielny generał, co nie wykrył przygotowań do ofensywy w Ardenach, wykrył górską twierdzę. Najgorsze, że Eisenhower mu uwierzył, lub udawał, że uwierzył, i zamiast na Berlin, tam posłał wojska, aby zdobywały alpejską twierdzę – Compaigne zdmuchnął lampę, gdyż migoczący płomień męczył jego wzrok. W samochodzie zapanowała całkowita ciemność.

– Coraz bardziej jestem przekonany, że pan generał ma rację, że Niemcy twierdzę szykują, ale nie w Alpach, lecz na Dolnym Śląsku. Compaigne rozsiadł się wygodnie.

– Powiem ci, co wyczytałem, korzystając ze spokoju, jaki dawała mi twoja nieobecność, przyjacielu.

Czerny spojrzał na niego zdziwiony. Po raz pierwszy Amerykanin nazwał go przyjacielem. W ciemnościach Compaigne nie widział wyrazu twarzy Czernego i mówił dalej.

– Dwudziestego pierwszego kwietnia dwudziesty korpus doszedł do Saksonii w rejonie Chemnitz, ósmy korpus dotarł do Plauen, zaś dwunasty korpus zboczył na

południowy wschód i jest daleko za Bayreuth. Mówię oczywiście o oddziałach generała Pattona.

– Nie podejrzewam amerykańskiego oficera, że mówiłby z takim uwielbieniem o brytyjskich związkach, zwłaszcza tego bufona Montgomery’ego.

– Rozumiem niechęć Polaków do tego, jak go nazwałeś, bufona, zwłaszcza po Arnhem, aleja idę za Pattonem. On nie zatrzyma się na linii, którą wyznaczili Stalin i Churchill.

– I świętej pamięci prezydent Roosevelt – uzupełnił Czerny.

– W tym wypadku przyznaję ci rację – niespodziewanie łatwo zgodził się Compaigne. – Patton naprawi jego błędy i pójdzie dalej. A my za nim!

Plandeka zakrywająca tył skrzyni ciężarówki podniosła się i jakiś żołnierz wsunął głowę do środka.

– Czy jest tu pan komandor Compaigne? – zapytał, usiłując bezskutecznie dojrzeć cokolwiek w ciemnościach.

– Jestem – Compaigne zapalił niewielką lampkę.

– Ważna wiadomość dla pana komandora w samochodzie łączności. To obok sztabowego.

– Dziękuję, idę – Compaigne podniósł się z miejsca i obciągnął kurtkę. – Musi być coś naprawdę ważnego, skoro wzywają.

Zeskoczył ze skrzyni, a Czerny wyciągnął się na ławce, wiedząc, że Compaigne za chwilę wróci, aby podzielić się wiadomością. W istocie po kilku minutach usłyszał jego kroki na kamieniach. Compaigne biegł, więc Czerny poderwał się z ławki, uznając, że wiadomość musiała być szczególnie ważna, skoro komandor tak się spieszył. Podniósł klosz i zapalił knot. Żółte światło naftowej lampy nadało wnętrzu niesamowity nastrój.

Compaigne odsłonił plandekę i szybko wskoczył do wnętrza.

– Wiadomość od Joanny – powiedział zdyszany, trzymając w dłoni kilka kartek. – Niedobra wiadomość!

Sięgnął po kubek z kawą, który wcześniej odstawił na ławkę. Wypił szybko kilka łyków.

– Straciła łączniczkę, która prawdopodobnie została zdekonspirowana przez Gestapo, podjęła z nimi współpracę, aby nadać sygnał alarmowy. Zastanawiająca jest ostatnia wiadomość od niej, wysłana pod przymusem, a więc podyktowana przez Gestapo... – znowu sięgnął po kubek i wypił kilka łyków.

– Poinformowała, że urządzenie z zamku Tzschocha będzie ewakuowane po rozpoczęciu ofensywy na Berlin, co się już stało! Co więcej, ma zostać przewiezione do Kaufbeuren.

– To się zgadza. Niemcy mieli tam ośrodek kryptologiczny – potwierdził Czerny.

– Pięknie, tyle, że od tej chwili wszystko, co będziemy wiedzieli o „rybie-mieczu”, będzie podsuwane przez Niemców – Compaigne znowu napił się kawy. Czerny dopiero w tej chwili zrozumiał, że w ten sposób maskował nadzwyczajny stan podniecenia.

– Wiesz, co jest w tym niezwykłego? – Czerny podniósł się i stanął nad Campaignem, chwytając się rękami metalowych prętów szkieletu podtrzymującego brezent. – Koło, w którym znalazłem się niespodziewanie na początku wojny, zamyka się pod jej koniec!

– Możesz mówić jaśniej? – Campaign spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Na początku wojny Joachim wysłał mnie do Joanny. Teraz Joanna wysłała mnie do Joachima!

– Dlaczego tak uważasz?

– Po prostu logiczne rozumowanie. On musi być jej agentem w tym niemieckim zamku. Kontaktował się z nią za pośrednictwem radiotelegrafistki, która została zdekonspirowana. Łączność z Joachimem przerwała się. Naszą jedyną szansą jest dotarcie do Joachima. Nie wiem tylko, kim jest Joanna, która coraz bardziej mnie zadziwia.

– Przekazała opis sekretnego wejścia do zamku.

– Tyle, że jest on kilkaset kilometrów za linią frontu. I zanim tam się przedrzemy, Niemcy wywiozą twój ukochany aparat.

– Zostaw to mnie – Campaign zdawał się nie dostrzegać, jak trudne zadanie ich czeka. – O świcie wyruszamy do generała Clarence’a Huebnera!

– Kto to?

– Nieprzyjemny facet, ale ma jedną zaletę. Jego piąty korpus jest najbliżej Tzschochy!

– To już lepiej – Czerny zerknął na zegarek. – Zostały nam trzy godziny snu. Nie wiem jak ty, ale ja mam zamiar je wykorzystać.

Odrzucił plandekę i zeskoczył na kamienie.

– Andrzej! – zawołał Campaign, co w jego ustach brzmiało jak „endzey”.

– O! Już niedługo powiesz stół z powyłamywanymi nogami! Próbuj!

– Andrzej – powtórzył Campaign, najwyraźniej nie mając ochoty podjąć żartobliwego tonu – czy wiesz, kim jest radiotelegrafistka schwytana przez Niemców?

– Skąd mam wiedzieć?

– To córka Joanny!

* Obecnie Ścinawa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wiadomość o rozpoczęciu przez Rosjan ofensywy na Berlin została przyjęta w zamku z przygnębieniem. Co prawda oznaczała, że w najbliższych tygodniach Armia Czerwona toczyć będzie zacięte walki w rejonie stolicy Rzeszy i nie zaatakuje Tzschochy, ale każdy z kryptologów pozostawił tam rodzinę. Troska o los ludzi w oblężonym mieście widoczna była w każdej rozmowie, tym bardziej że nikt już nie wierzył w niemieckie zwycięstwo albo choćby zatrzymanie Rosjan, którzy szybko podeszli do głównej linii obrony u podnóża Wzgórz Seelowskich. Atmosferę pogarszały kroniki, jakie od czasu do czasu przywożono do zamku; pokazywały one okrucieństwo wojsk radzieckich, krwawo rozprawiających się z cywilami.

Jorg, który natychmiast po powrocie z Furstenstein zabrał się do analizowania przywiezionych stamtąd kopii szyfrogramów, sam nie mógł sobie poradzić z bardzo skomplikowanym zadaniem, a zespół, w którym miał pracować, nie wykazywał zbyt dużej ochoty do walki z rosyjskimi szyframi. Sytuacja stała się jeszcze gorsza, gdy tuż po rozpoczęciu radzieckiej ofensywy rozeszły się słuchy o rychłej ewakuacji.

Kunze, którego spotkał na korytarzu, popatrzył na rulony wykresów, jakie niósł pod pachą, i powiedział:

– Nie sądzę, abyśmy podczas tej wojny rozwiązali do końca sprawę szyfrów jednorazowych. Niech pan nie przerywa pracy – dodał raźniej. – Odczytanie rosyjskich szyfrogramów składanych w archiwach takich jak Furstenstein może być przełomem!

– Panie profesorze, mówi się o ewakuacji naszej placówki... – Jorg liczył, że uda mu się wyjaśnić sprawę ważną dla niego, choć przez ostatnie dni coraz dotkliwiej odczuwał brak łącznika, przez którego mógłby przekazywać najważniejsze informacje.

– Tak – Kunze skinął głową. – W ciągu kilku dni. Pan będzie odpowiedzialny za rozmontowanie i bezpieczeństwo „cylindra”.

Ta nazwa była określeniem serca maszyny, a oddanie tego urządzenia pod opiekę Jorga było wyrazem szczególnego zaufania ze strony Kunzego.

– Czy Glöbcke o tym wie? – zapytał wprost. Profesor pokręcił głową.

– On nie wie, co to jest „cylinder”, a ja nie mam zamiaru tłumaczyć esesmanom, jak skonstruowany jest „Aparat”, gdyż oni najchętniej stosują „taktykę spalonej ziemi” i zniszczyliby go przy lada okazji. Niech pan wraca do pracy.

Kunze odwrócił się i odszedł w głąb korytarza. Jorg patrzył przez chwilę. Od dawna zadawał sobie pytanie, dlaczego profesor obdarzył go zaufaniem, a nawet sympatią, a więc uczuciami, które powinny być całkowicie obce szefowi najtajniejszego zespołu kryptologicznego w Trzeciej Rzeszy. „Może zaufanie do innego człowieka jemu jest

potrzebne” – pomyślał, poprawiając rulony.

I wtedy przez otwarte drzwi na dziedziniec dostrzegł, jak podjeżdżają dwa samochody. Z pierwszego wysiedli esesmani.

– Ich nie denerwuje perspektywa szybkiej ewakuacji – pomyślał Jorg i zamierzał odwrócić się, aby pójść do strefy „X”, gdy kątem oka dostrzegł, że z drugiego samochodu wysiada Glöbcke. Nie widział go od wielu dni, więc zatrzymał się, licząc, że dojdzie do spotkania i będzie mógł dowiedzieć się czegoś o losie Natalii. I wtedy zobaczył ją. Wsiadła, tuż za Glöbckem, prowadzona pod rękę przez Beera.

Przyjrzał jej się uważnie. Chustka zsunęła się jej z głowy na ramiona i zanim Beer zdążył poprawić ją tak, aby osłaniała twarz, dostrzegł krwawą pręgę biegnącą od karku i kończącą się tuż pod podbródkiem, sińce pod oczami i strupy dookoła powiek. W tym momencie Glöbcke zauważył go. Powiedział coś do Beera i ruszył szybkim krokiem w stronę Jorga. Ten odwrócił się, usiłując uniknąć spotkania z esesmanem. Nie wiedział, czy zdoła pohamować się, gdy Glöbcke do niego podejdzie. Musiało to być widoczne na twarzy Jorga, gdyż Glöbcke z daleka powiedział:

– Niech pan trzyma na wodzy swoje nerwy, bo nie ma powodu, aby rzucił się pan na mnie. Stał przed Jorgiem.

– Tak, była torturowana. Nie przeze mnie. Nie pozwoliłem, żeby zrobili jej krzywdę. To jest... – poprawił się – trwałą krzywdę. Za kilka tygodni te drobne skaleczenia zagoją się, nie pozostawiając śladu.

Podszedł bliżej do Jorga i wziął go pod rękę.

– Nie stójmy tutaj, gdyż zaczynamy wzbudzać zainteresowanie – lekko popchnął Jorga w stronę wyjścia. Przeszli kilka kroków jak ludzie pogrążeni w przyjacielskiej pogawędce, aż stanęli na zewnątrz, w miejscu, w którym kamienny pomost prowadzący do zamku rozszerzał się.

– Niech pan nie obawia się o jej życie – mówił Glöbcke. – Przynajmniej do czasu. Ona jest moim zakładnikiem. Przyjmuję, że pan będzie chciał ją ocalić i odda mi drobną przysługę, gdy pana o to poproszę.

Z daleka dobiegł ich warkot samolotu. Glöbcke puścił ramię Jorga i odszedł kilka kroków. Przyglądał się uważnie czystemu niebu, usiłując dostrzec lecący samolot. Gdzieś z boku rozległa się syrena.

Glöbcke odwrócił się, jakby o czymś sobie przypomniawszy.

– Niech pan śpi spokojnie – dodał z uśmiechem – nie obawiając się, że jej dzieje się krzywda. Będzie cierpiała pewne niewygody, wynikające ze stanu pozbawienia wolności. I to wszystko.

Żołnierze z oddziału obrony przeciwlotniczej zamku biegli do czterolufowych działek rozstawionych na krańcach dziedzińca. Obracały się na zachód, skąd nadlatywał samolot. Jorg też przysłonił oczy dłonią, aby go wypatrzeć. Odgłos silnika wskazywał, że leci jeden i nie należało się spodziewać ataku, lecz nie można było wykluczyć, że następne zjawią się wkrótce.

– Szczerość za szczerość, panie Obersturmbannführer – powiedział nagle Jorg. – Zastanawiam się, czy ta dziewczyna nie należy do pewnej szczególnej struktury. Nie jest to organizacja rządowa, więc nie kieruje się prawem. Wymierza sprawiedliwość według swoich reguł, nie czekając na sąd. Obawiam się, że jeżeli tak jest, to pan został skazany...

– To brzmi jak groźba! – Glöbcke podszedł bliżej i patrzył Jorgowi prosto w oczy.

Z oddali rozległy się głuchoe odgłosy strzałów artylerii przeciwlotniczej dużego kalibru, a po chwili na niebie pojawiły się ciemne chmurki wybuchających pocisków. One wskazywały rejon, w którym pojawił się dwusilnikowy samolot. Leciał wysoko, kierując się z zachodu na wschód.

Wkrótce armaty dużego kalibru umilkły, gdyż samolot znalazł się poza ich zasięgiem, zaś działka z zamku nie otwierały ognia, choć wyraźnie obniżył lot. Nic nie wskazywało, że szykował się do zaatakowania zamku.

– Jeżeli myśli pan, że po tym, co powiedziałem, może mnie pan aresztować, to pan się myli – Jorg uśmiechał się, – Oznaczałoby to bowiem, że nie czyta pan biuletynów, przeznaczonych dla kadry dowódczej SS, które my, kryptolodzy, musimy znać. W numerze czternastym znajdzie pan informację wywiadu SD o tej organizacji, a to, co powiedziałem, jest jedynie częścią miłych rozmów, jakie prowadzimy od pewnego czasu...

– To mosquito – odezwał się żołnierz, który stanął obok Jorga i podobnie jak on śledził samolot. – Dużo widziałem ich we Francji, bardzo niebezpieczne – dodał, jakby z dumą podkreślając swoje obycie.

– Bardzo szybki bombowiec angielski, o dużym zasięgu – mówił dalej. – Używają ich też jako rozpoznawczych.

Działka przeciwlotnicze zaczęły strzelać, zasnuwając dziedziniec kurzem, jaki wzniewał podmuch, i prochowym dymem. Huk, zwielokrotniony odbiciem w kamiennych murach był tak przeraźliwy, że Jorg zasalutował i odszedł, uznając, iż w tych warunkach dalsza rozmowa jest niemożliwa. Poza tym powiedział wszystko, co chciał powiedzieć esesmanowi.

Samolot, którego załoga najwyraźniej lekceważyła ogień przeciwlotniczy, kilkakrotnie przeleciał nad zamkiem i znikł w chmurach piętrzących się na wschodzie nad górami. Wkrótce niknący w oddali odgłos silnika obwieścił, że spełnił swoją misję. Syreny ponownie zawyły, odwołując pogotowie przeciwlotnicze.

Czyżby pojawienie się angielskiego bombowca nad zamkiem było przypadkowe? Jorg czasami widział w okolicach rosyjskie samoloty, ale angielskie lub amerykańskie nigdy nie zapuszczały się w te rejony. Skąd więc nagle pojawił się ten mosquito? Nie znalazł się przypadkowo nad zamkiem, gdyż najwyraźniej krążył, jakby fotografował okolicę.

– To był rozpoznawczy, a pan myślał, że zrzucą skoczków? – usłyszał za sobą głos Glöbckego, który najwyraźniej nie chciał zakończyć rozmowy. – Nie zrobiliby tego w

dzień, a w nocy też nie mają szans, paskudny teren dla skoczków. Może zaniepokoił się, że dziewczyna nie nadaje depeesz?

Kłamał, gdyż w swojej szczerości, z jaką postanowił prowadzić grę z Jorgiem, nie mógł ujawnić, że złamał ją i zmusił do współpracy. Wciąż nie był do końca pewien, czy Jorgowi nie udało się odtworzyć łączności z pomocą innego radiotelegrafisty.

– A może pilnują, czy nie wywozimy „Aparatu”? – zaśmiał się i składając ręce za plecami, odszedł, wyraźnie zadowolony z przebiegu rozmowy.

„Jaką grę prowadzi ten drań?” – pomyślał Jorg. Spodziewał się, że Glöbcke podszedł ponownie, aby kontynuować rozmowę o tajemniczej organizacji, co mogło mieć znaczenie dla jego planów. On jednak nie zrobił tego, choć informacja, jaką przekazał mu Jorg, bez wątpienia go zaskoczyła.

Warkot samochodów przerwał jego rozmyślenia. Spojrzał w stronę, z której nadjeżdżało sześć ciężarówek, szczelnie zakrytych plandekami. Zatrzymały się na placu przed zamkiem i jedna, jadąc powoli tyłem po wąskim kamiennym moście, minęła bramę i wjechała na dolny dziedziniec. „Zaczyna się ewakuacja” – pomyślał Jorg.

Widok samochodów zastanowił go. Wszystkie miały na maskach rozciągnięte flagi ze swastykami, czego nie widział nigdy dotąd. Nigdy też nie widział takich ciężarówek w armii niemieckiej. Można się było w nich doszukiwać podobieństwa do ciężarowych pojazdów firmy Man, ale te przed zamkiem były bardziej zwarte, miały wyżej umieszczone skrzynie ładunkowe, dłuższe maski, mocno opadające ku przodowi, i potężne zderzaki z wyciągarkami.

Jorg odwrócił się, nie zamierzając dłużej roztrząsać szczegółów wyglądu nowych samochodów ciężarowych Wehrmachtu, gdy jego wzrok padł na zderzak jednej z nich. Obok białego napisu „TMP 3233” dostrzegł wymalowaną białą gwiazdę. Nie miał już wątpliwości: do zamku skierowano zdobyczne amerykańskie ciężarówki, aby zabrały rozmontowany „Aparat”! Było to sprytne posunięcie, gdyż amerykańskie samoloty panujące już w powietrzu nad Niemcami nie atakowałyby konwoju własnych samochodów. Należało zakładać, że radzieccy lotnicy też daliby się zwieść widokiem takiego konwoju, gdyż w ich oddziałach jeździło dużo amerykańskich pojazdów. A może ta mistyfikacja miała inny cel? Uważał, że wcześniej czy później pozna go, skoro Kunze włączył go do zespołu, który miał zająć się ewakuacją najważniejszych urzędów.

Brak łączności dokuczał mu coraz bardziej. Zdawał sobie sprawę, że w najbliższych dniach nastąpią wydarzenia, które przesądzą o wszystkim. Coraz bardziej realne stawało się niebezpieczeństwo, że „Aparat” zostanie wywieziony gdzieś w głąb Niemiec i tam ukryty. Jorg mógł tylko liczyć, że zamilknięcie radiostacji Natalii wywołało alarm, i nowy łącznik powinien dotrzeć lada dzień. Ale jak uda mu się przedostać przez linię frontu i dotrzeć do zamku, tak pilnie strzeżonego? Postanowił wieczorem odbyć spacer i rozważyć, jaką drogą może do zamku przedostać się łącznik. Jeżeli mogłoby się tak stać, to bez wątpienia powinni skorzystać z opisu, jaki przesłał kilka tygodni wcześniej, w którym informował o tajnym przejściu ujawnionym mu przez Annę Marię.

Poprawił rulony, które wyslizgiwały się spod ręki i wrócił do wnętrza. Inna myśl zajęła go. Zaczynał rozważać, czy istniała szansa na uwolnienie Natalii. Mogła mu w tym pomóc znajomość tajnych przejść. Nawet nie chciał pomyśleć, że dziewczyna zostanie uwięziona w jednym z pomieszczeń, do których prowadziły sekretne korytarze. A może Glöbckemu chodziło o to, aby schwytać go w czasie próby uwolnienia więźnia? Miałby wówczas żelazny dowód powiązania oficera wywiadu z wrogim szpiegiem. Czyżby jednak jego gra była tak prosta?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Generał Clarence Huebner rozsiadł się wygodnie w wiklinowym foteliku ustawionym przy stole, jaki życzliwa czeska obsługa wyniosła przed gospodę, aby oficer mógł jeść obiad, rozkoszując się ciepłym kwietniowego popołudnia. Był zadowolony z siebie. Jego korpus wysforował się daleko do przodu przed główne siły trzeciej armii i doszedł do rejonu Pilzna, co zwierzchnik bojowy, generał George Patton, powinien docenić. „Kowboj”, jak nazywał Pattona ze względu na dwa kołty z kościanymi rękojeściami, jakie zwykł on nosić w olstrach zwisających z bioder, lubił oficerów z fantazją, którzy za nic mieli gładzenie polityków i ich gry. Szybko jednak zapął Pattona i Huebnera został poskromiony, gdyż głównodowodzący wojskami sprzymierzonych generał Eisenhower nie chciał wyrazić zgody na zbyt dalekie wypady na wschód. Huebner, słysząc o tym, wzruszał ramionami.

– O pozycji moich wojsk decyduje sytuacja na froncie, a nie ustalenia polityków. Nie mogę narażać życia moich żołnierzy, gdy sytuacja jest inna, niż to założono w dyplomatycznych salonach. Zabrał się do obiadu, który podał mu gruby właściciel gospody „Pod Czarnym Aniołem”. Ten stał przez chwilę, oczekując, aż generał zanurzy łyżkę w gęstej zupie i wyda werdykt. Widząc na jego twarzy uśmiech, wznosił ręce w geście zadowolenia.

– Jak przyjdą tu Rosjanie, panie Hawliczek, to nie będziesz pan taki zadowolony – powiedział Huebner. Właściciel gospody nazywał się inaczej, ale generał nie był w stanie wymówić jego nazwiska będącego zbitką dziwnych dźwięków, coś jak „hrdź”.

Generał wiedział, że ułańska fantazja, która zaprowadziła jego oddział w te rejony, na długo nie wystarczy, i że lada dzień nadejdzie rozkaz wycofania się za linię, którą uzgodnili wielcy politycy tego świata. Czech nie rozumiał angielskiego, więc myśląc, że generał komplementuje jego umiejętności, z pomrukiem zadowolenia odwrócił się, aby pójść do kuchni, gdzie zamierzał dopilnować drugiego dania.

Nagle dostrzegł kurz na drodze biegnącej z niewielkiego wzgórza, co oznaczało, że ktoś bardzo spieszy się do niego, ale widniejące w oddali dwa stanowiska karabinów maszynowych i dwa dobrze zamaskowane działa bezodrzutowe na poboczach drogi dawały jego sztabowi poczucie całkowitego bezpieczeństwa, choć trudno już było spodziewać się uderzenia większego oddziału Wehrmachtu.

Jeep, wzbijając tumany pyłu, zatrzymał się przy barierze przegradzającej drogę i jego pasażerowie posłusznie pokazali dokumenty wartownikom. Huebner wrócił do czeskiej zupy, której nazwy też nie zapamiętał. Pomyślał, że powinien po wojnie wybrać się z żoną w podróż po tym pięknym kraju, zamieszkanym przez uprzejmych ludzi o trudnych

nazwiskach.

Ledwie skończył jeść zupę, gdy jeep, wolny już po wszystkich kontrolach, zatrzymał się za płotem gospody; wysiadł z niego wysoki szpakowaty oficer z dystynkcjami pułkownika, a drugi, major pozostał w samochodzie.

– Panie generale, melduje się komandor porucznik Compaigne z TICOM – oficer podszedł do stołu i stanął na baczność.– Proszę mi wybaczyć, że...

– Jaki komandor, skoro jest pan w mundurze piechoty, w dodatku z dystynkcjami pułkownika? – przerwał mu Huebner.

– Trudno poruszać się w marynarskim mundurze po łądzie – uśmiechnął się Compaigne i widząc przyzwalający gest, usiadł naprzeciw generała.

Hawliczek stanął u szczytu schodów z talerzem, nie wiedząc, czy może podejść do oficerów zajętych rozmową. Huebner dostrzegł go i skinął, aby podał mu drugie danie.

– Wybaczy pan, panie... komandorze, dokończę obiad – mruknął Huebner. – Ze sztabu Pattona awizowano pana przyjazd. Zanurzył widelec w dobrze wypieczonej golonce i odkroił kęs.

– Mam udzielić wam najdalej idącej pomocy – mówił dalej. Odwrócił się do restauratora, który nie zdążył wejść na schody tarasu i krzyknął: – Niech mi pan poda piwo!

Czech zatrzymał się, zastanawiając się, o co chodzi generałowi, ale szybko skojarzył, że po angielsku i niemiecku nazwa piwa brzmi podobnie. Skinął więc głową i zniknął za drzwiami gospody.

– Wy z wywiadu staracie się być bardzo ważni. Jak któryś z was pojawia się na horyzoncie, to zawsze albo „w misji specjalnej”, albo „w sprawie najwyższej wagi państwowej”, albo z nakazem udzielenia „najdalej idącej pomocy”. Co tym razem?

Compaigne, zrazu trochę zaskoczony niechęcią generała, postanowił nie zwracać na nią uwagi.

– Panie generale, w zasięgu pana korpusu jest miejsce, na którym zależy nam szczególnie. No cóż, muszę dodać, że to sprawa najwyższej wagi państwowej!

Huebner spojrzał na niego, starając się odnaleźć na twarzy rozmówcy najmniejszy wyraz kpiny.

– Spodziewałem się – mruknął.

– Panie generale, słyszał pan zapewne, że nasza pierwsza armia zdobyła w Górach Harzu trzysta ton niemieckich dokumentów rządowych... – Compaigne doszedł do wniosku, że powinien rozproszyć zły nastrój generała.

Restaurator podał Huebnerowi wielki kufel z piwem i spojrzał wyczekująco na Compaigne'a, lecz ten nie czuł się upoważniony do zamawiania alkoholu w obecności generała.

– Owszem – odpowiedział przeżuując zbyt przypieczoną skórę – i zrobiło to na mnie takie samo wrażenie, jak odnalezienie przez trzecią armię rezerw Reichsbanku. Jakieś kilkaset milionów dolarów. I co z tego? My nie jesteśmy poszukiwaczami

skarbów. Nikt nas nie rozlicza z tego, ile zarobiliśmy na tej wojnie dla skarbu państwa. Jesteśmy po to, aby walczyć!

– Z informacji wywiadu wynika, że Niemcy skonstruowali maszynę odczytującą rosyjskie szyfry dyplomatyczne. Wiele wskazuje na to, że ta maszyna jest w zamku Tzschocha. To między Breslau i Goerlitz. Przechwycenie tego urządzenia...

Huebner przerwał mu:

– ...ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego! To chciał pan powiedzieć, nieprawdaż?

– Nie. Chciałem powiedzieć, że to cholernie ważna sprawa. A wie pan, generale, dlaczego?

– A skądże mam wiedzieć? – Huebner odsunął talerz. Ten komandor w mundurze pułkownika zaczął go interesować.

– Bo nasz kraj jest napchany szpiegami, jak pieczony indyk borówkami. A teraz, przechwytyjąc to urządzenie, mamy szansę odczytać ich depeche i zorientować się, kto jest szpiegiem. Nie muszę też panu mówić, że Rosjanie mogą już wiedzieć o „Aparacie” i zrobią wszystko, żeby go dostać!

Generał wytarł usta serwetką.

– Mówi pan, między Breslau i Goerlitz? Sięgnął po raportówkę, którą zawiesił na oparciu fotela, i rozłożył mapę. Przez chwilę przesunął palec od Breslau do Goerlitz.

– Pan żartuje! – fuknął, gdy odnalazł miejscowości, o których mówił komandor. – Łąd to nie ocean, panie komandorze! Na łądzie sto kilometrów to kawał drogi. Pan chce, żebym posłał oddział tak daleko?

– Pluton czołgów – odparł nie zmieszany Compaigne.

– No ładnie! Pluton, mówi pan?! A może kompanię, albo batalion!?

– Pluton, panie generale. Nie trzeba kompanii. Na tym kierunku nie ma poważniejszych niemieckich sił, ale musimy liczyć się, że napotkamy maruderów albo spanikowane oddziały, spieszące do Vaterlandu. Dla czołgów to będzie po prostu przejażdżka.

– I pan chce plutonem czołgów zdobyć zamek?

– Chcę dotrzeć do interesującego nas rejonu, aby tam wprowadzić do akcji mój oddział specjalny. Pięciu żołnierzy. Oczywiście możemy wyruszyć bez eskorty czołgów, ale wówczas ryzykujemy potyczki z przypadkowo napotkanymi oddziałami niemieckimi, natomiast widok wozów pancernych odstraszy ich od jakiegokolwiek walki.

Huebner bujał się na fotelu, bacznie obserwując Compaigne'a. Milczał przez chwilę, jakby rozważając, co ma odpowiedzieć.

– Jak was znam, to gdy odmówię, pan zapyta, czy może zadzwonić do generała Pattona, a ja będę musiał dać panu telefon. Dobrze mówię, co?

Compaigne skinął głową.

– Naskarzy pan na mnie, a Patton każe zawołać mnie do telefonu i powie „Daj, co chcą, to się odpieprzą” – mówił dalej Huebner. – Przewidując taki rozwój sytuacji,

powiadam: ma pan pluton czołgów do ochrony waszej misji. A jak zginie jakiś mój żołnierz, to urwę panu...

– Jestem z wywiadu, wiem, co mi pan urwie, panie generale.

– No! W ciągu trzech, czterech dni czołgi mają być z powrotem, bo, poza wszystkim, wjadą w strefę rosyjską, w której naszych wojsk nie powinno być.

Compaigne wstał i zasalutował.

– Dziękuję, panie generale. Wiem, że pan nas nie lubi, ale ojczyzna panu tego nie zapomni.

Huebner też uniósł dłoń w geście salutowania.

– Oby Eisenhower zapomniał, że zgodziłem się złamać międzynarodowe porozumienia i wysłać czołgi pod nos Rosjan. W sztabie w miasteczku odnajdzie pan kapitana Gregga. Aha, żeby nie było nieporozumień: będzie pan pod jego rozkazami. I pod żadnym pozorem nie wolno wam wszczynać burdy z Rosjanami. Gdybyście ich napotkali, to macie się tłumaczyć, że upiliście się i zmyliliście kierunek.

– Tak jest! – Compaigne zasalutował i wrócił szybko do jeepa, z którego Czerny obserwował sytuację.

– Żałuj, że nie był to polski generał. Nie tylko poczęstowałyby cię golonką, ale i piwa by nalał. Mnie też by zaprosił, a ja bym nie odmówił, bom głodny.

– Najważniejsze, że zgodził się dać nam pluton czołgów. Teraz do miasteczka, kwaterę znaleźć i niejakiego Gregga. Kiedy chłopcy przyjadą? – Compaigne mówił o żołnierzach, których wybrał specjalnie do akcji.

– Wyruszyli tuż po nas, więc niewykluczone, że już czekają przed sztabem korpusu.

Ruszyli z miejsca z takim rozmachem, że spod kół wystrzeliły fontanny żwiru, a tył samochodu niebezpiecznie zbliżył się do rowu.

Compaigne chwycił za metalową rączkę przymocowaną do karoserii tuż nad kolanami.

– Jutro w południe powinniśmy ruszyć, jeżeli czołgiści będą gotowi!

Kapitan Gregg okazał się sympatycznym i małymównym Teksańczykiem. Szczupły i niski, miał krótko przycięte blond włosy i rzadką bródkę, która miała maskować głęboką bliznę tuż pod dolną wargą. Niewiele mówił, ale od razu było wiadomo, że generał Huebner oddelegował do zespołu Compaigne'a najlepszego fachowca.

Pomógł im szybko znaleźć wygodną kwaterę w miejscowym hoteliku, czystym i ładnie urządzonej. Compaigne'owi i Czernemu przypadł pokój dla nowożeńców, z białymi mebelkami, wielkim łóżkiem z baldachimem i tapetami w liliowe kwiatki.

Godzinę później w wielkim dodge'u T245 nadjechali pozostali członkowie zespołu wybranego przez komandora. Gdy weszli do hotelowej restauracji, gdzie kolację jadło kilkudziesięciu żołnierzy amerykańskich z V korpusu, na moment ustały rozmowy. Oczy wszystkich skierowały się na czterech żołnierzach w skórzanych kurtkach, dźwigających pokaźne toboły. Z daleka widać było, że są to komandosi, którzy spędzili wojnę w walce za liniami wroga.

– „Wood” – pierwszy stanął przy stoliku Compaigne’a i Czernego, podnosząc rękę do daszka czapki. Był niewysoki, ze spadzistymi ramionami, kwadratową twarzą, stale uśmiechniętą. – Grupy rozpoznania dalekiego zasięgu. Afryka – dodał.

Czerny zerknął na Compaigne’a z uznaniem. Żołnierz z tej formacji, siejącej postrach wśród niemieckich i włoskich żołnierzy w Afryce Północnej, miał swoją wartość.

– „Raider” – wysunął się następny. – Od niedawna w Europie, po służbie u Wingate’a. Jeden z niewielu ocalałych – dodał ze smutnym uśmiechem. W przeciwieństwie do masywnego kolegi, był szczupły, o podłużnej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, co nadawało mu wschodni wygląd. Uwagę zwracały jego dłonie, szczupłe, żyłaste, z palcami jak szpony.

– Orde Wingate? – zapytał Czerny, jakby z niedowierzaniem.

– Tak jest, do marca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku w „Chinditsach” – potwierdził żołnierz. Sława zespołu komandosów utworzonego w Birmie przez generała Wingate’a dotarła już do Europy, a to z powodu ich zuchwałych akcji i wielkich strat, jakie zadawali Japończykom, a także sami ponosili w walkach w dżungli.

– „Hamlet” – przedstawił się trzeci. Pseudonim pasował do niego nad wyraz dobrze, gdyż na pierwszy rzut oka bardziej wyglądał na nauczyciela historii niż członka zespołu, wybranego po to, aby dokonać szaleńczej akcji.

– Lubię wybuchy – dodał i cofnął się, robiąc miejsce do prezentacji dla ostatniego z przybyłych.

– To najlepszy specjalista od materiałów wybuchowych – wyjaśnił Compaigne. Czerny pochylony w jego stronę nie zauważył, jak ostatni z przybyłych, który trzymał prawą ręką worek przerzucony przez lewe ramię, zasłaniając twarz, opuścił rękę.

– „Afgan”.

Czerny drgnął, słysząc jego głos. Nie mógł się mylić. Spojrzał szybko do góry i zobaczył uśmiechniętego Aleksandra Barskiego.

– Jezus Maria, ty żyjesz? – krzyknął po polsku. – Dawno cię pogrzebałem!

Zerwał się z krzesła i chwycił przyjaciela w objęcia.

– Za wcześnie Jędrus, choć było ciężko i sam nie jestem do dziś pewien, czy żyję – odpowiedział „Afgan”, gdy tylko Czerny wypuścił go z uścisku.

– Możecie mówić w jakimś zrozumiałym języku? – odezwał się Compaigne obserwujący ze zdziwieniem scenę powitania.

– Przepraszam, Howard – Czerny odwrócił się. – Braliśmy razem udział w misji w Polsce w czterdziestym trzecim roku. Szczęśliwie wróciliśmy, ale jak wybuchło powstanie w Warszawie, „Afgan” uparł się, żeby go tam zrzucili. Doszła do nas informacja, że wpadł w łapy Gestapo i został zamordowany.

– Panowie, pokoje przygotowane, odświeżcie się, zjedzcie kolację i za godzinę spotykamy się na naradę. W apartamencie nowożeńców, czyli naszym pokoju. Tylko bez głupich komentarzy!

Zasalutowali i odwrócili się do wyjścia, znowu koncentrując na sobie uwagę sali.

– Co znaczy: „Braliśmy udział w misji w Polsce”? – Compaigne był zainteresowany wyjaśnieniem Czernego. – Myślałem, że dekowałeś się przez całą wojnę w waszym sztabie w Londynie.

Czerny uśmiechnął się.

– Nie, od początku byłem w Audley End House...

– Co to?

– Ośrodek treningowy Zarządu Operacji Specjalnych. Po polsku – cichociemnych.

– Jeszcze gorzej, a to co?

– Takich, których nie widać i nie słychać. Dwa razy zrzucano mnie ze spadochronem do Polski, z różnymi zadaniami. Przepraszam, wciąż są tajne – dodał szybko.

– No to mamy zespół straceńców – Compaigne wydawał się zadowolony z niespodziewanego odkrycia, że jego przyjaciel jest zawiadką, takim samym jak ci czterej, którzy kilkanaście minut temu wkroczyli do restauracji. – Powiedz mi jeszcze, ten twój przyjaciel, dlaczego „Afgan”?

– Jak wybuchła wojna w trzydziestym dziewiątym, był w Afganistanie. Przedostał się do Polski w końcu września, aby walczyć, ale nie zdążył, więc wyruszył za wojskiem najpierw do Paryża, a potem do Anglii.

– Pokonuje przestrzeń i granice, jakby był ptakiem – Compaigne wstał i położył pieniądze na stole.

– Dziękuję – powiedział Czerny, wstając.

– Za co? – zdziwił się Amerykanin.

– Za zaproszenie na kolację – Polak schylił się po czapkę i nie dostrzegając zaskoczenia Amerykanina, ruszył do drzwi.

Compaigne popatrzył za nim przez chwilę, wreszcie ponownie wyjął portmonetkę i dołożył kilka banknotów.

– Za tego pana też płacę – powiedział do zbliżającego się kelnera, wskazując na Czernego, który zatrzymał się w drzwiach. – Lend-Lease, rozumiesz...

Minęła dziesiąta, gdy czterej komandosi zapukali do apartamentu nowożeńców, gdzie Compaigne i Czerny studiowali szkic zamku.

– Siadajcie, gdzie wam będzie wygodnie – Compaigne, nie podnosząc głowy znad mapy zatoczył krąg ręką i natychmiast pożałował zbyt serdecznego zaproszenia.

„Wood” ułożył się na łóżku, choć wielkie i zabłocone buty starał się trzymać poza wykrochmaloną narzutą. „Raider” przykucnął w rogu, jedynie „Hamlet” i „Afgan” usiedli przy okrągłym stoliku, co Compaigne uznał za przejaw dobrego wychowania, lecz natychmiast zmienił zdanie, gdy dostrzegł, że sięgają po papierosy, które tam zostawił.

– To będzie trudna misja... – zaczął. „Raider”, wciąż siedząc w kucki, podniósł głowę i ledwo dostrzegalnie uśmiechnął się.

– Jeszcze możecie się wycofać – dodał i znowu przerwał obserwując ich reakcję. – Za chwilę, jak poznacie szczegóły, już nie. Rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanął kapitan Gregg.

– Panie komandorze, melduje się kapitan Gregg, czy mogę wejść?

Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę, a potem zdumione spojrzenia powędrowały do Compaigne’a, z niemym pytaniem:

„A ten grzeczny to kto?”

– Proszę, niech pan znajdzie dla siebie miejsce, kapitanie – Compaigne spojrzał z satysfakcją na czołgistę, a w jego oczach malowało się uznanie dla żołnierza, który przestrzegał regulaminu.

– Tylko nie pytaj, czy możesz usiąść – „Wood”, nie podnosząc się, wyciągnął rękę w jego stronę i przedstawił się: – „Wood”.

– Widzę – mruknął kapitan nienawykły do takiego zachowania niższych stopniem.

– Panie komandorze, za przeproszeniem, nie po to tu jesteśmy, żebyśmy się wycofywali! – odezwał się „Hamlet”.

Compaigne podniósł dłoń w geście, który miał znaczyć „wiem, co mówię”.

– Mamy dostać się do bardzo silnie strzeżonego zamku – zawiesił głos na chwilę – i to bez broni!

– Żarty – mruknął „Raider”.

– Powtarzam, bez broni, nawet dla obrony osobistej. Jeżeli zostaniecie wykryci i otoczeni, bez możliwości ucieczki, możecie jedynie popełnić samobójstwo.

– Ale jak to zrobić bez broni? – zainteresował się „Hamlet”. Compaigne wyjął z kieszeni kilka szklanych ampułek i rzucił na stolik.

– Niemieckie, produkowane w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen dla hitlerowskich dostojników, na wypadek gdyby uznali, że nie chcą dłużej żyć na tym świecie. Działają w ciągu kilkunastu sekund. Kto się wycofuje?

– Nawet noża nie mogę wziąć? Dlaczego?! – mruknął „Raider”, który nie mógł pogodzić się z tym, co usłyszał.

Compaigne podszedł do stolika, gdzie „Hamlet” i „Afgan” częstowali się jego papierosami, wyjął jednego i schował paczkę do kieszeni.

– „Raider”? – spojrzał na komandosa, który wciąż siedział w kuckach. Ten pokręcił głową.

– Okey, to będzie coś ciekawego, bo tutaj w Europie nudno jak cholera, a w dodatku wojna się kończy.

– „Wood”?

– Jak się wycofam, to nigdy się nie dowiem, dlaczego mam zdobywać twierdzę bez broni.

Compaigne spojrzał na „Hamleta” i „Afgana”, którzy wzruszyli ramionami, co miało znaczyć, że nie powinni dłużej marnować czasu na pytanie o zgodę na udział w niezwyklej misji.

– Dziękuję wam – powiedział Compaigne, może zbyt uroczyście, gdyż natychmiast usłyszał głos „Raidera”.

– Panie komandorze, bo się rozpłaczę!

– Od tej chwili podlegacie moim rozkazom i obowiązuje was tajemnica wojskowa wobec wszystkiego, co tutaj usłyszycie. Waszym celem jest zamek Tzsochocha.

Compaigne wziął ze stolika mapę i powiesił na gwoździach, które wcześniej wbił w ścianę.

– Tutaj – wskazał punkt. – Dotrzemy tam osłaniani czołgami kapitana Gregga. Niech pan przedstawi swoje zadanie. Gregg wstał i podszedł do mapy.

– Trzy shermany będą stanowić ubezpieczenie i osłonę. Wy będziecie jechać w dodge'ach T214. Dobre maszyny, ale w zbiornikach mają tylko po trzydzieści galonów benzyny. Dlatego w każdym samochodzie będą kanistry z paliwem. Doprowadzimy was na odległość około trzydziestu kilometrów do celu i tam staniemy, aby nie alarmować wroga. Bliżej dojedziecie w dodge'ach. Będziemy czekać na wasz powrót i osłaniać odwrót, jeżeli zaistnieje taka konieczność. Czy są pytania?

„Wood” podniósł się z łóżka.

– Czy dodge jest uzbrojony?

– Nie – odpowiedział Gregg.

– W Afryce uzbrajaliśmy jeepy w dwa karabiny maszynowe, to dawało dużą siłę ognia. Proponuję zamontować takie. Gregg skinął głową.

– Od chwili, gdy wysiądziemy z samochodów, które zostawimy zamaskowane w lesie, nie będziemy mieli broni.

– Niech pan wyjaśni, dlaczego? – „Raider” wciąż nie mógł się pogodzić z myślą, że będzie musiał rozstać się ze swoim wielkim malajskim bagnetem.

– W sąsiedztwie zamku ani w samym zamku nie możemy zostawić ani jednego trupa. Musimy dotrzeć do wnętrza i wycofać się niezauważeni. W przeciwnym wypadku nasza misja zakończy się klęską i śmiercią co najmniej dwojga ludzi, których Niemcy zabiją w odwecie za śmierć swojego żołnierza.

– Dlaczego nie zostaniemy zrzućeni z samolotu? – zapytał „Afgan”.

– Teren jest nadzwyczaj trudny dla spadochroniarzy: góry i las. Pojawienie się samolotu wszczęłoby alarm, wysłaliby patrole i wzmocnili strażę, a więc podstawowa zasada naszej misji zostałaby zniweczona.

– Można byłoby sobie z tym poradzić – mruknął „Afgan”.

– Można, przyzwyczajając ich do przelotów samolotów, które nie atakowałyby ani nie zrzucały skoczków. To wymagałoby czasu, którego nie mamy – Compaigne nie dawał się zbić z tropu. – Poza tym obrona przeciwlotnicza w zamku jest wciąż zbyt silna. Ponadto, skacząc ze spadochronami nie mielibyśmy jak wydostać się stamtąd.

Sprawność i pewność, z jakimi odpowiadał na wszystkie pytania, świadczyły, że był dobrze przygotowany, a więc musiał w najdrobniejszych szczegółach przemyśleć i zaplanować misję, która początkowo wydała im się szaleńcza. Zaczynali nabierać do niego zaufania.

– To jeszcze jedno pytanie – nie rezygnował „Afgan”. – Jeżeli pojawienie się samolotu wszczęłoby alarm, to co powiedzieć o trzech czołgach i dwóch dodge'ach?

– Oraz halftracku z działkiem przeciwlotniczym, który zabierze zapas paliwa – dodał Gregg.

– Pojazdy opancerzone będą jechały w dzień i nie będą udawały, że są wiewiórkami. Zakładam, że zostaną dostrzeżone, lecz przyjmuję, że Niemcy nie wyruszą, aby zaatakować tak silny oddział. Nie mają na to sił. Raczej zrobią gdzieś blokadę i będą czekać w zasadzce. Do zamku niepostrzeżenie muszą dojechać samochody. Jedna informacja: na samochodach będą rosyjskie znaki taktyczne.

– Jak to? – zdziwił się Gregg. – Na dodge'ach?

– Tak, Rosjanie mają ich dużo, podobnie jak shermanów. Dostali w ramach Lend-Leasu. Niemcy, którzy nas dostrzegą, muszą być przekonani, że to jakiś rosyjski oddział przedarł się przez ich linie, co nie wzbudzi podejrzeń tak dużych, jak pojawienie się wojsk amerykańskich. Jeszcze coś?

Zapadło milczenie. Compaigne, jakby zdając sobie sprawę, że nikt już nie będzie zadawał pytań, zajął się przeglądaniem dużych zdjęć lotniczych, z których wybrał jedno i powiesił na mapie.

– To jest najbardziej aktualne zdjęcie okolicy zamku – wyjaśnił. – Jedyna droga prowadzi od jeziora. Musimy niepostrzeżenie dostać się do zapory i po jej ścianie opuścić się do wody.

– Dlaczego nie z brzegu? – zapytał któryś.

– Brzegi są na pewno zaminowane. Ponadto pilnowane przez ukryte posterunki i zabezpieczone zasiekami w miejscach najbardziej dogodnych do wejścia do jeziora.

– Przepłynięcie z zapory do zamku zajmie około godziny – zauważył „Raider”. – Woda jest zimna.

– Nie na tyle, żeby przeszkodziła w dopłynięciu. Do zapory dochodzi cała nasza szóstka. Wartowników jest dwóch na koronie. Gdy dojdą do przeciwległego brzegu, będziemy mieli trzy minuty na zawiązanie lin na poręczach i opuszczenie się do jeziora. Na miejscu pozostaje „Wood”, aby wciągnąć liny i czekać na nasz powrót. W tym miejscu dopłyniemy do brzegu. Jest tu wgłębienie w skałach i nie będziemy widoczni z innych stron. Jeżeli są miny, „Hamlet” będzie musiał je rozbroić. Na wysokości około trzech, czterech metrów jest wylot kanalizacji...

– „Wood”, ty masz szczęście – westchnął „Afgan”.

– Jeśli przeżyję zabawę w kotka i myszkę z dwoma uzbrojonymi Niemcami – odpowiedział „Wood”, wyraźnie niezadowolony, że pozostawiono go daleko od głównego celu.

– Spokojnie, ten kanał nie jest wykorzystywany od trzydziestu lat – uśmiechnął się Compaigne. – Odłączono go w czasie remontu zamku. Podobno nie ma go na planach, a więc mało prawdopodobne, że ktokolwiek o tym pamiętał. Na górę wchodzi „Afgan”, Czerny i ja. „Hamlet” i „Raider” płyną do drugiego brzegu, aby dotrzeć do stacji transformatorów. Nie wiem, czy jest strzeżona. Zakładam, że nie, ale musicie uważać na urządzenia alarmowe. Spowodujecie krótkie spięcie, które na kilka minut wyłączy

światła w zamku, do czasu aż włączą rezerwowe zasilanie. Potem będziecie musieli wydostać się z tego obszaru i wrócić do tamy.

– Jak wejdziemy na koronę zapory? „Wood” już zdejmie liny.

– Dopłyniecie do kanałów znajdujących się po bokach zapory. Tamtędy wpada woda na turbiny. Zakładam, że w nocy elektrownia nie pracuje, w związku z niewielkim zapotrzebowaniem na prąd. Tamtędy będziecie mogli przedostać się na drugą stronę, która nie jest strzeżona. Wróćcie do samochodów, gdzie „Wood” już powinien na was czekać.

– A jeżeli turbiny będą pracować? – zapytał „Hamlet”, najwyraźniej niepewny informacji Compaigne’a.

– To będziecie musieli sobie poradzić w inny sposób – komandor najwyraźniej nie miał innego pomysłu. Zaczął składać szkice i zdjęcia.

– I to już? – zdziwił się „Wood”. – Nie poznamy dalszej części akcji? Powinniśmy wiedzieć, o co w tym chodzi!

– Nie! – twardo powiedział Compaigne. – Wy trzej, „Wood”, „Hamlet” i „Raider”, będziecie w mundurach amerykańskich lotników. Jutro nad tamtym terenem przelecą nasze samoloty. Jeden z nich, sterowany przez radio, spadnie. Jeżeli zostaniecie schwytani, możecie się tłumaczyć, że jesteście załogą zestrzelonego samolotu. To będzie bardzo wiarygodne. Ale mogą wam nie uwierzyć, i w takim przypadku nie powinniście wiedzieć, po co przyszliśmy do zamku. Lepiej, żeby was uznali za sabotażystów.

– Wy nie będziecie w mundurach amerykańskich? To przecież wyrok śmierci! – „Wood” wydawał się coraz bardziej zdziwiony.

Schwytanie żołnierzy wroga nie w swoich mundurach oznaczało uznanie ich za szpiegów i groziło śmiercią, o czym Compaigne dobrze wiedział.

– Podejmujemy takie ryzyko, ale musimy uznać, że w amerykańskich mundurach nie uda nam się wejść do zamku. Strzegą go oddziały SS i musimy założyć ich łachy.

Włożył zdjęcia i mapy do skórzanej teczki.

– Wyruszamy jutro, około jedenastej, gdy tylko karabiny maszynowe zostaną zamocowane na dodge’ach. „Wood”, dopilnuj tego!

Podnieśli się z miejsc. Czerny zerknął na „Raidera”, który po półgodzinie siedzenia w kucki zerwał się, jakby wypoczywał na wygodnym fotelu.

– „Afgan”, zostań! – Compaigne zatrzymał wychodzącego Polaka. – Jeszcze plan działań w zamku, a to jest jak strzelanie do tarczy z zawiązanymi oczami.

Ostatnie dni przeszły Jorgowi na wytężonej pracy przy pakowaniu „Aparatu”. Dopiero gdy technicy rozmontowywali kolejne fragmenty, mógł zobaczyć, jak wielka jest to maszyna. Pobieżne podliczenie ciężaru skrzyń wykazało, że ważyła siedem ton.

Zajęcie, któremu oddawał się z całą pasją, pozwalało mu zapomnieć o Natalii. Raz

przyszło mu na myśl wdrzeć się do części, w której przetrzymywano ją, i spróbować ucieczki, ale szybko odrzucił tę myśl jako szaloną i nie mającą żadnych szans powodzenia.

Anna Maria zadzwoniła niespodziewanie trzydziestego kwietnia wieczorem, gdy w korytarzu w strefie „X” spisywał zawartość skrzyni oznaczonej literą Q, nie wiedząc, co to oznacza.

– Wyjeżdżam, jutro rano – powiedziała. I natychmiast dodała – zostałam objęta planem ewakuacji.

– Mogę tylko życzyć pani szczęśliwej drogi – powiedział, zdając sobie sprawę, że ta rozmowa jest podsłuchiwana przez ludzi Glöbckego. – Dokąd pani jedzie?

– Do jedyne miejsca na świecie, gdzie Niemcy są jeszcze u siebie. Do Bawarii.

– Będę miał do pani prośbę. Moi rodzice są w Bad Reichenhall, to koło Monachium...

– Znam tę miejscowość.

– Jeśli będzie pani w pobliżu, proszę przekazać im list ode mnie.

– Ależ oczywiście – najwyraźniej zdawała sobie sprawę, że Jorg znalazł najlepiej uzasadniony powód, aby mogli się spotkać. – Niech pan przyjdzie do prywatnej części zamku.

Szybko zwolnił się u Kunzego i skreśliwszy kilka słów do rodziców, włożył list do koperty, na której napisał prawdziwy adres w Reichenhall, jaki pamiętał z wakacyjnego pobytu w tej miejscowości, i pobiegł na górę, po raz pierwszy zaproszony do apartamentu Anny Marii.

Na schodach stał Glöbcke, jakby czekał na Jorga. Ten jednak nie miał ochoty z nim rozmawiać, więc chciał go ominąć, ale esesman wyciągnął rękę, zagrządzając mu drogę.

– Widzę, że pan się spieszy, ale proszę mi pozwolić na krótką rozmowę – był nadzwyczaj uprzejmy. – Chcę tylko panu zaproponować wymianę.

– Wymianę? – zdziwił się Jorg i natychmiast pomyślał, że może chodzić o Natalię. Nie mylił się.

– Nadszedł czas, abyśmy w naszych stosunkach przeszli od słów do czynu – Glöbcke wciąż był miły. – Potrzebuję pana, a pan potrzebuje mnie.

– Zdziwiał mnie pan, Obersturmbannführer Glöbcke – Jorg założył ręce za plecami i oparł się o ścianę, gotów wysłuchać, co esesman ma do powiedzenia.

– Nie tutaj. Chodźmy do mnie – Glöbcke wskazał drzwi do swojego pokoju.

– Chcę zaproponować wymianę – powtórzył, gdy usiedli na wysokich niewygodnych krzesłach, które Jorg pamiętał z pierwszego pobytu w tym pomieszczeniu. Wydawało mu się, że od tego czasu minęły lata, a to było zaledwie trzy miesiące wcześniej.

– Ja mam Natalię, pan wie o „Aparacie” – podjął Glöbcke. – Gwarantuję bezpieczeństwo Natalii, w zamian za pomoc z pana strony.

– Na czym miałyby polegać? – Jorg nie wierzył temu człowiekowi, choć ta propozycja mogła być szczerą. Przyjmował bowiem, że esesman chciał mieć swój udział

w ukryciu urządzenia, choć nie wiedział, w jakim celu.

– Jest pan jedynym człowiekiem, który potrafi uruchomić „Aparat” po jego złożeniu...

– Myli się pan – przerwał mu Jorg. – Uruchomienie urządzenia, po jego zmontowaniu jest proste.

– Wiem, ale pan przywiózł z Fürstenstein materiały, bez których wynik działania urządzenia będzie niepełny lub w ogóle bezwartościowy. Co więcej, tylko pan potrafi je odczytać, czyż nie tak? I niech mnie pan nie okłamuje – stawką jest życie Natalii.

– Zabije ją pan, gdy odmówię współpracy? Glöbcke skinął głową. Ten gest miał straszniejszą wymowę niż jakiegokolwiek słowa.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Natalia pozostanie moją zakładniczką. Któregoś dnia, może za tydzień, a może za miesiąc, zgłoszę się do pana, aby uruchomił pan to...

Glöbcke podszedł do szafy i otworzył szeroko drzwi. Na dolnej półce, pod ubraniami wiszącymi na wieszakach, stała drewniana skrzynia. Podniósł ją z wysiłkiem i postawił na stole przed Jorgiem. Powoli, jakby chcąc w ten sposób zrobić jak największe wrażenie, otworzył wieko. W skrzyni, podtrzymywany odpowiednio wyciętymi deseczkami leżał walec, o którym Kunze mówił, że jest sercem „Aparatu”.

– Zabrał pan walec? – Jorg nie potrafił ukryć zdumienia.

– Nie, to kopia, zrobiona na wypadek zniszczenia lub uszkodzenia oryginału. Kunze jest przekonany, że została zapakowana do skrzyni „R”.

– W ten sposób chce pan zyskać niewinność od zarzutów o dokonanie zbrodni wojennych, za które u aliantów grozi panu strybek!

– Och, przesada! – Glöbcke zamknął skrzynię i schował ją do szafy, jakby obawiając się, że ktoś może wejść niespodziewanie i zobaczyć jego skarb. – Nie popełniłem żadnej zbrodni! Nikogo nie zabiłem, nikogo nie torturowałem.

– Rozumiem, dobry esesman.

– Dość tego! – krzyknął Glöbcke. – Niech pan nie zapomina, że to ja decyduję, a pan może tylko wybierać między życiem i śmiercią ludzi, którzy są panu bliscy!

– Ludzi? Mówiliśmy o Natalii – Jorg czuł, że sprawdzają się najgorsze przeczucia, z jakimi wchodził do pokoju esesmana.

– Panna Anna Maria wyjeżdża rano do Bawarii. Powiedziała panu o tym. Ona również jest moją zakładniczką...

Jorg nie miał już wątpliwości, że Glöbcke zdobył przewagę i nie pozostawiał mu alternatywy.

– Powiem jeszcze coś, żeby uspokoić pana sumienie, kapitanie Jorg – Glöbcke znów stał się uprzejmy. – Przez całe życie służyłem państwu niemieckiemu, jak mogłem najlepiej. To polityka zdecydowała za mnie, że stałem się SS-Obersturmbannführerem.

Jorg nie chciał podejmować dyskusji. Nie miałyby to żadnego sensu, a wolał nie przerywać, wiedząc, że za chwilę Glöbcke przejdzie do sedna. Ten wstał.

– Jestem esesmanem, co zapewne sprawi, że po wojnie będę przedmiotem nienawiści zwycięzców i Niemców, szukających winnych wielkiej narodowej tragedii. Mam prawie pięćdziesiąt lat, przez całe dorosłe życie byłem uczciwym policjantem i nic innego nie potrafię robić. Jeżeli jakaś organizacja kombatancka nie da mi paru marek, to zdechnę z głodu.

– „Aparat” ma być pana emerytalnym ubezpieczeniem, czyż nie tak?

– Zgadza się!

– Odda go pan Amerykanom lub Rosjanom, w zależności od tego, kto więcej zapłaci.

– Zgadza się!

– To nie polityka zdecydowała, że stał się pan SS-Obersturmbannführerem, ale nie mnie wypowiadać się na ten temat. Co mam robić?

– „Aparat” zostanie jutro wywieziony z zamku i dobrze ukryty. Pan wyjedzie stąd za kilka dni do Rosenheim. W tamtejszym hotelu zostawię dla pana wiadomość, gdzie mnie pan znajdzie. Jeżeli nie spotkamy się w ciągu trzech dni, Natalia i Anna Maria umrą...

Podszedł do stołu i pochylił się nad Jorgiem.

– Już pan wie, dlaczego nie boję się tej tajemniczej organizacji? Mam zakładniczki, a kiedy je zwolnię, to nikt mnie nie znajdzie.

Wyprostował się i powiedział głośno.

– Do zobaczenia, kapitanie Jorg.

Beer zdjął słuchawki z uszu. Glöbcke mówił głośno, nie podejrzewając nawet, że w jego pokoju są mikrofony założone przez najlepszego specjalistę od podsłuchu, który dzień później został oddelegowany do Flirstenstein i zginął, podobno nieopatrznie zbliżywszy się do ogrodzenia tamtejszego obozu koncentracyjnego. W każdym razie tam znaleziono jego ciało, przeszyte serią z karabinu maszynowego. Glöbcke nie wiedział o tym, gdyż wszystko to działo się podczas jego pobytu w Marklissie, a Beer nie mógł pozostawić żadnego śladu.

Nie nagrywał rozmowy Glöbckego z Jorgiem, więc żaden z żołnierzy obsługujących aparaturę podsłuchową nie miał pojęcia, co usłyszał Untersturmführer Beer.

Odłożył słuchawki i wychodząc, wyrwał kabel w skrzynce rozdzielczej. Już nikt nie mógł podsłuchiwać Glöbckego. On też postanowił tego nie robić. Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć.

Podszedł do stanowiska oznaczonego numerem „12”. Gestem nakazał żołnierzowi włączyć magnetofon. Słusznie przyjmował, że Glöbcke zaraz stanie w drzwiach i będzie chciał poznać rozmowę Jorga z Anną Marią, a numer „12” oznaczał mikrofony założone w jej apartamencie.

Jorg wszedł na drugie piętro, gdzie mieściły się prywatne apartamenty właściciela zamku. Nigdy go nie widział i zastanawiał się, jak mógł wyglądać bogaty wytwórca papierosów, którego stać było na zakupienie wielkiego zamku i przebudowanie go. Któregoś dnia dowiedział się, że Gütschow wyjechał stąd już w lutym, ale nie wiedział, czy była to prawda.

– Dlaczego tak późno? – Anna Maria otworzyła drzwi, gdy tylko zastukał. Przyglądała mu się uważnie. – Przyniósł pan ten list? – zadała drugie pytanie, zanim zdążył odpowiedzieć na pierwsze.

Zastanawiał się przez moment, czy powiedzieć jej o niebezpieczeństwie ze strony Glöbckego, ale wahał się. O ile miał pewność, że esesman mówił prawdę, grożąc zabiciem Natalii, o tyle w przypadku Anny Marii mógł blefować. Nie mógł też wykluczyć, że była to prowokacja, której celu nie mógł odgadnąć. Anna Maria wyczuła jego nastrój.

– Niech pan usiądzie, zaraz podam herbatę. Straszny tu bałagan, jak to przed wyjazdem.

– Dziękuję – usiadł na wskazanym foteliku, nawet nie rozglądając się po pokoju, gdzie stało kilka kufrów i walizek.

– Nie powie mi pani, że załaduje to wszystko do swojego opla – usiłował zażartować.

– Przygotowano ciężarówkę, bo trzeba było spakować też trochę rzeczy mojego wuja – weszła do pokoju z tacą, na której ustawiła dzbanek i filiżanki. Stawiając je na stole, pochyliła się nad Jorgiem.

– Co się stało? – spytała szeptem. Pokręcił głową.

– Nie zdążyłem skreślić paru słów do rodziców. Czy mogłaby pani dać mi kartkę i pozwolić na napisanie krótkiego listu?

– Ależ oczywiście – wyjęła z sekretarzyka papeterię i podała mu – tyle, że będzie to list na papierze von Gütschowów.

Położył kartkę na stole, aby pismo nie odbiło się na drugiej kartce. Anna Maria coś mówiła, ale nie zwracał na to uwagi.

„Po wyjeździe stąd jak najszybciej odeślij kierowcę i eskortę. Weź innego. Zmień wszystkie plany podróży. Nie jedź tam, dokąd zamierzałaś. Nie pytaj o nic”.

Podsunał kartkę Annie Marii i kiedy przeczytała, wstał i wrzucił papier do kominka. Patrzyła na niego zdziwiona i przestraszona.

– To tylko środki bezpieczeństwa, które zawsze trzeba stosować – szepnął, podając jej list, jaki wcześniej napisał, prosząc, aby oddała jego rodzicom.

– Dziękuję za tę uprzejmość – podał jej list, wstając. – Czy będę mógł spotkać się z panią po wojnie? Może tutaj, w zamku Tzschocha?

– To dobry pomysł. Zapraszam pana na konne przejażdżki po okolicy, kiedy już nikt nie będzie musiał dawać nam pozwolenia. A tu jest tak pięknie wiosną.

Też wstała. Podała mu niewielką kartkę, którą wcześniej przygotowała. Był tam adres w Coburgu, pod którym zamierzała zamieszkać. Skinął głową, potwierdzając, że

zapamiętał nazwę i numer ulicy. Odwróciła się i wrzuciła kartkę do kominka.

– Mam nadzieję, że wojna nie popłącze naszych dróg.

– Dziękuję pani i życzę powodzenia. Chciał tylko musnąć ją ustami, ale przytuliła się do niego, drząc. Trwali tak przez kilka sekund. Pocałował ją gorąco, długo.

– Znajdę cię – powiedział cicho.

– Kurtuazyjne pożegnanie panienki z paniczem. Chyba ma na niego ochotę, ale nic z tego nie wyszło – Beer podał słuchawki Glöbckemu, który wszedł do pokoju.

– Szkoda – mruknął Glöbcke.

Był szczery. Liczył, że nastrój pożegnania sprawi, iż Anna Maria i Hugo zbliżą się jeszcze bardziej, co miałyby pożądaną wpływ z punktu widzenia jego planów. Jednakże relacja Beera nie zmartwiła go zbyt. Fakt, że byli tak ostrożni, że z pełną świadomością unikali zmanifestowania uczuć w jakikolwiek sposób, utwierdzał go w przekonaniu, że ich miłość jest silniejsza, niż przypuszczał, a więc manewrowanie nimi stawało się łatwiejsze.

– Rosjanie zamknęli krąg wokół Berlina. Szansę na odsiecz są już znikome – niespodziewanie odezwał się Beer.

Glöbcke, który zamierzał wyjść z pokoju aparatury podsłuchowej, zatrzymał się.

– Skąd te wiadomości?

– Łącznik z Berlina zatrzymał się u nas po drodze do Fürstenstein.

– Czy Führer jest w Kancelarii Rzeszy? Beer kiwnął głową.

– To znaczy, że odmówił wyjazdu, a jeśli Rosjanie otoczyli miasto, to jego sytuacja staje się coraz trudniejsza. Pozostał mu tylko samolot, a to bardzo ryzykowne.

Beer ponownie przytaknął.

– Kiedy rozpoczniemy ewakuację „Aparatu”? – zapytał.

– Jutro. Powiadom Fürstenstein...

Urwał w pół zdania. Powróciła myśl, że powinien wtajemniczyć swojego zastępcę w plan, jaki opracował. Coś jednak powstrzymywało go przed takim krokiem. Zdawał sobie sprawę, że w rozstrzygnięciach dotyczących jego życia nie może nikomu ufać. Dlatego postanowił ujawniać swoje plany tylko w takim zakresie, w jakim było to niezbędne do ich realizacji, i nie pozwolić, aby ktokolwiek zorientował się w całości zamierzeń.

– Idę do Natalii. Czas na następną sesję radiową – powiedział szybko, aby nie dopuścić do jakichkolwiek pytań. Choć znał Beera od dawna, nie potrafił określić, czy jest to tępy sadysta, czy też przebiegły bezwzględny drań. A może jedno i drugie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kapitan Gregg wychylił się z wjazdu wieżyczki swojego shermana i podniósł rękę.

Szkolne podwórze, na którym zgromadzono pojazdy do wypadu grupy komandora Compaigne'a, zadrżało od ryku uruchamianych silników czołgowych i niemal skryło się w szaroniebieskich spalinach.

Czerny przytknął chustkę do ust, gdyż dym zaczynał go dusić.

– Pierwszy – usłyszał w słuchawkach. To zgłaszał się kapitan Gregg. – Ruszamy, od tego czasu obowiązuje cisza radiowa. Sygnały tylko wizualne. Lista sygnałów jest w każdym samochodzie. Zachować porządek w kolumnie! Samochód „Wooda” na początek. Prowadzić aktywne rozpoznanie.

– Przyjąłem, bez odbioru – „Raider” ściągnął słuchawki i położył je koło radiostacji, umieszczonej na tylnym siedzeniu.

– Jedź! – powiedział do „Wooda”.

Ten wrzucił bieg i wyjechał na drogę, aby zająć pozycję na czele kolumny. Tam zatrzymali się, czekając, aż czołgi ustawią się w wyznaczonym porządku.

– Co to jest? – „Wood” dopiero w tym momencie dostrzegł drewnianą kulkę wiszącą na łańcuszku zaczepionym obok radiostacji.

– Mój amulet. Kiedyś ci o nim opowiem. Zawsze mnie strzegł, nawet w najbardziej niesamowitych sytuacjach.

Czołg Gregga szarpnął, zakołysał się na gąsienicach i ruszył, wyrzucając na boki żwir szkolnego podwórka. Tuż za nim pojechał drugi czołg. Załoga trzeciego odczekała, aż dodge z „Afganem”, Czernym i Compaigne'em oraz transporter opancerzony, wyładowany kanistrami z benzyną, nad którym groźnie sterczały cztery lufy działka przeciwlotniczego, włączą się do kolumny, i ruszyła, zamykając wyprawę.

Czerny był zadowolony z pomysłu Compaigne'a, aby w ten sposób dojechać w okolice zamku. Trzy czołgi, transporter oraz dwa samochody z karabinami maszynowymi tworzyły siłę, która z łatwością mogła przebić się przez zaporę, jaką mogli napotkać na drodze. Rada „Wooda”, aby każdy dodge uzbroić w dwa karabiny maszynowe, okazała się bardzo dobra. Próby przeprowadzone nad ranem wykazały, że siła ognia zestawu dwóch sprzężonych karabinów maszynowych była ogromna, i zaczął się głośno zastanawiać, dlaczego takiego rozwiązania nie stosowano powszechnie na polach bitewnych w Europie, skoro tak dobrze sprawdziło się w Afryce. „Wood” odpowiedział na to krótko: „A widziałeś coś bardziej zbiurokratyzowanego niż amerykańska armia? Za dwa lata zarządzenie o uzbrojeniu jeepów w dwa karabiny maszynowe zostanie podpisane i trafi do jednostek”.

Jadąc na przedzie, „Wood” i „Raider”, mający największe doświadczenie w podjazdowych walkach, mieli wyszukiwać niebezpieczeństwa, jakie mogły zagrozić ich konwojowi. Nie należało się spodziewać skoncentrowanego ataku, gdyż niemieckie wojska były już w rozsypce, ale możliwe było napotkanie wycofującego się oddziału uzbrojonego w pancerfausty, szczególnie niebezpieczne dla czołgów. Dlatego załoga pierwszego dodge’a miała zwracać uwagę na przydrożne kępy krzaków, rowy i pobliskie budynki, gdzie mógłby ukryć się strzelec z pięścią pancerną. Zapewne chciały ją wykorzystać do zniszczenia czołgu, a nie samochodu, i to dawało szansę, że nie przeżyje ognia dwóch karabinów maszynowych, przy których usiadł „Raider”. Zsunął do tyłu plandekę, przywiązał się paskiem do rury tworzącej szkielet, na który naciągany był brezent oponczy, i tkwił nieruchomo, jak drapieżny ptak wypatrujący zwierzyny.

– Jak przeżyłeś? – Czerny zwrócił się do „Afgana”, gdy tylko wyjechali z miasteczka i zagłębili się w las. Wcześniej nie mieli możliwości, aby porozmawiać o minionych czasach.

– Załoga samolotu pomyliła się o sto kilometrów i zamiast pod Warszawą zrzucili mnie pod Piotrkowem. Chłop, u którego się schroniłem, pamiętam, nazywał się Łaszczuk, wydał mnie Gestapo. Przyjechali w nocy i otoczyli chałupę. Chciałem popełnić samobójstwo, ale chłop zaszedł z tyłu i zdzielił mnie czymś po głowie. Ocknąłem się w celi więzienia w Piotrkowie.

– Dlatego doszły do nas wieści, że zginąłeś. A jak się stało, że żyjesz? Cichociemni nie wychodzili z Gestapo.

– Pamiętasz, jak „Ataman” uczył nas uwalniania się z kajdanek?

– Byłeś mistrzem.

– Zrobiłem to, gdy wieźli mnie na przesłuchanie z więzienia do siedziby Gestapo. I uciekłem. Co tu więcej opowiadać... – najwyraźniej nie chciał wspominać tamtego czasu.

Glöbcke, trzymając metalowy kubek z herbatą, skinął do wartownika przed drzwiami, aby wpuścił go do celi. Ten zdjął kłódkę i odsunął skobel, otwierając wejście do pomieszczenia, w którym więziono Natalię. Był to pokój w wieży, w którym kiedyś stały armaty, o czym świadczyły okrągłe otwory w ścianach. Glöbcke kazał zabić je deskami, aby Natalia nie mogła przekazywać wiadomości; deski chroniły ją przed zimnym wiosennym wiatrem, ale mimo to w prowizorycznej kamiennej celi pozbawionej ogrzewania było bardzo zimno.

Słyszając otwieranie drzwi, podniosła się i usiadła na pryczy, zbitej z desek, okrywając się kocem.

Glöbcke postawił kubek na stoliku obok łóżka i przysunął sobie krzesło.

– Zimno tu, ale już niedługo – powiedział, jakby zależało mu na poprawieniu nastroju

dziewczyny. – Za dwa, trzy dni wyjedziesz, choć wciąż będziesz pod moją... opieką.

Nie zareagowała na jego słowa, ale sięgnęła po kubek i przytrzymała w dłoniach, starając się ogrzać je.

Wyjął z kieszeni munduru złożoną kartkę, rozprostował ją i położył przed Natalią.

– Teraz zaszyfrujesz i nadasz ten meldunek. Oczywiście i tym razem starannie sprawdzimy, czy nie ukryłaś w nim sygnału alarmowego.

Podsunał jej paczkę papierosów, ale pokręciła głową.

– Spełniłaś już swoje zadanie, wysyłając poprzedni meldunek, więc teraz nie rób głupstw. Jesteś blisko wolności.

Nie zareagowała na jego słowa. Sięgnęła po kartkę i spojrzała na tekst: „Ewakuacja wkrótce. Nadzoruje porucznik Orilo”.

Glöbcke podsunał jej książeczkę do nabożeństwa, za pomocą której szyfrowała meldunki, i wstał.

– Wrócę za parę minut.

Natarczywe pukanie do drzwi obudziło Zawieniagina. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina czwarta nad ranem. Położył się spać nieco wcześniej, przyzwyczajony, że w Moskwie nie wolno było udawać się na spoczynek, zanim towarzysz Stalin nie opuścił gabinetu i nie poszedł do swojego kremłowskiego apartamentu, co zwykł czynić o świcie.

– Czego tam?! – krzyknął.

– Towarzyszu generale, ważna wiadomość – rozpoznał głos Cziżykowa.

– Wejść! – Był wściekły, że krótki sen został tak niespodziewanie przerwany.

Z korytarza wpadła smuga jasnego światła. Zmrużył oczy i podniósł się ociężale. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie sięgnąć po szlafrok, który znalazł w poniemieckim domu, gdzie urządzono kwaterę dla niego. Chodził w nim wieczorem, gdy nikt nie widział zadowolenia, z jakim naciągał na gołe ciało jedwabne wdzianko. Coraz bardziej podobał mu się standard życia, jaki odkrywał na zajmowanych terenach. Zauważył nawet, że im bardziej zbliżali się do Berlina, tym okolice stawały się bogatsze.

– Czego tam? – powtórzył, okrywając się kołdrą. – Podaj mundur.

Nie chciał, aby podwładny widział go w gaciach okrytego pościelą. Cziżykow przysunął krzesło, na którym wisiała kurtka i spodnie i odwrócił się, czekając, aż generał ubierze się.

– No to raportujcie.

– Nasze służby goniometryczne odkryły, że w zamku Tzschocha działa radiostacja wysyłająca zaszyfrowane depesze. Może być szpiegowska!

– Szpieg pod nosem Niemców? W najlepiej strzeżonym zamku w Niemczech?

– Tak jest! Taki jest wynik namierzania i analizy szyfru użytego w depeszy. Nie jest

to żaden ze znanych niemieckich szyfrów.

Zawieniagin machnął ręką. Meldunek podwładnego wydawał mu się nieprawdopodobny. Po chwili zreflektował się. W ciągu ostatnich dwóch tygodni jego zespół, gdy krążył po terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną, doświadczył wielu niepowodzeń. Wojska amerykańskie weszły do miasta Nordhausen, gdzie Niemcy wybudowali podziemną fabrykę „Dora”, i było oczywiste, że wywiozą stamtąd wszystkie rakiety i dokumentację, zanim oddadzą ten rejon Rosjanom. Z fabryki w Stassfurcie, która według międzynarodowych porozumień również znajdowała się w radzieckiej strefie, wywieźli tysiąc dwieście ton rudy uranu, jaką Niemcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku zrabowali w Belgii. Dwudziestu konstruktorów rakiet, a wśród nich Werner von Braun i generał Walter Dornberger, dojechało do Bawarii, i było oczywiste, że lada dzień oddadzą się w ręce Amerykanów, z całą dokumentacją. Nie mógł zlekceważyć informacji o zaszyfrowanych sygnałach z zamku Tzschocha. Mogły oznaczać, że działa tam amerykański szpieg, który sprzątnie sprzed nosa wojsk radzieckich „Aparat”. Do tego nie mógł dopuścić. Beria nie wybaczyłby mu, że z terenów zajętych przez ich wojska wróg wywiózł tak cenne urządzenie. Ale co mógł zrobić?

– Druga wiadomość: „Aparat” jest gotowy do ewakuacji! Zawieniagin sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał wagi tej informacji.

– Przynieś kawy z kuchni – polecił. – Łeb mi pęka z niewyspania. Uspokajał się powoli i zaczynał rozważać to, co powiedział Cziżykow. Ten wrócił po chwili, niosąc dwa kubki z kawą.

– Dla siebie też wziąłem – powiedział jakby na usprawiedliwienie.

– Kiedy Niemcy zamierzają wywieźć „Aparat”? – Zawieniagin podmuchał na zbyt gorącą kawę i pociągnął niewielki łyk, bojąc się poparzyć język. Gorzki smak kawy rozszedł się po podniebieniu, przynosząc wyraźną ulgę; wiedział, że za chwilę krew zacznie krążyć szybciej i nieznośne uczucie niewyspania zniknie, choćby na godzinę.

– Dzisiaj. Sądzę, że wieczorem – odpowiedział Cziżykow, któremu kawa też pomagała przemóc zmęczenie i senność.

– Mamy jak przechwycić? Znaczący, uderzyć na konwój? Cziżykow pokręcił głową.

– Wyjadą w nocy. Jest niewielka szansa, że możemy zauważyć to bez pomocy „Z-1”.

– Przekażcie mu, że czekamy na dokładną informację, kiedy konwój opuści zamek. Jeżeli nie wykona rozkazu, będzie traktowany jak dezterter.

Cziżykow spojrzał zdumiony na Zawieniagina. Wiedział, co oznaczały te słowa – każdy oddział „Smierszu” otrzymałby dane i rysopis agenta i rozpoczął polowanie na niego. Po schwytaniu zostałby on natychmiast postawiony przed sądem polowym i rozstrzelany.

– Jak dezterter! – powtórzył Zawieniagin. – Jaka jest najbliższa jednostka samolotów szturmowych?

– Nie wiem, to szybko się zmienia. Sprawdzę, towarzyszu generale.

– Niech trzymają w gotowości trzy ły – mówił o samolotach szturmowych Ił-2. – Do ataku na konwój ciężarówek.

– Tak jest – Cziżykow wstał, zabierając swój kubek.

– Nie skrewcie, Cziżykow! – w głosie Zawieniagina zabrzmiała groźba.

Przeciągnął się, żałując, że wypił kawę, która zabierze mu sen.

– Ech, nierozważny człowiek taki – westchnął i wypił resztę kawy. Projekt wysłania samolotów, które zbombardowałyby konwój i zniszczyły „Aparat”, nie odpowiadał mu. Wolałby zdobyć to urządzenie. Wydawało mu się to możliwe, gdyż bez względu na to, w którą stronę skierowałyby się ciężarówki wyjeżdżające z zamku, musiałyby jechać w odległości kilkunastu kilometrów od radzieckich pozycji. Atak na nie i opanowanie konwoju wydawały się sprawą łatwą. Postanowił projekt ten rozważyć nad ranem, gdy krótki nawet sen przywróciłby mu jasność myślenia.

Ściągnął mundur i położył się na łóżku. Sen nadchodził szybko.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przed zmrokiem dotarli do miejsca określonego w planie Compaigne’a jako „Etap I”, gdzie czołgi miały pozostać, zaś samochody z komandosami rozpocząć ostatnią część rajdu, już w bezpośredniej bliskości wojsk niemieckich. Do tego czasu nie napotkali żadnych wrogich oddziałów. Bez wątpienia sprawdzały się założenia Compaigne’a, że Niemcy, nawet dostrzegając grupę, woleli udać, że nic nie widzą, niż podejmować atak na silny konwój. Od punktu „Etap I” dzieliło ich około trzydziestu kilometrów do Greiffen, które mieli ominąć szerokim łukiem i zanurzyć się w lasy otaczające jezioro. Był to najbardziej ryzykowny odcinek drogi, gdyż należało się liczyć z napotkaniem niemieckiego patrolu. Compaigne nie martwił się tym. Cztery karabiny maszynowe dawały im wystarczającą siłę ognia, aby wygrać każdą potyczkę z grupką żołnierzy, zaś walka nie powinna wzbudzić alarmu w zamku, gdyż było oczywiste, że zostanie przypisana wypadowi radzieckiego oddziału.

Bez przeszkód osiągnęli miejsce oznaczone jako „Etap II”, dwa kilometry za wsią Vogelsdorf, która wydawała się całkowicie opuszczona. W istocie większość mieszkańców ewakuowano, a ci, którzy pozostali, nie mieli zwyczaju wychodzić w nocy poza opłotki. Samochody zamaskowali w lesie, aby ostatnią część drogi prowadzącej do tamy od wschodu pokonać pieszo.

Pogoda im sprzyjała. Było mgliście i duszno, co bardziej przypominało listopadową aurę niż wiosenny wieczór. W dodatku zanosilo się na deszcz, na co wszyscy liczyli, uważając, że wartownicy na koronie tamy schronią się pod dach i nie będą tak bacznie obserwować okolicy.

Szli w milczeniu. „Raider”, „Hamlet” i „Wood” nieśli niewielkie plecaki, do których włożyli prowiant, a z boków przytroczyli liny, które mieli użyć do opuszczenia się z tamy do jeziora. Compaigne, Czerny i „Afgan” mieli na plecach duże obciążone brezentem

walizki, z pływakami z balsy i krótkimi sznurkami, którymi mieli przymocować bagaże do rąk w czasie przepływania się przez jezioro. Złożyli tam mundury, które nie mogły zamoknąć.

– Bóg nam sprzyja! – odezwał się nagle Compaigne. Spojrzał na ciężkie chmury, a czując pierwsze krople deszczu, uznał, że może padać do rana.

– Jeśli tak jest, to mam nadzieję, że wodę w jeziorze też podgrzał – mruknął „Raider”, wciąż nie mogąc pogodzić się z tym, że kilkadziesiąt minut będzie musiał pływać w zimnej wodzie.

Deszcz, który przez całą drogę kropił niezdecydowanie zamienił się w ulewę, gdy wspięli się na wzgórze nad tamą. W dół prowadziła wąska droga, wijąca się między drzewami.

– Cholera – „Raider” dotknął dłonią kołnierzyka i szybko przesunął palcami po szyi.

– Co jest? – Compaigne odwrócił głowę w jego stronę.

– Zostawiłem amulet na zamku karabinu maszynowego...

– Znajdziesz, jak wrócimy – Compaigne dostrzegł, jak bardzo brak amuletu poruszył „Raidera”. Dobrze znał takich ludzi, odważnych, twardych, gotowych znieść największe trudy i ból, którzy trzymali w kieszeni munduru jakiś kamyk albo patyk, wierząc, że on daje im niezwykłą siłę. W ciemnościach nie widział twarzy „Raidera”, ale wyczuwał jego niepokój.

„Wood” przytknął lornetkę do oczu i długo wpatrywał się w ciemności nad jeziorem.

– Cholera, nic nie widać w tym deszczu. Oświetlenie tamy jest wyłączone. Nie mam pojęcia, gdzie są wartownicy.

– Panie komandorze, proszę o pozwolenie udania się na zwiad – odezwał się „Raider”.

Czerny spojrzał na niego zaskoczony. Grupa zawadiaków, która wydawała się być na bakier z wszelką dyscypliną, stawała się karna i posłuszna, gdy tylko rozpoczęła się akcja.

Compaigne skinął głową. Był zadowolony, gdyż odniósł wrażenie, że komandos przestał zamartwiać się brakiem drewnianej kulki. „Raider” zaczął schodzić po stromym zboczu. Poruszał się bezgłośnie, a ponieważ twarz i ręce wysmarował ciemną farbą, był niezauważalny w strugach deszczu i wnet, jak duch, zniknął między drzewami.

Mundury przemiękały, a w liściastym lesie, w jakim się znaleźli, na gałęziach było jeszcze za mało liści, aby mogły dać jakąkolwiek ochronę przed grubymi kroplami deszczu. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, gdyż za chwilę i tak mieli zanurzyć się w zimnej wodzie.

„Raider” pojawił się równie niespodziewanie, jak zniknął, po piętnastu minutach.

– Jest lepiej, niż myślałem – powiedział zdyszany forsowaniem stromego podejścia. – Nad tamą stoi ceglany domek. Tam schronili się wartownicy. Zauważyłem, że przygotowują się do zdania służby. Za kwadrans powinni nadejść nowi. Pochodzą trochę po deszczu, a jak im za kołnierz naleci, to też się schowają. Uważam, że powinniśmy

ruszyć za pół godziny.

Compaigne spojrział na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści.

– Ruszamy o dwudziestej drugiej. Zsynchronizujcie zegarki. Wszyscy, z wyjątkiem „Raidera”, odwinęli rękawy. Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Nie używam. Jak źle wskazuje, to można paskudnie wpaść – wyjaśnił lakonicznie i oparł się o pień drzewa. Zsunął na czoło australijski kapelusz, który nie wiadomo kiedy założył zamiast przepisowej furażerki, i wydawał się zasypiać.

– Myślisz o amulecie – „Wood” usiadł obok niego. „Raider” zrobił obojętną minę.

– To dziecinada – powiedział, ale „Wood” odniósł wrażenie, że nie był szczery.

Minutę przed wyznaczonym czasem „Raider” odsunął kapelusz z czoła, odsłaniając twarz.

– Ruszamy – powiedział.

– Twój zegarek spiesz się o minutę – zauważył Compaigne. „Raider” pokręcił głową.

– Nie, dałem „Woodowi” minutę na zebranie lin.

Ruszyli w dół zbocza, idąc ostrożnie na ugiętych nogach, gdyż buty ślizgały się po zbutwiałych liściach i kawałkach gałęzi.

Szum deszczu maskował odgłosy ich kroków, gdy zbliżali się do domu z wieżyczką, stojącego tuż przy zaporze. Compaigne pamiętał ten charakterystyczny budynek ze zdjęć lotniczych i od razu założył, że tam mieści się posterunek. Nie mógł wiedzieć, ilu wartowników było na straży. Prawdopodobnie dwóch dokonywało obchodu, a dwaj lub trzej przebywali w domu, obserwując teren przez okna.

Gdy podeszli bliżej, zauważył, że niektóre z okien były wypełnione workami z piaskiem, co oznaczało, że przystosowano je do prowadzenia przez nie ognia w przypadku zaatakowania strażnicy, a inne zabito na głucho deskami lub zamurovano.

Przykucnęli pod drzewem w odległości kilkudziesięciu metrów od strażnicy. Deszcz, który tak dobrze ich maskował, uniemożliwiał wypatrzenie wartowników, a od tego mogło zależeć powodzenie dalszej akcji.

Nagle przed wejściem do domu zapaliła się lampa. W ciemnościach otaczających tamę światło żarówki zalało okolicę niezwykłą jasnością, niczym snop reflektora.

– Zgaś to! – usłyszeli głos wartownika. Dostrzegli dwóch, którzy wyszli z domu. Jeden zatrzymał się i zapalił światło przed drzwiami. Pochylał się, szukając czegoś.

– Zapalniczka upadła – przykucnął. Najwidoczniej znalazł ją, gdyż po chwili wrócił do drzwi i wyłączył lampę.

Ten krótki moment wystarczył grupie Compaigne’a, aby doskonale zorientowali się w sytuacji.

Dwaj żołnierze wychodzili na patrol, kierując się najwyraźniej na drugą stronę tamy. Prawdopodobnie byli jedynymi, którzy obchodzili teren, pozostali schronili się przed deszczem w domu z wieżyczką.

Odczekali kilka minut i ruszyli w stronę tamy. Z daleka dobiegały do nich głosy

wartowników.

„Raider” pozostał kilka kroków z tyłu, aby obserwować drzwi do domu, a „Wood” szybko wiązał liny do poręczy. Pozostało im około siedmiu minut na zejście do jeziora i skrycie się pod wodą, zanim wrócą wartownicy. Ci, na szczęście, zatrzymali się na końcu tamy i zapalili papierosy, co można było dostrzec po błysku jasnego ognika zapalniczki.

Jeden po drugim zsuwali się do jeziora i zanurzali w lodowatej wodzie. Nie przypuszczali, że będzie tak zimna, a może było to pierwsze wrażenie. Compaigne, porównując temperaturę wody w jeziorze, obok którego przejeżdżali w Czechosłowacji, stwierdził, że miała dwanaście stopni Celsjusza. Oznaczało to, że powinni wytrzymać pół godziny, gdyż zakładał, że tyle zajmie im dopłynięcie do brzegu.

„Hamlet” ostatni zanurzył się w wodzie. Z dołu dostrzegł, jak „Wood” wciąga liny. Powinien zdążyć, gdyż wciąż nie było słychać wartowników. Najwidoczniej znaleźli schronienie przed deszczem i postanowili pozostać tam, aż wypalą papierosy.

Z daleka, między drzewami, widać było nieliczne światła zamku, oświetlające miejsca najważniejsze z punktu widzenia obrony.

Zaczęli płynąć w tamtą stronę, starając się unikać gwałtowniejszych ruchów. Wraz z wymachami rąk mijało pierwsze wrażenie przejmującego chłodu. Bali się skurczu, dlatego każdy miał wpiętą w kołnierzyk szpilkę z dużą główką, po jaką mógł sięgnąć, aby wbić ją w tężejący mięsień, przywracając mu sprawność.

Głosy na tamie przybliżyły się. W wilgotnym powietrzu dźwięk niósł się daleko, co pozwalało zorientować się, że wartownicy wracali i dochodzili do miejsca, w którym „Wood” zamocował liny. Compaigne miał nadzieję, że już zdołał je odwiązać i ukryć się w ciemnościach. Od tamy dobiegł śmiech. Obejrzał się, konstatuując z zadowoleniem, że odpłynęli na tyle daleko, by uniknąć niebezpieczeństwa dostrzeżenia ich przez wartowników. Nie wiedział jednak, gdzie są poukrywani żołnierze pilnujący brzegów, ani nie dostrzegał patroli, które musiały przecież krążyć nad jeziorem.

Zimno zaczęło powracać, gdy kolana uderzyły o skałę, co było nieomylnym znakiem, że dopłynęli do wyznaczonego miejsca. Skała wznosiła się pionowo, ale tworzyła komin, który chronił ich przed obserwacją.

– Sprawdź – szepnął Compaigne, odsuwając się od brzegu i dając miejsce „Hamletowi”, aby spróbował znaleźć linki doczepione do zapalników min.

– Nic nie ma – usłyszał po chwili jego głos. „Hamlet”, wciąż zanurzony do połowy, delikatnie przesuwając dłońmi po skale, na której musieli stanąć, aby wejść na brzeg.

– Cholera – zaklął po chwili.

– Co jest? – zaniepokoił się Czerny.

– Nic nie ma – powtórzył „Hamlet”.

– To źle? – mruknął Compaigne.

– Wolałbym znaleźć minę, przynajmniej wiedziałbym, że ją rozbroiłem. Sprawdź dno...

Skrył się pod wodą. Wypłynął po chwili, aby zaczerpnąć powietrza.

– Jest?

Nie odpowiedział i zanurzył się ponownie.

– Spaprali robotę – pojawił się nad wodą. – Nie chciało im się tutaj dojść, więc chyba ustawili miny tylko na górze, nad wylotem kanalizacji.

– Niech ci Bóg wybaczy, jeżeli się pomyliłeś, bo my nie zdążymy. – Compaigne, trzęsąc się z zimna, wyszedł na brzeg.

Jeden po drugim wspinali się do krzaków zasłaniających wylot rury kanalizacyjnej. Wielką pomocą okazały się korzenie wychodzące spod skał i spuszczone z góry. Nie dochodził ich żaden odgłos, który mógłby budzić niepokój. Najwidoczniej załoga zamku tak wierzyła w zasieki i miny, że nie patrolowała brzegów. Czasami tylko snop reflektora ślizgał się po przeciwległym brzegu, a odbijając się od kropel deszczu, rozświetlał okolicę. Było im to na rękę, gdyż wciąż byli niezauważalni dla wart w zamku, a niespodziewane światło pozwalało im zorientować się w sytuacji.

Wlot kanalizacji, który ukazał im się, gdy odsunęli darń i krzaki, miał około metra wysokości, co oznaczało, że dotarcie na dziedziniec nie będzie tak trudne, jak przewidywali. Był to kwadratowy kanał, najprawdopodobniej wymurowany z cegły, o czym świadczyła chropowatość powierzchni, jakiej dotykali dłońmi. Wpełzli do wnętrza, aby chwilę odpocząć i osuszyć się. Mokre ubrania parowały, lecz wciąż trzęśli się z zimna. Któryś zapalił małą latarkę ze szkłem przysłoniętym pergaminem, dzięki czemu dawała niewiele światła, i nie musieli się obawiać, że zostaną dostrzeżeni z zewnątrz.

– To za pierwszy sukces! – Czerny odpiął od paska manierkę i posunął Compaigne’owi. – Tylko ostrożnie...

Komandor pociągnął łyk, ale natychmiast, czując palenie w gardle i ustach, wypluł wszystko i otarł twarz rękawem.

– Co to jest, do diabła?

– Czysty alkohol – wyjaśnił spokojnie Czerny, odbierając od Compaigne’a manierkę i oddając ją „Raiderowi”. – A myślałeś, że mam bourbona? Ryby w jeziorze by pozdychały, jakby się trochę rozlało tego rozcieńczalnika do farb.

Compaigne, czując, jak niewielki łyk spirytusu zaczyna go rozgrzewać, wyciągnął rękę po manierkę, gdy „Raider” rozlał trochę alkoholu na dłoniach i, rozpiąwszy mundur, zaczął wcierać w klatkę piersiową. Po chwili to samo zrobił „Hamlet”, wiedząc, że czeka ich ponowne zanurzenie w zimnej wodzie jeziora.

– „Raider” i „Hamlet”, zostańcie tutaj przez piętnaście minut. Ogrzejcie się i płyńcie do transformatora. My ruszamy!

Na klęczkach zaczęli posuwać się oślizgłym kanałem, którego ściany porastała dziwna roślinność, najwidoczniej dobrze przystosowana do zacisznego i ciepłego wnętrza, ale z niewielką ilością światła, jakie przeciskało się przez krzaki i korzenie, które zarosły wylot.

Latarka, którą trzymał w zębach pełznący pierwszy „Afgan” dawała tak mało światła, że mogli dostrzec tylko niewielki fragment kanału, gdy przed nimi pozostawała ciemna

dziura.

W pewnym momencie owiał ich strumień zimnego powietrza, najbardziej oczywisty znak, że zbliżają się do końca podziemnej wędrówki. Wkrótce światło latarki wydobyło rysunek ceglanej ściany grodzącej dalszą drogę. „Afgan” spojrzał do góry, skąd spadały krople wody.

Snop reflektora przemknął gdzieś w pobliżu, rozświetlając wylot pionowego kanału. Tych kilka sekund wystarczyło, aby ocenili sytuację. Wąski komin miał około czterech metrów wysokości, a woda ściekająca po jego ścianach naniosła grubą warstwę wapienia.

– Czy dobrze zauważyłem, że na końcu jest krata? – zapytał „Afgan”.

– Tak – potwierdził Compaigne – wiedziałem o tym. Do tego kanału odprowadzano kiedyś wodę ściekającą z dachu.

– Jak to się stało, że Niemcy o nim zapomnieli? – Czerny dotykał dłońmi śliskiej ściany, po której nieprawdopodobieństwem było wspiąć się, nawet, gdy nie padał deszcz.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Compaigne. – A właściwie przyjąłem, że zapomnieli. Przekonamy się, czy miałem rację. Oprzyj się o ścianę.

„Afgan”, rozumiejąc, o co chodzi komandorowi, mocno docisnął plecy do mokrej skorupy wapiennej pokrywającej mur, ugiął nogi i złożył dłonie, tworząc z nich podpórkę. Compaigne ze zręcznością, jaką zadziwił Czernego, postawił stopę na jego dłoniach, odbił się i chwycił rękami za pręty kraty. Teraz Czerny, uniesiony przez „Afgana”, stał się podporą dla nóg Compaigne’a, który przez chwilę mocował się z kratą, o czym świadczył ból, jaki wywoływały buty wciskające się w ramiona Czernego. Po chwili krata puściła z cichym szcęknięciem i komandor mógł ją odsunąć, otwierając przejście. Metaliczny zgrzyt ciężkiej kraty musiał być słyszany daleko, ponieważ światło reflektora przesunęło się po ścianie. Nie zatrzymało się jednak, co wskazywało, że wartownicy nie zlokalizowali źródła podejrzanego dźwięku.

Odczekali kilka minut, aż reflektor, którego poświatę widzieli nad głowami, zgasł i Compaigne, zapierając się nogami o ścianę, podciągnął się na rękach, tak że mógł wyjrzeć na zewnątrz. Uznając, że nic im nie zagraża, wydostał się z kanału. Jego głowa pojawiła się ponownie w otworze. Opuścił rękę, aby Czerny podał mu walizki. Jedną po drugiej wciągnął je i podał rękę Czernemu, pomagając mu wyjść. Na dole pozostał „Afgan”, który był za głęboko, aby mogli wydobyć go bez lin. Compaigne oderwał taśmę uszczelniającą walizkę i otworzył ją. Wewnątrz obok munduru była ciasno spakowana lina. Przerzucił ją wokół karku, a koniec opuszczył do studni, z której po chwili wygramolił się „Afgan”.

Ciężko dysząc, usiedli pod ścianą, osłaniającą ich przed zacinającym deszczem. Miejsce, w którym się znaleźli, było na wysokości trzech metrów nad kamieniami dziedzińca, między ścianą zamku a wielką skałą, którą pozostawili przed wiekami budowniczowie, opierając o nią mur. We wgłębieniu, jakie w naturalny sposób powstało między cegłami a kamieniem, w czasie ulewnych deszczów zbierała się woda spływająca z dachowych rzygaczy. Wpadała do kanału między murem a skałą, którym

odprowadzana była do jeziora, a przez który mogli dostać się niezauważenie do tego miejsca. Z niepokojem myśleli, że była to najłatwiejsza część ich wyprawy.

Compaigne spojrział na fosforyzującą tarczę zegarka.

– Szliśmy siedemnaście minut. „Hamlet” i „Raider” powinni już być w jeziorze. Za dwadzieścia minut dopłyną do brzegu. Za pięć minut wyłączą prąd. Wtedy będziemy mogli przebiec do murów.

– Nie byłbym takim optymistą – „Afgan”, który położył się na brzuchu i podpełzł do końca skały, przyglądał się dziedzińcowi, dzielącemu ich od muru, do którego mieli dotrzeć. – Tam jest wartownik.

Odsunął się, robiąc miejsce dla Compaigne’a.

– Schronił się przed deszczem – powiedział po chwili. Widział jego sylwetkę w świetle lamp zawieszonych pod dachem osłaniającym drewniany pomost, który kiedyś służył obrońcom stojącym na murach.

– I będzie stał, dopóki będzie padał deszcz, czyli długo.

– Miałeś guwernantkę Niemkę? – Compaigne poklepał po ramieniu Czernego.

– Nie, guwenera. Herr Krausego. Compaigne zsunął się z kamienia i wyjął z walizki połowy mundur oficera SS.

– Zakładajcie to! – rzucił pakunek Czernemu, a drugi podał „Afganowi”. – Czas, żebyśmy zrezygnowali z szansy na umieszczenie nas w obozie jenieckim i wybrali pewność, że zostaniemy rozstrzelani w tym ponurym zamku.

„Afgan” zapiął pod szyją kurtkę i przerzucił maskującą bluzę.

– Ja też mówię po niemiecku. Całkiem niezłe, choć z austriackim akcentem – powiedział.

– Nie pomogę wam, chłopcy. Czekamy na wyłączenie światła – Compaigne spakował amerykańskie mundury, w których doszli do zamku, i starannie ukrył walizki pod kamieniem.

„Raider” i „Hamlet” płynęli do brzegu wyczerpani zimnem i ogromnym wysiłkiem. Niewielkie plecaki ciążyły im tak bardzo, że gotowi byli pozbyć się ich i jedynie myśl, że mają tam narzędzia konieczne do wykonania zadania, powstrzymywała ich przed odpięciem pasków.

„Raider”, który lepiej znosił morderczy wysiłek, podpłynął do „Hamleta”, wyraźnie słabnącego.

– To tylko kryzys, zaraz minie – chwycił mocno „Hamleta” pod ramię i pociągnął w stronę brzegu.

Ten niespodziewany gest dodał mu sił na tyle, że zaczął mocniej ruszać ramionami, rozgarniając wodę. Światło reflektora, które co kilka minut przemykało nad ich głowami, tworzyło poświatę, dzięki której mogli zorientować się w kierunkach.

– Dziesięć metrów..., osiem metrów..., rytmicznie... – „Raider” wciąż ciągnął „Hamleta”, płynąc lekko przechylony na bok i poruszając jedną ręką. – Pięć metrów – powiedział wreszcie.

Refleks światła wydobył z ciemności zarys brzegu, odległego o kilkanaście metrów.

– Płyn sam! – „Hamlet” powiedział to pewnie, co świadczyło, że odzyskuje siły.

Po chwili obydwaj oparli się o nadbrzeżną skałę. „Raider” zsunął plecak, aby móc łatwiej wydostać się z wody, uchwycił się dłońmi występu skalnego i, przez moment napinając mięśnie od nadzwyczajnego wysiłku, podciągnął się tak, że mógł zaczepić się nogą o coś wystającego i wydostać się na kamień, wiszący o pół metra nad wodą. Położył się i opuścił rękę. „Hamlet” podał mu plecak i chwycił dłońmi za szorstką krawędź. Siły opuszczały go i choć zdołał podciągnąć się na tyle, żeby wynurzyć się do połowy, to jego ciało stawało się coraz cięższe i wydawało mu się, że nie zdoła wspiąć się na skałę. Nagle poczuł żelazny uścisk na nadgarstku – to „Raider” uchwycił go za rękę i nie zważając lub nie widząc, że kamienie ranią ręce „Hamleta”, ciągnął go z niezwykłą siłą, aż po chwili ten mógł przerzucić nogę, zaczepić butem o jakiś występ i, zdobywając się na ostatni wysiłek, wciągnął się na brzeg. Leżał przez kilka minut, niezdolny już do żadnego ruchu. Zimno paraliżowało jego mięśnie i wydawało mu się, że za moment ściśnie je skurcz. Wiedział, że tylko ruch może mu pomóc, ale był niezdolny do dźwignięcia się na kolana.

– Wstań – „Raider” usiłował podeprzeć go, ale sam był za słaby. – Mamy tylko pięć minut.

„Hamlet” nie odpowiadał. Czuł, że musi odpocząć jeszcze chwilę. „Raider” podniósł się.

– Poszedłbym sam, ale musisz sprawdzić, gdzie założyli ładunki.

– Tu ich nie ma. To niedostępne miejsce – „Hamlet” skulił się, wciąż drżąc z zimna.

Światło reflektora wydobyło z ciemności i deszczu widok skalnych załomów. „Raiderowi” wydawało się, że dostrzega ścieżkę, którą mogli wdrapać się na górę. Już nie mieli czasu. Każda minuta stracona na skalnej półce nad jeziorem mogła przesądzić o fiasku ich misji.

– Zginą, jeżeli jeszcze tu posiedzimy. Idę sam – narzucił plecak i zostawiając skulonego „Hamleta”, wsunął but w skalną szczelinę.

Wbrew obawom droga na górę nie była trudna i znalazł się tam szybciej, niż myślał. „Hamlet” też zdołał opanować kryzys i podążył za nim.

W krzakach wyczuli zwoje drutu kolczastego, ale ułożone niestarannie i najwidoczniej nie sprawdzane od dawna, gdyż z łatwością podparli je gałęzią, robiąc otwór wystarczająco duży, aby mogli tamtędy się przeczołgać.

Widzieli już budynek z transformatorem. Niewielki prostopadłościan bez okien, ze spadzistym dachem stał w odległości dwustu metrów.

„Raider” przykucnął. Rozejrzał się uważnie, starając się dostrzec cokolwiek w ciemnościach.

– Nie podoba mi się to – szepnął. – Z tego miejsca zasilają ważny obiekt, a nie

pilnują go...

– Myślisz, że gdzieś ukrył się wartownik?

– Nie wiem... Powinien tu być...

Znów zaczął się rozglądać, wypatrując jakiegokolwiek oznaki obecności straży. Nic jednak nie wskazywało, że teren, na którym się znaleźli, był pilnowany. Prawdopodobnie nikt nie zakładał, że wróg może dostać się tutaj od jeziora.

„Raider” wyprostował się.

– Idziemy!

„Hamlet” nie pytał już o nic więcej. Zarzucił plecak i podążył za „Raiderem”. Ta sytuacja budziła jego podejrzenia. Zbyt łatwo docierali do ważnego miejsca. Można to było wytłumaczyć jedynie bałaganem ostatnich dni wojny, gdy brakowało ludzi, a błędne decyzje niekompetentnych dowódców mnożyły się, gdyż na najważniejsze stanowiska powoływano ludzi bez doświadczenia.

Przebiegli szybko przestrzeń dzielącą ich od budynku transformatora i oparli się plecami o ścianę, dokładnie w momencie, w którym w zamku zajaśniał reflektor i smuga światła przemknęła obok.

„Hamlet” wyciągnął płaską latarkę i zasunął klapkę osłaniającą jej szkło, tak aby światło nie padało na boki. Starannie przyjrzał się framudze, na której nie znalazł śladu zaminowania.

Metalowy uchwyt był wytarty, co wskazywało, że drzwi często otwierano. Tym bardziej nie należało się spodziewać przemyślnego systemu zabezpieczeń, utrudniającego obsłudze dostęp do transformatora. Uznał, że urządzenia w budynku nie zostały zaminowane, gdyż wybuch mógłby je uszkodzić. Przyklęknął i wsunął klucz do zamka, starając się wyczuć charakterystyczny opór zapadki.

„Raider” wysunął się zza rogu. W nocy widział jak kot, a tę umiejętność wykształcił pobyt w birmańskiej dżungli, gdzie nigdy nie dochodziło słońce, a noc była nieprzeniknioną ciemnością. Wciąż nie dostrzegał żadnych oznak obecności wartownika. Jedynie w oddali widział pas zasieków, do których zapewne dołączono ładunki, aby wybuch zaalarmował strażę pilnującą pobliskiego skrzyżowania.

– Gotowe – szepnął „Hamlet”. Drzwi ustąpiły z lekkim szcękaniem metalowej zasuwki. Odczekał moment, nasłuchując, czy otwarcie drzwi nie włączyło systemu alarmowego. Nic jednak nie zakłócało ciszy. Z zamku nie dobiegały żadne oznaki niepokoju.

– Szybciej – ponaglił go „Raider”. – Spóźnimy się.

Światło reflektora znowu rozjaśniło noc. „Raider” pochylił się, aby wykorzystać tę okazję do przyjrzenia się otoczeniu. Wtedy dostrzegł tablicę wbity w ziemię kilka kroków od transformatora „Ostrzeżenie o wysokim napięciu – pomyślał. – Ale dlaczego trzy metry od miejsca, gdzie to wysokie napięcie przepływa”?

„Hamlet” wszedł do ciasnego wnętrza, pozbawionego okien, co umożliwiło mu zdjęcie osłony z latarki i dokładne przyjrzenie się urządzeniom. Wszystko było tak, jak przewidywali.

Wyjął z plecaka łom. Krótki, masywny, który tak bardzo ciążył mu w czasie pokonywania jeziora. Rzucił celując tak, aby spadając, zwarł druty. Miało wyglądać tak, jakby elektryk pozostawił łom, który zsunął się i spowodował awarię.

Nie trafił. Łom spadł na podłogę z takim hałasem, że „Hamlet” zamarł, obawiając się, iż usłyszą to strażę. Po kilku chwilach ponowił próbę. Tym razem trafił dokładnie w wybrane miejsce. Snop iskier strzelił pod sufit.

– Okay – usłyszał głos „Raidera”, który pozostawał na zewnątrz. – Światła w zamku zgasły.

„Hamlet” przyklęknął, manipulując przy zamku.

– Gotowe, wycofujemy się. – Czuł ogromną ulgę, że oto odniósł dwa zwycięstwa, pokonując wycieńczenie i perfekcyjnie wykonując zadanie.

– Teraz! – syknął Compaigne. – Odeślijcie wartownika na miejsce, do bramy!

Ciemność ogarnęła dziedziniec, co wartownicy przyjęli ze spokojem. Widocznie awarie musiały zdarzać się często i chwilowy brak prądu nikogo nie niepokoił.

Compaigne usłyszał, jak Czerny i „Afgan” zsunęli się z kamienia, a potem, rozmawiając, skierowali się do miejsca, gdzie stał strażnik. „Ciekawe, o czym gadają” – pomyślał. Położył się na kamieniu, aby obserwować sytuację.

Wartownik włączył latarkę i oświetlił Czernego i „Afgana”. Zanim jednak zdążył zapytać o hasło, Czerny krzyknął:

– Dlaczego nie na swoim posterunku, żołnierzu?

– Melduję, panie Hauptsturmführer, że otrzymałem pozwolenie na zmianę miejsca...
– żołnierz był tak zaskoczony sytuacją, że wciąż nie pytał o hasło. Prawdopodobnie od niedawna był w wojsku i cała ta sytuacja – deszcz, nagła ciemność i pojawienie się dwóch oficerów – zaskoczyła go.

– Wracać na posterunek! – rozkazał „Afgan”. – Rano zameldujecie się u dowódcy warty!

– Tak jest! – wartownik, przyświecając sobie latarką, zbiegł ze schodów.

„Dobrze mówią po niemiecku” – skonstatował w myśli Compaigne. Zsunął się ze skały i czekał niecierpliwie na sygnał, że droga jest wolna. Obawiał się, że za chwilę zostaną włączone agregaty prądotwórcze i na dziedzińcu zajaśnieją światła.

Wartownik zgasił latarkę, gdy doszedł do bramy, wystarczająco daleko, aby w ciemnościach nie mógł dostrzec ani usłyszeć Compaigne’a.

Compaigne pochylił się i przebiegł szybko przez dziedziniec. Dopadł do pomostu chwilę przed włączeniem światła. Było ich znacznie mniej niż wtedy, gdy działało normalne zasilanie, więc ryzyko, że został dostrzeżony, praktycznie nie istniało.

Czerny i „Afgan” szli, głośno rozważając przyczyny awarii, aby hałasem, jaki czynili, zagłuszyć odgłos jego kroków.

Doszedł do nich, gdy byli już przed drzwiami prowadzącymi z pomostu do wnętrza zamku.

– Powinny być otwarte – powiedział Compaigne. Klamka ustąpiła pod naciskiem jego dłoni i drzwi otworzyły się bezgłośnie.

– Dobrze, zadbał nawet o nasmarowanie zawiasów – mruknął zadowolony Compaigne. Cała wyprawa, choć wydawała się nadzwyczaj ryzykowna, przebiegała bez zakłóceń. – Zaczekajcie...

Ktoś szedł pomostem. Czyżby szczęście przestało im sprzyjać i miały się pojawić problemy?

Compaigne wyciągnął papierosy i podał Czernemu.

– Spokojnie – szepnął.

Wiedzieli, co mają powiedzieć na wypadek niespodziewanego spotkania. Byli z dwunastego pułku SS, który wieczorem został oddelegowany z Lauban do wykonania ważnego zadania, o którym bliżej nic nie wiedzieli, ze względu na ścisłą tajemnicę. Poszukują Obersturmbannführera Glöbckego.

Takie tłumaczenie byłoby nad wyraz prawdopodobne, pod warunkiem, że nie spotkaliby... Obersturmbannführera Glöbckego, o którego wyglądzie nie mieli pojęcia.

Zapalili papierosy, opierając się o barierkę. Ich spokój i pewne siebie zachowanie mogły zmylić najbardziej czujnego wartownika.

– Wiecie, czym się różni słoń od fortepianu? – zapytał nagle „Afgan”. – Fortepian można zasłonić!

Czerny wybuchnął głośnym śmiechem, do którego dołączył się Compaigne.

Oficer idący pomostem, zbliżał się.

– Żadnej walki – przypomniał im Compaigne. – Zapytaj go o coś – powiedział do Czernego.

– Przepraszam, panie kapitanie – Czerny zwrócił się do oficera, gdy ten zrównał się z nimi – dopiero przyjechaliśmy do zamku, czy tędy idzie się do kantyny?

– Powiedziałbym, że... dopłynęliście. Dobrze pana widzieć, poruczniku Czerny – rzucił jakby mimochodem, minął ich i otworzył drzwi.

– Joachim! – szepnął Czerny, nie mając wątpliwości, że rozpoznał głos, który słyszał pięć lat temu.

– Tak! Wchodźcie! – Jorg odwrócił się, rozglądając się po dziedzińcu. Stali pod daszkiem osłaniającym pomost, dodatkowo zamaskowani grubymi podporami i ani z dziedzińca, ani z zamku nikt nie mógł ich widzieć. – Idźcie za mną...

Otworzył drzwi i tuż za nimi nacisnął i przesunął w prawo panel boazerii, ujawniając wejście do ciasnego korytarza. Wcisnęli się tam jeden za drugim, przesuwając się bokiem, zbyt barczyści, żeby iść normalnie. Jorg włączył latarkę, oświetlając przejście, przez które przemknęło kilka szczurów, zaniepokojonych niespodziewaną wizytą ludzi, którzy nie zaglądali do tego tunelu od wielu lat.

– Nie spóźniliśmy się dużo – „Hamlet” schował wytrych i odwrócił się do „Raidera”, który wciąż siedział w kucki, oparty o mur budynku. – Chodź, za parę minut będą tu Niemcy.

„Raider” nie ruszał się. Po chwili wyprostował się.

– Jesteśmy na polu minowym... – powiedział cicho.

– Zwariowałaś, to jak tu doszliśmy? – „Hamlet” uznał, że „Raider” żartuje.

Ten wskazał na tablicę przed transformatorem.

– Przypomnienie dla ludzi wychodzących z budynku, że dookoła są miny i mają iść według schematu „B”. Wiesz może, co to jest schemat „B”?

„Hamlet” zatrzymał się, nie wiedząc, co ma zrobić.

– To jak tu doszliśmy? – powtórzył.

– Po prostu mieliśmy cholerne szczęście...

– Nie ma możliwości przejścia przez pole minowe. Nie zaminowali terenu od jeziora – powiedział nagle, chcąc bardzo w to uwierzyć.

– Nie, tam... – „Raider” ponownie wskazał na tablicę – narysowano plan. Cały teren, i od jeziora, i w stronę drogi, zamalowano na czerwono. Miny są po obydwu stronach, od jeziora i od drogi. Dlatego nikt nie pilnował transformatora.

Gdzieś w oddali pojawiły się światła samochodu, doskonale widoczne w ciemnościach, jakie zapadły, gdy wyłączono oświetlenie zamku.

– Jadą... – powiedział „Raider”.

– Masz pomysł? – „Hamlet” nie odważył się zrobić kroku poza betonową ścieżkę okalającą budynek transformatora, która wydawała się jedynym bezpiecznym miejscem.

– Mam nadzieję, że te miny zabiją mnie, a nie... tylko urwą nogę.

Spokój, z jakim mówił, był jak uderzenie. Pozbawiał wszelkiej nadziei. „Hamlet” zaczynał rozumieć, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Za kilka minut patrol dotrze do tego miejsca i widząc ich, otworzy ogień. A uciekając, wpadną na miny.

– I tak, i tak zginiemy – mruknął „Raider”, jakby jego myśli podążały tym samym torem – ale mamy jedną szansę na dziesięć milionów, że zdołamy przejść przez to pole minowe. Idziemy...

Wskazał w stronę drogi.

– Dlaczego tam?

– Idąc od jeziora wykorzystaliśmy nasze szczęście. Może spróbujemy w drugą stronę. Idę pierwszy. Ty za mną, krok w krok. Poza tym...

Nie dokończył zdania. „Hamlet” jednak wiedział, co chciał powiedzieć, gdyż przesunął palcami wokół szyi, jakby szukał swojego amuletu.

„Raider” przerzucił plecak przez ramię i przytrzymując pasek jedną ręką, ruszył, starając się stawiać duże kroki.

– Nie zostawaj z tyłu – ponaglił „Hamleta”, który wciąż nie mógł się zdecydować,

czy opuścić bezpieczne miejsce. – Będą tu za kilka minut...

„Możemy się przecież poddać” – pomyślał „Hamlet”, który wciąż zastanawiał się nad ratunkiem. – Wiesz – powiedział – pomyślałem sobie, że możemy się uratować.

– Jak? – „Raider” zatrzymał się.

– Idę do ciebie, to ci powiem. Nie będę krzyczał, bo nas wykryją... – Zrobił pierwszy krok, schodząc z betonowej ścieżki i natychmiast przystanął, jakby obawiając się bólu. – Pomyślałem, że przecież możemy się poddać – następne kroki wydawały się łatwiejsze.

– Żeby moje dzieci wstydziły się ojca?! – krzyknął „Raider”.

– A masz dzieci? – „Hamlet” zrównał się z nim. Wyglądali jak dwaj przyjaciele, którzy wybrali się na wycieczkę.

– Nie, ale tym bardziej.

Zaczęli się śmiać, nie zważając na śmiertelne niebezpieczeństwo, w jakie zagłębiali się za każdym krokiem.

– Przeszliśmy już pięćdziesiąt metrów – „Hamlet” obejrzał się.

– Przed nami jeszcze dwieście, ale dobrze nam idzie. Zaczynam wierzyć, że mamy cholerne, niepowtarzalne szczęście...

Znowu przesunął palcami wokół szyi. Czyżby uwierzył, że jego amulet działa na odległość?

Korytarz zakręcał w prawo, gdzie rozpoczynały się wytarte schody o stopniach z piaskowca. Gdzieś z daleka dobiegł stłumiony odgłos wybuchu.

Compaigne zatrzymał się zaniepokojony.

– Co jest? – Jorg skierował latarkę na jego twarz. Compaigne pokręcił głową nasłuchując. Po chwili rozległ się drugi wybuch.

– „Raider” i „Hamlet”? – Czerny spojrzał na Compaigne’a.

– Mam nadzieję, że nie...

– Wasi ludzie są tu w pobliżu? – zapytał Jorg.

– Poszli do transformatora, aby wyłączyć prąd.

– Cały teren jest zaminowany – wyjaśnił Jorg.

– Miejmy nadzieję, że zdetonowali miny, torując sobie drogę. Jorg nie odpowiedział, tylko skierował snop latarki w głąb tunelu.

– Bez względu na to, co się stało, mamy już niewiele czasu. Wybuchy postawią na nogi całą załogę zamku! Ściągną tam patrole i reflektory, aby oświetlić teren. To im zajmie godzinę, w tym czasie musicie stąd wyjść.

Jorg zapalił naftową lampę, którą podniósł, aby oświetlić twarz.

– Jak pan nas wypatrzył? – Compaigne postanowił wyjaśnić sprawę, która go niepokoiła, zwłaszcza po wybuchach w sąsiedztwie zamku.

– Wiedziałem, że po aresztowaniu Natalii odtworzycie kontakt, a sposób był tylko

jeden: ktoś do mnie musiał dotrzeć, i to jedyną drogą: przez jezioro. Założyłem, że stanie się to między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Okna mojego pokoju wychodzą na jezioro, więc bawiłem się w obserwatora, aż was dostrzegłem, przyznam, przypadkowo w smudze reflektora i wyszedłem na pomoc. To wszystko.

Compaigne rozglądał się po dziwnym pomieszczeniu, w jakim się znaleźli. Jorg dostrzegł jego wzrok.

– Jedyne bezpieczne miejsce w tym zamku – wyjaśnił. – Tu na pewno nie ma mikrofonów. Nikt poza dwoma osobami o tym nie wie.

– Natalia prawdopodobnie została zmuszona do współpracy z Gestapo, gdyż odczytano sygnał alarmowy w jej depeszy – powiedział Compaigne.

– Tego się obawiałem, a wiem, że ją torturowali. Teraz trzymają ją tutaj, w zamku. Czy zna pan treść meldunku, jaki nadała?

– Tak. Ewakuacja po szesnastym kwietnia do Kaufbeuren.

– Zgadza się. Ewakuacja nastąpi bardzo szybko. „Aparat” zapakowany jest w kilkanaście skrzyń o łącznej wadze siedmiu ton. Prawdopodobnie wyślą je na sześciu amerykańskich ciężarówkach z rosyjskimi znakami taktycznymi. Chcą w ten sposób zabezpieczyć się przed atakiem rosyjskich samolotów.

– Czy mówi panu coś nazwisko Orilo? – zapytał Compaigne. Jorg pokręcił głową.

– Nie słyszałem tego nazwiska. Kto to?

– Oficer, który ma nadzorować ewakuację.

– W zamku takiego nie ma. Może dopiero przyjedzie, ale wątpię, aby Glöbcke dopuścił kogokolwiek obcego. To musi być pseudonim lub hasło. Zakładam, że w pewnym momencie ujawni się człowiek, który poda wam takie nazwisko. Nie wiem, w jakim celu.

Jorg patrzył na Compaigne’a, zastanawiając się, do jakiego stopnia może mu zaufać. Przekazał podstawowe informacje, które wywiad amerykański musiał znać, aby przechwycić „Aparat”. Dopiero wtedy miała rozpocząć się najważniejsza gra.

Compaigne spojrział na zegarek.

– „Afgan” zostanie tutaj, jako radiotelegrafista, a więc kontakt będzie odtworzony...

– Chyba, że mnie szczury zjedzą, zanim nadam pierwszy radiogram – „Afgan” rozglądał się po piwnicy, niby żartując, ale nie podobała mu się perspektywa spędzenia wielu dni w dusznym pomieszczeniu, gdzie śmierdziało wilgocią, butwiejącymi odpadkami roślin i szczurzymi odchodami. – Poza tym, mogę długo stukać. Nadajnik jest za słaby, żeby sygnał przeszedł przez te skały i mury.

– Bez kłopotu wyjdzie pan na zewnątrz. Zresztą zrobimy to zaraz, bo domyślam się, że zechce pan potwierdzić nawiązanie kontaktu. A poza tym... – na moment zawahał się – dobrze byłoby przesłać informację o Natalii... – Jorg spojrział na Compaigne’a i Czernego, oczekując ich reakcji.

– Joanna na to czeka – powiedział Compaigne, rozumiejąc, że Jorg wciąż nie ufa im całkowicie i szuka potwierdzenia. Wstał. – Panie kapitanie, musimy poznać datę

odesłania „Aparatu” oraz kierunek ewakuacji. Niech pan spróbuje zapisać numery rejestracyjne. Ważne są wszelkie dane o planowanej trasie i sile konwoju.

– Jeszcze jedno – Jorg zatrzymał go. – Odnoszę wrażenie, że Niemcy podejrzewają mnie i mogą w każdej chwili aresztować. Nie chciałbym, żeby to przy mnie znaleźli.

Podał Compaigne’owi niewielką paczkę ciasno zawiniętą w gumę i starannie zaklejoną.

– Ciężka – stwierdził zdziwiony Compaigne. – Kamienie tam pan włożył?

– Ołów. Obciążylem na wypadek, gdybyście mieli kłopoty. Proszę to wyrzucić do wody. Nie może dostać się w ręce Niemców.

– Mogę zapytać, co to jest? – Compaigne wciąż ważył w ręku pakunek od Jorga.

– Dokumenty, które nie mają żadnej wartości dla nikogo, poza mną.

– Wciąż mi pan nie wierzy? – zapytał Compaigne, uśmiechając się, aby nadać pytaniu żartobliwy charakter. Jorg podszedł bliżej.

– Przyszyła pana Joanna... – urwał w pół zdania, ale sposób, w jaki wypowiedział te słowa wskazywały, jak wielkim szacunkiem i zaufaniem darzył tę kobietę. – To wystarczy, a to, czy uwierzę panu, okaże się.

Compaigne schował pakunek do obszernej kieszeni esesmańskiej kurtki i zasalutował.

– „Afgan”, liczymy na ciebie. Pamiętaj, że szczury dają się oswoić.

„Afgan” podniósł się z ławy.

– Dziękuję, panie komandorze. Zabiorę parę ze sobą. Compaigne przytrzymał jego dłoń i skinął, jakby chciał powiedzieć, „Ja cię rozumiem, ale ktoś musi tu zostać”.

Jeden po drugim znikali w ciemnościach tunelu, prowadzeni przez Jorga.

Glöbcke podniósł głowę, słysząc wybuch. Był zbyt odległy, aby cokolwiek zdarzyło się w zamku, lecz słyszeć go było za blisko, aby dobiegł z frontu.

– Czyżby miny? – zastanawiał się, nasłuchując. Pamiętał, że kilka minut wcześniej zgasło światło w zamku, co wyjaśniono awarią transformatora. Nie przywiązywał do tego większej wagi – przerwy w dopływie prądu zdarzały się często i nie stanowiły większego problemu, gdyż szybko uruchamiano agregaty prądotwórcze. Poza tym nie było żadnego sygnału wskazującego, że awaria została umyślnie wywołana.

Wstał, narzucił kurtkę i sięgnął po pas z kaburą. Po chwili dobiegł go drugi odległy wybuch i niemalże natychmiast ktoś zastukał do drzwi. Beer, nie czekając na pozwolenie, wszedł do pokoju.

– Dwa wybuchy na polu minowym w rejonie transformatora – zameldował. – Patrol jest już w drodze. Samochód czeka.

– Zarządzić alarm i podwyższone pogotowie. Wszystkie straże na stanowiska!

Glöbcke narzucił płaszcz i pobiegł za Beerem.

„Wood” położył się w niewielkim dole i przykrył siatką maskującą. Stał się niewidoczny, nawet dla blisko przechodzących żołnierzy, a w padającym deszczu nie musiał obawiać się, że wyczują go psy. Patrzył na zegarek i obliczał, kiedy komandor, Czerny, „Afgan”, „Raider” i „Hamlet” mogą wrócić. Brak jakiegokolwiek hałasu od strony zamku uważał za oczywisty znak, że nikogo nie wykryto, a strażę nie zostały postawione w stan pogotowia. Od czasu do czasu, gdy reflektor ślizgał się po zaporze, wychylał się, aby dostrzec wolno spacerujących wartowników. Wszystko było w porządku.

Nagle zgasło światło padające przez szpary w okiennicach domku straży. Uśmiechnął się zadowolony, uznając, że to najlepszy znak, iż „Raider” i „Hamlet” dotarli do transformatora i wyłączyli go. Wciąż z zamku nie dobiegały odgłosy alarmu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ, co oznaczało, że za godzinę wszyscy cali i zdrowi powinni pojawić się na dole, po drugiej stronie zapory.

Robiło się coraz zimniej. Postawił kołnierz lotniczej kurtki i ściągnął pasek łączący końce kołnierza, aby lepiej ochronić się przed utratą ciepła. Pomyślał, że reszta nie jest w tak komfortowej sytuacji, a mokre mundury ziębiły ich dodatkowo.

I nagle dobiegł go odgłos wybuchu. Potem drugi.

„Raider” i „Hamlet”? Nagły niepokój o towarzyszy sprawił, że ścisnęło go w żołądku. Pamiętał, jak na odprawie przed wyruszeniem do misji Compaigne ostrzegał ich, że teren w pobliżu zamku może być zaminowany. Ale czy to możliwe, żeby „Hamlet”, najlepszy specjalista od materiałów wybuchowych, nie poradził sobie? Znał go od dawna. W Afryce tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, we trzech wdarli się do włoskiego składu paliw. „Wood” usunął wszystkich strażników, co nie było trudne, gdyż większość z nich zaskoczył podczas snu. A „Hamlet” tak zainstalował ładunki, że z wielkiego magazynu na skraju lotniska pozostał tylko popiół. Wycofali się, prowadząc dwóch jeńców. To był widok! Trzech komandosów uchodzących z terenu otoczonego zwojami drutów kolczastych i obstawionego wieżami strażniczymi, pozostawiających za sobą strzelające w niebo płomienie i prowadzących jeńców, których zeznania okazały się bardzo ważne. Sam generał Archibald Wavell gratulował im tego wypadu!

Czyżby tutaj „Hamlet” mógł wpaść tak głupio i wylecieć na jakiejś prymitywnej minie, wkopanej pod murawę? On wyczuwał trotyl, jak pies trop zwierzęcia.

Zsunął się do jamy i zamknął oczy, odliczając, kiedy powinni dopłynąć do tamy.

Gdzieś z daleka dobiegł go warkot samochodu. Potem drugiego i trzeciego. W nocnym powietrzu głos niósł się doskonale. Po chwili z domku nad zaporą wybiegło trzech wartowników.

„Alarm!” – pomyślał „Wood”. Za chwilę mogą zacząć przeszukiwać okolicę. Rozsądek nakazywał, aby jak najszybciej oddalił się z tego miejsca.

Glöbcke wysiadł z samochodu przy zasiekach. Natychmiast podbiegł do niego oficer.

– Dwaj ludzie weszli na pole minowe – zameldował.

– Od której strony? – Glöbcke sięgnął po lornetkę.

– Jeszcze nie wiemy, ale ładunki wybuchowe na zasiekach nie eksplodowały, nie widać też przeciętych drutów, więc nie powinni tam wejść od drogi.

– To znaczy, przedostali się od jeziora?

– Tak jest, ale dopiero jak oświetlimy teren, będziemy mogli cokolwiek powiedzieć. Za kilkanaście minut.

– Beer! – krzyknął Glöbcke, rozglądając się za swoim zastępcą. Dostrzegł go w grupce oficerów. – Natychmiast motorówkę z reflektorem na jezioro! Szukać dywersantów!

– Tak jest! – Beer stanął przed nim, ale nie pobiegł, aby wykonać rozkaz. Pochylił się, by nikt nie słyszał tego, co zamierzał powiedzieć. – Przypominam, że na pana polecenie zaminowano i przegrodzono zasiekami wszystkie zejścia do jeziora. Oczyszczenie ich zajmie kilkanaście minut. Dopiero wtedy będziemy mogli spuścić łódź.

– Kto tam leży? – Glöbcke wskazał na miejsca wybuchów.

– Z tej odległości widać dwa ciała. Jeden chyba żyje, ale wykrwawi się, zanim do niego dotrzemy.

– Melduj o wszystkim. Jadę do zamku – Glöbcke odwrócił się i wsiadł do samochodu.

Powrót do zapory wydał się Compaigne'owi i Czernemu łatwiejszy niż pierwsza część ich wyprawy. Być może sprawił to ciepły prąd, pochodzący z jakiegoś podziemnego źródła, płynący wzdłuż brzegu. Nie mieli już wątpliwości, że „Hamlet” i „Raider” weszli na miny, gdyż światła z brzegu, rozlewające się jasną łuną w kroplach deszczu, wskazywały, że do rejonu gdzie stał transformator, ściągały niemieckie patrole. Dobiegał ich warkot motorów i szczekanie psów. Wydawało się to szczególnie niepokojące, zapowiadało bowiem, że lada moment patrole rozpoczną pościg wzdłuż brzegów, a nie można było wykluczyć, że wypłyną w łodziach na wodę i zaczną przeszukiwać jezioro. Mijał jednak czas, a Niemcy, poza lustrowaniem wody latarkami, nie rozpoczęli poszukiwań na jeziorze.

Czarny pierwszy dotarł do betonowej obudowy kanału, przez który woda wpływała na turbiny. Wysoko na tamie, na tle nieba, widzieli sylwetki wartowników, którzy zgromadzili się w jednym miejscu, mając stamtąd najlepszy widok na odległy brzeg, gdzie przybywało coraz więcej żołnierzy.

Z wnętrza kanału słychać było tylko plusk przelewającej się wody, lecz nie dochodził

szum generatorów. Elektrownia nie pracowała.

– Mam nadzieję, że nie włączą, gdy tam wejdziemy. Zmieliłoby nas – Czerny, chwytając się poręczy okalającej wlot kanału, podciągnął się i przełożył nogę na drugą stronę betonowej rury. Po chwili w jego ślady poszedł Compaigne i, ześlizgując się po powierzchni wypolerowanej przez wodę, szybko znaleźli się na stalowej siatce, grodzącej wlot do turbin.

Compaigne uderzył nogą, ale stalowe pręty nawet się nie wygięły. Spojrzał w górę, rozumiejąc, że nie mają żadnej możliwości powrotu, gdyż nie zdołaliby wspiąć się po gładkiej powierzchni ścian. Przez moment wydawało mu się, że znaleźli się w pułapce, w której utoną, gdy ruszą turbiny i z góry zaczną napływać masy wody.

Czerny włączył latarkę, choć zdawał sobie sprawę z ryzyka. Światło mogło zostać dostrzeżone przez wartowników na tamie. Zastanawiał go ciemny otwór nieco powyżej, nad ich głowami.

– To może być dojście dla obsługi.

Uniósł się na palcach i wsunął rękę w czeluść kanału. Po chwili namacał metalowy pręt. Pociągnął, czując, że wysuwa drabinkę, umożliwiającą technikom zejście do tego miejsca.

Wspięli się szybko do wnętrza wąskiego korytarza, który, biegnąc ukośnie w górę, doprowadził ich do większego, poziomego tunelu, gdzie, co prawda pochyleni, mogli już stanąć. Po chwili zorientowali się, że znaleźli się tuż pod powierzchnią jezdni biegnącej na szczycie tamy. Nie wiedzieli jednak, dokąd trafią i czy idą w dobrą stronę.

„Wood” postanowił opuścić bezpieczną kryjówkę w leśnym wykrocie. W świetle lamp, które włączono na tamie, dostrzegł, że wartownicy, zamiast patrolować okolicę, skupili się w jednym miejscu, ciekawi wydarzenia, które rozgrywało się poniżej tamy, w miejscu eksplozji min.

Nisko pochyłony przebiegł przez drogę prowadzącą do tamy. Miał szczęście, gdyż ledwo zdążył wskoczyć do przydrożnego rowu, gdy zza zakrętu wyjechał samochód z kilkoma esesmanami. Jechali szybko, nie zwracając uwagi na otoczenie. Najwidoczniej zmierzali do wartowników na zaporze i tam się zatrzymali. Z samochodu wysiadł oficer, aby przekazać instrukcje. Trwało to chwilę i samochód odjechał.

„Wood” wdrapał się na niewielkie wzniesienie i, mocno wczepiając się palcami i obcasami w mokre poszycie, zaczął zsuwać się do skarpy stromo opadającej z drugiej strony zapory, gdzie na samym dole w betonowym korycie płynęła struga wody, sącząc się przez nieczynne turbiny. I wtedy dostrzegł sylwetki Compaigne’a i Czernego na długim i wąskim balkoniku na samym szczycie tamy. Była to platforma, opuszczana w celu sprawdzenia stanu kamiennych płyt, pokrywających ścianę tamy od strony, na którą nie napierała woda. Prawdopodobnie wcześniej ekipa remontowa używała tego

urządzenia, dokonując inspekcji lub naprawy i pozostawiła platformę, odesłana do innego zadania.

Dwaj wartownicy, zgodnie z rozkazem, jaki otrzymali od oficera, ruszyli w stronę posterunku. Szli wzdłuż krawędzi od strony jeziora, od czasu do czasu oświetlając latarkami ścianę i wodę. Musiało minąć dużo czasu, zanim doszliby do końca i rozpoczęli kontrolowanie drugiej ściany, na której byli Compaigne i Czerny. Mogli jednak w każdej chwili zmienić swoją trasę i przejść na drugą stronę, a wówczas ludzie zawieszani na niewielkiej platformie nie mieliby szans ucieczki ani ukrycia się.

Jedna z czarnych sylwetek doszła do końca balkoniku i balansując na wąskiej krawędzi, usiłowała chwycić za gruby pęk kabli, biegnących nad głową. „Wood” podniósł lornetkę i dopiero wtedy dostrzegł, że to Czerny zdecydował się na taki desperacki krok.

Na tamie, w oddali, zabłyśły światła samochodu. Wartownicy zatrzymali się, obserwując, kto nadjeżdża, a rozpoznając samochód oficera, pobiegli w tamtą stronę, oddalając się od miejsca, w którym stali Czerny i Compaigne.

Ci stanęli właśnie na poręczy, chwytając wysoko uniesionymi rękami wiązki kabli. „Wood” zrozumiał, że w ten sposób blokują platformę, aby nie usunęła się podczas skoku.

Z samochodu wysiadł oficer oraz kilku żołnierzy, najwyraźniej przysłanych po to, aby wzmocnić straż na tamie.

„Wood” uspokoił się, uznając, że rozstawienie nowych wart i wyznaczenie zadań potrwa kilka minut, w czasie których Czerny i Compaigne powinni dotrzeć do skarpy. Jeżeli tylko uda im się skok. Chybotliwą platformę dzieliły od ściany urwiska niespełna dwa metry, ale nie odległość była największą przeszkodą.

Gwizdnął cicho. Compaigne podniósł rękę, potwierdzając, że usłyszał sygnał. Szykował się do skoku, doskonale zdając sobie sprawę, jak jest ryzykowny. Wreszcie ugiął nogi, odbił się i przeleciał w powietrzu dwa metry, trafiając na wystający kamień. But ześlizgnął się po mokrej powierzchni, więc balansując przez sekundę, w podświadomym odruchu, który miał mu przywrócić równowagę, sięgnął na oślep w bok, chwytając za pień brzoźki. Dzięki mokrej rękawiczce, którą naciągnął na dłoń, aby ochronić się przed zimną wodą, drzewko nie wyślizgnęło się z jego dłoni. Utrzymał się tak przez moment, aż udało mu się przeważać ciężar ciała i stanąć pewnie na skalnej półce. Odwrócił się i usiadł, opierając się plecami, gotów pomóc Czernemu, który za sekundę miał powtórzyć jego skok.

„Wood” przeniósł wzrok na żołnierzy na tamie. Na szczęście przerwali obchód i stanęli na wyznaczonych pozycjach. Dwaj szli, aby podjąć wartę w miejscu, z którego mogliby dojrzeć Compaigne’a i Czernego, ale wciąż byli za daleko. Spojrzał w stronę balkoniku – Czerny skoczył tak, że upadł całym ciałem do przodu, i leżał płasko na skarpie.

„Wood” zsunął się o kilka metrów, zaparł stopami o wystające kamienie i opuścił

linę, której koniec schwycił Compaigne. Z wysiłkiem, na jaki stać tylko człowieka znajdującego się w beznadziejnej sytuacji, wy dostał się na górę i usiadł obok „Wooda”, ciężko dysząc. Po chwili to samo zrobił Czerny. Bez słowa, chyłkiem, wycofali się w stronę drogi i pobiegli do miejsca, gdzie „Wood” wynalazł kryjówkę. Zmęczenie przemogło ogromne napięcie i Compaigne oraz Czerny zapadli w krótki, niespokojny sen.

Glöbcke zszedł na dół, do długiego korytarza, jasno oświetlonego lampami na ścianach pod stropem; Jorg spisywał tam zawartość skrzyń, dokładnie numerując wszystkie urządzenia. Stał przy nim, przyglądając się bez słowa kolumnom cyfr w notatniku Jorga.

– Mogę panu w czymś pomóc? – Jorg nie podnosił głowy, zajęty obserwowaniem techników układających metalowe części w skrzyni wyłożonej wiórami.

– Zastanawiam się, czy pan coś słyszał.

– Nie – Jorg wciąż nie podnosił głowy – tutaj pod ziemią niewiele się mówi. A o czym miałem słyszeć?

Pewność i spokój Jorga zbiły z tropu Glöbckego.

– Mówię o wybuchach – wyjaśnił, bacznie obserwując reakcję kapitana. – Dwaj ludzie wylecieli w powietrze na minach.

– Widocznie nie przeczytali ostrzeżenia albo byli pijani. Przeszkadza mi pan, czy ma pan coś tak ważnego, że uzasadniałoby to przerwanie pakowania „Aparatu”? – Jorg opuścił notatnik i spojrzał prosto w oczy Glöbckego.

– Kiedy zakończy pan pakowanie „Aparatu”? – zapytał Glöbcke po chwili milczenia.

– Jeżeli nie będzie mi pan przeszkadzał to przed świtem.

Glöbcke odwrócił się bez słowa, słysząc kroki na kamiennych schodach – to Beer zatrzymał się w oddali, dając znak, że ma coś ważnego do przekazania.

– Co jest?

– Dotarliśmy do trupów – Beer mówił półgłosem, pochylony nad ramieniem Glöbckego. – Jeden to nawet żył jeszcze, ale nie zdołaliśmy go uratować, stracił za dużo krwi. Byli w mundurach pilotów amerykańskich.

– Co z tego?

– Wczoraj w okolicach Arnsdorf spadł amerykański samolot zwiadowczy. To jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. Mogli przedzierać się do rosyjskich linii i nie zauważyli, że weszli na pole minowe.

– Pozostawili jakieś ślady? Beer pokręcił głową.

– Za mocno pada. Deszcz wszystko zmył. Psy też nie podjęły śladu.

– To skąd wiesz, że szli drogą?

– Nie mogli przejść od jeziora, tam też są miny.

– A awaria?

– Wygląda, że jakiś technik zostawił łom, który zwarł przewody. Może zrobił to specjalnie. Sprawdzamy, kto ostatnio dokonywał konserwacji. Braliśmy ludzi z Marklissy.

Glöbcke skinął głową.

Wyjaśnienia Beera brzmiały przekonująco. Nie odkryto niczego, co wskazywałoby, że w okolicy działała wroga grupa. Straże na tamie niczego nie zauważyły. Być może z nadejściem dnia uda się odnaleźć ślady.

– Beer! – Glöbcke zatrzymał esesmana, który przebiegł już kilka stopni. Słyszając wezwanie, posłusznie wrócił.

– Stan gotowości ma trwać. Obstawić dziedziniec. Tam nie tylko mysz nie może prześlizgnąć się niezauważona. Nawet pająk.

– Tak jest! – zsalutował Beer.

– I zapowiedz, że jeżeli złapię kogokolwiek na przekroczeniu regulaminu warty, zostanie natychmiast powieszony. Kiedy przyjadą ciężarówki?

– Będą nad ranem.

– Natychmiast zacząć załadunek. Konwój ruszy do Fürstenstein wieczorem. Przekażcie przez radio otwartym tekstem wiadomość, żeby rozpoczęli przygotowania do planu „Z”.

Spojrzał na zaskoczonego Beera.

– Co cię tak dziwi? Ładnie brzmi, jak „Pers Z”. Beer zsalutował i zamierzał odejść.

– Czeka! – zatrzymał go Glöbcke. Niespodziewany pomysł przyszedł mu do głowy. – Weźmiesz kilku żołnierzy ochrony i natychmiast wyjedziesz do Fürstenstein! Masz tam być przed konwojem i zameldować się u dowódcy zamku. Nie pamiętam, kto to...

– Ale... – Beer był bardzo zaskoczony niespodziewanym rozkazem.

– Na miejscu będziesz nadzorował ukrycie „Aparatu” – mówił dalej Glöbcke. – Nie wierzę dokumentom. Chcę mieć twoją relację, gdzie ukryto skrzynie i jak je zabezpieczono. Dopilnujesz, żeby więźniowie, którzy będą przenosić skrzynie, zostali rozstrzelani, a nadzorujący ich esesmani – natychmiast odesłani, najlepiej do obrony Berlina. Wrócisz po wykonaniu zadania!

– Tak jest! – Beer wciąż był zdziwiony niespodziewanym rozkazem.

Glöbcke skinieniem głowy potwierdził, że nie ma więcej rozkazów do przekazania. Nie potrafił uzmysłwić, dlaczego pomysł odesłania swojego zastępcy nagle uznał za celowy i ze wszech miar uzasadniony. Odczekał, aż Beer zniknął w głębi korytarza, podszedł do telefonu wiszącego na ścianie i pokręcił korbką.

– Kto dzisiaj jest dowódcą wart?

Odczekał chwilę, aż operator w centrali sprawdził nazwisko oficera.

– Połączcie mnie z nim.

Znał Obersturmführera Kropatzkiego, młodego chłopaka z Wafen-SS, nadzwyczaj zdyscyplinowanego i twardego żołnierza. Pomyślał, że dobrze się złożyło, że to ten

właśnie oficer pełni dyżur.

– Mówi Obersturmbannführer Glöbcke. Od tej chwili nikt, powtarzam, nikt, nie ma prawa wstępu na dolny dziedziniec. Do odwołania. Osobiście pan za to odpowiada. O wszelkich próbach wejścia na dziedziniec powiadomić mnie, bez względu na porę.

– Tak jest – usłyszał w słuchawce i odwiesił ją, przekonany, że jego rozkaz będzie wykonany z nadzwyczajną skrupulatnością.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Cziżykow, który przez ostatnie dni szczególnie często przesiadywał w pokoju łączności kwatery Zawieniagina, czekając na meldunek „Z-1”, drgnął, gdy radiotelegrafista spojrział na niego i szybko powiedział: Jest.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i kazał połączyć się z generałem, któremu zameldował, że „Z-1” nadaje. Potem czekał niecierpliwie i gdy tylko szyfrant podał mu kartkę z odczytanym tekstem, wsunął ją do tekturowej teczki, w której zwykł dostarczać szefowi najważniejsze meldunki i pognął schodami na górę.

Zawieniagin jadł śniadanie, więc tylko odsunął na bok talerz z jajecznicą, a Cziżykow starał się ukryć zdumienie na widok liczby jajek, z których zrobiono danie na kiełbasie.

– Czytaj! – Zawieniagin podniósł dłonie, pokazując, że ma zatłuszczone palce.

– „Z-1” melduje... – oficjalnie zaczął Cziżykow.

– To już wiem, gadaj, co! – burknął Zawieniagin.

– Konwój wyjedzie dziś wieczorem do Fürstenstein. Sześć ciężarówek w eskorcie dwóch Sd Kfz 251... – Cziżykow przerwał i podniósł głowę.

– To średnie półgąsienicowe samochody pancerne, ale mogą być uzbrojone nawet w działa siedemdziesięciopięciomilimetrowe – wyjaśnił i czytał dalej – ... oraz dwóch przeciwlotniczych Sd Kfz 10/4. – Złożył kartkę, dając znać, że to wszystko, co miał do odczytania z depezy „Z-1”.

– Silny konwój – skonstatował Zawieniagin.

– Jeszcze jedna informacja – Cziżykow sięgnął po drugą kartkę z tekturowej teczki. – Przechwyciliśmy sygnał nadany z zamku otwartym tekstem: „*Rozpocząć przygotowania do planu „Z”. Wykonanie około trzeciej nad ranem*”. Wygląda, jakby przekazali do Fürstenstein informację, że konwój dotrze tam o tej porze.

Zawieniagin klasnął w dłonie. Po wielu dotkliwych niepowodzeniach, jakie poniósł w pogoni za tajnymi niemieckimi dokumentami, wreszcie będzie mógł się pochwalić przed samym Berią.

Podszedł do mapy. Liczba dróg w tym rejonie była tak wielka, że nie sposób było przewidzieć, którą wybierze konwój. Założył, że nie będą błąkać się po polnych czy leśnych drózkach, lecz pojedą najkrótszą, aby znaleźć się w zamku jak najszybciej. Sześć ciężarówek, cztery samochody pancerne, zapewne jeszcze samochody z żołnierzami, powinny pojechać przez Hirschberg wprost do Fürstenstein.

– Kto tam jest najbliżej? – Zawieniagin odwrócił się od mapy pytając o formację wojskową, która dotarła najbliżej tego rejonu.

– Najbliżej to piąta armia gwardyjska – z ociąganiem odpowiedział Cziżykow.

- Co wy tak bez entuzjazmu? – Zawieniagin wydawał się zaskoczony podejściem podwładnego do pomysłu, który miał przynieść mu chwałę.
- No, bo... – zaczął niepewnie Cziżykow.
- No, bo..., no, bo... – przedrzeźniał go Zawieniagin, coraz bardziej rozsierdzony brakiem entuzjazmu, którego oczekiwał. – Gadajcie, nie pieprzcie!
- Piąta armia gwardii, okrążając Breslau, dotarła do linii, którą obecnie zajmuje, w końcu lutego, i pozostaje tam, aby odeprzeć ewentualne kontrataki. Są jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu kilometrów od Waldenburga. – Cziżykow głośno zaczerpnął powietrza. – Nie sądzę, aby oddelegowali silny oddział do naszej operacji.
- Jaki silny oddział, co wy mi tu pieprzycie?!
- Zatrzymanie konwoju chronionego przez cztery samochody pancerne i oddział SS nie jest sprawą prostą. To już mała bitwa. Tym bardziej że konwój będzie jechał przez terytorium siedemnastej armii, wciąż silnej, a więc mogą liczyć na szybką pomoc ze strony jej oddziałów. Nawet jeżeli rozbijemy eskortę i przejmujemy „Aparat”, to szansę wycofania się z tego rejonu są znikome.
- Zawieniagin milczał przez chwilę, w duchu przyznając rację Cziżykowowi.
- To co proponujecie? – odezwał się, wyraźnie zmartwiony, że jego plan nie ma szans powodzenia. – Oddział desantowy?
- Pogorszy sprawę, gdyż Niemcy pomyślą, że nasza piąta armia podejmuje ofensywę, i rzucą główne siły do zwalczania spadochroniarzy. Poza tym nie słyszałem o jakiegokolwiek jednostce powietrzno desantowej w tym rejonie, a oddziały specjalne są daleko. Moskwa musiałaby się zgodzić...
- To co proponujecie? – powtórzył Zawieniagin.
- Tak jak towarzysz generał zakładał: uderzenie z powietrza. Szturmowiki czekają gotowe do startu.
- Zawieniagin podszedł do mapy i długo studiował sytuację. Major miał rację, argumentując, że próba przechwycenia konwoju i odbicia „Aparatu” jest nierealna.
- Jeżeli konwój wjedzie do zamku, to i tak będzie nasz – dodał Cziżykow. – Już niedługo jest czas, gdy go zajmiemy.
- Pod warunkiem, że wcześniej nie wywiozą skrzyń w nieznanym kierunku. – Znowu przyglądał się mapie. – Tak, uderzenie z powietrza to jest najlepsze wyjście. O ile odnajdą konwój, w nocy, w górach...
- „Z-1” poda czas wyjazdu. Możemy bardzo precyzyjnie określić ich położenie o określonej godzinie. Przy flarach lotnicy znajdą i zniszczą!
- Wykonać! – Zawieniagin pomyślał, że depesza do Moskwy na temat zniszczenia urządzenia i niedopuszczenie do jego przechwycenia przez imperialistów też zyska mu pochwałę. Oczywiście lepiej byłoby odesłać do stolicy nienaruszone skrzynie, ale jak nie można, to nie można.

„Afgan” nie gasił lampy, nawet gdy układał się do snu na ławie, uznając, że światło odstrasza szczury. Niewiele ich widział. Przemykały czasami daleko w korytarzu prowadzącym do schodów, ale do jego kwatery nie wchodziły. Tak przynajmniej sądził, a wolał nie zastanawiać się, co robią, gdy zasypiał. Godziny ciągnęły się niemiłosiernie, gdyż oprócz rozmyślań i oczekiwania na Jorga niewiele miał do zrobienia. Liczył jedynie na to, że jego podziemna misja szybko się zakończy, gdyż jak słyszał, „Aparat” został zapakowany w skrzynie i ewakuacja miała nastąpić lada dzień. Starał się nie rozważać, czy wyprowadzenie urządzenia z zamku będzie oznaczało automatyczne zakończenie misji, lecz przyjął, choć zupełnie bezpodstawnie, że tak właśnie się stanie i będzie mógł wynieść się z tej cholernej nory.

Daleko w korytarzu pojawiło się światło, najbardziej widomy znak, że idzie Jorg, niosąc termos z herbatą i kanapki.

Po chwili Jorg usiadł obok na ławie, nieco zdyszany przeciskaniem się przez wąskie tunele podziemnego labiryntu.

– Z zamku wyjechał silny konwój sześciu ciężarówek. „Afgan” spojrzał zaskoczony.

– Przecież miałeś dać znać, jak tylko przygotowują urządzenie do ewakuacji! To po cholere ja tu gniję?!

– Skrzynie z „Aparatem” wciąż stoją pod ścianą dziedzińca, zasłonięte plandekami i pilnowane przez gromadę esesmanów. Nikogo nie dopuszczają, nawet do drzwi prowadzących do tego rejonu. To pewne! – powiedział tonem, w którym nie było cienia wątpliwości.

– To co wyjechało na tych ciężarówkach?

– Mogę się domyślać, że fałszywy konwój. Nic więcej nie wiem, gdyż samochody stały daleko za fosą, tak pilnowane, że nikt nie mógł się do nich zbliżyć.

– Odwracają uwagę od właściwego ładunku – „Afganowi” wydawało się to oczywiste. – Tylko czyją?

Jorg wstał i otrzepał mundur zabrudzony tynkiem.

– Nie mogę być tutaj dłużej. Odnoszę wrażenie, że jeżeli jedne ciężarówki wyjechały przed chwilą, nasze ruszą lada godzina. Przygotuj się!

– A mam coś innego do zrobienia? – słowa „Afgana” zabrzmiały jak skarga, że oto jego, człowieka czynu, zamknięto i pozbawiono wszelkich możliwości działania. Jorg roześmiał się.

Wielkie reflektory pierwszego samochodu pancernego przysłonięte tarczami z wąskimi prostokątnymi szczelinami dawały niewiele światła i kierowca z trudnością dostrzegał pobocze. Mimo słabej widoczności, którą w kotlinach pogarszały mgły

zbierające się tam przed świtem, jechali szybko. Po sześciu godzinach od opuszczenia zamku Tzsocha konwój znalazł się w odległości kilkunastu kilometrów od celu.

Dowódca, major Otto Karp, doświadczony pancerniak, mający za sobą walkę na froncie wschodnim od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, tkwił przez całą drogę w otwartym włazie swojego Leichte Panzerspähwagen, który w ostatniej chwili dowództwo siedemnastej armii zgodziło się oddać eskortie. Co prawda samochód był uzbrojony tylko w jeden karabin maszynowy, ale był silnie opancerzony i zaopatrzony w radiostację o potężnej mocy, o czym świadczyła wielka ramowa antena rozłożona nad głową Karpa. W słuchawkach na uszach czekał na jakiegokolwiek ostrzeżenie przed działalnością wrogich wojsk, zdając sobie sprawę, że jadą tuż pod nosem Rosjan. Mimo napięcia, jakie towarzyszyło im od opuszczenia zamku, nie zanotowano żadnych oznak zagrożenia i wszyscy odprężali się, przekonani, że po zimnej nocy czeka ich zasłużony odpoczynek w ciepłych kwaterach zamku. Tuż za samochodem Karpa dudniły gąsienice Schützenpanzerwagen, który uzbrojony w krótko-lufowe działo kalibru 75 mm mógł się zmierzyć nawet z radzieckimi czołgami. Karp dobrze wiedział, jak groźne mogą być te transportery, gdyż nie raz prowadził je do walki na froncie wschodnim.

– Dwanaście kilometrów do celu – w słuchawkach zabrzmiał głos kierowcy.

Karp nacisnął przycisk laryngofonu.

– Nadaj komunikat do sztabu – polecił radiotelegrafiście, którego widział skulonego na niewielkim siedelku pod ścianą samochodu.

I wtedy rozległ się ten niepokojący odgłos. Znał go tak dobrze, że nie miał cienia wątpliwości, co oznacza, choć nie potrafił określić, z której strony dobiega.

– Lotnik! Kryj się! – krzyknął, a laryngofon przekazał jego rozkaz do załóg innych samochodów. – Przeciwlotnicy na stanowisko! Wróg północ – północny wschód!

Zobaczył, jak wielki demag D7 z dwudziestomilimetrowym działkiem zakołysał się na gąsienicach, gwałtownie hamując. Żołnierz siedzący obok kierowcy zeskoczył na jezdnię, aby wyciągnąć ze skrzyni z boku pojazdu dalmierz. Drugi, który siedział tuż za celowniczym, wstał i otworzył skrzynkę amunicyjną. Działali szybko, sprawnie, jak automaty. W kilkanaście sekund byli gotowi do otworzenia ognia. Lufa działka obróciła się we wskazanym przez niego kierunku.

Wtedy dostrzegł samoloty na tle nieba, na które już wychodził kolor świtu. Leciąły nisko nad lasem i w momencie, w którym piloci zauważyli samochody na drodze, zatoczyły duży krąg. Jeszcze nie strzelali. Nagle pod skrzydłami samolotów pojawiły się świecące punkty. Opadały wolno, rozjaśniając się z sekundy na sekundę, aż zalały jaskrawym światłem całą okolicę.

Karp nie miał wątpliwości, że są widoczni jak na dłoni.

– Nadaj, że zostaliśmy zaatakowani przez samoloty! – rozkazał radiotelegrafiście. – I zjeżdżaj stąd, bo zaraz będzie tu piekło!

Wiedział, jakie samoloty atakują. Na wschodzie mówili o nich „czarna śmierć”. Obrona przed nimi była bardzo trudna, gdyż były mocno opancerzone i silnie uzbrojone,

jak bombowce, tyle że zwrotniejsze od nich i szybsze.

Pierwsza seria wzbijała kamienie i kurz wzdłuż drogi.

Działka na demagach strzelały w stronę nadlatujących samolotów, ale to zdawało się nie robić żadnego wrażenia na pilotach.

Karp chwycił za metalową rurę podpierającą antenę i przełożył nogi na zewnętrzną stronę burty.

– Z wozu! – krzyknął. – Wszyscy w las!

Samoloty obniżyły lot i z wysokości kilkudziesięciu metrów odpaliły rakiety. Smugi dymu, które wyskoczyły spod ich skrzydeł, szybko zbliżały się do samochodów. Po chwili jaskrawy błysk zalał dolinę. Pierwsza rakietka trafiła dokładnie w kabinę ciężarówki. Karpowi wydawało się, że widzi, jak wybuch rozrywa kierowcę, który otworzył drzwi i sparaliżowany strachem, nie mógł zdecydować się, czy uciekać do rowu, czy pozostać w samochodzie. Dwie inne eksplodowały tuż obok działka, wzbijając w powietrze dziesiątki kamieni wyrwanych z jezdnii. Działko przestało strzelać i kiedy dym opadł, zobaczył kilka ciał rozrzuconych dookoła.

Wcisnął głowę w murawę. Samoloty przemknęły tak nisko, że wydawało mu się, iż poczuł pęd powietrza. Ryk silników na chwilę zmniejszył się, ale wnet zaczął narastać. Zawróciły, waląc z działek, których pociski trafiały w bruk i odbijały się z przeraźliwym świstem. Płomienie już ogarnęły plandeki trzech ciężarówek i doskonale oświetlały teren, ułatwiając lotnikom zadanie. Nadlatywali po raz trzeci, skrzydło w skrzydło, nad drogę. Już drugie działko, trafione odłamkami, przestało strzelać. Samoloty przeniknęły nad nimi i wzbiły się.

– „Zaatakują bombami” – pomyślał Karp. Dwa wybuchy zmiotły kolejną ciężarówkę z drogi. Następne spowodowały gwałtowny pożar dwóch ocalałych.

Ryk silników zanikał w oddali. Samoloty odlatywały. W ciszy świtu słychać było trzaski płomieni i jęki rannych.

Karp podniósł się. Z całego konwoju ocalał tylko jego samochód. Najwidoczniej dlatego, że stał przechylony na krawędzi rowu i lotnicy uznali, że został trafiony.

– Ratować skrzynie! – krzyknął do żołnierzy, którzy tak jak on, ogłuszeni wybuchami, oszołomieni i obsypani piaskiem i kępami trawy, podnosili się z rowów.

Zawieniagin niecierpliwie czekał na meldunki o wykonaniu rozkazu. Ciągłe nie wiedział, czy uda się odnaleźć konwój, który pod osłoną nocy mógł przemknąć się niezauważony. Jednakże wiadomość od „Z-1” o godzinie wyjazdu samochodów z zamku i potwierdzenie, że pojedą główną drogą przez Hirschberg, pozwoliła precyzyjnie wyliczyć, gdzie konwój będzie o świcie.

Pochylił się nad radiostacją, gdy tylko usłyszał dźwięki morsa. Radiotelegrafista skinął głową.

– Meldują, że konwój został rozbity – powiedział i dodał po chwili: – Sześć ciężarówek spalonych. Ich ładunek całkowicie zniszczony.

Zawieniagin wyprostował się.

– Dobrze – poklepał po ramieniu Cziżykowa. – Prosto, po proletariacku, po robociarsku załatwiliśmy sprawę, która kosztowała nas tyle trudu. Teraz możemy zająć się innymi ważnymi zadaniami. Napisz depeszę do Moskwy...

Zawahał się.

– Nie, najpierw chcę zobaczyć zdjęcia z fotokarabinów. To musi być widok!

Klasnął w dłonie uradowany i poszedł do swojego pokoju na piętrze, aby przespać się trochę po nocy spędzonej przy radiostacji.

Czarny dym z płonących opon i plandek i żar bijący od ciężarówek objętych ogniem uniemożliwiał wyciągnięcie skrzyń. Zresztą żołnierze zajęli się opatrywaniem rannych. Karp rozejrzał się, usiłując zorientować się, co można uratować z ładunku, który przewozili. Nikt nie powiadomił go, co to jest, ale uważał, że musiało to być coś szczególnie cennego, skoro konwojowi dano tak silną eskortę.

Dym rozwiewany przez wiatr odsłonił na poboczu nadpalone skrzynie, wyciągnięte z ciężarówki. Jedna, zrzucona siłą podmuchu eksplodującej bomby, leżała obok samochodu.

– Panie majorze, trzech zabitych, sześciu rannych, w tym dwóch ciężko – zameldował żołnierz.

Karp skinął głową. Odszedł na bok do skrzyni leżącej na jezdni i trącił wierzchnią płytę, która zsunęła się, ujawniając zawartość. Wewnątrz był silnik samochodu.

Przykucnął i starł pył z płytki znamionowej. „Cadillac”, z trudem przeczytał zatarte litery. Ośmiocylindrowy silnik był stary i bez wątplenia pochodził z amerykańskiej ciężarówki, których wiele jeździło w Niemczech i innych państwach Europy przed wojną, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku zostało zarekwizowanych cywilnym właścicielom. „Czyżbyśmy tak walczyli o stare silniki”?

Wydawało mu się to nieprawdopodobne i gotów był przyjąć, że znaleziony silnik służył do napędu agregatu prądotwórczego, ale w trzech ocalałych skrzyniach też znalazł silniki, tyle że niemieckie, mercedesa M143. Wszystkie były zardzewiałe i wyglądały jak wyciągnięte ze złomowiska. Ich wygląd i stan stanowił przeciwieństwo skrzyń, świeżo zbitych z równo przyciętych desek, oheblowanych i pomalowanych na ciemnozielony kolor, na który naniesiono literowe oznakowania.

Popatrzył na ciała zabitych żołnierzy, już ułożone na poboczu.

Nocny nalot nie był przypadkowy. Radzieckie samoloty szukały ich. Wyposażone we flary, zostały przygotowane do nocnego ataku.

Czyżby ci żołnierze zginęli, broniąc starych silników?

Dzwonek telefonu zbudził Glöbckego w chwilę potem, jak położył się spać. Zanim sięgnął po słuchawkę, zdawało mu się, że wie, jaką wiadomość usłyszy.

– Mówi Beer...

– Czeka! – Glöbcke przerwał mu. Chciał mieć kilka sekund na strząśnięcie z siebie resztek snu, który chwycił go mocno i wciąż nie dawał przyjść do siebie. Uniósł się i szybko przetarł dłonią po powiekach i czole, jakby strącając senność.

– Mów!

– O świcie radzieckie samoloty zaatakowały konwój kilkanaście kilometrów przed Fürstenstein. Wszystko zniszczone! Jadę tam!

– Nie! Pozostań na miejscu. Czekał na przyjazd ludzi z tego konwoju i przesłuchaj ich. Chcę znać wszystkie okoliczności nalotu i bardzo dokładny przebieg. Chcę wiedzieć, czy był przypadkowy, czy to zasadzka. Koło południa muszę mieć twój raport.

Wolno odłożył słuchawkę. Już wiedział, że tej nocy nie będzie spał. Był jednak zadowolony, jak ze świetnie rozegranej partii szachów, w której przewidział każdy ruch przeciwnika i zawczasu wycofał najbardziej wartościowe figury na pola, na których były bezpieczne.

Sięgnął po papierosy i choć starał się nie palić przed śniadaniem, uznał, że odrobina nikotyny przyspieszy bicie serca i ułatwi mu powrót do normalnego funkcjonowania.

Okpił wszystkich! Wysłał do Fürstenstein fałszywy konwój ciężarówek przewożących stare części samochodowe. Rosjanie uderzyli w ostatniej chwili, tuż przed zamkiem. Było zrozumiałe, że czekali tak długo, aby przeprowadzić atak o świcie, gdy ciemności zaczynały ustępować brzaskowi. Musieli więc dowiedzieć się, kiedy konwój wyjechał z Tzschochy. Kto mógł im przekazać taką wiadomość? Jorg? Początkowo Glöbcke stawiał na niego, ale założył, że po aresztowaniu Natalii stracił łączność z centralą w Moskwie. Od tego czasu nie opuszczał zamku, zatem nie mógł to być on.

Przez pewien czas podejrzewał, że Jorg będzie starał się przekazywać wiadomości przez Annę Marię, ale ta jechała właśnie na zachód z kierowcą będącym jego zaufanym człowiekiem.

Tylko dwaj ludzie poza Glöbckem znali cel podróży: dowódca konwoju major Karp oraz... Beer. Początkowo Glöbckemu wydawało się niemożliwe, aby którykolwiek z nich mógł zdradzić. A jednak tak musiało być! Natychmiast wykluczył Karpa. Pozostawał więc Beer!

Owinął się narzutą ściągniętą z łóżka i boso podszedł do niewielkiej szafki, na której stały czajnik, kilka brudnych talerzyków, których nie chciało mu się umyć wieczorem, i mała kuchenka elektryczna. Włączył czajnik i wyjął pudełko z kawą.

Miał jeszcze trochę czasu, aby rozważyć nową sytuację.

Czyż jednak nie zakładał zdrady, decydując się na wysłanie fałszywego konwoju? Czasami obawiał się, że zbyt często poddaje się policyjnej, jak to określał,

podejrzliwości, nakazującej w każdym widzieć przestępcę. Ale ta cecha charakteru nigdy go nie zawiodła. Często działał intuicyjnie, nawet wbrew oczywistym dowodom, które podświadomie uznawał za mylne lub sfabrykowane. I tym razem nieokreślony niepokój nakazywał mu wysłanie Beera z zamku, zanim wyjedzie prawdziwy konwój, aby nie mógł się zorientować w mistyfikacji.

Wsypał trzy łyżeczki kawy do szklanki i zalał wrzątkiem. Odczekał chwilę, aż brązowy proszek osiadł na dnie, i ostrożnie wypił łyk. Z parującą szklanką podszedł do telefonu i wykręcił bezpośredni numer zamku w Fürstenstein. Nie udało mu się jednak dodzwonić do gabinetu dowódcy ochrony – zapewne był on zajęty wyjaśnianiem sytuacji, co potwierdzono w centrali, obiecując, że powiadomią go natychmiast, jak tylko wróci do zamku.

Glöbcke usiadł na brzegu łóżka, wciąż trzymając szklankę. Szybko opanował złość, która ogarnęła go na myśl, że człowiek obecny od tak dawna przy jego boku był zdrajcą. Przekazał Rosjanom największą tajemnicę. To znaczy – poprawił się – chciał przekazać największą tajemnicę, a wprowadził ich w błąd. W jaki sposób zdołał wysłać wiadomość? Musiał mieć radiostację ukrytą gdzieś w pobliżu. Glöbcke nie wiedział tego, ale uznał, że Beer, który tak chętnie zadawał ludziom ból, sam nie wytrzyma długo i szybko wszystko wyjawia.

Zadzwoił telefon. Zgłaszał się Joachim Hoffman, komendant z Fürstenstein, którego Glöbcke znał od dawna. Jego nazwisko stało się głośne w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku, gdy pruski prokurator generalny oskarżył go o torturowanie i własnoręczne zabicie wielu więźniów w obozie koncentracyjnym przy stoczni „Vulkan” w Stettin-Bredow*. Hoffman wymyślił tam wiele strasznych tortur, co spowodowało, że w języku gestapowców torturowanie aresztantów nazywano wulkanizowaniem, od nazwy stoczni. Został skazany na trzynaście lat ciężkich robót. Ale oczywiście wyrok nie został wykonany w całości, gdyż naziści szybko umacniali swoje wpływy i już rok później SS-Sturmführer Joachim Hoffman wyszedł na wolność i został awansowany, zaś jego prawni prześladowcy stracili pracę.

– Joachim? Tu Glöbcke.

– Witaj, stary druhu, wiem już, że dzwoniłeś – Glöbcke usłyszał znany piskliwy głos i skrzywił się. Nazwanie go starym druhem przez sadystę i mordercę, za jakiego słusznie uważał Hoffmana, wcale mu nie odpowiadało, ale nie był to czas na rozważanie drobiazgów. Miał do załatwienia palącą sprawę i komendant z Fürstenstein był jedynym, który mógł mu pomóc. – Co cię gnębi?

– To bardzo ważne – Glöbcke nabrał tchu. – Beer, mój zastępca, który wczoraj wieczorem dotarł do was, musi być natychmiast aresztowany. Zdradził Rosjanom trasę i godzinę przejazdu tajnego konwoju. To radziecki szpieg.

– Byłem tam na miejscu – przerwał mu Hoffman. – Rozwalili wszystko na złociutko.

To było jego ulubione powiedzenie. Jak więzień nie chciał zeznawać, to Hoffman mówił do niego: „Gadaj, bo cię zrobimy na złociutko”. Czyżby miało to związek z

przypalaniem skóry? Glöbcke wzdrygnął się.

– Musisz go całkowicie izolować, aby uniemożliwić mu przekazanie jakiegokolwiek sygnału Rosjanom. Od tego zależy powodzenie akcji, którą jest zainteresowany sam minister Goebbels! Usłyszał gwizd w słuchawce.

– Ty to masz szczęście. U mnie tylko raz führer był, a potem to jakichś gównianych cywilów przysyłali.

– Joachim, wydobądź od Beera, wszelkimi środkami, przez kogo i w jaki sposób przekazywał informacje Rosjanom.

– Możesz być pewny. Zrobimy go na złociutko. Przyślę ci raport. A co potem, oczywiście, jeśli przeżyje?

– Potem... zastrzel go. Albo powieś!

Usłyszał: „Tak jest, przyjmę do wykonania”, rzucił jakieś słowa pożegnania i odłożył słuchawkę, spokojny o to, że jego rozkaz zostanie wykonany.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł satysfakcję ze zwycięstwa. Panował całkowicie nad sytuacją, ale cała sprawa wciąż daleka była od zakończenia, choć wszystkie jej elementy zdawały się układać zgodnie z jego wolą. Natalia, zamknięta w celi, została całkowicie poddana jego kontroli. Anna Maria była w drodze do Bawarii, i z pewnością rozważała, jak uciec kierowcy, który był nasłany przez Glöbckego. Nie знаła jednak całej prawdy. Kierowca istotnie był jego człowiekiem, ale właściwy „anioł stróż” miał się pojawić przy niej wtedy, gdy nie będzie się tego spodziewała. Pozostawał Jorg, ze swoją odpowiedzialnością wobec Natalii i miłością do Anny Marii. Miał ich wszystkich w ręku. Jedno go tylko niepokoiło: słowa Jorga o jakiejś pozarządowej organizacji. Postanowił jednak nie przejmować się tym zbyt. Szansa odnalezienia go w mundurze żołnierza Wehrmachtu, jednego z milionów idących do niewoli albo błąkających się po zrujnowanych miastach, była tak nieskończenie mała, że nie należało jej traktować poważnie. Dobrze znał policyjne mechanizmy poszukiwania zaginionych i potrafił przygotować się do prześlizgnięcia się przez sieć, jaką mogli na niego zastawiać alianci czy jacyś ludzie z „pozarządowej organizacji”.

Zdjął z ramion narzutę i wsunął się pod kołdrę. Postanowił poleżeć jeszcze kilkanaście minut, nim zadzwoni budzik.

* Obecnie Szczecin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Śmierć „Raidera” i „Hamleta” załamała Compaigne’a. On, który patrzył na świat z przymrużeniem oka, a realizację najtrudniejszych zadań uważał za sprawę czasu i wysiłku, zamknął się w sobie. Czerny, bacznie obserwujący zachowanie przyjaciela, usiłował podjąć rozmowę na temat tragicznego wydarzenia, ale szybko zrezygnował po wybuchu złości, jakiego Polak się nie spodziewał. Od tego czasu unikał wszelkich uwag na temat losu obu ich towarzyszy.

Poprzedniego wieczoru odebrali wiadomość od Jorga, że konwój z „Aparatem” gotów jest do wyjazdu. Kilka godzin później nadeszła informacja, że ciężarówki wyjechały z zamku w nieznanym kierunku. Zniknął również Glöbcke, przekazując swoje obowiązki dowódcy wojskowemu twierdzy, który na pytanie o esesmana rozkładał ręce, twierdząc, że tajemnica nie pozwala mu udzielać żadnych wyjaśnień.

Najważniejsza wydawała się ostatnia informacja od Jorga, któremu udało się dowiedzieć, że konwój trzech ciężarówek zmierza w kierunku Augsburga. Nie powiadomił natomiast o swoich planach – najwidoczniej miał być ewakuowany z zamku z resztą kryptologów. Nie przekazał też żadnych wiadomości o losie Natalii, choć wcześniej przysłał uspokajający meldunek, twierdząc, że dziewczyna jest potrzebna Glöbckemu, więc nie należy się obawiać, że może on wyrządzić jej krzywdę.

Samochód, którego koła wpadały co chwila w dziury powyrywane w nawierzchni drogi przez jakiś duży oddział czołgów, trząsł niemiłosiernie i jedynie nadzieja, że wkrótce dojadą do Augsburga, dodawała im otuchy. Wieczór osiemnastego kwietnia był wyjątkowo zimny, więc Czerny, który siedział obok „Wooda” prowadzącego jeepa, oraz Compaigne siedzący z tyłu, zapięli kurtki i okryli się baraniami kozuszkami, znalezionymi obok nadpalonego domu.

– Wiecie chociaż, jak się nazywali naprawdę? – odezwał się niespodziewanie Compaigne. Doskonale wiedzieli, o co pytał.

– Nie mam pojęcia, zawsze byli „Raider” i „Hamlet” – odezwał się po chwili „Wood”. – Taka służba.

– Nie możemy nawet zawiadomić ich rodzin – dodał Czerny. – Jak się skończy wojna, trzeba będzie tam pojechać – i wystawić chociaż symboliczny grób. Zasłużyli na to...

Znowu zapadło milczenie.

Na szczęście czołgi, których gąsienice tak zniszczyły nawierzchnię, zjechały gdzieś w bok, i ostatni odcinek drogi był gładki i równy. „Wood” nacisnął pedał gazu do oporu; nie protestowali, chcieli jak najszybciej znaleźć się w jakimś ciepłym miejscu.

Zameldowali się w miejscowym dowództwie i tam wskazano im na nocleg starą gospodę niedaleko rynku. Przyjęli to z zadowoleniem, ale, gdy tam weszli, przeżyli przykre zaskoczenie. Wszystkie pokoje były pozajmowane i jedynym miejscem do spania okazały się stoły w sali bilardowej, gdzie zresztą zebrało się parę tuzinów żołnierzy. Gęsty dym papierosowy drapał w gardle, co jednak nie było tak przykre, jak odór przepoconych skarpet, dawno nie pranych mundurów i nie mytych ciał. Wszyscy przybyli tu niedawno, przemoczeni i zziębnięci, więc na kominku rozpalono wielki ogień, a zmoczone sukno kurtek i płaszczy parowało, wypełniając salę wilgocią, w której kwaśny zapach dymu papierosowego stawał się zupełnie nie do zniesienia.

– Przyzwyczajmy się – powiedział jakby na pocieszenie „Wood”, przysuwając duży stół do ściany. – Dobre miejsce na nas trzech.

Rzeczywiście, leżąc obok siebie na stole, byli zabezpieczeni przed insektami i gryzoniami, żerującymi zwykle w nocy w restauracyjnych pomieszczeniach.

Compaigne rozłożył kożuszek i podłożył plecak pod głowę, opierając go o ścianę. Również Czerny i „Wood” przygotowali sobie posłania, choć wiedzieli, że ich miękkość jest pozorna, i wielokrotnie będą budzić się zdrętwiali i obolali po długotrwałym leżeniu na twardym stole.

Byli zmęczeni podróżą i sen mimo wszelkich przeciwności i niewygód przyszedł szybko.

– Czy jest tutaj pułkownik Compaigne? Szukam pułkownika Compaigne a! – żołnierz przeciskający się od drzwi świecił latarką Jakby w ten sposób chciał znaleźć oficera, którego nie widział na oczy.

Compaigne podniósł rękę.

Budził się obolały, po jakimś koszmarным śnie, który zapewne był wynikiem zaduchu, gęstniejącego z godziny na godzinę.

Na żołnierza, który przepychając się w ciemnościach przez zatłoczoną salę, nadepnął nie raz na śpiących na podłodze, poleciały wyzwiska, ale on przedostał się do stołu; „Wood” i Czerny obudzili się również.

– Kapral Laddoux z komendy miasta – przedstawił się żołnierz. – Przesłali mnie po pana, gdyż znaleziono coś ciekawego w piwnicy domu przy rynku.

Compaigne podniósł się z trudem, czując ból pleców i drętwienie kończyn, ale myśl o wyjściu na świeże powietrze wydawała mu się bardzo pociągająca.

Żołnierz poprowadził ich wyludnionymi uliczkami do trzypiętrowej kamienicy, która wyglądem bardzo odbiegała od innych budynków w tym rejonie miasta. Była ponura, ale solidna, co mogło skłonić niemieckie dowództwo do umieszczenia tam ważnego oddziału.

Zbiegli po betonowych schodach do piwnicy, gdzie było już kilku oficerów amerykańskich.

– Odkryliśmy to godzinę temu – powiedział jeden z nich – ale sami nie umiemy ocenić, czy jest coś warte.

Compaigne i Czerny rozejrzeli się po piwnicy. Było to obszerne i niskie pomieszczenie, bez okien, o solidnym stropie, wzmocnionym betonowymi belkami. Na pierwszy rzut oka wyglądało na ośrodek łączności, który operatorzy opuścili w wielkim pośpiechu. Wzdłuż ścian stały mocne drewniane stoły, jasno oświetlone, na których ustawiono zwykłe maszyny do pisania, radiostacje oraz urządzenia w drewnianych skrzynkach przypominające maszyny do pisania, choć bez wątplenia nimi nie były. Brakowało im wałków, pod którymi przesuwalby się papier, a kable biegnące od nich do dużych skrzyń z lampkami wyraźnie świadczyły o tym, że przeznaczenie tych aparatów było inne.

– „Enigma” – mruknął Compaigne, dostrzegając, co zainteresowało Czernego.

– Co to jest? – Czerny po raz pierwszy widział takie urządzenia.

– Maszyny szyfrujące, niesamowity wynalazek. Dziwne, wydawało mi się, że tobie powinno być znane...

Czerny spojrzał pytająco na Compaigne’a, ale ten nie powiedział nic więcej. Odwrócił się do jednego z amerykańskich oficerów:

– Musimy przejrzeć urządzenia i papiery. Posiedzimy tutaj do południa. Co najmniej do południa!

– Naprawdę masz zamiar zaczynać poszukiwania o piątej nad ranem? – Czerny wydawał się zdziwiony przypływem energii, jakiej nie widział u Compaigne’a od paru dni. Ten skinął głową.

– Jak pomyślę, że mam wrócić do tej śmierdzącej sali bilardowej, to od razu czuję się wyspany. Wolę zostać tutaj. Przynajmniej jest czym oddychać.

– A co masz zamiar znaleźć? – Czerny podzielał niechęć komandora do powrotu do dusznej sali, ale chętnie wykorzystałby jeszcze parę godzin snu, zwłaszcza że w ostatnim czasie nie mieli go w nadmiarze.

– To! – Compaigne wskazał na zwoje papierowych taśm. – Zabierajcie się do roboty.

Sam podszedł do amerykańskiego oficera, aby dowiedzieć się o okolicznościach zajęcia ośrodka oraz omówić sprawę zabezpieczenia i transportu znalezionych urządzeń.

Czerny rozsiadł się wygodnie w fotelu wyściełanym skórą, jaki najwidoczniej niemiecki operator przyniósł sobie z któregoś z pomieszczeń na górze, zebrał papierowe paski i odkładając przeczytane na lewą stronę stołu, przebiegał wzrokiem tekst wystukany przez dalekopis.

Już pierwsze depesze wskazywały, że obsługa opuściła te pomieszczenia w wielkim pośpiechu, nie znajdując czasu na zniszczenie najbardziej wartościowych materiałów. Świadczył o tym zapis ostatniej rozmowy, jaką za pomocą radia prowadził człowiek, który przed nim siedział na tym fotelu. „Jak u ciebie? – pytał go żołnierz z Ulm. – Nasze raporty mówią, że Amerykanie są już w Augsburgu”. „Nie – odpowiedział operator z Augsburga. – Tu wszystko jest w porządku”. Po chwili dopisał: „O Boże, oni już tu są! Cześć!”.

Wbrew pozorom zapisy na innych taśmach nie wyglądały na coś ważnego.

Standardowe wymiany zdań i informacji między dowództwami niższego szczebla, z których wyłamał się obraz ogromnego chaosu ogarniającego wojska niemieckie w obliczu nadchodzących Amerykanów.

Usadowił się wygodnie w fotelu i oparł nogi o stół. Wkrótce pożałował tego, gdyż poczuł, jak ogarnia go senność. Jeszcze przez moment usiłował utrzymać powieki otwarte i patrzeć na rzędy liter ale po chwili obraz zaczął się zamazywać.

– Mówi ci coś „Orilo”? – dobiegł go głos „Wooda”. Przez moment, zanim otworzył oczy, zastanawiał się, czy słyszał naprawdę te słowa, czy też było to jakieś senne wspomnienie rozmowy w zamku. Z zadowoleniem zauważył, że pasek papieru, który trzymał w palcach, nie wysunął się, a więc prawdopodobnie nikt nie dostrzegł, że się zdrzemnął.

Kątem oka widział, jak Compaigne odwrócił się i ruszył w ich stronę. Pamiętali, że to nazwisko lub hasło podał im Jorg, gdy byli w podziemiach zamku.

Czerny wyciągnął rękę do „Wooda”, aby przejąć pasek.

Był to tylko fragment depeszy, jakby operator nie zdążył odebrać całości przekazu lub zakłócenia uniemożliwiły zarejestrowanie wszystkich części: „...kierunku Rosenheim. ...dowodzący porucznik Orilo z ... pułku...”. Nie było również wiadomo, kto nadał tę depeszę i dlaczego do Augsburga, skoro była mowa o Rosenheim?

– Wygląda jak szyfr. Nic z tego nie rozumiem, ale wiem, że musimy pojechać do tego miasta – Czerny podał depeszę Compaigne’owi i podszedł do dużej mapy Niemiec, na której naniesione były kolorowe koła, wskazujące prawdopodobnie zasięg lokalnych radiostacji.

– To wręcz nieprawdopodobne – powiedział, gdy odnalazł trasę łączącą Tzschochę z Rosenheim – jeżeli w tych depeszach napisano prawdę, to konwój z zamku musiał nie tylko przemknąć się pod nosem Rosjan, ale przedostać się także przez tereny zajęte przez wojska amerykańskie.

Compaigne stanął obok niego.

– Trudne, ale możliwe. Jechali przez swoje ziemie. Mogli rozdzielić się, korzystać z pomocy ludności, a kilka ciężarówek to nie pułk wojska. Zapewne wysłali zwiad i gdyby okazało się, że dalej nie mogą jechać, ukryliby ładunek lub jego część gdzieś po drodze. Nie jestem pewien, czy tak nie zrobili. Idę sprawdzić, jaka jest sytuacja wojskowa wokół tego Rosenheim.

Poszedł na górę, a Czerny wrócił na swój fotel ze szczerym zamiarem przeglądania depesz. Kubek kawy, który ktoś postawił obok jego miejsca, wydzielał wspaniałe zapachy. Usadowił się jak mógł najwygodniej, ponownie położył nogi na stole i poczuł, jak wraca błoga senność. Sięgnął jeszcze po nieprzejrzone paski dalekopisu i zasnął.

„Afgan” siedzący na ławie w zamkowej piwnicy dostrzegł z zadowoleniem światło

latarki, nieomylny znak, że nadchodzi Jorg.

Podniósł się, widząc, że jego nagły ruch przepłoszył szczury, które coraz bardziej odważne, zbliżały się do jego miejsca. On też przyzwyczał się do ich obecności i już nie rzucał kamyczkami odpadającymi ze ścian w ich stronę, co zresztą miało znikomy efekt.

– Jakie wieści przynosisz, Prometeuszu? – powitał Jorga. Ten postawił na stole butelkę z naftą do lampy i metalowy pojemnik, w którym zazwyczaj przynosił żywność.

– Rosjanie zajęli Kancelarię Rzeszy w Berlinie. Los Hitlera nie jest znany. Według oficjalnego komunikatu „zginął za ojczyznę”, co oczywiście niczego nie wyjaśnia. Mówi się, że umknął do Alpejskiej Reduty. Inni twierdzą, że popełnił samobójstwo.

Usiadł na ławie obok „Afgana”.

– Zastanawiam się, co dalej? Ciężarówki z „Aparatem” wyjechały z zamku. Glöbcke zniknął...

– Mówisz, że nasza misja dobiegła końca? – „Afgan” podniósł głowę, najwyraźniej ożywiony możliwością szybkiego opuszczenia lochu, który traktował jak najgorsze więzienie.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Nie wiem tylko, jak się stąd wydostać?

– Ja też. Czuję się jak Edmund Dantes zamknięty w twierdzy If.

– Możemy spróbować wyjść drogą, którą wy dostaliście się do zamku, ale jest piekielnie niebezpieczna. Warto tak ryzykować w końcu wojny?

– Mamy na sobie niemieckie mundury, to po co się przedzierać przez pola minowe, zamiast wyjść jak na paradzie?

– Wówczas zgarnie nas pierwszy patrol SS i powiesi za dezercję – Jorgowi ten pomysł wydał się najgorszy. – Jeżeli nawet uda się nam ominąć Niemców, to dokąd pójdziemy? Do Rosjan? Ucieszą się.

– A uważasz, że Amerykanie przyjdą do zamku? Za parę dni będą tu Rosjanie!

– Krótko mówiąc, jesteśmy w pułapce.

– Bardzo cenne spostrzeżenie – „Afgan” podniósł się z ławy. – Nie wiem jak ty, ale ja wychodzę. Rozkaz wykonałem, nic więcej nie mam tu do roboty. Poza tym – pochylił się nad Jorgiem, aby podkreślić znaczenie argumentu, który zachował na koniec – gdzieś tam rozgrywają się najważniejsze wydarzenia, a my tu gnijemy. Wiesz, o czym mówię. Idziemy?

– W tym esesmańskim mundurze zastrzelą cię Amerykanie lub powieszą Rosjanie. Przyniosę ci mundur Wehrmachtu, ale najwcześniej jutro. Muszę również uzyskać rozkaz wyjazdu od Kunzego – Jorg skierował się w głąb tunelu.

Compaigne odwrócił się od okna, przez które przyglądał się długiej kolumnie jeńców maszerujących przez Münchener Strasse w stronę pobliskiego dworca kolejowego.

Niewiele miał czasu, aby zwiedzać Rosenheim – piękne miasto, otoczone górami –

gdyż kapitulacja Niemiec sprawiła, że z wielokrotnością się liczyła liczba komunikatów napływających do jego kwatery. Było ich tak wiele, że musiał założyć biuro, w którym sześciu żołnierzy przyjmowało meldunki od miejscowej ludności i jeńców. Niemcy chętnie współpracowali z nowymi władzami, przekazując wszelkie informacje, jakie tylko znali. Nowy burmistrz oddał zespołowi Compaigne'a duży budynek w centrum miasta, w którym przed wojną mieściły się jakieś biura, więc mogli rozlokować się wygodnie, urządzając prywatne kwatery w kilku pomieszczeniach na poddaszu i na półpiętrze.

Od Jorga i „Afgana” nie napływały żadne wiadomości, od czasu gdy powiadomili, że załoga Tzschochy będzie ewakuowana prawdopodobnie szóstego maja, a oni, nie czekając na rozwój wydarzeń, podejmą próbę przedarcia się do amerykańskiej strefy. Na tym łączność zakończyła się, a posterunki amerykańskie, poinformowane, że mają natychmiast zawiadomić, gdyby zgłosił się do nich kapitan Wehrmachtu Hugo Jorg, nie przekazały żadnego sygnału.

Wielkie podwójne drzwi, w których klamka była na poziomie oczu człowieka o przeciętnym wzroście, otworzyły się i stanął w nich Czerny.

– Hasło „Orilo” właśnie zabrzmiało – powiedział wchodząc. – Żandarmeria zatrzymała porucznika Wehrmachtu, który podał, że tak się nazywa. Kazałem go tutaj przywieźć.

Czyżby coś zaczęło się dziać?

Compaigne wrócił do biurka, przy którym przeglądał raporty o sytuacji w Berlinie, nie znajdując jednak nic ciekawego dla swojej grupy.

– Wiemy o nim coś bliższego?

Czerny pokręcił głową, siadając naprzeciw Compaigne'a.

– Nie ma dokumentów, co nie musi dziwić. Pewny siebie, różni się od innych jeńców, zachowujących się apatycznie. Idą z dworca, więc powinni być za kilka minut.

Obydwaj czuli, że zbliża się przełom w ich pracy, która utknęła w martwym punkcie.

Nie czekali długo. W drzwiach stanął rosły Murzyn, w białym hełmie żandarmerii wojskowej i stuknąwszy obcasami, zameldował doprowadzenie jeńca.

Mężczyzna stojący pół kroku z tyłu wyglądał niepozornie w pobrudzonym mundurze bez odznak, choć jakość materiału wskazywała, że jest to mundur oficerski. Nie widać było po nim, żeby bał się czegokolwiek.

– Pan porucznik Orilo? – zapytał Compaigne. – Czy ma pan jakieś dokumenty?

– Nie – jeniec pokręcił głową. – Nie mam dokumentów, ani nie nazywam się Orilo.

Podszedł do fortepianu stojącego przy ścianie, na którym Compaigne, nie znajdując wystarczająco dużo miejsca na biurku i stole, rozłożył papiery.

– Czy mogę? – zapytał. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego tam właśnie skierował się, widząc, że wziął paczkę papierosów, którą Czerny położył w tamtym miejscu. – Jeńcom nie dają...

Wyjął kilka papierosów i włożył do kieszeni munduru.

– Niech już pan weźmie wszystkie – mruknął Czerny.

– Dziękuję – jeniec przełożył papierosy do paczki i schował ją. Spojrzał za siebie na Murzyna wciąż stojącego przy drzwiach i uderzającego białą pałką w lewą dłoń, jakby w ten sposób chciał dać znać, że gotów jest przywołać bezczelnego Niemca do porządku.

– Dziękuję, sierżancie – Compaigne zwrócił się do żandarma. – Zaczekajcie za drzwiami. Poradzimy sobie.

Żandarm zasalutował i odwrócił się. Compaigne odczekał chwilę, aż zamknie za sobą drzwi.

– No, więc... – zwrócił się do oficera. – Jak pan się nazywa?

– Jestem SS-Obersturmbannführer Glöbcke – zawiesił głos. Compaigne spojrział na Czernego. Znali to nazwisko z relacji Jorga.

Zrozumiał ich gest.

– Tak jest, szef ochrony zamku Tzschocha, a właściwie tajnego ośrodka, jaki mieścił się tam od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Wszystko, co wiecie o mnie, pochodzi od kapitana Jorga.

Wskazał na fotel.

– Czy mogę usiąść?

– Nie! – Compaigne zrozumiał, że esesman usiłuje narzucić im swój styl rozmowy. – Jest pan jeńcem lub więźniem, który popełnił zbrodnie wojenne, a nie naszym gościem. Niech pan mówi dalej.

Podszedł do fotela, na który wskazywał Glöbcke, i usiadł.

– Dlaczego ukrywa się pan w mundurze porucznika Wehrmachtu pod fałszywym nazwiskiem?

– Trudno byłoby mi poruszać się w mundurze SS. Istniało ryzyko, że któryś z waszych żołnierzy zastrzeli mnie, zanim do was dotrę – Glöbcke nie robił wrażenia człowieka zbitego z tropu. – Orilo, to panińskie nazwisko mojej kuzynki. Nie mogłem przecież podać swojego nazwiska, jako człowieka, który skontaktuje się z wami. Moi koledzy z Gestapo mogli przechwycić taką wiadomość. Wszystko to byłoby ze szkodą dla naszej – podkreślił to słowo – sprawy!

– Logiczne, panie Glöbcke. Czego pan od nas oczekuje?

– Niewiele, tylko zwolnienia z niewoli...

– ...aby w ten sposób uzyskać nową, najbardziej autentyczną tożsamość, która pozwoli panu uniknąć odpowiedzialności za to, co robił pan w czasie wojny – Compaigne przybrał drwiący ton.

– Zgadzam się z pierwszą częścią pana wypowiedzi... – Glöbcke wyjął z kieszeni papierosy. – Czy chociaż pozwolą panowie, że zapalę. Przyznam się, że nie miałem papierosa w ustach od dwóch dni.

Compaigne skinął głową.

– Do rzeczy, panie Glöbcke!

– Co do drugiej części, to nie obawiam się odpowiedzialności, gdyż poza

członkostwem w SS nie popełniłem żadnej zbrodni!

– A co zrobił pan z Natalią? – Czerny podszedł do niego. – Torturowanie nie jest zbrodnią?

– Nie torturowałem jej! – Glöbcke zaprzeczył z taką siłą, że gotowi byli mu uwierzyć. – Choć przyznaję, prowadziłem... – zastanawiał się przez chwilę nad doborem słowa – twarde, bezkompromisowe śledztwo. Wymierzenie paru policzków nie jest jednak przestępstwem!

– Nie my to będziemy oceniać – Compaigne zaczynał tracić cierpliwość. Pewność siebie, jaką prezentował esesman, wytrącała go z równowagi.

– Takie są zasady wojny i nie ja je wymyśliłem. Pani Natalia, podejmując się działalności sprzecznej z prawem, akceptowała te zasady!

– Esesmańska logika! – warknął Compaigne. – Niech pan podejdzie do okna i zobaczy, co zrobiliście z tym pięknym krajem, stosując taką właśnie logikę. I przestanie opowiadać te głupoty! Do rzeczy, panie Glöbcke!

– Ma pan rację. Przejdźmy do rzeczy. W zamian za zwolnienie z niewoli wskażę wam miejsce, w którym ukryłem „Aparat”, zwany przez was ryba-miecz.

– Bez łaski, zastosujemy „zasady wojny” i wkrótce sam pan nas tam zaprowadzi. Sadyści, którzy lubią zadawać ból, są wszędzie, niestety, również w wojskach amerykańskich.

Glöbcke uśmiechnął się. Był zbyt dobrze przygotowany do tej rozmowy, zbyt dogłębnie przemyślał każdy jej fragment, aby nie przewidzieć, że może paść taki argument.

– Wówczas Natalia zginie – powiedział spokojnie. – Mówi pan, że zastosujecie „zasady wojny”, a więc tym samym zgadzacie się na postępowanie wobec zakładników, a takim jest Natalia. Nie ma pan innego wyjścia, panie pułkowniku, jak tylko przyjąć moją propozycję lub odesłać mnie do obozu. Oczywiście już nie do obozu dla żołnierzy Wehrmachtu, lecz esesmanów. Powtarzam, że przewidziałem i takie ryzyko, ale nie sądzę, żeby was było stać na oddanie „Aparatu” Rosjanom.

Zapalił papierosa, który dotychczas trzymał w palcach. Czekał, wiedząc, że wygrywa.

– Czy zwolnienie z niewoli ma być na nazwisko Orilo? – odezwał się Czerny, próbując przełamać impas, w jakim znalazła się rozmowa Compaigne’a i Glöbckego.

– Nie, in blanco – Glöbcke głęboko wciągnął dym, jak palacz, któremu przez wiele dni brakowało papierosa. – Wstawię tam nazwisko, którego nie będziecie znali, tym samym nie będziecie mogli mnie szukać, gdy stąd wyjdę.

– Dobrze! – Compaigne przemyślał propozycję i przyjął, że w tej potyczce przewaga była po stronie esesmana. Zbyt dobrze przygotował się do tej rozmowy. – Gdzie jest „Aparat”?

– Dzisiaj jest za późno, aby go wydobyć – Glöbcke zdusił papieros w popielniczce. – Przygotujcie na jutro ze trzydziestu ludzi. Wszystkie urządzenia są zakopane niedaleko, ale zajmują dużo skrzyń.

– Oddaje pan „Aparat” tylko za kawałek papieru zwalniający z niewoli? – Czerny starał się zrozumieć motywy działania esesmana.

– Panie majorze – Glöbcke obrócił się w jego stronę – jako żołnierz wypełniłem rozkaz nakazujący mi ewakuowanie „Aparatu” z zamku. Zrobiłem więcej, wprowadzając Rosjan w błąd, gdyż zbombardowali konwój przewożący stare części samochodowe i są przekonani, że zniszczyli „Aparat”. Bezwarunkowa kapitulacja, podpisana przez moich dowódców, nakazuje oddanie broni aliantom, więc oddając wam to urządzenie, nie łamię przysięgi. Co prawda, mogłem je ukryć, ale po co?

Odwrócił się, dając znać, że nie ma nic więcej do powiedzenia i czeka, aż Compaigne wezwie żandarma.

– Jeszcze jedno – zatrzymał go Czerny. – Kiedy wypuści pan Natalię?

– Gdy po wydobyciu skrzyń i sprawdzeniu, że jest to „Aparat”, dacie mi glejt zwalniający z niewoli i pozwolicie odejść.

Wielki ciemnoskóry żandarm pojawił się w progu, wciąż z pałką w dłoni. Compaigne skinął głową, że może wyprowadzić Glöbckego.

– Pilnujcie go dobrze, będzie potrzebny rano – powiedział do sierżanta.

Patrzył jeszcze przez chwilę na odchodzącego Glöbckego.

– W tym swoim perfekcyjnym planie musiał popełnić jakiś błąd, ale, dopóki go nie znajdziemy, musimy przyjmować jego warunki – powiedział do Czernego.

– Rzygać mi się chce, gdy słucham tego sukinsyna i nie mogę zdzielić go po tej jego obrzydliwej esesmańskiej mordzie!

– To możesz zawsze – Compaigne powiedział to w taki sposób, że Czerny nie wiedział, czy mówi serio, czy żartuje.

– Dziękuję, dobry pomysł – tym samym tonem odrzekł Czerny. – A błąd popełnił...

– Jaki?

– Nie uwzględnił Joanny.

– Tutaj – Glöbcke wskazał na stertę gruzów leżącą obok domu na przedmieściu. – Najpierw umieściliśmy skrzynie w piwnicy, a potem zwaliliśmy na to ścianę.

Compaigne skinął na jeńców, którzy z łopatami i kilofami podeszli do wskazanego miejsca. Nie miał wątpliwości, że Glöbcke mówi prawdę i za kilkanaście minut wyciągną skrzynie. Odszedł na bok i zapalił papierosa. Ciągłe rozważał, jak może zmienić bieg spraw, narzucony im przez esesmana. Nie znajdował jednak żadnego pomysłu. Każdy ruch, jaki by wykonał, mógł zostać skontrowany. Pozostało jedynie podporządkować się żądaniom człowieka, którego najchętniej postawiłby przed sądem.

Kilof któregoś z jeńców uderzył o metalową obejmę skrzyni.

– Ostrożnie! – krzyknął Glöbcke. – Resztę odgruzować rękami! Znów stał się esesmanem wydającym rozkazy. Natychmiast jednak zreflektował się i wycofał do

drugiego szeregu, a jeńcy zaczęli wydobywać skrzynie.

– Jak pan widzi, wywiązałem się ze swojej obietnicy – Glöbcke podszedł do Compaigne’a. – Proszę o glejt.

Uśmiechał się jak człowiek zadowolony z dobrze wykonanego zadania. Wciąż triumfował.

– Zaraz – Compaigne podważył łomem wieko skrzyni, jednej z mniejszych wydobytych z piwnicy, która została oczyszczona z gruzu.

– Wygląd zgadza się z raportem Jorga – Czerny pochylił się nad Compaigne’em, który przeglądał zawartość.

Nigdy nie widział „Aparatu”, ale porównywał urządzenie w skrzyni z tymi, które znał z Bletchley Park. Nie miał wątpliwości, że Glöbcke nie oszukał ich. Przywołał go gestem.

– Chcę zobaczyć walec. Niech pan otworzy skrzynię, w której został umieszczony.

Glöbcke uśmiechnął się.

– Jorg... wam doniósł – powiedział powoli, z trudem maskując zaskoczenie – ale jak to zrobił?

Był szczerze zdumiony. Po chwili uznał jednak, że oczekiwanie na odpowiedź na to pytanie jest niedorzecznością.

– Wie pan, ja uważałem na początku, że Jorg jest szpiegiem rosyjskim, gdyż Rosjanie też byli informowani o „Aparacie”. Myliłem się.

Compaigne wzruszył ramionami, dając znać, że rozterki esesmana go nie interesują.

– Gdzie walec? – powtórzył.

– Litera „R”. – Glöbcke wskazał na niewielką skrzynię i natychmiast dodał: – Zawarliśmy układ i wykonuję go uczciwie.

Czerny podniósł wieko. Urządzenie, które tam leżało troskliwie opakowane w pakuły i wióry, było w dobrym stanie i kompletne. Skinął do Compaigne’a, potwierdzając, że wszystko się zgadza.

– Mógłby pan zażądać pieniędzy... – komandor spojrzał Glöbckemu w oczy, starając się wyczuć jego reakcję. – Dużo pieniędzy!

– Jestem oficerem, nie handlarzem – Glöbcke wytrzymał jego wzrok. – Przez całe życie walczyłem z największym złem tego świata: bolszewizmem. Całe Niemcy walczyły z bolszewizmem, gdyż byliśmy najbardziej zagrożeni i z zewnątrz, i od wewnątrz. Ale tę walkę przegraliśmy, dlatego, że wy, którzy nazywacie siebie narodem demokratycznym, wsparliście to zło. To tak jakby anioł ochraniał okrutnego i krwiożerczego diabła. Teraz będziecie musieli sami tę walkę podjąć. Dlatego świadomie oddaję wam to urządzenie, bo wiem, że pomoże ono w kontynuowaniu dzieła, które dla mnie było sprawą najważniejszą. Proszę o glejt.

Compaigne patrzył przez chwilę w milczeniu na esesmana, zaskoczony logiką jego wykładu. Powoli sięgnął do kieszeni i wyjął złożony papier.

– Gdzie jest Natalia? Glöbcke zerknął na zegarek.

– Powinna właśnie dojść do dworca i czekać tam na patrol, jaki zapewne pan wysła. Czy mam pozostać, aż sprawdzi pan moją prawdomówność do końca?

– Jest pan wolny, panie... jak tam pan się teraz nazywa – Compaigne podał mu dokument.

– Chwileczkę! – Czerny zobaczył, że esesman odchodzi. Ten zatrzymał się i odwrócił, jakby zdziwiony. W tym momencie Czerny, który stanął przed nim i honorowo odczekał kilka chwil, jakby dawał przeciwnikowi czas na przygotowanie się do obrony, wykonał szybki cios, trafiając Niemca dokładnie w nos. Ten zrobił kilka kroków do tyłu, upadł i leżał oszołomiony, zanim powoli podniósł się i uklęknął. Krew płynąca z rozbitego nosa kapiała wielkimi kroplami na mundur.

– Zgodnie z zasadami wojny, panie Obersturmbannführer – Czerny stanął w lekkim rozkroku, licząc, że esesman rzuci się na niego. Glöbcke, jakby wyczuwając zdecydowaną przewagę Polaka, zebrał się niezdarnie, bez zamiaru podjęcia walki. Uniósł wysoko głowę, aby w ten sposób zahamować krew, przytknął do nosa jakąś szmatę wyciągniętą z kieszeni i, nie odwracając się, odszedł szybko.

– A nie mówiłeś nic, że w waszym majątku był również trener boksinerski – odezwał się Compaigne.

– Jeżeli rozważać pod tym kątem, to możemy uznać, że Glöbcke miał szczęście, gdyż mój instruktor fechtunku był jeszcze lepszy.

– Jedź na dworzec po Natalię i zabierz ją do komendy, aby mogła powiadomić matkę. Ściągnij też lekarza. Ja tu zostanę i dopilnuję załadunku na ciężarówce.

Czerny ruszył w stronę motocykla opartego o ścianę.

– Zaczekaj! – Compaigne zatrzymał go. – Masz jakieś wiadomości o Jorgu i „Afganie”? Pokręcił głową.

– Rosjanie zajęli Tzschochę, ale na pytanie naszej misji, czy wśród jeńców był kapitan Jorg, zaprzeczyli.

– Mam nadzieję, że zdołali umknąć – Czerny nie okłamywał komandora. Tylko tyle było mu wolno powiedzieć. Czyżby Compaigne czegoś się domyślał?

Odwrócił się i pobiegł do motocykla, aby przerwać dalszą rozmowę na temat Jorga.

W szumie miasta, którego życie zostało stłumione kapitulacją i wkroczeniem wojsk okupacyjnych, słyhać było, jak zegar na pobliskim ratuszu wybijał godzinę osiemnastą. Czerny wyprostował się i rozłożył ręce, aby rozciągnąć napięte mięśnie. Przez ostatnie kilka godzin tkwił w niewygodnej pozycji, nadzorując skomplikowane połączenia kabli doprowadzających prąd do jednego z zespołów „Aparatu”. Nie miał pojęcia, jak powinny biec, ale czynność tę wykonywał niemiecki technik, któremu Czerny nie wierzył, i uznał, że będzie on lepiej pracował, wiedząc, że jest pod kontrolą.

– Długo jeszcze? – w drzwiach stanął Compaigne.

– Zejdzie do świtu. Pójdę się przejść. Zostaniesz? – Czerny postanowił wykorzystać okazję i wyjść.

Zdjął kurtkę z wieszaka i wyszedł szybko na korytarz. Czuł się doskonale, pomimo wielu nieprzespanych nocy, gdyż świadomość, że za kilka godzin uruchomią „Aparat”, była tak ekscytująca, iż nie pozwalała poddawać się zmęczeniu. Zaprzętała go jednak inna myśl.

Zszedł na półpiętro i skierował się do wąskiego korytarzyka, gdzie urządzono pokoje gościnne. Nie było w nich luksusu, ale były czyste i wyposażone w ładne meble, ściągnięte z pobliskiego hotelu. Dla Compaigne’a i niego miało to dodatkowe znaczenie, że nawet idąc spać, pozostawali w bezpośrednim sąsiedztwie pokoju łączności i w każdej chwili mogli podjąć działanie, dowiadując się o ważnym odkryciu.

Zatrzymał się przed drzwiami z numerem „4” i zastukał. Nie słysząc odpowiedzi, nacisnął klamkę.

– Natalia? – powiedział cicho. – Natalia? W głębi pokoju zajaśniała lampka. Dziewczyna leżąca na szerokiej kanapie, okryta kocem, podniosła głowę.

– Już czas – powiedział. – Zaczekam na korytarzu. Cicho zamknął drzwi i rozejrzał się. O tej porze w budynku było już cicho i spokojnie. Jedynie z parteru dobiegały go głosy wartowników.

Po kilku minutach Natalia stanęła w drzwiach. Zerknął na nią przelotnie, aby nie urazić jej zbyt natarczywym przyglądaniem się jej twarzy. Rany zagoiły się i trudno było dostrzec ślady tortur, jakie zadawał jej Beer. Sama sprawiała wrażenie, że straszne wspomnienia odchodzą i odzyskuje równowagę.

– Już jest? – zapytała. Spojrzał na zegarek.

– Według ostatniej informacji powinien być między osiemnastą a dziewiętnastą. Chodźmy.

Noc była zimna. Od gór wiał silny, nieprzyjemny wiatr budzący niepokój, co przywodziło mu na myśl halny. Natalia nasunęła chustkę na głowę i rozejrzała się wokół z wyraźną ciekawością. Niewiele widziała tego miasta, tyle co z okna samochodu, którym przywiózł ją Glöbcke. Potem siedziała w małym pokoju, którego okna zostały zaklejone gazetami, pilnowana przez starego żołnierza, który z nudów opowiedział jej wszystko o swojej rodzinie, a myśląc, że jest ważnym więźniem, co chwila przeproszał, że nie może jej puścić i prosił, aby wstawiła się za nim, gdy pójdzie do niewoli. Aż pewnego dnia spojrzął na zegarek, powiedział „już czas” i zaprowadził ją na dworzec, kazał usiąść w poczekalni, a sam zniknął w tłumie.

Rozejrzeli się. Z daleka dostrzegli grupę żołnierzy amerykańskich, grzejących się przy ognisku rozpalonym w metalowej beczce. Najwidoczniej pełnili wartę w pobliżu budynku komendantury, ale nie czując zagrożenia, zlecili czujność koledze siedzącemu w jeepie obok karabinu maszynowego, a sami grzali się przy płomieniach.

Czerny i Natalia przeszli przez ulicę, prowadzeni baczny spojrzeniem wartowników, którym jednak najwyraźniej nie chciało się oddalać od ogniska i

sprawdzać ich dokumenty. Kierowali się do małej knajpki, nad którą wisiał szyld w biało-niebieskie romby. Wewnątrz tylko jeden stolik był zajęty przez żołnierzy, którzy przerwali patrolowanie ulic i weszli do kawiarenki, licząc na darmowy poczęstunek.

Natalia i Czerny usiedli przy oknie, aby mieć widok na ulicę.

– Zimno – powiedział Czerny, chcąc przerwać przedłużające się milczenie. – Może wrócisz do pokoju? Pokręciła głową.

– Zaczekam – powiedział prawie bezgłośnie.

Żeliwny piecyk na trzech nóżkach, od którego rura biegła do otworu wyciętego w okiennej szybie, był zimny, zaś właściciel, który podszedł do ich stolika, od razu stwierdził, że jedyne, co ma ciepłego, to „sznaps”.

– Nie ma gazu, nie ma na czym zagrzać wody – wyjaśnił i szybko wrócił za bufet, gdzie zajął się przekładaniem talerzy.

– Kłamie, jak pies – mruknął Czerny.

Odległy warkot samochodu kazał im spojrzeć w górę ulicy, gdzie po chwili zza zakrętu wyłoniły się światła.

Żołnierze przy beczce sięgnęli po thompsony i wyszli na jezdnię.

Jeep z szarą oponczą zatrzymał się. Kierowca podał im dokumenty. Rozmawiali przez chwilę, po czym jeden z wartowników odwrócił się i wskazał na budynek, w której mieściła się kafejka.

– Jorg? – powiedziała Natalia, jakby z nadzieją, że za chwilę zobaczy go.

– Tak sądzę.

Jeep po kontroli ruszył ostro i szybko zbliżał się do nich. Dostrzegli, że ktoś macha spod plandeki, najwyraźniej widząc ich przez wystawową szybę.

– Hugo! – krzyknęła Natalia i zerwała się z krzesła. Przebiegła przez salę.

Jorg wysunął się spod plandeki i trzymając się jedną ręką uchwytu, drugą machał na powitanie. Zeskoczył dokładnie w momencie, w którym Natalia otworzyła drzwi i wybiegła na ulicę. Objęli się jak przyjaciele, którzy uszli śmierci, i stali tak przez chwilę, przypatrując się sobie.

– Dzielna dziewczyna – powiedział po chwili Jorg.

– Dobrze, że żyjesz... – odpowiedziała Natalia.

– Możecie witać się tam, w środku? – zapytał „Afgan”, który zaparkował przy krawężniku i wysiadł, dzwigając niewielki tobołek.

– Jak postoiacie tu dłużej, to zaraz zbiegnie się cała komendantura – Czerny spojrzał na okna budynku naprzeciw. Nie chciał, aby zbyt wiele osób widziało Jorga.

Usiedli przy innym stoliku, już w głębi kawiarnianej sali.

– Jak wydostaliście się z zamku? – zapytał Czerny.

– Kunze, porządny facet, dał mi papiery z rozkazem wyjazdu dla mnie i „Afgana”, którego przebrałem w mundur Wehrmachtu. Reszta była łatwa: trochę pociągami, trochę rowerami, które kupiliśmy w jakiejś wiosce. Rosjanie do nas strzelali, bo wyszli pobawić się w polowanie na Niemca. Na szczęście byli pijani, więc nie trafili. I tak, aż do

pierwszego amerykańskiego posterunku, gdzie chcieli wziąć nas do niewoli, ale dali się przekonać i pozwolili zadzwonić do ciebie.

Patrzył na Czernego, nie wiedząc, czy może wprost dopytywać się o zdrowie Natalii. Wreszcie, widząc przyzwolenie w skinieniu głowy, obrócił się do niej.

– Wkrótce wyruszam do Paryża. Co mam powiedzieć twojej matce?

– Powiedz, że tęsknię za nią i że czuję się coraz lepiej, ona to zrozumie. Nasz los był taki sam. Matka i córka...

– Natalia przyjedzie do Paryża wkrótce po was. Nie chcę, aby ponownie cokolwiek jej zagroziło. Tu jest bezpieczna – wtrącił się Czerny.

– Dlaczego nie ma Howarda? – Jorg rozejrzał się. – Szczerze mówiąc, sądziłem, że będzie z wami.

– Czerny rozważał przez chwilę odpowiedź, choć spodziewał się tego pytania. Zastanawiał się, czy nie powinien zbyć Jorga jakąś informacją, że Compaigne został gdzieś oddelegowany, ale nie chciał kłamać.

– Widzę, że zadałem ci trudne pytanie – Jorg wyczuwał wahanie Polaka.

– Nie, tylko zastanawiałem się, jakiej odpowiedzi mam ci udzielić. Nie chciałem narażać Howarda na konflikt sumienia.

Jorg patrzył na niego bez słowa, choć widać było, że odpowiedź zaskoczyła go. Czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Być może się mylę, ale uważam tak: Howard lada miesiąc wróci do Stanów Zjednoczonych i będzie pracował w rządowej agencji. Jeżeli Ameryka nie zmieni swojego stosunku do Związku Radzieckiego, to on może stać się dla nas, dla ciebie, dla mnie, niebezpieczny!

– Ejże! – Jorg był coraz bardziej zaskoczony. – A nie mówią przez ciebie polskie uprzedzenia?

– Wiesz, co mi powiedział Howard? – Czerny pochylił się nad stołem. – W czterdziestym czwartym roku Biuro Służb Strategicznych otrzymało z Finlandii radziecką księgę kodów liczącą tysiąc pięćset stron, którą zdobyto gdzieś na froncie pod Leningradem. I co zrobili uczciwi Amerykanie? Oddali właścicielowi! Tak polecił prezydent Franklin Delano Roosevelt! Na szczęście, bez jego wiedzy, szef Biura nakazał skopiować tę księgę. Chcesz więcej przykładów amerykańskiej naiwności?

Jorg nie odpowiadał, zdając sobie sprawę, że Polak ma rację. Ten mówił dalej:

– Zakładam, że amerykańskie instytucje są naszpikowane komunistami gotowymi ujawnić wszystko Rosjanom. Nie chcę, aby Howard, gdy dostanie rozkaz napisania dokładnego raportu z przebiegu jego służby w Europie, stanął przed dylematem: kłamać, czyli popełnić przestępstwo, aby ukryć znajomość z nami, czy opisać wszystko, co może trafić do Rosjan. W tym przypadku byłby dla nas niebezpieczny.

Jorg kiwnął głową, jakby potwierdzając, że zgadza się z taką oceną.

– Czytałem depesze wywiadowcze wysyłane z Waszyngtonu i Nowego Jorku, które udało nam się odszyfrować. Rosjanie wiedzą ogromnie dużo o największych

amerykańskich tajemnicach. Przyznaję ci rację.

– Bądźmy dobrej myśli – Czerny uśmiechnął się. – Ta maszyna pomoże im zmienić ich piękną amerykańską naiwność, gdyż dowiedzą się, ilu mają zdrajców. Ale to musi potrwać!

Czerny spojrzął na zegarek.

– O której masz pociąg?

– Za godzinę. Dużo czasu – Jorg machnął lekceważąco ręką. – Co z Glöbckem?

– Już nie ma Obersturmbannführera Glöbckego. Jest nowy człowiek, o nazwisku, którego nie znamy...

– Wypuściliście drania?!

– To była cena za Natalię i „Aparat” – wzruszył ramionami Czerny. – Wcale nie taka wysoka. Dostał dokument zwolnienia z niewoli, z którym pójdzie gdzieś do urzędu i każe wystawić dowód osobisty na widniejące tam nazwisko. Mógł jeszcze zażądać pieniędzy, a nie zrobił tego.

– Widocznie wie, jak zarobić znacznie więcej...

– Glöbcke miał kopię najważniejszej części „Aparatu”, tak zwanego walca. Wiecie, co z tym zrobił? – Jorg wydawał się wyraźnie zaniepokojony.

– Pierwsze słyszę – Czerny wzruszył ramionami. – Co to znaczy?

– On również będzie mógł odbudować „Aparat”. Musisz poinformować Compaigne. Niech wywiad amerykański tego szuka! Sądzę, że Glöbcke udostępni to urządzenie jakiejś esesmańskiej organizacji.

– To już wiesz, dlaczego nie żądał pieniędzy od nas. Czerny wstał.

– Hugo, musimy wracać. Howard uruchamia „Aparat”. Żałuję tylko, że ciebie przy tym nie ma. Jorg też podniósł się zza stołu.

– Poradzicie sobie beze mnie – podszedł bliżej i powiedział cicho. – W zamku dałem ci niewielką paczkę. Masz ją? Czerny skinął głową.

– Chcesz odebrać teraz?

– Nie, ale pilnuj, jak oka w głowie. Zabierz do Paryża. Przy tobie będzie bezpieczniejsza.

– Zrobię to, ale muszę wiedzieć, co wiozę!

– Tak, tak, oczywiście – Jorg rzucił szybkie spojrzenie dookoła. – To są kopie dokumentów, które odnalazłem w zamku Fürstenstein, konieczne do odczytania rosyjskich szyfrów w depeszach wysłanych po styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Jednym słowem, ten, kto ma tę paczkę, może dowiedzieć się bardzo wiele o rokowaniach w Jałcie, kontaktach Stalina z Hitlerem i tak dalej. Pilnuj tego.

Czerny uściśnął dłoń Jorga i objął go ramieniem.

– Ciągłe mam wrażenie, jakbyś o coś chciał zapytać, ale nie możesz się zdecydować. Mylę się?

– Nie, nie... – Jorg zawahał się. – Zapewne nie możesz nic wiedzieć o dziewczynie z zamku, Annie Marii...

Czerny pokręcił głową. Jorg wyjął z kieszeni karteczkę.

– Tu są jej dane. Anna Maria Solof. Powinna dojechać do Coburga, choć zdaję sobie sprawę, że w tych czasach odnalezienie dziewczyny graniczyłoby z cudem. Ale jeżeli udałoby ci się, to przekaz, że przeżyłem i pojechałem do Paryża...

– Zrobię to – ponownie uściskał rękę Jorga.

– .. i będę jej szukać – dokończył Jorg, jakby zawstydzony tym, że musi ujawnić uczucie.

„Afgan”, który siedział milczący przysłuchując się rozmowie też wstał.

– Jędrus, myślałem, że pojedziemy do Polski, ale teraz coś mi się wydaje, że jeszcze nieprędko.

– Wiesz, przeszedłem przez sowieckie łagry. Boję się, że teraz takie są w Polsce, ale wrócimy tam.

Rozstawali się, wiedząc, że wojna wyznaczyła im inne drogi niż te, o których marzyli.

Compaigne wpatrywał się w papierową taśmę zwisającą z drukarki. Każda sekunda wydawała się niemiłosiernie długa. Nagle zaszumiał elektryczny silnik, napędzający szpulę, na którą nawinięty był papier. Równomierny stukot czcionek potwierdził, że urządzenie ożyło, i po chwili z wąskiego otworu zaczęła spływać zadrukowana taśma.

Komandor wyprostował się i złożył ręce na piersiach, jak Napoleon spoglądający ze wzgórz na pole bitwy, gdzie jego wojska odnosiły zwycięstwo. Nie wiedział jeszcze, jaką treść wystukiwała drukarka, ale spodziewał się, że litery układać się będą w sensowne zdania.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Czerny, który zrobił pół kroku i zatrzymał się, słysząc stukot mechanizmu.

– Udało się! Działa! – Compaigne odwrócił się w jego stronę. – To jest największe zwycięstwo w moim życiu!

Schylił się, zaczął uderzać się dłońmi po kolanach, co wyglądało jak zwycięski taniec.

– Wodzu Indian! – Czernemu udzielał się nastrój radości. – Zasłużyłeś na to! Czuję, że bliski jesteś postawienia mi drinka! Compaigne wyprostował się.

– O! To nasze wspólne zwycięstwo! – rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, na kogo może wskazać jako na fundatora, ale nie widząc takiej osoby, machnął zrezygnowany ręką. – Dobrze, ja pierwszy stawiam. Tak, ja pierwszy!

Czerny oddał taśmę i podsunął ją pod światło biurkowej lampy. „Harry przekazuje materiały od Charlesa. Konstrukcja bomby: aktywnym materiałem bomby jest element 94, bez użycia uranu 235. Tak zwany inicjator beryl-polon, źródło cząsteczek alfa, jest usytuowany w środku 5-kilogramowej kuli z plutonu, która jest otoczona 500 funtami

„tube alloy”, służącym jako spowalniacz. Wszystko to jest w powłoce z aluminium o grubości 11 centymetrów. Powłoka aluminiowa jest otoczona powłoką wybuchowego materiału „penthallite” lub „composition C”, według innych źródeł – „composition B”, o grubości 46 cm. Powłoka bomby ma średnicę 140 cm. Całkowita waga bomby, włączając w to „penthallite”, osłonę etc., wynosi około 3 ton. Oczekiwana moc wybuchowa równa jest 5000 ton TNT. Liczba rozszczepień 75x10²⁴. Rysunki, schematy jutro, rzeką”.

– O Boże! – Compaigne wydawał się przerażony tym, co przeczytał. – Nic z tego nie rozumiem, ale bez wątpienia chodzi o bombę atomową! To największa amerykańska tajemnica, a oni wszystko wiedzą! Wszystko!

– A wy nie wiecie, kto to jest „Charles”, który zdradza tak wiele Rosjanom.

Compaigne zdawał się go nie słuchać. Chodził w kółko, porażony treścią odszyfrowanej depezy. Nagle jednym skokiem znalazł się przy telefonie.

– Panie generale, mówi komandor Howard Compaigne z Target Intelligence Committee. W naszej siedzibie na Münchener Strasse mamy urządzenie wielkiej wartości. Proszę o przysłanie dodatkowej eskorty, co najmniej dwudziestu żołnierzy, i samochody pancerne. To jest sprawa... – przerwał na moment słuchając głosu generała.

Czerny przypomniał sobie rozmowę z generałem Huebnerem w czeskim miasteczku.

– Zapewniam pana, że tym razem chodzi o sprawę najwyższej wagi państwowej – mówił dalej Compaigne, coraz bardziej podenerwowany. – Czy mogę liczyć na pana zrozumienie, czy mam odwołać się do generała Eisenhowera!?

Widać było, że z trudem opanowuje irytację, spowodowaną niewiarą dowódcy w jego słowa. Najwidoczniej jednak nazwisko głównodowodzącego podziałało i Compaigne uzyskał to, co chciał. Odłożył słuchawkę.

– Jutro rozmontujemy „Aparat” i wysyłamy do Anglii. Musi tam być jak najszybciej – napięcie opuszczało go. Usiadł przy stole. – Szkoda, że nie ma tutaj Jorga – powiedział niespodziewanie.

Czerny zerknął na niego, ale natychmiast pomyślał, że ta uwaga była całkowicie przypadkowa i nie miała żadnego związku ze spotkaniem, jakie zakończył z Jorgiem przed kilkunastoma minutami.

– Howard, chyba czas już na mnie – powiedział Czerny tak poważnie, że Compaigne spojrział na niego zaskoczony.

– O czym mówisz?

– Czas, żebym pojechał do Anglii – Czerny usiadł naprzeciw Compaigne’a. – Nasza misja jest skończona. Teraz będzie pracował „Aparat” i zupełnie inne służby.

– Okay – Compaigne wyciągnął rękę. – Chciałbym tylko, żebyśmy pewnego dnia razem pojechali do Tzschochy. Jesteśmy to winni dwóm facetom, których tam zostawiliśmy...

– Na pewno pojedziemy – Czerny powiedział to tak, jakby myślał o zupełnie innym celu wyprawy. – Spotkamy się w Londynie. Uścisnęli sobie ręce.

– Zapraszam cię do polskiej restauracji w Londynie. Genialna i, żeby nie było

nieporozumień, ja płacę – Czerny zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił się.

– Nie będę się mógł zrewanżować zaproszeniem do amerykańskiej. O żadnej takiej nie słyszałem w Londynie. Martwi mnie to...

– Czyżby? – obydwaj wybuchnęli śmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Achmerow wyszedł na taras motelu „Red Horse Inn” położonego przy skrzyżowaniu autostrad tuż przed Amboy, miastem oddalonym o godzinę jazdy samochodem od Nowego Jorku. To było dobre miejsce, gdyż podróżując tam, mógł zorientować się, czy ktoś go nie śledzi. Gości nigdy dużo nie było, a polegając na swoim doświadczeniu, w tym otoczeniu bez trudu mógł wyczuć obecność agenta FBI. Był w tym motelu już parę razy, oczywiście za każdym razem pod innym nazwiskiem, które wpisywał do księgi gości innym charakterem pisma, co opanował do takiej perfekcji, że żaden z grafologów nie mógłby stwierdzić, iż pisała to ta sama osoba. Oczywiście za każdym razem spał w innym pokoju, dbając, aby był to pokój na piętrze, pod dachem, co chroniło go przed obserwacją przez dziurę wywierconą w suficie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta, co oznaczało, że ma jeszcze trochę czasu do spotkania z „Alesem”, agentem współpracującym z radzieckim wywiadem od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Kiedyś przy czwartej szklance whisky „Ales” ujawnił, że stało się tak za sprawą jego żony Priscilli, komunistki, która skontaktowała go z Whittakerem Chambersem, towarzyszem z partii komunistycznej, używającym pseudonimu „Carl”. To on poprowadził „Alesa” przez zawile ścieżki szpiegowskiego fachu, ale też stał się jego największym zmartwieniem, albowiem w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku oświadczył, że rozczarował się do „Stalina i całej bolszewickiej bandy”, i rozpoczął zażartą działalność antykomunistyczną. Nic jednak nie wskazywało na to, żeby wydał go kontrwywiadowi. Było to mało prawdopodobne, gdyż tym samym musiałby przyznać się, że przez dwa lata sprzedawał Rosjanom amerykańskie tajemnice.

Achmerow usiadł w bujanym fotelu i zapalił cygaro, wcześniej odgryzając czubek. Lubił zachowywać się jak prawdziwy Amerykanin z Południa, a ponieważ w wielu filmach widział takie sceny, więc szybko przyswoił sobie zwyczaj leniwego przesiadywania z cygarem na tarasie. Czyż mogło być coś piękniejszego?

Z tego miejsca dobrze widział samochody przejeżdżające autostradą. Zastanawiał się, cóż tak ważnego „Ales” ma do przekazania, skoro przesłał sygnał, dzwoniąc do radzieckiego konsulatu i podając umówione hasło.

Wielki czarny chrysler zjechał z autostrady na drogę prowadzącą do parkingu, przy którym stał „Red Horse Inn”. Achmerow podniósł się z fotela, niezadowolony, że wcześniejszy przyjazd „Alesa” przerwał mu ulubione zajęcie. Obejrzał się.

W biurze, do którego drzwi były szeroko otwarte, nie dostrzegł nikogo. Zwykle o tej porze właściciel szedł do kuchni, aby przygotować lunch dla gości. Szybkie spojrzenie na

okna też nie dało powodów do niepokoju, gdyż nie zauważył, żeby ktokolwiek przez nie wyglądał.

Podszedł do swojego małego forda i zanim wsiadł, stał przez chwilę, tak aby „Ales” go zauważył. Uruchomił silnik i odjechał w stronę miasta, gdzie miał zaparkować pod mostem kolejowym. To było najlepsze miejsce do wymiany szpiegowskich materiałów, gdyż filary osłaniały je przed obserwatorami niemalże ze wszystkich stron.

Zaciągnął ręczny hamulec, obserwując w lusterku, jak tuż za nim zatrzymał się czarny chrysler i wysiadł z niego szczupły czterdziestoletni mężczyzna, ubrany w doskonale skrojony czarny płaszcz z aksamitnym kołnierzem, sztuczkowe spodnie i czarne buty, wypolerowane do połysku.

– Ciekawe, czy oni do łóżka też tak idą ubrani – pomyślał z niekłamaną pogardą dla zwyczajów agenta, który przybywał na tajne spotkanie ubrany tak, że z daleka widać było, iż jest człowiekiem zamożnym i związanym z elitami rządzącymi. W istocie pozostawał w najbliższym kręgu doradców prezydenta Franklina D. Roosevelta. Choć po śmierci prezydenta w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku jego pozycja pogorszyła się, to w dalszym ciągu miał informacje z pierwszej ręki. Alec Hiss.

– Hallo, A – usiadł obok Achmerowa i podał mu rękę starając się zachowywać swobodnie, jakby spotkania ze szpiegiem były codziennością w jego pracy Szybko jednak zdradził się, że jest spięty i zdenerwowany, wielokrotnie spoglądając przez ramię, czy nikt ich nie obserwuje.

– Spokojnie, jesteśmy sami i bezpieczni, wierzcie mi – Achmerow uznał, że powinien uspokoić zbyt nerwowego agenta. Uśmiechnął się niby po przyjacielsku, ale w istocie denerwowały go gesty agentów, którzy nie dowierzając jego profesjonalizmowi, sami wszystko sprawdzali. – Co to za ważna sprawa, z którą dzwoniście?

– Bardzo ważna – Hiss znowu zerknął za siebie – dwudziestego dziewiątego w Białym Domu odbyła się narada, oczywiście z udziałem prezydenta. Zapadła decyzja o użyciu bomby atomowej przeciwko Japonii!

Achmerow gwizdnął zadowolony. To była nadzwyczaj ważna wiadomość.

– Nie będzie próbnego wybuchu na Pacyfiku ani żadnej demonstracji w obecności japońskich obserwatorów, aby ich przestraszyć. Po prostu japońskie miasto zostanie... zbombardowane, choć nie wiem, czy to dobre słowo, zakładając, że rozumiemy przez nie wielogodzinny nalot, a nie wybuch jednej bomby.

– To ostateczna decyzja?

– Tak, jeżeli próba na pustyni potwierdzi teoretyczne wyliczenia. Zostanie przeprowadzona za kilka tygodni. Jest wiele wątpliwości co do siły wybuchu...

– A prezydent jest pewny, że w ogóle bomba zadziała?

– Naukowcy zapewniają, że nie ma wątpliwości co do bomby uranowej. Problemy mogą być z plutonową, dlatego konieczny jest próbny wybuch. Wtedy zapadną decyzje co do wykorzystania drugiej bomby...

Achmerow ponownie gwizdnął. Warto było wyjeżdżać z Nowego Jorku, aby usłyszeć

takie słowa. Zdawał sobie sprawę, że wszystko, co mówi „Ales” jest prawdą, gdyż potwierdzały to raporty przesyłane przez „Mlada”.

– To jest ważne dla państwa radzieckiego – powiedział, choć nie potrafił wyczuć, czyjego rozmówca spodziewał się takiego podsumowania, czy uważał je za głupie. Jedno było pewne, „Ales” zdradzał amerykańskie tajemnice nie dla pieniędzy, lecz z chęci pomocy komunistycznemu państwu. On, absolwent prestiżowych uczelni, polityk z najwyższego kręgu władzy demokratycznego państwa.

„Ales” bez słowa podał rękę, dając znać, że tylko tyle miał do przekazania, i wysiadł, wciąż rozglądając się niepewnie.

Achmerow, pogwizdując, przekręcił kluczyk i wrzucił bieg. Zastanawiał się, czy nie wrócić na bujany fotel na tarasie „Red Horse Inn”, jednakże uznał, że powinien informacje od Hissa przekazać jak najszybciej do Moskwy. Postanowił pojeździć trochę po miasteczku, aby „Ales” oddalił się, i wtedy pojechać do Nowego Jorku.

Jego szpiegowska aktywność rozkwitała. Każdego roku przysyłał coraz więcej informacji do Centrali, a już rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty był rekordowy. Cieszyło go, że Zarubin w niesławie musiał opuścić Stany Zjednoczone. Stało się to za sprawą Wasilija Mironowa, jednego z radzieckich szpiegów i osobistego wroga Zarubina. Nie wystarczyły mu anonimy wysłane do Moskwy, w których żądał odwołania szefa „legalnych”, bo wysłał anonim do FBI, w którym wskazał na Zarubina, jako radzieckiego szpiega i ujawnił, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku brał on udział w przesłuchiowaniu i mordowaniu polskich oficerów w Katyniu, choć Mironow też nie miał czystych rąk, gdyż przesłuchiwał polskich oficerów w Starobielsku. W efekcie Moskwa odwołała obydwo, ale afera zakończyła się tragicznie tylko dla Mironowa, którego osadzono w obozie, a potem rozstrzelano, gdy Zarubin, obsypany odznaczeniami, zajął stanowisko zastępcy szefa wywiadu zagranicznego. Achmerow nie był tym zachwycony, ale odczuwał ulgę, że znienawidzony przez niego człowiek jest daleko.

Spojrzał na zegarek. Od czasu rozstania się z „Alesem” minęło dwadzieścia minut, więc mógł już ruszyć w drogę do Nowego Jorku.

Włączył radio i przez chwilę kręcił gałką, poszukując stacji nadającej nowoorleański jazz. Gdy znalazł, oparł się wygodniej i zaczął stukać do rytmu palcami o kierownicę.

Informacja „Alesa” wprawiła go w doskonały humor.

Zapadła decyzja o zrzuconiu bomby na japońskie miasto naukowcy w Los Alamos muszą więc gwałtownie zwiększyć tempo pracy. Rozpoczną się przygotowania do zdetonowania bomby plutonowej, która była szczególnie interesująca dla Związku Radzieckiego, ponieważ jej wytworzenie wymagało mniejszej ilości materiału rozszczepialnego. W najbliższych tygodniach informacje od agentów będą płynąć szeroką strugą. Będzie je przysyłał do Moskwy, zyskując uznanie szefów. Fundusz na wynagrodzenia, którego wielkość była proporcjonalna do liczby zatrudnianych szpiegów i zdobywanych informacji, będzie wzrastał! A naukowcy, ci naiwniacy w białych fartuchach, co robią to wszystko dla idei, nie będą chcieli od niego pieniędzy, więc jego

konto będzie pęczniało. Cóż za piękny świat!

Pułkownik Lincoln Hayes przyszedł tego dnia wcześniej do pracy. Wartownik pełniący straż przy schodach prowadzących na drugie piętro, gdzie mieścił się gabinet szefa Army Security Agency, zerknął na niego zaskoczony i natychmiast spojrzął na wielki elektryczny zegar na ścianie, którego wskazówki jeszcze nie doszły do godziny siódmej.

– Dzień dobry, sir – zsalutował. – Dzisiaj wcześniej... Hayes skinął głową, nie mając zamiaru wdawać się w nic nie znaczącą wymianę zdań.

– Elizabeth też już w pracy – dobiegły go jeszcze słowa wartownika, z których wynikało, że sekretarka, zgodnie z jego poleceniem, przyszła wcześniej do biura.

– Dobrze, że jesteś, Eli – tak nazywał swoją pomocnicę, która właśnie przekroczyła wiek emerytalny, ale nie potrafił pogodzić się z myślą, że ta kobieta, będąca geniuszem organizacji, mogłaby go opuścić w takim momencie.

– Przyjdzie tu paru facetów – zatrzymał się przed drzwiami swojego gabinetu. – Nie pytaj ich o nic, tylko wpuszczaj. Nacisnął klamkę, ale ponownie się odwrócił.

– I przygotuj coś do jedzenia. Moja żona, jak usłyszała, że zamierzam wstać o piątej, powiedziała, żebym sam zrobił sobie śniadanie. Oczywiście nie udało mi się, a ona będzie musiała ścierać majonez z podłogi. Słoik wyslizgnął mi się z rąk.

Wszedł do gabinetu i rozłożył na biurku notatki, które wyjął z teczki. Zamierzał otworzyć sejf kluczykiem, który odpiął z łańcuszka przytwierdzonego do paska spodni, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Poczuję zapach kawy parzonej przez twoją Eli i natychmiast przyszedłem – powiedział, wchodząc, brygadier Carter Clarke, zastępca szefa wywiadu wojskowego G-2.

– Witaj i siadaj – Hayes otworzył sejf i wyjął gruby plik dokumentów. – Może zjesz śniadanie ze mną? Czy masz bardziej litościwą żonę i dostałeś śniadanie przed wyjściem z domu o tak niemiłosierną porze?

– Miłosiernego to mam kierowcę, który jadąc po mnie, kupił kanapkę na stacji benzynowej.

Clark usiadł w fotelu przed biurkiem i położył przed sobą paczkę papierosów, zastanawiając się, czy warto zapalić przed śniadaniem.

Był to wysoki mężczyzna, o siwiejących włosach zaczesanych do góry i bardzo wysokim czole. Krótko przycięty wąsik nadawał mu wygląd komiwojażera, ale widocznie tak to już było z ludźmi z tajnych służb, że żaden z nich nie wyglądał na faceta od brudnej roboty.

– Dwa miliony depez – powiedział Hayes, siadając naprzeciw Clarka. – I my będziemy musieli to wszystko przejrzeć. Ty sobie to wyobrażasz?

Podsunał zestawienie, jakie otrzymał z archiwum, gdzie gromadzono depesze radzieckie wysyłane od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku przez ambasadę i radzieckie konsulaty i przechwycone przez amerykański nasłuch radiowy Signal Intelligence Service.

– Oczywiście nie wszystkie są szyfrowane. Możemy założyć, że dwadzieścia procent jest szyfrowanych częściowo i one nas nie interesują. Około dziesięciu procent, czyli dwieście tysięcy depesz, jest zaszyfrowanych całkowicie. Z nich będziemy musieli wybrać najważniejsze, to jest dotyczące spraw politycznych i naukowych.

Drzwi otworzyły się i weszła sekretarka, niosąc na tacy dzbanek z kawą, filiżanki i kanapki ułożone na talerzyku.

– Eli, zapomnij o tym, że możesz przejść na emeryturę – uśmiechnął się Hayes, widząc kanapki z szynką i jajkiem. – Pomijając, że wyglądasz jak stażystka, to jeszcze umiesz wyczarować takie kanapki. Skąd te delicje?

– Założyłam, że przyjedzie pan głodny i przygotowałam w domu – Elizabeth szybko rozłożyła serwetki i postawiła talerze.

– Jeżeli chciałaby pani zmienić pracodawcę, to proszę pamiętać o mnie – wtrącił się Clarke.

Pukanie do drzwi przerwało im pogawędkę o dobrych sekretarkach.

– To pan Grosley – oznajmiła Elizabeth i szybko wyszła, mijając się w progu z krępyim mężczyzną, który w ich spotkaniu miał reprezentować sekretarza stanu.

– Mogę? – wyciągnął rękę po kanapkę. – Też mam żonę – dodał na usprawiedliwienie.

Znali się wszyscy od dawna i Hayes liczył, że w tym gronie rozważą najtrudniejszy problem.

– Wobec tego do rzeczy – powiedział, połykając ostatni kęs. – Dwieście tysięcy rosyjskich szyfrogramów czeka na odczytanie.

– To chyba zajmie parę lat – jęknął Grosley.

Wezwano go na to nieformalne zebranie w trybie tak nagłym, że przychodził przekonany, iż cała sprawa rozstrzygnie się w ciągu paru dni.

– John – Hayes usiadł na rogu biurka. – Za dwa, trzy lata, będziemy mieli w tym kraju trzęsienie ziemi, gdyż ta cholerna niemiecka maszyna pozwoli ujawnić wszystkich agentów i zdrajców. Już ją zmontowali w Vint Hill Farms.

– Co to, jeśli można zapytać? – zainteresował się Grosley.

– Stacja Monitorowania numer jeden w pobliżu miasta Warrentown w stanie Virginia. W czasie wojny wykorzystywano ją głównie do przechwytywania komunikacji japońskiej. Teraz pracuje jako centrum nasłuchu łączności radzieckiej – wyjaśnił Hayes. – Dzięki temu urządzeniu zaczęliśmy odczytywać rosyjskie depesze utajniane szyfrem, którego zespół Clarka nie mógł złamać od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku...

Spojrzał na brygadiera, który skinął głową, potwierdzając jego słowa.

– Nie mieliśmy nawet nadziei na złamanie tego szyfru – dodał. – Jest genialny w swojej prostocie. Powiedziałbym, oparty na równaniu z dwoma niewiadomymi, czyli $x + y = 15$. Wartości dwóch niewiadomych nie da się ustalić. Ot i cała tajemnica rosyjskich depeesz.

– A teraz niemiecka maszyna odczytuje te depesze z szybkością samolotu odrzutowego. Spójrz – Hayes przez chwilę przeglądał teczki, które wyjął z sejfu, aż znalazł odpowiednią. Podał Grosleyowi kartkę.

– Informacja o zwerbowaniu agenta, któremu nadano pseudonim „Old”, oraz możliwości wciągnięcia do współpracy innego młodego naukowca z Los Alamos – Hayes był najwyraźniej podekscytowany możliwościami „Aparatu”. – Na razie nie wiemy, kto to jest „Old”, ale tam jest ważna informacja mówiąca, że ma białą odznakę, czyli że należał do grupy naukowców mających nieograniczoną swobodę poruszania się po laboratorium w Los Alamos. Kontrwywiad znajdzie go szybko, szczura!

Grosley położył kartkę na biurku i wstał. Podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na Potomac, szczególnie piękny na początku lata.

– Za dwa, trzy lata podsuniecie FBI zdrajców, jak na talerzu, dobrze rozumiem? – zapytał, nie odwracając się od okna, ale nie czekał na odpowiedź. – Czy odszyfrowane depesze będą wystarczającym dowodem?

– Zakładam, że tak – powiedział Clark.

– Wówczas przyznamy się światu, że Rosjanie wodzili nas za nos przez cztery lata, gdy my wysłaliśmy im czołgi i samoloty. Czyż nie tak? – Grosley odwrócił się do nich. Dostrzegali w jego zachowaniu przyzwyczajenia mówcy, występującego przed ławą przysięgłych, co nie mogło ich dziwić, gdyż przed rozpoczęciem kariery politycznej pracował jako adwokat w znanej nowojorskiej kancelarii.

– Gorzej – mówił dalej. – Przyznamy się światu, że potrafimy bronić się tylko dzięki temu, że zbieranina jakiś facetów wykradła Niemcom maszynę, bez której w dalszym ciągu nie potrafilibyśmy sobie poradzić i Rosjanie dalej poznawaliby nasze największe tajemnice!

– Do czego zmierzasz? – Clark dobrze rozumiał argumenty Grosleya.

– Jeżeli będziemy musieli ujawnić, że potrafimy odczytywać rosyjskie depesze, to pokażmy światu, że dokonali tego nasi naukowcy, a nie jakaś tam zbieranina międzynarodowych awanturników!

– Nie tak, John – zaprotestował Hayes. – Na czele zespołu stał komandor porucznik Howard Compaigne. To nasz oficer. Bardzo dzielny!

– Okay, zapędziłem się – przyznał Grosley – ale nie zmienia to faktu, że główna zasługa przypadnie innym.

– Co proponujesz? – wtrącił się Clarke.

– Od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku twój zespół – wskazał na brygadiera – pracował nad radzieckimi szyframi. Mieliście jakiś kryptonim...?

– Tak, „Venona” – potwierdził Clarke. – Tak naprawdę, to odnieśliśmy trochę

sukcesów, ale nie z szyframi jednorazowymi.

– O właśnie, „Venona”, to pięknie brzmi – powiedział Grosley. – Po latach wyętej pracy jeden z waszych kryptologów, genialny... – znowu zawiesił głos i spojrzał pytająco na Clarke’a.

– Najlepszy jest Meredith Gardner, naprawdę genialny facet – podrzucił brygadier.

– No właśnie, Gardner, potrafił odczytać radzieckie depeche – wsunął kciuki za pasek spodni. – W ten sposób przekazemy światu posłanie, że nasz dzielny szeryf, ten... Meredith Gardner, pokonał zgraję radzieckich bandytów! Romantyczne, piękne, amerykańskie!

– Zgrabne – mruknął Hayes. – Co z Campaign’em?

– Dać medal i zwolnić. Wojna się skończyła, i tak musimy zmniejszać liczebność armii – podsunął Clark. Hayes pokiwał głową. Grosley zapiął marynarkę i podniósł teczkę, którą postawił na podłodze.

– Jadę wprost do prezydenta – powiedział i wymownie zerknął na zegarek. – Dziękuję, że zgodziliście się na spotkanie tak wcześnie, ale dzięki temu przekażę Harry’emu dobre wiadomości – mówiło prezydencie Harrym Trumanie. – On ubóstwia słuchać o sukcesach w walce z bolszewikami.

Podniósł rękę w geście salutowania i wyszedł szybko. Hayes odsunął talerz z kanapkami.

– Eli się zmartwi, ale straciłem apetyt.

Dzwonek zabrzmiał jak część snu, w którym telefon odgrywał jakąś nieokreśloną, ale znaczącą rolę. Sięgnął po zimną bakelitową słuchawkę i w odruchu, którego wciąż sobie nie uzmysławiał, przytknął do ucha.

– Howard Campaigne... – powiedział tak zaspanym głosem, że ten, kto dzwonił o piątej nad ranem, powinien natychmiast porzucić zamiar rozmowy.

– Chyba... zdaje się, że obudziłem – usłyszał głos mężczyzny mówiącego z wyraźnym polskim akcentem. Nie mógł się mylić!

– Nie „zdaje się”, tylko na pewno – burknął – ale skoro już to zrobiłeś, nie próbuj się wycofywać.

– Poznałeś mnie? – rozmówca wydawał się zdziwiony.

– Oczywiście, poznałem cię po tym cholernym polskim akcencie, a jesteś jedynym reprezentantem tego narodu, który mógł szukać mnie w Atlancie.

– Dobrze, Howard, dzwonię z Paryża, a która jest godzina u ciebie?

– Nie pytaj, bo będę musiał cię zastrzelić. Nie pytaj też, kiedy poszedłem spać!

– A mogę zapytać, dlaczego tak późno?

– Zabiję! – Campaigne usiadł na łóżku. Telefon od przyjaciela ucieszył go. – Dlaczego budzisz mnie w środku nocy?!

– Z prostego powodu, że u mnie jest piękny dzień. Wiesz, jak trudno zrozumieć, że ktoś może spać w tak słoneczny dzień? To oczywiście powód pierwszy. Drugi to taki, że doszły mnie słuchy, iż odesłali cię w stan spoczynku, czyli krótko mówiąc, wywalili z wojska!

– I to cię tak cieszy?

– Jakby ci dali jakąś rządową posadkę, to utknąłbyś na amen. A tu, w Paryżu, zebrała się stara wiara i tylko ciebie brakuje!

– Już jadę – burknął Compaigne.

– No właśnie, ja w tej sprawie; na Loop Street w biurze „Rainbow Atlantic” – wy Amerykanie to potraficie wymyślać piękne nazwy – jest bilet samolotowy na twoje nazwisko. Na dzisiaj, na ósmą czterdzieści.

– Okay, lecę – odpowiedział, ale natychmiast zreflektował się. – Andrew, to żarty?

– Czekamy na ciebie z kolacją. Cholernie droga restauracja, jak się spóźnisz, to będziemy musieli zamówić parę dodatkowych butelek, co może cię dużo kosztować.

– Już wiem, że nie żartujesz. Do zobaczenia!

Odłożył słuchawkę i opadł na poduszkę. Naprawdę bardzo chciało mu się spać. Ugniótł poduszkę tak, że ułożyła się między policzkiem a szyją, gdy nagle sens rozmowy, zakończonej przed chwilą, dotarł do niego z nadzwyczajną wyrazistością, na jaką stać tylko wyspany umysł. Podniósł się gwałtownie. „Jeśli myślą, że będę płacił za ich wino, to się mylą”! Zerwał się na równe nogi.

Budzik na nocnej szafce wskazywał czwartą pięćdziesiąt pięć. „Muszę się spakować, bo nie zdążę” – pomyślał uradowany.

Otto Lammersdorf przeszedł wąską ścieżką, kierując się w stronę wyniosłej sylwetki norymberskiej katedry. Piętrzyła się jak pomnik nad wielkimi rumowiskami, w które amerykańskie bombardowania zamieniły centrum Norymbergi. W letni dzień słońce odbijało się w resztkach szyb wielkiej gotyckiej rozety, postrzępionej uderzeniami setek odłamków.

„Cud albo nadzwyczajna precyzja bombowych celowników” – pomyślał, porównując obraz zniszczeń okolicznych domów z niewielkimi uszkodzeniami wyniosłej budowli.

Ścieżka, jaka powstała po uprzątnięciu gruzów, na tyle szeroka, aby zmieścili się na niej dwaj rowerzyści, prowadziła w dół w stronę mostu, na którym powinien być o godzinie piętnastej piętnaście. Bez wątplenia wyznaczono taki czas spotkania, aby mógł go z łatwością zapamiętać bez zapisywania. Pozostał mu jeszcze kwadrans, więc postanowił stanąć na moście i popatrzeć na leniwie płynącą wodę. Czy ktokolwiek mógłby zwrócić uwagę na mężczyznę w średnim wieku, w wytartym mundurze bez odznak? W takich mundurach chodziła większość Niemców w powojennych miesiącach tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Nic nie mogło mu grozić, nawet gdyby

nie spodobał się amerykańskiemu patrolowi. W górnej kieszeni kurtki miał dowód osobisty. Najbardziej autentyczny ze wszystkich, jakie Niemcy mogli mieć w tych czasach. Wydany przez Landratamt, do którego zgłosił się z amerykańskim dokumentem zwolnienia z niewoli porucznika Wehrmachtu, jednego z setek tysięcy oficerów, których wcielono do wojska, by walczyli za führera. Walczył więc, nie czyniąc nikomu krzywdy, ani nie popełniając zbrodni, ściganych przez alianckie trybunały. Zwolnienie z niewoli było nie tylko potwierdzeniem jego tożsamości, ale także świadectwem moralności.

Oparł się o barierę i spojrzął w stronę drugiego mostu, odległego o dwieście metrów. Czekał na spotkanie, do którego miało dojść już za dziesięć minut, patrzył na ludzi idących powoli tamtym mostem.

„Niemcy po wojnie przestali się spieszyć, a tym bardziej iść zdecydowanym krokiem” – pomyślał i natychmiast zarzucił sobie, że staje się zbyt refleksyjny.

Odwrócił się z niejasnym uczuciem, że stracił z oczu coś istotnego. Co? Obrócił głowę i szybko odnalazł wzrokiem sylwetkę, która to uczucie wywołała. Był to krępy mężczyzna, z krótko przyciętymi ciemnymi włosami, o okrągłej twarzy. On chyba też przyglądał mu się, a widząc, że sam stał się obiektem zainteresowania, odwrócił się szybko. Zbyt szybko. Czyżby chciał ukryć swoją twarz o płaskim szerokim nosie i lekko skośnych oczach, nadających jego twarzy azjatycki wygląd?

„Beer”! Ta myśl zmroziła go, ale natychmiast pomyślał, „To niemożliwe”.

– Pan musi być Otto! – usłyszał za sobą. Odwrócił głowę i ten krótki moment wystarczył, aby stracił z oczu człowieka na drugim moście, który tak bardzo przypominał Untersturmführera Matheasa Beera. Zniknął w tłumie apatycznych przechodniów. Musiało mu się przywidzieć.

– Tak, jestem Otto. Czekam pół godziny – podał drugą część hasła.

Stojący przed nim mężczyzna pochylił się w jego stronę i cicho powiedział:

– Szkoda, że nie możemy przywitać się, jak za dobrych czasów. Ale one powrócą. – Obejrzał się szybko, czy nikt z przechodniów nie znalazł się wystarczająco blisko, aby usłyszeć ich rozmowę. – Pan wybaczy, że się nie przedstawię, ani nie podam stopnia wojskowego. Konspiracja – dodał.

Lammersdorf skinął głową, usiłując uśmiechnąć się, co jednak musiało wypaść bardzo sztucznie, gdyż nieznajomy porzucił dalsze konwenanse.

– Ma pan coś dla mnie?

Lammersdorf wyjął bez słowa z kieszeni skórzany woreczek, w którym zachręściły brylanty, i widząc, że nikt nie zwraca na nich uwagi, szybko podał go przybyszowi.

– Pięćdziesiąt tysięcy karatów – powiedział tak cicho, że można to było tylko wyczytać z ruchu jego ust.

– Heil – przybysz odpowiedział tak samo bezgłośnie. Schował woreczek do wewnętrznej kieszeni płaszcza i uchylił kapelusza. Odwrócił się szybko i po chwili zniknął w grupie ludzi idących ścieżką wśród ruin.

Lammersdorf powrócił do obserwowania przeciwległego mostu, zastanawiając się,

czy to możliwe, że człowiek, którego tam widział, to Beer. Postał jeszcze chwilę i ruszył przed siebie zbyt zajęty myślami, aby zauważyć mężczyznę, idącego w jego kierunku tuż przy brzegu rzeki. Mężczyzna ten w pewnym momencie, uznając najwidoczniej, że nie powinien zbyt zmniejszać dystansu, jaki ich dzielił, zatrzymał się i patrzył za oddalającym się Lammersdorfem.

– Glöbcke – powiedział cicho. – Żyjesz. To dobrze. Odnajdę cię. Możesz być tego pewien...

EPILOG

Zostawiam moich bohaterów w czasie, gdy Europa otrząsnęła się z koszmaru pięcioletniej wojny i otwierała nowy okres swojej historii. Wartości ulegały raptownej zmianie, bohaterowie nie byli potrzebni, łotry starały się znaleźć nową tożsamość, aby uniknąć odpowiedzialności.

Ludzie, których poznaliśmy w tej książce, a których los zetknął i kazał im przejść próbę ognia, w której sprawdziły się ich charaktery i przekonania, nie mogli zniknąć w nowej rzeczywistości. Straciliby to wszystko, za co gotowi byli oddać życie. Oni włączyli się do nowej gry wywiadów, jaka rozpoczęła się, gdy w Europie zapanował pokój. Joanna, Natalia, Hugo Jorg, Andrzej Czerny i Howard Compaigne, „Afgan” i „Wood” przystąpili do gry tak tajnej, że nawet dzisiaj, po kilku dziesięcioleciach, jej ujawnienie byłoby wstrząsem.

A Anna Maria? No, właśnie...